



**Jill Shalvis**



*Szczęściara*

*Tytuł oryginału: LUCKY IN LOVE*

*Laurie, Melindzie i Mary za poprawienie moich błędów.*

*Jeśli jakieś zostały, to tylko z mojej winy.*

*Helenkay Dimon, Susan Anderson, Kristan Higgins  
i Robyn Carr za najlepszą przejażdżkę limuzyną  
w moim życiu (okej, JEDYNĄ przejażdżkę limuzyną  
w moim życiu) w dzień, w którym złożyłam tę książkę  
(zdobycie nagrody Rita tego samego wieczoru było jak  
lukier na torcie! ).*

*Jolie i Debbie za pomoc w stworzeniu Tya.*

*Robyn Carr za wszystko inne.*

*Kocham Was wszystkie!*

## *PROLOG*

*Miłość jest wszystkim, czego potrzebujesz.*

*Odrobina czekolady od czasu do czasu na pewno jednak nie zaszkodzi.*

Poszarpana błyskawica rozbliła pod zamkniętymi powiekami Tya Garrisona. Zagrział grom, zatrzęsła się ziemia, a on poderwał się na łóżku, dysząc tak ciężko, jakby właśnie przebiegł maraton.

Sen. Ten sam cholerny koszmar od czterech lat.

Pocąc się i drząc jak liść na wietrze, potarł twarz rękami. Dlaczego nie może śnić o czymś przyjemnym? Na przykład o seksie z trojaczkami.

Uwolnił się z pościeli, pokuśtykał nago do okna i otworzył je na oścież. Chłodna mgła wiosennej burzy musnęła jego rozpaloną skórę; zwalczył potrzebę, by zamknąć oczy. Gdyby to zrobił, znów by tam powrócił.

Wspomnienia i tak napłynęły falą.

*– Dziesięć minut do celu – ogłosił pilot, gdy samolot mknął po niebie tuż pod szalejącą burzą.*

*Osiem minut od celu maszyna zaczęła wibrować.*

*Sześć minut od celu uderzyła błyskawica.*

*A potem nastąpiła eksplozja tak głośna, że niemal wybuchły bębni.*

Ty odchylił głowę, pozwalając, by deszcz biczował jego ciało w otwartym oknie. Słyszał Pacyfik rozbijający się o klify poniżej. Powietrze przesycone aromatem sosen pachniało jak Boże Narodzenie w kwietniu. Zmusił się, by wziąć głęboki, drżący oddech.

Nie był już sanitariuszem SEAL wyciągającym obolały tyłek z

płonącego samolotu, dławiającym się świadomością, że tylko on jeszcze oddycha, że nie zdołał ocalić ani jednego człowieka. Był teraz w stanie Waszyngton, w małej, nadmorskiej miejscowości Lucky Harbor. Przed nim rozpościerał się ocean, za nim wznosiły góry Olympic.

Bezpiecznie.

A mimo to, gdy rozbłysła kolejna błyskawica, niemal wyskoczył ze skóry. Rozgniewany własną słabością zamknął okno. Nigdy więcej nie pochłonie całej pizzy pepperoni tuż przed snem.

W głębi ducha wiedział jednak, że to nie coś tak banalnego jak pizza sprawiło, iż znów miał złe sny. To nerwowość wynikająca z bezczynności. Wciąż pracował w służbach specjalnych, nie wrócił jednak na pierwszą linię jako sanitariusz. Zamiast tego podjął pracę dla rządu jako prywatny zleceniobiorca, co dostarczało mu odpowiedniej dawki adrenaliny. A poza tym odpowiadała mu taka praca – dopóki sześć miesięcy temu nie musiał wyskoczyć z okna na drugim piętrze, by uniknąć postrzału, przez co ponownie uszkodził nogę.

Wyciągnął ją teraz przed siebie i jęknął. Chciał odzyskać pracę. Musiał odzyskać pracę. Tyle że najpierw potrzebował zaświadczenia od lekarza. Włożył dzinsy, zdjął koszulę z oparcia krzesła i wyszedł z pokoju, choć na zewnątrz wciąż szalała burza. Przeszedł przez wielki, niemal pusty dom, który wynajął na okres rekonwalescencji, i wszedł do garażu. Będzie musiała mu wystarczyć przejażdżka w środku nocy i być może krótki przystanek w całodobowej jadłodajni.

Najpierw przejażdżka.

Włączył światło i odetchnął głęboko powietrzem pachnącym olejem silnikowym, dobrze nasmarowanymi częściami i gumowymi oponami. Po lewej stał GMC jimmy z siedemdziesiątego drugiego; Ty podjął się jego

renowacji bez zastanowienia. Nie potrzebował pieniędzy. Jak się okazało, umiejętności nabyte w oddziałach specjalnych były w obecnych czasach wysoko opłacane. Praca nad samochodem miała być miłym odpoczynkiem od problemów.

Mustang shelby z sześćdziesiątego ósmego nie był dodatkową pracą, lecz miłością jego życia, wzywał go. Ty popchnął butem leżankę montera ku klasycznemu sportowemu samochodowi. Położył się na niej z grymasem bólu i wtoczył pod podwozie, odpychając od siebie problemy, negując je, unikając.

Szukając spokoju pośród burzy.

TTLR

# ROZDZIAŁ 1

*Włóż czekoladę do torebki, to nikomu nie stanie się krzywda.*

Błyskawica rozświetliła niebo, oślepiając na chwilę Mallory Quinn, biegnącą w ciemną deszczową noc z samochodu do drzwi wejściowych restauracji.

Jeden.

Dwa.

Na trzy uderzył piorun i zatrzęsł ziemią. Paskudny wiatr niemal zbił Mallory z nóg. Tego ranka nie wzięła parasola, co w sumie nie było takie złe, bo teraz odleciałaby z nim niczym Mary Poppins.

Gdy niebo przecięła druga, jeszcze bardziej jaskrawa błyskawica, Mallory pisnęła. Nagle stało się jasno jak w dzień: zobaczyła zatokę za restauracją, wzburzony ocean, złowrogie chmury.

Gdy znów zapadł zmrok, wbiegła bez tchu do kafejki Zjedz Mnie, jakby ścigało ją stado diabłów. Dobrze, że nie ma na nogach szpilek, tylko podróbki uggsów!

W Lucky Harbor życie zamierało po dwudziestej drugiej, a ten wieczór nie był wyjątkiem. W restauracji siedziała tylko jedna klientka, przy barze, za którym stała kelnerka. Kelnerka była przyjaciółką Mallory. Bystra, cyniczna Amy Michaels, wysoka i długonoga niczym Xena, wojownicza księżniczka, miała równie bojowy stosunek do życia. Jej ciemne włosy były nieco potargane, jak zwykle, a jeszcze ciemniejsze oczy rozbłysły rozbawieniem, gdy Mallory wpadła bez tchu do kafejki.

– Cześć – przywitała się Mal, walcząc z wiatrem próbującym zatrzęsnać za nią drzwi.

– Wyglądasz na przestraszoną – orzekła Amy, wycierając blat. – Znów pani czyta Stephena Kinga, gdy na dyżurze jest spokój, siostrzo Nightingale?

Mallory wzięła głęboki, drżący oddech i zaczęła się otrzepywać z lodowatego deszczu. Jej dzień rozpoczął się milion lat temu, o świcie, gdy opuściła dom jak zwykle w pośpiechu, bez kurtki. Po niewiarygodnie wręcz długim dyżurze w pogotowiu, siedemnaście godzin później, nadal miała na sobie fartuch pielęgniarki, tyle że teraz pod cienkim swetrem, który kleił się do niej jak druga skóra. Mał nie przypominała wojowniczej księżniczki, raczej jej przemoczoną damę dworu.

– Nie Stephena. Musiałam z niego zrezygnować.

Lektura *Lśnienia* w zeszłym miesiącu naprawdę mną wstrząsnęła.

Amy skinęła głową.

– Dyspozytorka numeru alarmowego miała już dość odbierania twoich rozmów rozpoczynających się od: „Za moim oknem czai się jakiś cień”?

– Hej, to był jeden, jedyny raz. – Mallory zrezygnowała z wyciskania wody z włosów i postanowiła zignorować drwiny przyjaciółki. – A dla twojej informacji: za moim oknem naprawdę czaił się wtedy człowiek.

– Tak. Siedemdziesięcioletni pan Wykowski, który zabłądził podczas spaceru.

Niestety, była to prawda. I choć Mallory wiedziała, że pan Wykowski to bardzo miły staruszek, wtedy naprawdę wyglądał jak Jack Nicholson w *Lśnieniu*.

– To była potencjalnie bardzo niebezpieczna sytuacja.

Amy pokręciła głową i zaczęła napępniać serwetniki.

– Mieszkasz przy Senior Drive. Potencjalnie najbardziej niebezpieczna sytuacja na tej ulicy zdarza się wtedy, gdy taksówka nie zjawi

się na czas, by odwieźć wszystkich na wieczór bingo.

Fakt. Malutki domek Mallory rzeczywiście był otoczony podobnymi malutkimi domkami, zamieszkanymi głównie przez seniorów. Nie było to takie złe. Sąsiedzi stanowili przemiłą gromadkę i zawsze częstowali ją kawowym tortem. I historyjką o takim czy innym schorzeniu. Albo dwustu.

Mallory odziedziczyła domek po babci, razem z kredytem, który kosztował ją niemal pierworodnego. Gdyby tego pierworodnego miała. Do tego jednak musiałaby być mężatką, a żeby być mężatką, trzeba najpierw spotkać Pana Odpowiedniego.

Przez ostatnich dwóch Panów Odpowiednich została porzucona.

Wiatr i coś cięższego uderzyły w okna jadalni. Mallory nie mogła uwierzyć własnym oczom. Śnieg.

– Ojej, temperatura musiała naprawdę bardzo spaść. I to gwałtownie.

– Mamy wiosnę – stwierdziła Amy z niesmakiem.

– Dlaczego więc pada śnieg? Zmieniłam już opony.

Samotna klientka przy barze odwróciła się, by wyrzeć na zewnątrz.

– Niech to szlag. Ja też nie mam zimówek. – Wyglądała na dwadzieścia parę lat i mówiła z akcentem wskazującym na północno – wschodnie pochodzenie. Jeśli Amy była Xeną, a Mallory jej damą dworu, nieznajoma wyglądała jak jasnowłosa siostra Barbie, tyle że młodsza, ładniejsza i o wiele bardziej naturalna.

– Jeżdżę garbusem z siedemdziesiątego drugiego – dodała.

Opony Mallory były po prostu łyse, dziewczyna przygryzła więc tylko dolną wargę i wyrzała przez okno. Może jeśli wyjdzie od razu, dojedzie do domu?

– Powinniśmy przeczekać – zasugerowała Amy.

– Przecież to nie potrwa długo.



Mallory miała na ten temat odmienne zdanie. Za obecną sytuację mogła winić wyłącznie siebie. Ignorowała prognozy przez cały poprzedni tydzień, odkąd prezenter oświadczył, że będzie trzydzieści stopni, temperatura doszła zaledwie do dziesięciu, przez co cały długi dzień Mallory marzła na dyżurze. Jej sutki wciąż jeszcze o tym pamiętały.

– Nie mam czasu, by to przeczekiwać. – Czekala ją randka z ośmioma godzinami porządnego snu.

Właścicielka garbusa miała na sobie zwiewną letnią spódnice i dwa cienkie sweterki. Jak widać, nie tylko Mallory dała się zaskoczyć. Tyle że nieznajoma nie wyglądała na szczególnie przejętą tym faktem, ponieważ pochłaniało ją pożeranie wielkiego czekoladowego ciastka, na widok którego ślinka napływała do ust.

– Przepraszam – powiedziała Amy, czytając w myślach przyjaciółki. – To było ostatnie.

– Nieważne. – I tak nie po to przyjechała. Była niemal nieprzytomna, a zatrzymała się w kafejce jedynie na prośbę matki. – Przyjechałam odebrać tort dla Joego.

Joe był jej młodszym bratem; nazajutrz miał skończyć dwadzieścia cztery lata. Nie miał ochoty na przyjęcie w gronie rodziny, ale w spawalni, gdzie pracował, interesy szły marnie, więc plany wycieczki do Vegas z kolegami spaliły na panewce z powodu braku funduszy.

Wtedy zainterweniowała matka i nakazała Mallory przynieść tort. Mallory w zasadzie dostała polecenie, by go upiec, ale że potrafiła przypalić nawet wodę, postanowiła uciec się do oszustwa.

– Proszę, powiedz, że nikt z mojej szalonej rodzinki nie widział tortu i będę mogła udawać, że zrobiłam go samodzielnie.

Amy prychnęła.

– Najgrzeczniejsza mieszkanka Lucky Harbor okłamię własną mamę!  
Co za wstyd.

Wszyscy w miasteczku tak z niej żartowali. Mallory Dobra Dziewczynka. Okej, fakt, musiała przyznać, że odgrywa tę rolę. Miała jednak po temu swoje powody – słuszne – i nie chciała znów tego słuchać. Nigdy więcej.

– Tak, tak. Dawaj tort. Mam randkę.

– Nie masz. Gdybyś miała, to bym o niej wiedziała.

– To potajemna randka.

Amy wybuchnęła śmiechem. Cóż, nic dziwnego. Lucky Harbor było cudownym, małym miasteczkiem, w którym znali się wszyscy. Można było zostawić w samochodzie garnek ze złotem, a i tak nikt by go nie ukraść.

Tyle że nikt nie znał tutaj znaczenia słowa „tajemnica”.

– Mam randkę. Z własnym łóżkiem. Zadowolona?

Amy rozsądnie zachowała drwiny dla siebie i poszła do kuchni po tort. W tej samej chwili rozbłysła kolejna błyskawica, a zaraz potem rozległ się grzmot. Zawył wiatr, budynek zatrzęsł się w posadach. Trwało to i trwało, a trzy młode kobiety przywarły do siebie tak ściśle, jak to tylko było możliwe, biorąc pod uwagę, że Amy wciąż tkwiła po drugiej stronie baru.

– Teraz nie mogę przestać myśleć o tym *Lśnieniu*... – mruknęła blondynka.

– Nie martw się – pocieszyła ją Amy. – Sceny jak z horrorów rzadko mają miejsce w naszym małym rajku.

Wszystkie wybuchnęły słabym śmiechem, który zamarł, gdy ich uszy rozdarł gwałtowny trzask i brzęk tłuczonego szkła.

W pełnej przerażenia ciszy powalone drzewo zaczęło machać do nich bezwstydnie gałęziami przez rozbite okno.

Mallory chwyciła nieznajomą za rękę i schowała się za ladą, obok Amy.

– Na wypadek gdyby rozbiły się kolejne okna...

– Zdołała wykrztusić. – Tu jesteśmy bezpieczne, z dala od latającego szkła.

Amy głośno przełknęła ślinę.

– Już nigdy więcej nie będę nabijać się z ciebie i pana Wykowskiego.

– Chciałabym to mieć na piśmie. – Mallory podniosła się nieco i wyjrzała zza kontuaru. Frontowe drzwi zablokowało drzewo.

– Nie dosięgnę stąd mojego ciastka – oświadczyła drżącym głosem blondynka. – A naprawdę go teraz potrzebuję.

– Tak naprawdę to potrzebujemy się stąd wydostać – mruknęła Amy.

Mallory pokręciła głową.

– Teraz za mocno wieje. Na zewnątrz jest niebezpiecznie. Powinniśmy jednak powiadomić kogoś o tym powalonym drzewie.

Blondynka wyjęła komórkę i zerknęła na wyświetlacz.

– Zapomniałam, że jestem w dziurze. W połowie miasta nie ma zasięgu. – Skrzywiła się. – Przepraszam. Dopiero tu przyjechałam. Jestem pewna, że Lucky Harbor to bardzo miła dziura.

– Miewa swoje uroki. – Mallory zaczęła przeszukiwać kieszenie. Cholera. – Zostawiłam komórkę w samochodzie.

– Mnie padła bateria – przyznała Amy. – Mamy jednak w kuchni telefon stacjonarny. O ile wciąż jest prąd.

W tej samej chwili zgasły wszystkie światła.

Mallory poczuła bolesny skurcz w żołądku.

– Musiałaś to powiedzieć, prawda?

Blondynka wierciła się przez chwilę. Znienacka rozbłysło

bladoniebieskie światło.

– Mam w komórce aplikację zapalniczki – wyjaśniła, unosząc telefon.  
– Jedyne problem polega na tym, że bardzo szybko wyczerpuje baterię, więc będę ją włączać tylko w razie nagłego wypadku. – Nacisnęła jakiś przycisk i znów zapanowały nieprzeniknione ciemności.

Gdy w okna uderzył kolejny podmuch wiatru, rozsypując jeszcze więcej szkła, zapalniczka rozbłysła od razu.

– Nagły wypadek – oświadczyła blondynka. Wszystkie trzy usiadły jeszcze bliżej siebie.

– Głupi tort – stwierdziła Mallory.

– Głupia burza – mruknęła Amy.

– Głupie życie – powiedziała blondynka. Spojrzała na towarzyszki, blada jak prześcieradło. – To doskonały moment, by któraś z was przyznała, że ma wielkiego, silnego faceta, który już jej szuka i wkrótce się tutaj zjawi.

– Mało prawdopodobne – poinformowała ją Amy.

– Jak się nazywasz?

– Grace Brooks.

– Cóż, Grace, jesteś nowa w Lucky Harbor, więc pozwól, że ci wyjaśnię. W mieście jest wielu wielkich i silnych facetów, lecz ja dźwigam swe brzemie samodzielnie.

Grace i Mallory zmierzyły wzrokiem sylwetkę w krótkiej, militarnej spódnicy i szalowych botkach. Rękawy bawełnianego podkoszulka odsłaniały opalone i umięśnione ramiona. Obraz seksownej twardzielki psuł jedynie zupełnie nieodpowiedni różowy fartuch z logo Zjedz Mnie. Amy podrasowała go po swojemu, otaczając logo czerwoną taśmą klejącą i przekreślając je ukośną linią z tej samej taśmy.

– Trudno mi w to uwierzyć – oświadczyła Grace.

– Mam na imię Amy. – Amy skinęła podbródkiem w kierunku Mallory. – A to jest Mallory, moje całkowite przeciwieństwo. Miejsowa grzeczna dziewczynka.

– Przestań – zaproponowała Mallory, zmęczona już łączeniem określeń „grzeczny” i „dziewczynka” w odniesieniu do jej osoby.

Amy to, oczywiście, nie powstrzymało.

– Jeśli jakiegś staruszce trzeba pomóc przejść przez ulicę, jakieś dziecko z rozbitym kolanem potrzebuje plastra i pocałunku, a wielki, silny facet szuka słodkiej, ciepłej damy w opałach, przybywa Mallory.

– To gdzie on jest? – zapytała Grace. – Ten jej wielki, silny facet?

Amy wzruszyła ramionami.

– Ją zapytaj.

Mallory wykrzywiła wargi i postanowiła wyznać prawdę.

– Okazuje się, że nie jestem w stanie utrzymać przy sobie Pana Odpowiedniego.

– To zacznij się umawiać z Panem Nieodpowiednim – mruknęła Amy.

– Cicho bądź. – Nie mając ochoty na dyskusje o swoim życiu miłosnym, lub o jego braku, Mallory wystawiła nos nad bar z nadzieją, że śnieg przestał sypać.

Nie przestał.

Dziki wiatr nawiewał go teraz do środka, uderzając w resztki szyb i wzbijając w powietrze odłamki szkła.

Mallory wykręciła szyję i zerknęła do kuchni. Gdyby wyszła tylnymi drzwiami, musiałaby obejść cały budynek, aby dostać się do samochodu i telefonu.

W ciemnościach.

To była jednak ich jedyna szansa. Mał już niemal wstała, gdy dwa

okna nad kuchennym zlewem rozbiły się w drobny mak tak nagle, że niemal stanęło jej serce.

Rozbłysła aplikacja Grace.

– Niech to szlag! – sapnęła dziewczyna. Wszystkie trzy utkwiły wzrok w gałęzi machającej do nich z kolejnej dziury.

– Jan się naprawdę wkurzy – oświadczyła Amy.

Jan była właścicielką kafejki. Pięćdziesięcioparolatka, gdy miała dobry humor, bywała tylko gderliwa i nienawidziła wydawać ciężko zarobionych pieniędzy na coś innego niż jej uzależnienie od internetowego pokera.

Do środka wdarł się lodowaty wiatr i śnieg. Temperatura w kuchni spadła gwałtownie.

– Mówiłyście coś o torcie? – zapytała Grace drżącym głosem.

Zagrały w papier, kamień, nożyce. Amy przegrała, na nią więc padło podczołganie się do lodówki.

– Nie masz nic przeciwko? – upewniła się jeszcze, rozdając widelce.

Mallory spojrzała na wypiek. Gdy miesiąc temu zaczął ją uciskać fartuch, zrezygnowała z czekolady. Niektóre sytuacje bywają jednak wyjątkowe.

– To czekoladowy nagły wypadek. Joe przeżyje. Zaniechały prób wydostania się i powrotu do domu w okropnych warunkach, i wszystkie trzy zatopiły widelce w torcie. Pośrodku czarnej nocy, przerażone nawałnicą i wzmocnione cukrem i czekoladą, zaczęły rozmawiać.

Grace opowiedziała, że gdy gospodarka zaczęła lecieć na łeb, na szyję, ona straciła intratną posadę w bankowości inwestycyjnej, a także mieszkanie, karty kredytowe i pokaźny pakiet akcji. Kiedy pojawiła się możliwość pracy w Seattle, przejechała przez cały kraj, na miejscu okazało się jednak, że jednym z obowiązków będzie sypianie z oślizgłym prezesem

firmy. Powiedziała mu, aby się wypchał i postanowiła wyjechać do Los Angeles. Zmęczona, zatrzymała się w Lucky Harbor. Znalazła kupon promocyjny uprawniający do zniżki w miejscowym hotelu i postanowiła zostać przez kilka dni, by zebrać siły.

– Chyba że zabraknie mi pieniędzy i skończę na ulicy – podsumowała, próbując nie poddawać się depresji z powodu ograniczonych opcji.

Mallory uścisnęła jej dłoń.

– Coś znajdziesz. Wiem to.

– Mam nadzieję, że masz rację. – Grace wzięła głęboki oddech. – Przepraszam, że obarczam was moimi kłopotami. Chyba zbyt długo dusiłam to w sobie i w końcu musiało wybuchnąć.

– Nie przepraszaj. – Amy zlizwała polewę z palca.

– Od tego są mroczne, burzliwe noce. Od wyznań.

– Cóż, lepiej bym się poczuła, gdybyście i wy mi coś wyznały...

Mallory, niezbyt wylewna z natury, zerknęła na przyjaciółkę.

– Na mnie nie patrz. Moje życie to nic specjalnego.

Grace pochyliła się ku niej wyczekująco.

– I tak chciałabym o nim usłyszeć.

Amy, równie nieskora do zwierzeń jak Mallory, wzruszyła ramionami.

– Cóż, to typowa opowieść o przeciętnej zbankrutowanej milionerce...

– Słucham? – zapytała zdumiona Mallory, zastygając z uniesionym widelcem. Amy mieszkała w Lucky Harbor już jakiś czas i choć nie była nieśmiała, nie była również wylewna. Nigdy nie opowiadała o swojej przeszłości.

– Albo raczej opowieść z cyklu od zera do milionera i z powrotem do zera – poprawiła się Amy.

– Opowiedz – poprosiła Grace, nakładając sobie kolejny kawałek

tortu.

– Dobra, ale to naprawdę jeden wielki banał. Matka i jej córka mieszkają w przyczepie. Matka poznaje bogatego faceta i wychodzi za niego, córka wkurza nowego ojczyma, zostaje więc wyrzucona z domu w wieku lat szesnastu i wydziedziczona. Spłukana, nieposiadająca żadnych przydatnych umiejętności, podróżuje po kraju, zadając się z niewłaściwymi ludźmi, aż w końcu ma tylko dwa wyjścia. Wszystko wyprostować albo umrzeć. Decyduje się na to pierwsze i ląduje w Lucky Harbor, bo jej babcia spędziła tu lato milion lat temu i to odmieniło jej życie.

Mallory ze ściśniętym sercem sięgnęła po dłoń przyjaciółki.

– Och, Amy.

– Widzisz? – powiedziała Amy do Grace. – Nasza grzeczna dziewczynka. Ona po prostu nie umie inaczej.

– Umiem – zaprotestowała Mallory. Tyle że było to kłamstwo. Lubiała pomagać ludziom, a to oznaczało, że Amy ma rację. Po prostu nie mogła nic na to poradzić.

– Nie myśl, że nie zauważyłyśmy, iż ty dotąd nie podzieliłaś się z nami niczym – oświadczyła Amy.

– Może później – odparła Mallory, oblizując widelec. Albo wcale. Nieustannie dzieliła się całą sobą ze wszystkimi. Taka była jej praca, ale też osobowość. Musiała zachować coś wyłącznie dla siebie. – Zjem jeszcze kawałek.

– Zaprzeczanie to jej druga natura – wyjaśniła Amy, gdy Mallory odkroiła całkiem spory fragment. – Na pewno ma to coś wspólnego z jej szalonym rodzeństwem i faktem, że tylko Mallory jest rozsądna w tej rodzinie. Nie przypuszcza, że zasługuje na szczęście, a ta czekolada jest dla niej substytutem czegoś istotnego.



– Dziękujemy, pani doktor. – Amy była krępująco bliska prawdy. Rodzina Mallory była dzika i szalona, a ona sama ciężko pracowała, by utrzymać ją w kupie. Miała problemy z pozwalaniem sobie na szczęście od śmierci swojej siostry, Karen. Wzdrygnęła się. – Jest tu jakieś pudło z rzeczami znalezionymi, w którym mogłybyśmy poszukać kurtek?

– Nie. Jan sprzedaje wszystko na eBayu. – Amy odłożyła widelec i oparła się wygodniej. – Spójrzcie tylko na nas. Siedzimy tu i opychamy się urodzinowym tortem, bo nie miałyśmy lepszych planów na piątkowy wieczór.

– Hej, ja miałam – zaproponowała Grace. – To ta wielka, okropna burza mnie ich pozbawiła.

Amy spojrzała na nią z ukosa, a Grace skuliła ramiona.

– Okej, nie miałam.

Obie spojrzały na Mallory, która westchnęła ciężko.

– Cóż, ja też nie. Mam nawet mniej niż nic. Martwy akumulator, łyse opony, brakuje mi benzyny i nie mam numeru do pomocy drogowej. Odpowiada wam takie wyznanie?

Grace i Amy roześmiały się cicho, co nieco rozluźniło atmosferę. Wszystkie trzy przytuliły się do siebie, starając się nieco ogrzać.

– Wiecie co? – oświadczyła Amy. – Jeśli to przeżyjemy, zamierzam...

– Hej. – Mallory wyprostowała się, zdenerwowana.

– Oczywiście, że przeżyjemy. Gdy tylko śnieg przestanie sypać, przesuniemy nieco te gałęzie, utworzymy sobie drogę do mojego samochodu, wezwiemy pomoc i...

– Jezu! – mruknęła poirytowana Amy. – Zrujnowałaś moją dramatyczną chwilę.

– Przepraszam. Kontynuuj.

– Dziękuję. Jeśli przeżyjemy – powtórzyła Amy z przesadną powagą – już zawsze będę trzymała w lodówce dla nas taki tort. I... – Zaczęła się kręcić. Po chwili podjęła przemowę, tyle że już nieco łagodniejszym tonem. – Chciałabym wprowadzić pewne poprawki do mojego życia. Na przykład zacząć nim żyć, zamiast pozwalać, by toczyło się rozpędem. Zapuszczę korzenie i nawiążę prawdziwe przyjaźnie. To moje najsłabsze strony.

Mallory mocno uściśnęła jej dłoń.

– Ja jestem prawdziwą przyjaciółką – wyszeptała.

– Zwłaszcza jeżeli mówiłaś poważnie o tym torcie...

Wargi Amy wykrzywił nikły uśmiech.

– Jeśli przeżyjemy – oświadczyła Grace – znajdę coś więcej niż pracę. Przestaną się kręcić w kółko i dla odmiany poszukam szczęścia, zamiast czekać, by ono odnalazło mnie. Czekam już dostatecznie długo.

I znów obie spojrzały z wyczekiwaniem na Mallory, która westchnęła ciężko. Wiedziała, czego pragnie dla siebie, rzecz była jednak skomplikowana. Chciała w końcu odpuścić, robić to, na co ma ochotę, przestać się martwić, że jest spoiwem w pracy, w rodzinie. Dla wszystkich. Nie mogąc jednak wyznać prawdy, zaczęła się zastanawiać i po chwili wymyśliła coś innego.

– W przyszły weekend szpital organizuje przyjęcie dobroczynne: oficjalną kolację i aukcję. Jestem na oddziale jedyną pielęgniarką bez randki. Jeśli przeżyjemy, znajdę sobie kogoś.

– Cóż, jeśli spadać, to z wysokiego konia – oświadczyła Amy. – Powinnaś też pomyśleć o jakimś bzykanku.

Grace skinęła głową z aprobatą.

– Bzykanie... – wymruczała z uczuciem. – Brakuje mi tego.

– Bzykanie? – powtórzyła Mallory.

– Gorący seks – przetłumaczyła Grace.

Amy przytaknęła.

– A skoro wciąż nie wychodzi ci z Panami Odpowiednimi, powinnaś spróbować z Panem Nieodpowiednim.

– Jasne – mruknęła Mallory, wiedząc, że, po pierwsze, w okolicy nie ma żadnych Panów Nieodpowiednich, a po drugie, nawet gdyby jacyś byli, i tak by się nią nie zainteresowali.

Amy wyjęła z kieszeni fartucha bloczek zamówień.

– Wiecie co? Zróbmy listę potencjalnych kandydatów. To jedyny typ faceta, jaki znam, więc jestem ekspertem. Na poczekaniu mogę wymyślić dwóch. Doktor Josh Scott z twojego szpitala i Anderson, właściciel sklepu z narzędziami. Jestem jednak pewna, że jest jeszcze wielu innych. I musisz mi obiecać, że jeśli na twojej drodze pojawi się Pan Nieodpowiedni, poderwiesz go. Chyba że okaże się przestępcą.

Dobrze wiedzieć, że są jakieś granice. Amy wystawiła mały palec, by wymusić na Mallory uroczystą obietnicę. Mallory z westchnieniem zahaczyła o niego swój.

– Obiecuję... – Urwała, bo coś uderzyło w ścianę kawiarni. Wszystkie zamarły, wpatrując się w siebie z przerażeniem.

– To nie była gałąź... – wyszeptała Mallory. – Chyba raczej pięść.

– Może kamień? – szepnęła Grace, niepoprawna optymistka.

Skinęły głowami, żadna jednak nie uwierzyła. Mallory ogarnęły złe przeczucia. Miewała tak czasami na ostrym dyżurze, tuż przed wypadkiem.

– Mogę? – zapytała, wskazując palcem na komórkę.

Grace podała jej aparat. Mallory wstała i użyła aplikacji zapalniczki, by oświetlić wnętrze kafejki.

Nie wyglądało dobrze.

Przez otwarte drzwi do środka wciąż wpadał śnieg, zjawisko niespotykane o tej porze roku. Płatki były duże, puszyste, okrągłe, miały rozmiar obiadowych talerzy i nieprzerwanie leciały z nieba, tworząc zaspę.

Znów coś uderzyło w ścianę. Poprzez wycie wiatru Mallory dobiegł jęk. Jęk pełen bólu. Wyprostowała się.

– Może ktoś próbuje dostać się do środka? Może jest ranny?

– Mallory, nie – zaproponowała Amy.

Grace chwyciła ją za rękę.

– To zbyt niebezpieczne.

– Nie mogę tego tak po prostu zignorować. – Mallory uwolniła dłoń, otuliła się ramionami i powoli podeszła do drzwi. Jeśli ktoś miał kłopoty, nie mogła nie zareagować. Syndrom środkowego dziecka i przekleństwo pielęgniarce. Szkło zachręściło pod jej stopami, wzdrygnęła się, gdy śnieg dmuchnął jej w twarz. Zdziwiła się, że aluminiowa futryna wytrzymała napór wiatru, który zbił szybę. Odepchnęła nieco grubą konar, wyciągnęła przed siebie dłoń z telefonem i wyjrzała na zewnątrz.

Zobaczyła tylko śnieg.

– Halo? – zawołała, wychodząc na betonowy stopień. – Czy ktoś tu...

Gdy wokół jej kostki owinęły się czyjeś palce, wrzasnęła z całych sił i upadła na ziemię.

## ROZDZIAŁ 2

*Jeśli masz wybór pomiędzy mężczyzną a czekoladą, zawsze wybieraj czekoladę!*

Mallory próbowała się wyrwać, lecz wielka dłoń na jej kostce zaciskała się stanowczo, najwyraźniej przymocowana do jeszcze większego ciała. Pod wpływem paniki dziewczyna zareagowała instynktownie – z całej siły uderzając napastnika w zakapturzoną głowę telefonem Grace.

Aparat odbił się od jego policzka; jedyną reakcją agresora był cichy jęk. Facet leżał płasko na plecach, do połowy przysypany śniegiem. Nie przestając zaciskać na kostce Mallory długich palców, poruszył się nieco i jęknął ponownie. Dźwięk nie osłabił paniki, wydobył jednak na powierzchnię inną emocję. Troskę. Mężczyzna nie próbował jej skrzywdzić, nachyliła się więc nad nim i odgarnęła śnieg, żeby lepiej go widzieć. Nie było to łatwe, bo wiatr atakował ich cały czas, nawiewając w twarz Mallory kolejne ogromne, lodowate płatki.

– Czy jest pan ranny? – zapytała.

Nie odpowiedział. Miał rozpiętą kurtkę, był przemoczony, wstrząsały nim dreszcze. Odsunęła z jego czoła ciemnobrązowe włosy i dostrzegła pierwszą przyczynę: paskudną ranę nad brwią, która krwawiła obficie. Krew ściekała po skroni i na opuchnięte oko. Na szczęście nie był to efekt uderzenia telefonem, lecz czymś większym i cięższym, prawdopodobnie konarem powalonego drzewa.

Powieki rannego uchyliły się zniechęta. Spojrzenie miał intensywne i nieporuszone.

– Wszystko będzie dobrze – oświadczyła Mallory, siląc się na

wiarygodny ton. – Wygląda na to, że spadła na pana duża gałąź. Trzeba będzie założyć szwy, na razie jednak...

Nie dokończyła, bo nagle znalazła się na ziemi, pod dziewięćdziesięcioma kilogramami mięśni, które wciskały ją bezlitośnie w śnieg. Nieznajomy uniósł jej ręce nad głowę i unieruchomił je. Nie zgniatał jej, nie robił jej krzywdy, jego uścisk był jednak szokująco skuteczny. W niecałą sekundę obezwładnił ją całkowicie. Mallory czuła się jak zapakowana w folię pomiędzy ziemią a jego ciałem.

– Kim jesteś, do diabła? – zapytał niskim, szorstkim głosem. Dostałaby od niego gęziej skórki, gdyby wcześniej nie wywołało jej zimno.

– Nazywam się Mallory Quinn – odparta, wyrywając się. Lepiej by jej poszło, gdyby próbowała przesunąć blok cementu.

Oddychał ciężko, miał rozszerzone źrenice, wyraźnie nie myślał przytomnie. Gdy tak się nad nią pochylał, śnieg wirujący wokół jego głowy utworzył coś na kształt aureoli.

– Doznałeś urazu głowy – wyjaśniła mu dziarskim, rzeczowym tonem, którego używała zarówno w izbie przyjęć, jak i w stosunku do szalonego rodzeństwa.

– Grozi ci hipotermia. – Na policzku mężczyzny właśnie wykwitła spora czerwona plama, zapewne pamiątka po uderzeniu telefonem. Mallory nie zamierzała go niepokoić wspomnianiem incydentu. – Pomogę ci, jeśli mi pozwolisz.

Wpatrywał się w nią bez mrugnięcia okiem, choć nad nimi szalała przybierająca na sile burza. Ewidentnie nie był do końca przytomny.

Emanował testosteronem i mroczną szorstkością, podkreśloną jeszcze brutalnym uściskiem. Mallory zaczęła rozważać różne możliwości, gdy kolejny podmuch wiatru zdarł kaptur z jego głowy. Nagle go rozpoznała.

Tajemniczy Przystojniak.

Pod takim przydomkiem był znany w całym Lucky Harbor. Zakradł się do miasta sześć miesięcy wcześniej, lecz ani razu nie uczynił wysiłku, by poznać lokalną społeczność.

Lucky Harbor nie było przyzwyczajone do takiego traktowania. Jego mieszkańcy uważali swoje prawo do plotkowania i wściubiania nosa w sprawy innych za dany od Boga przywilej. Nikt nie był wyjątkiem od tej reguły. A wszystko, co wiedzieli o tym człowieku, to to, że zamieszkał w dużym wynajętym domu na klifach.

Czasami widywano go w Chatce Miłości – miejscowym barze z grillem – a także w siłowni i na stacji benzynowej, gdzie tankował swój klasyczny sportowy wóz. Mallory spotkała go dotąd tylko raz, na parkingu przed sklepem spożywczym. Niósł zakupy. Wysoki i szeroki w ramionach, szedł do swego samochodu. Gdy sięgnął do kieszeni po kluczyki, mięśnie jego pleców naprężyły się pod koszulą. Wyjechał z parkingu z piskiem opon, a ona zdołała dostrzec zaledwie zarys ciemnych okularów, stanowczej linii szczęki i zaciśniętych ponuro ust.

Tamtego dnia przebiegi po jej kręgosłupie dreszcz podniecenia, a teraz – choć leżała pod nim przemoczona, zmarznięta i skrępowana – poczuła to samo. On był jeszcze bardziej wyziębiony niż ona, co uświadomiło jej, że Bóg wie jak długo leżał pod drzwiami. Podejrzała wstrząs mózgu, lecz uraz głowy mógł okazać się najmniejszym problemem. Jeśli lada chwila go nie ogrzeje i nie wezwie pomocy.

– Wejźmy do środka – powiedziała, poniechawszy walki w nadziei, że dzięki temu mężczyzna się uspokoi.

Żadnej odpowiedzi. Nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

– Musisz mnie puścić. Pomogę ci, jeśli mnie puścisz.

Po tych słowach jakby nieco oprzytomniał. Cofnął się powoli, zsunął z niej i przysiadł na kolanach, nie wypuścił jednak, cały czas więżąc w dłoni nadgarstki Mallory. Na jego oczy padał cień; było tak ciemno, że nie mogła dostrzec ich koloru. W ogóle niewiele widziała, nie potrzebowała jednak światła, by wyczuć napięcie.

Zmarszczył brwi.

– Jesteś ranna?

– To ty jesteś ranny.

– Nie jestem.

Typowo męskie podejście. Krwawił i praktycznie był nieprzytomny, lecz nie był ranny. Dobrze wiedzieć.

– Krwawisz. Musimy cię rozgrzać, więc...

Przerwał jej i pokręcił lekko głową. Nagle jęknął; jego oczy uciekły do tyłu. Przewracał się niemal w zwolnionym tempie. Mallory w ostatniej chwili złapała za poły jego kurtki i pociągnęła go na siebie, by ponownie nie uderzył się w głowę. Okazał się tak ciężki, że upadli oboje.

– O mój Boże! – Z kafejki dobiegł drżący głos Grace.

– Ile tu krwi...

Mallory z trudem wyswobodziła się spod mężczyzny, uniosła głowę. Zza powalonych drzew i drzwi z wybitą szybą wyglądały jej przyjaciółki.

– Cholera jasna! – mruknęła Amy. – Nic mu nie jest?

– Nic mu nie będzie. – Mallory odnalazła w śniegu telefon Grace i rzuciła go właścicielce. – Potrzebuję pomocy. Powiedziałam mu, że znajdzie się w środku, ale chyba mój samochód będzie lepszy. Tak sędzę. Mam telefon i zasięg. Zadzwonimy po pomoc. Będę też mogła włączyć silnik, by go ogrzać.

Amy pochyliła się nad nieznanym i spojrzała mu w twarz.



– Chwileczkę. – Zerknęła na Mallory. – Wiesz, kto to jest, prawda?

To Tajemniczy Przystojniak. Przychodzi do kafejki.

– Nigdy mi nie mówiłaś.

Amy wzruszyła ramionami.

– Nigdy się nie odzywa. Ale zostawia niezłe napiwki.

– Kim jest Tajemniczy Przystojniak? – zapytała Grace.

– Gdy już złapiesz zasięg w telefonie, odwiedź facebookowy profil Lucky Harbor – poradziła jej Amy.

– Na tablicy umieszczono listę miejsc, w których widziano Tajemniczego Przystojniaka, a także grafik wieczorów bingo i liczbę kobiet, którym udało się doprowadzić do tego, że zostały zatrzymane przez Szeryfa Seksownego w ostatni weekend. Sawyer się zaręczył, więc to już żadna zabawa, ale na szczęście teraz mamy Tajemniczego Przystojniaka, który jakoś wypełnia tę pustkę.

Grace umilkła, starając się przyjąć do wiadomości fakt, że przypadkiem wylądowała w wariatkowie.

Albo w Strefie Mroku.

Mallory złapała Tajemniczego Przystojniaka pod ramiona od tyłu, uniosła mu głowę i tułów i oparła je sobie na kolanach. Nawet nie drgnął. Niedobrze.

– Grace, złap go za nogi. Amy, ty weź środek. No, dalej.

– To przeznaczenie, wiesz, prawda? – oświadczyła Amy, prychnąwszy i wzdychając, gdy z trudem dźwignęły mężczyznę. W zasadzie ciągnęły go po śniegu.

– Obiecałaś, że poderwiesz pierwszego Pana Nieodpowiedniego, który wylądował u twoich stóp. I oto on. Dosłownie.

– Tak, cóż..., Miałam na myśli kogoś przytomnego.

– Dopisuję go do listy.

– Ostrożnie! – zbeształa Mallory Grace, która wypuściła z rąk stopy mężczyzny. Za późno. Pod ciężarem męskiego ciała wszystkie trzy zanurkowały w śnieg. Tajemniczy Przystojniak był górą.

– Przepraszam – wysapała Grace. – On chyba waży z tonę.

– Ale to same mięśnie – zauważyła Amy. Należało jej wierzyć. Trzymała dłonie na jego pośladkach.

W końcu, brnąc przez śnieżne zasy i opierając się dzikim podmuchom wiatru, zdołały dojść do samochodu Mallory. Niezamkniętego, z kluczykami w stacyjce, za co Grace udzieliła jej surowej reprimendy.

– To przecież Lucky Harbor – powiedziała na swoją obronę.

– To żadna wymówka, nawet gdyby była to Nibylandia. Musisz zamykać auto!

Ułożyły Tajemniczego Przystojniaka na tylnym siedzeniu, które okazało się za małe, by mógł się na nim wyciągnąć. Ugięły mu nogi w kolanach, by jakoś zmieścić tułów. Mallory wsiadła jako kolejna i ułożyła sobie jego głowę na kolanach.

– Odpal silnik – poleciła Amy. – I włącz ogrzewanie. Mój telefon leży na fotelu pasażera. Zadzwoń pod 911 – zwróciła się do Grace. – Powiedz im, że znalazłyśmy mężczyznę w wieku około trzydziestu lat, nieprzytomnego, z urazem głowy i prawdopodobnie w stanie hipotermii. Podaj im adres, żeby mogli przysłać karetkę.

Obie szybko wykonały polecenia. Amy mruknęła pod nosem: „Mała despotka”, lecz odpaliła silnik i włączyła ogrzewanie, a później obejrzała się za siebie. Śnieg na jej ciemnych włosach sprawiał, że wyglądała jak wróżka.

– Wciąż oddycha?

– Tak.

– Jesteś pewna? Może powinnaś mu zrobić usta – usta?

– Amy!

– Jejku, to tylko sugestia.

Grace zakończyła rozmowę z dyspozytorem pogotowia.

– Będą za piętnaście minut. Mamy spróbować go ogrzać i osuszyć. A to oznacza, że jedna z nas musi rozebrać jego i siebie, i się do niego przytulić, prawda? Tak to się robi w filmach.

– O mój Boże... Obie jesteście okropne!

Amy zwróciła się do Grace.

– Będziemy musiały ją nauczyć, jak być Niegrzeczną Dziewczynką. Wiesz o tym, prawda?

Mallory zignorowała przyjaciółki i spojrzała na swego pacjenta. Brwi wciąż miał zmarszczone, a usta zaciśnięte. Nie śnił o niczym przyjemnym. Nagle mięśnie jego ramion i szyi napięły się; cały zeszywniał. Unieruchomiła w dłoniach jego twarz.

– Wszystko będzie dobrze.

Pokręcił głową. Z ust wydobył się niski, gardłowy jęk bólu.

– Odeszli... Odeszli.

Przyjaciółki spojrzały po sobie. Mallory pochyliła się nad mężczyzną.

– Hej – powiedziała cicho, nie chcąc go zbyt gwałtownie przywracać do przytomności. – Jesteśmy z tobą. Jesteś w Lucky Harbor, a...

Odepchnął jej dłonie i usiadł prosto tak gwałtownie, że niemal uderzył ją głową w podbródek. Mało brakowało, wybiłby dziurę w dachu.

– Wezwaaliśmy pogotowie.

Odkręcił głowę. Spojrzenie miał mroczne i pełne cieni.

– Dobrze się czujesz?

– W porządku.

– Naprawdę? Gdy poprzednio mnie o tym zapewniałeś, zemdląłeś niemal natychmiast.

Otarł skroń i utkwiał wzrok w plamie krwi na przedramieniu.

– Niech to szlag!

– Tak. Sam widzisz, że nie jest w porządku. Więc...

Mężczyzna wydał z siebie dźwięk, doskonale świadczący, co myśli o tej opinii, prychnięcie jednak szybko przeszło w jęk bólu. Chwycił się za głowę.

Zmusiła go, by się położył.

– Nie ruszaj się.

– Despotyczna – mruknął. – Ale seksowna.

Seksowna? Czy on naprawdę wypowiedział właśnie to słowo? Mallory spojrzała po sobie. Pomięty fartuch, podróbki uggsów, włosy na pewno wyglądające jak biblijna katastrofa. Nie mogło być gorzej. A to oznaczało, że facet kłamie.

– Pan Nieodpowiedni... – szepnęła Amy.

Aha, raczej Pan Bardzo Nieodpowiedni. Nie mogąc się powstrzymać, Mallory raz jeszcze spojrzała na przystojną, zakrwawioną twarz i musiała przyznać przyjaciółce rację. Nie mogłaby sobie znaleźć Pana Bardziej Nieodpowiedniego, nawet gdyby się postarała.

Gdy do jego wstrząśniętego, lecz niezmięsanego mózgu wdarł się kobiecy głos, Ty częściowo odzyskał przytomność.

– Będę nadal prowadzić dla ciebie tę listę Panów Nieodpowiednich. Ten może się nie wykurować do sobotniej aukcji.

– Przestań – powiedział inny.

– Tylko żartowałam.

– I tak uważam, że powinniśmy go rozebrać.

Kobiety były trzy.

Chwileczkę. Trzy? Czyżby umarł i trafił prosto na niebiańską orgię? Rozbudzony, przez chwilę analizował sytuację. Nie umarł. I nie miał pojęcia, kim jest cholerny Pan Nieodpowiedni. Zamierzał się wykurować samodzielnie. Teraz jednak tkwił wepchnięty na tylnym siedzeniu samochodu – małego samochodu – a jego chora noga rwała jak cholera. A jego głowa leżała na... Ty poruszył się, próbując się zdecydować gdzie, ale jego gałki oczne przeszył ból. Oblizął suche wargi, starając się skoncentrować.

– Nic mi nie jest.

– Świetnie – oświadczyła jedna z kobiet z radością. – Nic mu nie jest, wszystko w porządku. Tyle że krwawi jak zarzynana Świnia. Faceci są dziwni.

– Nie ruszaj się – poprosił ktoś tuż obok jego ucha. Ta sama kobieta, która wcześniej powiedziała, że znokautowała go gałąź. Chyba raczej wielka ciężarówka... Kobięcy głos dobiegał z góry, więc Ty domyślił się, że za poduszkę służą mu bardzo ładne nogi jego właścicielki. Ryzykując zwrócenie kolacji, przechylił głowę, by się przyjrzeć nieznanemu. Rzecz okazała się dosyć trudna, bo po pierwsze, było całkiem ciemno, a po drugie, Ty widział podwójnie.

Włosy miała upięte w koński ogon na czubku głowy. Część kosmyków uwolniła się z gumki, co nadawało kobiecie – obu kobietom! – wygląd jak tuż po przebudzeniu. Nieznajoma, rozczochrana i pomięta, miała na sobie standardowy szpitalny fartuch, pod którym ukrywały się bardzo przyjemne, miękkie kształty. Była śliczna w powściągliwy sposób. Rysy miała delikatne, choć stanowcze.

Może lekarka? Tyle że brakuje jej buty, która charakteryzuje wielu

ludzi tego zawodu. W takim razie pielęgniarka.

– Może się wydawać, że tracisz dużo krwi – poinformowała go. – Lecz urazy głowy zawsze obficie krwawią, przez co często wydają się znacznie poważniejsze, niż są w istocie.

Tak. Pielęgniarka. Mógłby jej powiedzieć, że widział w życiu więcej urazów głowy, niż ona potrafiłaby sobie wyobrazić. Raz widział nawet samą głowę, oderwaną od ciała. Tyle że ona chyba nie chciałaby tego słuchać...

Rozkosznie ciepła dłoń musnęła jego policzek. Ty odwrócił się do niej, próbując myśleć. Gdy tego wieczoru obudził się z koszmarne snu, poszedł do garażu, by popracować nad shelbym, a następnie wziąć go na przejażdżkę. Potrzebował szybkości i pustej drogi. Oczywiście, wyjechał z domu przed atakiem śnieżycy, nie był aż tak nierozsądny. Pamiętał jazdę po autostradzie: po prawej miał klify, a daleko z tyłu, po lewej Pacyfik. Ocean szalał, kotłował się, gdy burza muskała wodę długimi, srebrzystymi palcami. Ty pamiętał, że wjechał do miasta, że zachciało mu się ciasta, więc kiedy zobaczył zapalone światła w kafejce, skręcił na parking.

Wtedy zaczęło sypać jak cholera.

Dotarł już prawie do drzwi... W tym momencie wspomnienie się urywało. Do diabła! Nienawidził tego. Spróbował wstać, sześć dłoni popchnęło go jednak z powrotem na fotel. Chryste! To go oduczy marzenia o snach z trojaczkami...

Rozbłysnął ekran czyjś telefonu, dając odrobinę światła. Ty nakazał sobie skupienie i spróbował przewyciężyć bolesne łupanie w czaszce. Nie było to łatwe, odkrył jednak, że jeśli zmruży powieki, jest w stanie dojrzeć cokolwiek przez zamglone oczy. Tak jakby.

W fotelu kierowcy siedziała kelnerka z kafejki, która teraz wyglądała bardziej jak zmokła kura. Naprzeciwko niej z kolei wiotka blondynka, której

Ty nie widział nigdy wcześniej.

I jeszcze ta kobieta, której biust służył mu teraz za poduszkę.

– Dzięki – powiedział do niej – za ratunek.

– Czyli... Chyba jesteś jej coś winien, prawda? – zapytała kelnerka.

– Amy! – mruknęła jego pielęgniarka ostrzegawczo. Uśmiechnęła się słabo do Tya. – Ależ miałaś noc!

Ona chyba też. Nie powiedziała tego. Nie musiała. Wszystko było widać w jej sarnich brązowych oczach.

– Karetka wkrótce tu będzie – dodała.

– Nie potrzebuję karetki.

Nawet nie kłopotowała się wytykaniem mu faktu, że Ty leży płasko na plecach i jest całkowicie bezradny. W jej oczach błysnęła stal, a on od razu pojął, że choć bywają łagodne, ich właścicielka nie jest popychadłem.

– Zszyjemy cię. I podamy jakieś leki na ból.

– Nie. – Nie ma mowy, do cholery!

– Posłuchaj, przecież widać, że cierpisz, więc...

– Żadnych narkotyków – warknął, a potem chwycił się za głowę i ukrył ją w ramionach, zaciskając zęby, by pokonać kolejną falę cierpienia. Pod jego powiekami zatańczyły gwiazdy, które po chwili skurczyły się do rozmiarów główek od szpilek, zanim znów ogarnęła go ciemność.

– Minęli nas – oświadczyła Grace z niepokojem, wykręcając głowę za migającym czerwono – niebieskimi światłami ambulansem, który powoli przejechał przez parking, po czym się wycofał.

– Powiedziałaś im, że siedzimy w samochodzie i że tu powinni nas szukać? – zapytała Mallory.

– Nie. Niech to szlag. – Grace znów wzięła do ręki komórkę. – Przepraszam. Już do nich dzwonię.

Mallory spojrzała na swojego pacjenta. Ciemne, jedwabiste włosy. Kwadratowa szczęka ocieniona zarostem. Stara blizna na skroni i kolejna, formująca się właśnie na łuku brwiowym. Oczy wciąż miał zamknięte, twarz bladą i spoconą, jednak ponownie odzyskał przytomność.

– Spokojnie – powiedziała z nadzieją, że nieznajomy się nie rozchoruje, dopóki nie zostanie stąd zabrany.

– Co się stało? – zapytał, zaciskając zęby, mrużąc powieki i opierając się na niej całym ciężarem potężnego ciała.

Przy urazach głowy pacjentom zdarzają się zaniki pamięci, przypomniała sobie Mallory.

– Uderzyła cię gałąź.

– A siostra Nightingale pośpieszyła ci na ratunek – dodała Amy. – A ty powiedziałaś, że jesteś jej dłużnikiem.

– Amy!

– Potrzebuje partnera na randkę. Na ten weekend – kontynuowała Amy.

– Ignoruj ją. – Ponad głową Tya Mallory wykonała w kierunku przyjaciółki gest podrzynania gardła.

Amy nie zwróciła na nią uwagi.

– Jeśli pójdziesz z nią na aukcję charytatywną w sobotni wieczór, oszczędzisz jej straszliwego upokorzenia. Sama sobie nikogo nie znajdzie.

Mallory westchnęła.

– Dzięki, Amy. Doceniam to. Mogę jednak przecież... Ty przerwał jej, wymrukując coś, co brzmiało jak zgoda.

Amy uśmiechnęła się. Obie z Grace przybiły piątkę.

– Stawiam pięć dolców, że Pan Nieodpowiedni wstrząśnie jej światem.



Grace zerknęła z powątpiewaniem na bezradnego mężczyznę na kolanach Mallory.

– Przyjmuję zakład.

Mallory postanowiła nie zwracać uwagi na Amy i spojrzała na pacjenta. Nawet leżąc płasko na plecach, był niesamowicie wręcz cudowny. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wygląda na stojąco, w wieczorowym ubraniu.

– Spotkacie się na miejscu, rzecz jasna. – Nie poddawała się Amy. – Niby to tylko Lucky Harbor, ale nie damy ci jej adresu. Przecież możesz być seryjnym mordercą. Albo, co gorsza, Panem Całkowicie Odpowiednim.

Tajemniczy Przystojniak znów wymruczał coś w rodzaju akceptacji. Chyba że był to jęk niedowierzania, że zgodził się dobrowolnie na to szaleństwo...

W pełni się zgadzam, Panie Nieodpowiedni. W pełni się z panem zgadzam, pomyślała Mallory.

## ROZDZIAŁ 3

*Gdy kobieta kończy trzydzieści pięć lat, niewiele zostaje jej kubków smakowych: jeden od alkoholu, jeden od sera i jeden od czekolady.*

Przez cały tydzień Mallory żyła w niepewności. Gdy nadszedł dzień aukcji, była przekonana, że Tajemniczy Przystojniak się nie pojawi, musiała jednak przyznać, że po części pragnie się mylić.

Nie żeby sama świadomie wybrała na partnera kogoś takiego – z jego ostrożnym spojrzeniem i szorstkim sposobem bycia. Nie знаła nawet jego imienia. A poza tym przecież próbowała znokautować go telefonem.

Pan Nieodpowiedni alias Tajemniczy Przystojniak...

Szczerze mówiąc, cała ta burzliwa noc w kafejce była dla niej jak niewyraźna plama. Karetka w końcu ich odnalazła i zabrała jej pacjenta. Śnieżyca ustała, a Mallory zdołała powrócić do domu po złożeniu uroczystego przyrzeczenia. Z Amy i Grace obiecały sobie, że będą spotykać się co tydzień, przynajmniej dopóki Grace pozostanie w mieście.

Nazwały się „czokoholiczkami”, a symbolem ministowarzystwa został tort czekoladowy.

Przez resztę tygodnia Mallory dzieliła swój czas pomiędzy długie dyżury w izbie przyjęć a organizację aukcji. Połowa dochodów ze zbiórki miała zostać przeznaczona na jej osobisty projekt, Centrum Usług Medycznych, które planowała otworzyć we współpracy z fundacją działającą na rzecz miejskiego szpitala. W założeniu CUM miałyby służyć pomocą wszystkim mieszkańcom hrabstwa w zakresie państwowych programów rehabilitacyjnych, doradztwa dla nieletnich, doradztwa kryzysowego, a także jako beneficjent innych programów, do których

Mallory próbowała dołączyć od lat. By otworzyć centrum, potrzebowała jeszcze zgody zarządu szpitala, ale miała nadzieję, że zapewnią ją jej pieniądze z aukcji. To był priorytet.

Tyle że tym razem zaszczyt zajęcia pozycji numer jeden przypadł Tajemniczemu Przystojniakowi. Tego dnia Mallory po raz pierwszy weszła do dyżurki pielęgniarek, by pomyszkować. Przez HIPPA, bardzo surową ustawę o ochronie danych osobowych, nie miała dostępu do danych pacjentów niebędących pod jej bezpośrednią opieką. A to oznaczało, że jeśli chce poznać jego nazwisko, musi zapytać koleżankę, która przyjmowała go tamtej nocy. Niestety, tą koleżanką była jej matka, więc Mallory szybko zrezygnowała z pomysłu.

Na szczęście miała jeszcze sześcioro innych pacjentów, dzięki którym nigdy nie groziła jej nuda. Problem polegał na tym, że współdyżurująca pielęgniarka, Alyssa, była tak zajęta flirtowaniem z nowym rezydentem, że nie robiła niczego. Między innymi przez to Mallory miała bardzo ciężki poranek, a sytuacji wcale nie ułatwiał fakt, że jedną z jej pacjentek była pani Louisa Burland. Pani Burland chorowała na arytmie, której towarzyszyły omdlenia wazowagalne, objawiające się u osób starszych zawrotami głowy, mdłościami i utratą przytomności, oraz na dolegliwość powszechnie nazywaną złośliwością.

– Przyniosłam sok, o który pani prosiła – oświadczyła Mallory, wchodząc do pokoju pani B.

– Prosiłam o niego trzy godziny temu. Co jest z tobą nie tak, dziewczyno? Ruszasz się jak mucha w smole!

Mallory zignorowała narzekania, ponieważ od zamówienia minęło pięć minut, a nie trzy godziny. A poza tym pani B. była tak zgorzkniała, że nawet wolontariusze odwiedzający szpital omijali jej pokój szerokim łukiem. Przed

przejsciem na emeryturę pracowała jako nauczycielka w pierwszej klasie i podczas długoletniej kariery zdołała sterroryzować większość mieszkańców miasteczka, grożąc im kościstym palcem. Była tak trudna w pożyciu, że nawet jej własna, mieszkająca w Seattle córka nie składała jej wizyt i nie dzwoniła.

– Pamiętam cię doskonale – kontynuowała pani Burland. – Posiusiałaś się przed całą klasą.

Mallory ze zdumieniem odkryła, że na to wspomnienie nadal oblewa się krwistym rumieńcem.

– Bo nie pozwoliła mi pani pójść do toalety.

– Do przerwy brakowało pięciu minut.

– Cóż, jak widać, nie mogłam tyle czekać.

– I dlatego teraz każesz czekać mnie. Jesteś okropną pielęgniarką, skoro pozwalasz, by nasze dawne relacje przeszkadzały ci w moim leczeniu.

Mallory zignorowała również te słowa. Postawiła sok ze słomką na tacy przy łóżku pani Burland.

– Chciałam jabłkowy.

– Prosiła pani o żurawinowy.

Pani Burland machnęła ręką i zrzuciła sok, oblewając nim pościel, podłogę, stojak na kroplówki i samą Mallory, która westchnęła, czując na nosie lepki płyn. Wspaniale. Posprzątanie tego bałaganu zajmie jej dwadzieścia minut. Kolejnych dziesięć upłynie, zanim zapędzi panią Burland do prześcielonego łóżka. Po chwili dyszała ciężko z wysiłku.

Pani B. prychnęła.

– Brakuje ci formy, czy może przytyłaś?

Mallory zacisnęła zęby, starając się nie czuć wyrzutów sumienia na myśl o cynamonowym rogaliku, którego pochłonęła podczas krótkiej

przerwy dwie godziny temu. Przypomniała sobie, że przecież pomaga ratować życie i nie może go odbierać, po czym wyszła z pokoju, celowo nie przeglądając się w wiszącym nad umywalką lustrze.

Ratownicy właśnie przywieźli nowego pacjenta, dwulatka z raną szarpaną wymagającą szycia. Mallory zdezynfekowała okolice obrażenia i przygotowała instrumenty dla lekarza: zastrzyk z lidokainą, zestaw do szycia, standardowe opatrunki i nici. I asystowała przy zabiegu.

Dzień jak co dzień.

Podczas pierwszej przerwy poszła do pokoju pielęgniarstwa i wyjęła z lodówki pudełko z lunchem. Tammy już tam była, więc Mallory przysiadła się do starszej siostry. Jeszcze nie tak dawno temu Tammy zachowywała się jak prawdziwa dzikuska. Tak jak młodszy brat Mallory, Joe. I bliźniacza siostra Tammy, Karen. Nad tą trójką nie można było zapanować.

Tylko Mallory była inna. Zawsze była tą grzeczną, starała się nie sprawiać kłopotów rodzicom wychowującym oprócz niej troje samowolnych, wymykających się spod kontroli dzieci.

A potem umarła Karen.

Po tym wydarzeniu Tammy i Joe żyli dalej jak dotychczas, dla Mallory jednak świat się zatrzymał. Obwiniła za śmierć siostry siebie i poddała się obojętności. Zawsze kroczyła prostymi ścieżkami, po śmierci Karen jednak popadła w skrajność. Bała się popełnić jakikolwiek błąd, bała się zrobić coś, co jeszcze pogorszyłoby sprawy między rodzicami. W tamtym okropnym okresie raz zapomniała zapłacić w sklepie za balsam do ust, ale wróciła i przyznała się do winy, deklarując, że jest złodziejką. Właściciel sklepu nie wniósł oficjalnych zarzutów i zamiast tego zadzwonił po matkę Mallory, by ją zabrała.

Mallory czuła, że musi zostać w jakiś sposób ukarana za to, że nie

zwracała dostatecznej uwagi na Karen, że była złą siostrą. Całą swoją energię poświęciła ratowaniu rodziny, nie odniosła jednak wielkiego sukcesu. Rodzice się rozwiedli, ojciec wyjechał do Australii, by tam surfować. Nigdy nie wrócił, a Tammy i Joe... Cóż, zaczęli rozrabiać jeszcze bardziej.

W ostatnim czasie Joe radził sobie jednak coraz lepiej. Mniej czasu spędzał na posterunku, a więcej w pracy. Tammy także się poprawiła. Fakt, rok wcześniej pojechała do Vegas na weekend, skąd powróciła z mężem. Ku zdumieniu wszystkich to jednak nie nieplanowana ciąża była powodem pośpiesznego ślubu. Ani nawet alkohol.

Cóż, może alkohol odegrał jakąś rolę, nie zmieniało to jednak faktu, że Tammy i jej mąż, strażnik hotelowy, nadal pozostawali małżeństwem. Tammy zgłosiła się do pracy w szpitalu i otrzymała posadę sprzątaczką, którą – niewiarygodnie! – utrzymała, podobnie jak swoje małżeństwo. A ponieważ ich matka była tu przełożoną pielęgniarek, w szpitalu pracowały teraz wszystkie trzy panie Quinn. Tammy i Ella były jak przeciwległe bieguny, a Mallory robiła, co w jej mocy, by je przy sobie utrzymać.

Gdy rozszalała się burza, Tammy miała akurat nocną zmianę, a że lubiła wiedzieć wszystko, знаła prawdopodobnie nazwisko Tajemniczego Przystojniaka.

Mallory wiedziała, że lepiej będzie zapytać ją niż mamę – albo podejrzeć nazwisko w komputerze i stracić przez to pracę, nie wspominając już o naruszeniu prywatności faceta – ale było to tylko mniejsze zło. Może nazwisko padnie przypadkiem w rozmowie? Sztuczka polegała na tym, by Tammy nie domyśliła się, co Mallory chce wiedzieć, bo w przeciwnym razie gra szybko się zakończy.

W pomieszczeniu było tłoczno, jak zwykle o tej porze dnia. Kręciły się

tu głównie pielęgniarki i sanitariusze. Tego dnia do ich grona dołączyła Lucille, która w fartuchu wolontariuszki siedziała teraz na kanapie i piła kawę.

Nikt nie wiedział, ile lat ma Lucille, galerię sztuki w miasteczku prowadziła jednak od zarania dziejów. Była też oficjalną platformą plotkarską Lucky Harbor. Żyła pełnią życia. Pracowała społecznie, знаła wszystkich i ogromnie pomogła Mallory wzbudzić w środowisku zainteresowanie Centrum Usług Medycznych. Przepełniona wdzięcznością Mallory pomachała do niej, a potem usiadła obok Tammy, przy masywnym okrągłym stole pośrodku sali.

Tammy uśmiechnęła się i odłożyła telefon.

– Słyszałam o dzisiejszym wieczorze.

Mallory zamarła z kanapką w dłoni. To mogło się okazać łatwiejsze, niż myślała.

– Co z dzisiejszym wieczorem?

– Plotka głosi, że w wyniku randki w ciemno zdobyłaś partnera na aukcję.

– Nie, ja... – Mallory urwała. – Chwileczkę. Gdzie to słyszałaś?

– Jestem jasnowidzem – oświadczyła Tammy, kradnąc siostrze chipsa z pudełka.

Do diaska, ja potrzebuję tych chipsów!, zirytowała się Mallory. Nagle przypomniała sobie uwagi pani Burland o przybieraniu na wadze i westchnęła ciężko.

– To, że zapłaciłaś za internetowy kurs opanowania wiccańskich mocy, nie oznacza, że takowe posiadasz. Skąd wiesz o randce?

– Amy mi powiedziała, gdy wpadłam wczoraj na lunch do kafejki.

Okej, Amy zostanie zabita na następnym spotkaniu czokoholiczek. A

tymczasem trzeba wykorzystać ten dogodny początek rozmowy.

– Po pierwsze, randka to tylko głupia plotka. – Choć w głębi duszy Mallory miała nadzieję na zupełnie coś innego. – A po drugie... Czy Amy powiedziała ci, z kim według tej głupiej plotki się umówiłam?

– Tak. – Tammy metodycznie pochłaniała chipsy, pojękując przy tym z rozkoszy. Mallory naprawdę miała nadzieję, że siostra po nich przytyje. – Nie mogę uwierzyć, że upolowałaś Tajemniczego Przystojniaka

– dodała, zlizując sól z palców.

– Ciii! – Mallory rozejrzała się nerwowo, świadoma, że Lucille siedzi zaledwie kilka metrów dalej i nadstawia ucha, spragniona nowych plotek. – Nie mów tak głośno.

– To naprawdę cholernie imponujące – kontynuowała Tammy, nie przejmując się konspiracją. – Nie wiedziałam, że cię na to stać. Przecież ostatnio umawiałaś się z tym nadętym księgowym z Seattle, pamiętasz? Jediną tajemnicą związaną z tym facetem było to, co w nim widziałaś.

– Byłaś tu w zeszły weekend, gdy go przywieźli?

– Księgowego?

– Faceta od randki.

Tammy się uśmiechnęła; wiedziała, że działa siostrze na nerwy. To była jej specjalność.

– Zdecyduj się. To tylko głupia plotka czy prawdziwa randka?

– Nieważne! – Mallory zamilkła. – Ale... Może coś o nim słyszałaś?

– Na przykład?

Lucille, pochłonięta podsłuchiwaniami, siedziała już na samym brzegu kanapy. Mallory przesunęła nieco krzesło, by znaleźć się dokładnie naprzeciwko siostry.

– Na przykład jak się nazywa – wyszeptała.



To przykuło uwagę Tammy.

– Chwileczkę. To nie wiesz, jak on się nazywa?

O, kurczę...

– Fiu, fiu, jesteś bardzo niegrzeczna, Mal. Nie zrobiłaś nic niegrzecznego od dnia, w którym dokonałaś sklepowej kradzieży. A teraz umawiasz się albo się nie umawiasz z facetem, którego nazwiska nie znasz. Intrygująca próba zwrócenia na siebie uwagi. – Tammy odwróciła głowę. – Słyszałaś wszystko, Lucille?

– Och, pewnie, że tak. – Lucille wyjęła z torebki smartfon i zaczęła kciukami uderzać w ekran. Pewnie postanowiła zamieścić jakąś notkę na Facebooku. – To jest naprawdę niezłe. Mówcie dalej.

Mallory oparła czoło na blacie stolika i zaczęła weń uderzać głową. Niestety, nie straciła przytomności; wciąż jeszcze miała dyżur do dokończenia.

Po pracy pojechała do domu, by podlać kwiaty u sąsiadki. Pani Tyler poruszała się na wózku i nie mogła sama się tym zająć. Potem podlała jeszcze ukochane kwiaty babci. Nakarmiła starego jak świat czarnego kota, którego odziedziczyła razem z domem, a który reagował, tylko gdy wołało się na niego „Groszku” albo podawało mu jedzenie. Już miała wejść pod prysznic, by przygotować się do wieczornej kolacji i aukcji, postanowiła jednak zajrzeć jeszcze do komputera i sprawdzić pocztę.

I natychmiast tego pożałowała.

Jej nazwisko znalazło się na Facebooku.

*Ludzie, pamiętajcie, by kupić bilety na dzisiejszą uroczystą galę i aukcję! Dochody z wydarzenia wspieranego przez szpital, zorganizowanego przez pielęgniarki i dowodzonego przez Mallory Quinn, pójdą na szczytny cel założenia Centrum Usług Medycznych, które Mallory z uporem wpycha*

*nam do gardeł (tylko żartowałam, Mallory! ).*

*A co się tyczy panny Quinn, plotka głosi, że „być może” będzie jednak randkowała dziś wieczorem – z Tajemniczym Przystojniakiem!*

*Dawaj, Mallory!*

*PS. Apeluję do wszystkich posiadaczy telefonów komórkowych: zdjęcia z gali bardzo mile widziane!*

TTLRR

## ROZDZIAŁ 4

*Czekolada nigdy cię nie zawiedzie.*

Tryb życia Tya nie zmienił się bardzo podczas jego sześciomiesięcznego pobytu w Lucky Harbor. Wstawał rano i pływał w oceanie albo szedł na siłownię, zazwyczaj z Mattem Bowersem, miejscowym szefem strażników leśnych i właścicielem GMC jimmy'ego z siedemdziesiątego drugiego, którego Ty naprawiał.

Matt służył dawniej w chicagowskim oddziale SWAT, a jeszcze wcześniej w marynarce. To z nim Ty przechodził podstawowe szkolenie.

Gdy Ty ponownie uszkodził sobie nogę, to Matt zachęcił go do przeniesienia się na zachód na czas rehabilitacji. Często chodzili razem poćwiczyć, najbardziej jednak lubili pojedynkować się na matach.

Mieli swój rytuał. Kładli się na podłodze, ciężko dysząc.

– Jeszcze raz? – pytał Matt.

– Jasne – odpowiadał Ty.

Żaden z nich się nie ruszał.

– Jak sobie radzisz? – pytał Matt.

– Nie chcę o tym rozmawiać – odpowiadał Ty.

Matt odpuszczał.

Ty szedł nad ocean i pływał tak długo, aż padał ze zmęczenia. Potem zmuszał się, by pokonać pieszko kamienistą plażę, tylko po to, by udowodnić sobie, że da radę. Zaczynał powoli – do diaska, praktycznie się czołgał! – teraz jednak mógł ją już przejść. Prawdziwe zwycięstwo. Tak twierdził jego lekarz. I chyba była to prawda, biorąc pod uwagę fakt, że cztery lata temu niemal stracił lewą nogę w wyniku komplikacji po operacji obrażeń odniesionych w katastrofie lotniczej.

Brad, Tommy, Kelly i Trevor stracili znacznie więcej.

Na samą myśl o tamtych chwilach i o utracie oddziału Ty poczuł w żołądku znajomy ucisk. Nie zdołał uratować nikogo. Został wyszkolony na ratownika medycznego, lecz obrażenia kolegów, i jego własne, okazały się zbyt poważne. Po wszystkim został honorowo zwolniony ze służby i już nigdy nie powrócił do medycyny.

Nawet nie nakleił nikomu plastra.

Przejęcie do sektora prywatnego okazało się doskonałą decyzją. Praca tam w zasadzie niczym się nie różniła od służby wojskowej, tyle że pieniądze były lepsze i Ty mógł przebierać w zleceniach. Sześć miesięcy na zwolnieniu to jednak zbyt dużo czasu na myślenie. Nie był przyzwyczajony do odpoczynku. Nie był przyzwyczajony do przebywania w jednym miejscu przez tak długi okres. Przez całe życie przenosił się z bazy do bazy, z jednej misji na drugą. I był już gotów na powrót do tego świata.

Musiał do niego wrócić, bo był to jedyny sposób, by się upewnić, że śmierć chłopców z jego oddziału miała jakikolwiek sens.

Niestety, doktor Josh Scott, jego lekarz prowadzący, biorąc do ręki zdjęcia rentgenowskie Tya, za każdym razem kręcił głową.

I dlatego właśnie Ty zaszył się w wielkim, pustym domu, który wynajął dla niego Matt, i wracał do zdrowia tak daleko od swego świata, jak tylko zdołał uciec. Z dala od miejsca, w którym dorastał, od ludzi, których znał. I dobrze, bo przecież wszyscy już nie żyli. Ojciec zginął podczas Pustynnej Burzy, matka zmarła dwa lata temu. Najbliżsi przyjaciele spoczywali pod marmurowymi nagrobkami na cmentarzu Arlington, a nikogo innego nie miał: ani żony, ani kochanki, ani dzieci.

Lista kontaktów w jego telefonie była wyjątkowo krótka.

Zamiast się nad tym zastanawiać, poświęcał czas na naprawianie

samochodów – jimmy’ego z siedemdziesiątego drugiego należącego do Matta i własnego shelby’ego – bo auta nie odchodziły od ludzi, którym na nich zależało...

W dniu wielkiej szpitalnej aukcji wymienił skrzynię biegów w samochodzie przyjaciela, wytarł się ze smaru i wziął prysznic. Jak zwykle. Tego wieczoru jednak zamienił ulubione dżinsy na garnitur i z trudem rozpoznał mężczyznę po drugiej stronie lustra. Wciąż miał nad okiem szwy i siniak na policzku po wypadku podczas burzy. Jego włosy domagały się wizyty u fryzjera, zapomniał się też ogolić. W ostatnich miesiącach stracił na wadze, przez co rysy twarzy stały się jeszcze bardziej surowe. Oczy Tya wydawały się puste. Odzwierciedlały stan jego ducha. Ciało powoli powracało do formy sprzed wypadku, nad duszą trzeba jednak popracować. Ty wepchnął dłoń do kieszeni i wyjął stale w niej obecną buteleczkę vicodinu. Przez chwilę obracał ją w palcach.

Była pusta od dwóch miesięcy, a on oddałby lewe jądro za jej ponowne napełnienie. Miał prawo do leku; dwie recepty czekały na stoliku. Gdy jednak zaczął gorąco pragnąć odrętwienia – z przerażającą wręcz desperacją – zrezygnował z otumaniacza.

A to nie pomagało jego nodze. Potarł ją bezwiednie, odwrócił się od lustra. Nie mając pojęcia, czemu to robi, postanowił pójść na aukcję.

Pójdzie, bo ma tam być całe miasto, a on – mimo wszystko – jest ciekawy.

I chce ponownie zobaczyć swoją apodyktyczną, ciepłą, seksowną pielęgniarkę.

Wiedział, że to śmieszne. Tamtej burzowej nocy było tak ciemno, że nie był nawet pewny jej powierzchowności. Wiedział jednak, że rozpozna jej głos, miękki i ciepły. Z tamtego wieczoru zapamiętał jedynie, jak koił go

i uspokajał.

Kręcąc głową, podszedł do komody, włożył do kieszeni kluczyki i gotówkę, a zostawił pistolet, choć wiedział, że będzie tęsknił za dodającym otuchy ciężarem. Na wyświetlaczu komórki widniało pięćdziesiąt pięć nieodebranych połączeń. Nowy rekord. Poddał się, wybrał numer poczty głosowej i czekał na nieuniknione.

– Ty – powiedział podniecający kobiecy głos. – Zadzwoń.

Frances St. Claire była najseksowniejszym rudzielcem, jakiego w życiu widział, i jednocześnie najbardziej bezwzględny. Wiadomości sięgały miesiąca wstecz.

Usuń.

– Ty. – Głosiła kolejna. – Poważnie, zadzwoń do mnie.

Usuń.

– Ty, nie rób sobie jaj. Muszę się z tobą skontaktować.

Usuń.

– Ty, do jasnej cholery! Zadzwoń do mnie, łajdaku!

Usuń.

Wszystkie pozostałe wiadomości były wariacjami na ten sam temat, nasyconymi obelgami pod adresem dziedzictwa Tya i jego wątpliwej moralności. Usuń, usuń, usuń.

Nie było sensu oddzwaniać. Wiedział, o co jej chodzi. Chce, by wrócił do pracy.

W takim razie było ich dwoje.

Mallory spacerowała nerwowo po lobby w małej czarnej i w szpilkach na obcasie, pozdrawiając od czasu do czasu skinieniem głowy kolejnego spóźnialskiego. Z dużej sali napływały zapachy wyśmienitej kolacji, którą właśnie zaczynano podawać. Tam właśnie powinna być. I jeść. Uśmiechać

się. Gawędzić. Zagrzewać ludzi do aukcji, by zechcieli wydać swoje pieniądze.

Brakowało tylko jednego. Randki.

Pan Nieodpowiedni się nie pojawił; żadna niespodzianka. Nie oczekiwała przecież, że przyjdzie, ale... Niech to szlag! Amy rozbudziła w niej nadzieję. Zdażyła o tym pomyśleć i zamrugła zdumiona na widok wysokiej, wytwornej, oszałamiającej kobiety, która stanęła tuż przed nią.

– O, kurczę. – Nigdy nie widziała Amy z makijażem ani w sukience, a tego wieczoru jej przyjaciółka miała na sobie i jedno, i drugie. Kreacja była zabójczo zmysłowa, a wspaniałe gladiatorki na wysokim obcasie dodatkowo podkreślały nieskończenie długie nogi.

Amy wzruszyła ramionami.

– To wszystko z darów.

– O, kurczę – powtórzyła Mallory. – Wyglądasz jak dziewczyna z filmu o superbohaterze.

– Tak, tak. Słuchaj, przyszłam zapytać, czy nie musimy przypadkiem raz jeszcze przedyskutować twojej misji na dzisiaj.

– Nie. Misja odwołana.

– Słucham? A gdzie twoja randka?

– Obie dobrze wiemy, że tak naprawdę nie było mowy o żadnej randce. – Mallory pokręciła głową.

– Wyglądasz cudownie. Prawie cię nie poznałam.

– Nigdy nie oceniał książki po okładce. Widziałaś Grace? Ona nikogo tu nie zna, a ja nikim nie jestem zainteresowana, więc randkujemy dziś razem.

Odkąd Amy pojawiła się w Lucky Harbor, według Mallory nie umówiła się z nikim. Ilekroć była o to pytana, Amy wzruszała ramionami i

odpowiadała, że wybór nie jest zbyt duży.

– Może powinnam sporządzić listy Panów Odpowiednich dla was obu?

Amy prychnęła.

– Dziękuję, postoję.

W tej samej chwili do holu wszedł Matt Bowers i przystanął, by przywitać się z Mallory. Często widywała go w mundurze strażnika, uzbrojonego i gotowego do pracy, tego wieczoru jednak Matt miał na sobie kosztowny ciemny garnitur, w którym czuł się tak swobodnie, jak w drugiej skórze. Wyglądał w nim naprawdę nieźle. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i smukłą, umięśnioną sylwetkę boksera, którym zresztą bywał w dni wolne od pracy. Brązowe włosy rozjaśniały pasemka, efekt chodzenia po górach w pełnym słońcu; miał jasnobrązowe oczy i swobodny uśmiech.

– Cześć.

Mallory uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Cześć.

Matt odwrócił się uprzejmie do jej towarzyszki. W oczach mężczyzny błysnęło zdumienie.

– Amy?

– Tak, wiem. Dobrze wyglądam, jak się umyję. – Jej głos był całkowicie wyprany z emocji. Odwróciła się do Mallory bez uśmiechu. – Zobaczymy się w środku.

Matt odprowadził ją wzrokiem. Tak, tego wieczoru wyglądał świetnie, choć był nieco oszołomiony.

Mallory знаła go jako wyluzowanego, swobodnego faceta. Przenikliwego, błyskotliwego i twardego jak diabli. Musiał taki być, jako były glina, a obecnie zwierzchnik strażników leśnych w całym dystrykcie.



Wydawało się, że nic nie jest w stanie wyprowadzić go z równowagi.

A Amy rzecz się udała. Intrygujące. Kolejny temat na liście spraw do omówienia podczas następnego spotkania czokoholiczek.

– Zapomniałeś dać jej napiwek w kafejce czy jak?

– Czy jak – odparł. Pokręcił głową i odszedł.

Mallory wzruszyła ramionami i raz jeszcze rozejrzała się dokoła. Na początku była tak zajęta ustawianiem wszystkiego i witaniem gości, że nie miała czasu pomyśleć o tym, co robi, jeśli Pan Nieodpowiedni się nie pojawi.

Teraz jednak zaczęła zastanawiać się nad tym poważnie i od razu pojęła, że to nie będzie przyjemne. Znowu pokonała całą długość lobby, zatrzymując się na chwilę przy dużych oknach, by wyrzeć na parking. Uch. Zawróciła do jadalni i zerknęła do wnętrza.

Wypełniona po brzegi.

Miało to swoje dobre i złe strony. Plusem były potencjalne środki na centrum ukryte w tych wszystkich kieszeniach.

Minusem było natomiast potencjalne upokorzenie, które ją spotka, jeśli wejdzie tam sama tuż po znanej już obecnym nowinie o randce.

Cóż, przetrwała gorsze rzeczy. Znacznie gorsze. A mimo to kolejnych pięć minut poświęciła na przejrzenie raz jeszcze eksponatów na aukcję. I znowu zatrzymała się na dłużej przy jednym z nich.

Była to srebrna bransoletka z zawieszkami. Każda zawieszka przedstawiała unikatowy symbol Lucky Harbor: mały wiktoriański hotel, miniaturowa przystań, złoty przetak na pamiątkę gorączki złota. Śliczna.

Zazwyczaj Mallory nosiła tylko mały, delikatny, złoty łańcuszek z symbolem nieskończoności, który należał do Karen. Nie potrzebowała niczego więcej. Bransoletka przyzywała ją jednak, kusila, by wydać na nią

pieniądze, których i tak Mallory nie miała.

– Niezbyt praktyczna dla pielęgniarki z ostrego dyżuru.

Odwróciła głowę i zobaczyła stojącą za jej plecami panią Burland, wspartą ciężko na lasce. Twarz kobiety wykrzywiał grymas, który można było nazwać uśmiechem tylko dlatego, że odsłaniał zęby.

– Pani Burland. Lepiej się pani dziś czuje?

– Ależ skąd. Kostki mam spuchnięte, palce mi drętwieją i jestem tak zakorkowana, że nawet przepychacz nie pomoże.

Mallory przywykła już, że ludzie mówią jej rzeczy, których nie powiedzieliby nikomu innemu.

– Musi pani dużo pić. Czy przyjmuje pani przepisane leki?

– W aptece coś pomylili.

– Musi pani brać leki.

– Próbowałam się dodzwonić do mojego lekarza. To idiota. I ma dwanaście lat.

Panią B. leczył doktor Josh Scott. Miał trzydzieści dwa lata i był najlepszym specjalistą na Zachodnim Wybrzeżu.

– Pewnie dlatego jest taki uroczy – prychnęła pani Burland.

Mallory nie nazwałaby Josha uroczym. Przystojnym? Tak. Uderzającym, owszem, i... poważnym. Nawet gdy się uśmiechał. Tak poważnym, że zawsze wyglądał, jakby przeszedł przez piekło. I wiele po drodze zobaczył.

Nie miało to jednak żadnego wpływu na jego pracę. Josh dosłownie zaharowywał się na śmierć.

– Jest pani bardzo niesprawiedliwa w stosunku do człowieka, który właściwie uratował pani życie. Jutro z samego rana zadzwonię do pani apteki.

– Tak, cóż, zobaczymy. A gdzie twoja randka?

Mallory wzięła głęboki oddech.

– Cóż...

– Wystawił cię? Jakaż strata, biorąc pod uwagę, że wystroiłaś się jak ładacznica.

Pani Burland odeszła.

Mallory znów utkwiała wzrok w bransoletce. Pani B. w jednym miała rację: był to całkowicie niepraktyczny drobiazg dla osoby, która musi być przede wszystkim praktyczna. Zawieszki na pewno zahaczałyby o wszystko, od kroplówek po poręcze łóżek.

– Kochanie, co ty tu robisz?

Świetnie. Jeszcze mama.

Ella miała na sobie odświętną, bladoniebieską suknię, podkreślającą delikatną opaleniznę, której nabyła podczas przerw na lunch na dachu szpitala. Przesiadывała tam, czytając romanse i spiskując, by zapewnić córce bajkowe zakończenie samotności.

– Śliczna – stwierdziła na widok bransoletki. – Ale...

– Niepraktyczna. Wiem.

– W zasadzie miałam powiedzieć, że to drobiazg, który powinien kupić ci chłopak. Potrzebujesz chłopaka, Mallory.

Tak. Po prostu wybierze sobie kogoś ze sklepu z chłopakami!

– A gdzie twoja randka?

O, Boże. Oto ulubione pytanie wieczoru.

– Och, skarbie. Czyżby cię wystawił?

Nagle Mallory zakrzętała się z przejęciem wokół plakietki z opisem bransoletki.

– Może po prostu trochę się spóźnia... – pocieszała ją matka.

– Cóż, to chyba nie wróży najlepiej naszemu związkowi.

Podobnie jak fakt, że nie ma żadnego związku.

– Ty też mogłaś się z kimś umówić, mamo.

– Ja? – zapytała wyraźnie zdumiona Ella. – Och, nie. Nie jestem gotowa na kolejnego mężczyznę. Przecież wiesz.

Mallory wiedziała. Matka powtarzała tak od dekady, czyli od rozwodu, za który jej córka – nieważne, jak bardzo było to pokręcone – winiła w stu procentach siebie.

– Mizernie wyglądasz, kochanie. Może złapałaś tę okropną grypę, na którą wszyscy chorują ostatnio?

To raczej okropny przypadek zaraźliwego odrzucenia...

– Nic mi nie jest, mamo. Nie martw się.

– Dobrze, w takim razie wracam na salę. Zaraz podadzą deser. – Ella pocałowała córkę w policzek i weszła do jadalni.

Mallory raz jeszcze obeszła wszystkie eksponaty. Wyjrzała na parking, szukając Tajemniczego i Już Nie Tak Fajnego Przystojniaka. Goście zjedli deser. Gdy przygasły światła i rozpoczęła się prezentacja przedmiotów wystawionych na aukcję, wśliznęła się do środka. Podeszła na palcach do stolików z tyłu, zajęła pierwsze z brzegu wolne miejsce i powoli wypuściła powietrze.

Na razie się udało.

Ukradkiem przyjrzała się gościom siedzącym przy jej stoliku, było jednak zbyt ciemno, by widziała osoby naprzeciwko. Po jej prawej stało puste krzesło. Po lewej siedział mężczyzna z twarzą zwróconą ku ekranowi. Mallory zmrużyła powieki, starając się zrozumieć, czemu profil mężczyzny wydaje się jej znajomy, gdy nagle ktoś podszedł do niej od tyłu i położył jej dłoń na ramieniu.

– Tu jesteś, Mallory.

Szefowa. Niech to szlag! Mallory wykręciła szyję z uśmiechem.

– Cześć, Jane.

– Wszędzie cię szukam. Spóźniłaś się.

Jane Miller, przełożona pielęgniarek, w poprzednim życiu rządziła zapewne własną planetą. Poruszała się i mówiła w sposób jednoznacznie domagający się uwagi i jednocześnie subtelnie obiecujący dekapitację, w razie gdyby sprawiono jej zawód.

– Och, jestem tu od dawna – zapewniła ją Mallory.

– Doglądałam wszystkiego na zapleczu.

– Hm. I?

– I wszystko działa bardzo sprawnie. Mamy komplet gości. Świetnie sobie radzimy.

– Dobrze. – W głosie Jane zabrzmiała nutka aprobaty, rzadko u niej spotykana. – Doskonale. – Zerknęła na krzesło po prawej stronie podwładnej. – Twoja randka się nie pojawiła?

I wtedy właśnie Mallory popełniła błąd. Naprawdę nie miała pojęcia, co ją napadło: czy było to wyczerpanie po długim tygodniu pracy, czy może fakt, że buty już obgryzały jej pięty. Najbardziej oczywistymi podejrzanymi były jednak jej duma i upór; babcia od dawna powtarzała, że sprowadzą na nią nieszczęście.

– Moja randka siedzi tam – szepnęła i możliwie jak najdyskretniej wskazała podbródkiem mężczyznę po swojej lewej, modląc się, by nie wybrał właśnie tego momentu na pójście do toalety.

– Cudownie. – Jane uśmiechnęła się uprzejmie do potylicy mężczyzny. – Nie przedstawisz nas sobie?

Och, na litość boską! Mallory zerknęła na nieznanego, wdzięczna

losowi, że facet nie zwrócił na nie dotąd uwagi.

– Ogląda prezentację.

Uśmiech Jane nie przybladł; kobieta nawet nie drgnęła. Jej stanowczości bali się administratorzy szpitala, radni miejscy i sam Bóg.

Mallory zacisnęła zęby i znów spojrzała na swoją „randkę” w nadziei, że mężczyzna wciąż patrzy na pokaz.

Nie patrzył.

Gapił się prosto na nią. Rzecz jasna, w tej samej chwili prezentacja się zakończyła i ponownie rozbłysły światła.

Gość miał opatrunek nad okiem, który zakrywał szwy, i mały siniak na policzku. W miejscu, gdzie Mallory uderzyła go telefonem Grace.

Tajemniczy Przystojniak.

## ROZDZIAŁ 5

*Nie przeszkadzać: czekoladowa fantazja w toku.*

O, kurczę, pomyślała Mallory na widok Tajemniczego Przystojniaka. Tamtej nocy nie przyjrzała mu się dokładnie, więc zrobiła to teraz. Poirytowana mina, niebezpieczny błysk w oku, smukłe, twarde ciało odziane w elegancki, wyrafinowany garnitur. Zbił ją z nóg nieruchomy i zakrwawiony, było to jednak nic w porównaniu z tym, co się z nią dzieje, gdy siedzi przed nią wyprostowany i przytomny. Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, reflektor oświetlił środek sceny i mikrofon.

– Chyba twoja kolej – oświadczyła Jane, podnosząc Mallory z krzesła.

– Poprowadzisz aukcję, tak?

Uratowana w ostatniej chwili.

– Tak, oczywiście.

– No, dalej – zwróciła się Jane do Przystojniaka.

– Jesteś jej partnerem na dziś, prawda? Odprowadź ją na podium.

Jego mina się nie zmieniła; wciąż patrzył chłodno, oceniająco. I choć Mallory nie miała pojęcia, z czego facet żyje, nie знаła nawet jego imienia, była gotowa założyć się o ostatnie trzy dolary w portfelu, że niewiele osób na świecie waży się wydawać mu rozkazy.

– Och – powiedziała do Jane pośpiesznie. – W porządku, on nie musi...

Przystojniak jednak wstał, położył jej rękę na krzyżu i wskazał gestem, by Mallory poszła przodem.

Wykręciła szyję i utkwiała w nim wzrok.

Odpowiedział uniesieniem brwi i wygięciem warg w nikłym uśmiechu.

„Seksowna”. Tak o niej powiedział. Jasne, nazwał ją też „despotyczną”, ale nie był wtedy w pełni władz umysłowych. Mimo wszystko Mallory, na samo wspomnienie, odczuwała swędzenie w miejscach, które nie powinny swędzieć.

– Mallory – powiedziała Jane tonem bardzo niezadowolonej królowej.

– Ruszcie się wreszcie.

– Tak, Mallory – oświadczył jej towarzysz niskim, szorstkim głosem z nutą ironii. – Ruszmy się wreszcie.

W ostatniej chwili przygryzła wargi, by nie wybuchnąć histerycznym śmiechem i zakryła usta dłonią. Później. Później umrze ze wstydu. Zmuszała się, by się uśmiechać do wszystkich patrzących, a patrzyli na nich dosłownie wszyscy.

– Nie musisz tego robić, nie musisz udawać, że jesteś na randce, na której wcale nie chciałeś być – szepnęła kącikiem ust wprost do jego ucha.

Przez ułamek sekundy w oczach mężczyzny błysnęło coś niezdefiniowanego, zanim znów zamknął się w sobie i powrócił do nieporuszonego wyrazu twarzy. Zdumienie? Mallory nie była pewna, zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Jasne, byłoby miło, gdyby ją przeprosił za to, że ją wystawił, lecz na bezrybiu i rak ryba. Z jakiegoś powodu zgodził się odegrać tę farsę i w chwili obecnej, gdy Jane wywiercała oczami dziury w ich plecach, Mallory była mu wdzięczna.

Pomiędzy stolikami torowała sobie drogę ku scenie, uśmiechając się do wszystkich, na których padło jej spojrzenie. Nie była jednak w stanie przypomnieć sobie choćby jednego nazwiska. Nie wtedy gdy jej myśli okupowała ta wielka, ciepła dłoń na jej plecach i wielki, silny, cudowny facet w charakterze eskorty. Szedł na tyle blisko, by czuć jego zapach.

Nadal fantastyczny, tak na marginesie. Niech to szlag!



Dopiero gdy doszli do schodów na scenę, zauważyła, że mężczyzna utyka. Zerknęła na jego nogę. Co się stało? Nie zranił się w nią przecież podczas burzy, tego była pewna.

– Dobrze się czujesz?

– Potem – mruknął i popchnął ją na estradę.

Czując na sobie spojrzenia pięciu setek par oczu,

Mallory podeszła do mikrofonu.

– Dobry wieczór, Lucky Harbor.

Tłum zaczął pohukiwać i krzyczeć.

Niemal wbrew sobie Mallory poczuła, że na jej usta wypływa szczery uśmiech w odpowiedzi na to entuzjastyczne powitanie. Dorastała w tym mieście, to w nim odnalazła życiowe powołanie jako pielęgniarka. Wiedziała, że nawet gdyby w wyniku nieprzewidzianych okoliczności wylądowała zniecka na drugim końcu świata, wciąż będzie się uśmiechać na myśl o Lucky Harbor.

– Zaróbmy tego wieczoru trochę pieniędzy na opiekę zdrowotną, dobrze?

Znów wybuchły oklaski.

– Kim jest ten przystojniak u twego boku? – Ktoś krzyknął.

Oczywiście Tammy. Siedziała w pierwszym rzędzie. Przyłożyła nawet dłonie do ust, by jej głos na pewno doniósł się do sceny.

Mallory zignorowała siostrzany przytyk i odwróciła się do wielkiego ekranu za sobą.

– Okej, kochani. Biercie tabliczki do rąk, bo dziś czeka was nie lada gratka. Na scenę wejdzie zaraz Charles Tennessee, nasz ulubiony licytator, a ja spodziewam się zobaczyć was w akcji. Chcę prawdziwej walki, ludzie. Rwania włosów z głowy, jeśli to konieczne. Nie ma żadnych granic, byle

tylko stawki były coraz wyższe. Niech więc rozpocznie się zabawa...

– Chcemy poznać twojego faceta!

Mallory ze świstem wypuściła powietrze z płuc i spojrzała na Lucille, siedzącą przy kolejnym stoliku w pierwszym rzędzie.

Lucille pogroziła jej palcem, co prelegentka również zignorowała, lecz tłum nie dało się już uciszyć. Wszyscy skandowali: „Zrób to, zrób to, zrób to”, wśród nich także Joe, brat Mallory, który mimo odświętnego ubrania nadal wyglądał jak wielbiciel rowerów górskich – z twarzą opaloną wszędzie, z wyjątkiem okolic oczu, i musniętymi słońcem, długimi, ciemnymi włosami. Wysoki i szczupły, trzymał za rękę blondynkę, z którą się umawiał w tym tygodniu. Mallory kątem oka zauważyła ruch – jej tak zwana randka wspinała się właśnie po schodach na scenę. O, Boże, przecież to w niczym nie może pomóc! Pokręciła energicznie głową, by go powstrzymać. By go zawrócić.

Dołączył do niej.

Znów pokręciła głową, gotowa przysiąc, że w głębi ducha facet się śmieje, choć jego wargi nawet nie drgnęły. W oczach nieznajomego zobaczyła błyskotliwość, poczucie humoru i ani śladu skruchy czy wstydu za to, że ją wystawił. W sumie powinna to już przeboleć – i to jak najszybciej – bo cała publiczność patrzyła teraz tylko na nich, z wyczuwalnym wręcz zniecierpliwieniem. Nie mając wyboru, Mallory pokręciła głową i zwróciła się do zgromadzonych.

– Ależ z was krwiożercza zgraja.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Pewnego dnia zaczniecie w końcu żyć własnym życiem.

Jej słowa powitał kolejny wybuch śmiechu. Mallory wiedziała, że nie pozwolą jej rozpocząć aukcji, dopóki tego nie zrobi... Dopóki nie przedstawi

im Tajemniczego Przystojniaka.

– Dobrze. Tylko nie wmawiajcie mi, że nie wiecie, kim jest stojący obok mnie człowiek. Widziałam jego statystyki na Facebooku.

Kolejny wybuch śmiechu i być może lekkie rozbawienie rzeczonoego człowieka.

– Kochani, poznajcie... – urwała. Niech to szlag! Nie uwierzyłaby, gdyby ktoś jej powiedział, że może przeżyć kolejne upokorzenie tego wieczoru, najwyraźniej jednak nie doceniła samej siebie. Nie mając wyboru, Mallory wzięła głęboki oddech. Odwróciła się do mężczyzny, przekonana, że on wie, czego ona od niego potrzebuje.

Nazwiska.

Znów lekko się do niej uśmiechnął i wygiął brew. Zamierzał zmusić ją do błagania. Wielki, seksowny łajdak. Cóż, taka jest właśnie kara za marzenia o Panu Nieodpowiednim, Panu Niegrzecznym, Panu Rozkosznie Pociągającym. On zaraz ją zdemaskuje, a ona będzie zmuszona obwinić o wszystko czokoholiczki. Na Amy i Grace nawrzeszczy później, ale teraz musi jakoś z tego wybrnąć. Tylko jak? Nie miała pojęcia.

– Poddaję się – szepnęła w końcu do nieznanego.

Podszedł do niej tak blisko, że jego szeroki tors oparł się o jej ramiona. Mężczyzna otoczył palcami jej dłoń na mikrofonie. Były bardziej opalone niż jej i szorstkie od pracy. Zadrżała pod ich dotykiem.

– Mallory jest taka nieśmiała... – zwrócił się do publiczności, posyłając Mallory spojrzenie, którego nie umiała rozszyfrować. Facet był mistrzem w ukrywaniu swoich myśli. – Jestem Ty Garrison. Gość od randki.

Nieśmiała, jasne! Mallory była przekonana, że on także nie znał jej imienia, dopóki nie wymieniła go Jane. Ale teraz uśmiechał się psotnie, a ona miała ochotę zdzielić go po głowie, choć przecież w końcu poznała jego

imię.

Ty Garrison.

Pasowało do niego. W pierwszej klasie miała kolegę Tya. Ciągnął ją za włosy, targał jej prace domowe i wmawiał pani Burland, że to Mallory mu je ukradła. Na samo wspomnienie ogarniał ją gniew.

– Proszę bardzo – oświadczyła, przejmując mikrofon.

– A teraz rozpoczniemy aukcję. Bawcie się dobrze.

– Szybko przedstawiła zebrany licytator i z wdziękiem zeszła ze sceny, uradowana, że znalazła się poza światłem reflektorów.

Szybko utorowała sobie drogę przez tłum. Na szczęście nikt już nie zwracał na nią uwagi – wszyscy utkwili wzrok w licytatorze.

Wszyscy, poza Lucille.

Lucille, w srebrnej sukni balowej, która wyglądała jak dyskotekowa kula, zrobiła Mallory zdjęcie komórką i mrugnęła do koleżanki.

Mallory westchnęła i już miała usiąść na swoim miejscu, gdy nagle w objęcia porwała ją matka. Tajemniczy Przystojniak zniknął wkrótce po opuszczeniu sceny, co bardzo Mallory odpowiadało. Nie chciała przedstawiać go mamie.

Aukcja rozpoczęła się od bransoletki, a Mal, nie mogąc się powstrzymać, szybko chwyciła tabliczkę Elli. Nikt inny nie licytował, więc wmówiła sobie, że poświęca się dla sprawy, i podniosła numerki.

– Mallory. Nie stać cię na tę bransoletkę.

Fakt. Denerwujący, lecz prawdziwy.

– Mam trzydzieści lat, mam. Mogę podejmować własne głupie decyzje, nie sądzisz?

– Jak na przykład randka z facetem o nieznanym nazwisku? – Mama była wyraźnie poruszona. – To równie okropne jak umawianie się z facetem

poznany...

– Zniżyła głos do przerażonego szeptu, jakby zdradzała właśnie tajemnicę państwową. – Przez Internet!

– Nie szukam faceta przez Internet. A z Tyem to jednorazowa sprawa. Bransoletkę wylicytował ktoś za nimi. Licytator przystąpił do aukcji kolejnego przedmiotu.

– Posłuchaj, skarbie. Ty Garrison to nie jest typ mężczyzny, który się z tobą ożeni i obdaruje mnie wnukami.

Cóż... Mama miała całkowitą rację.

– Nie szukam takiego związku. – A przynajmniej nie w tej chwili.

– A czego szukasz?

Dobre pytanie.

– Sama nie wiem. – Mallory rozejrzała się dokoła, obserwując znajomy tłum, znacznie bardziej przejęty dobrą zabawą niż licytacją. – Chyba jestem... znudzona.

Matka spojrzała na nią tak, jakby Mal właśnie wyznała, że uzależniła się od oparów kokainy.

– I niespokojna – dodała Mallory. – I... smutna, jeśli chcesz znać całą okropną prawdę. – Nie wiedziała nawet, że tak jest, dopóki nie zwerbalizowała uczuć. Nie mogła się już wycofać.

– Och, skarbie. – Matka uścisnęła jej dłoń. Oczy Elli stały się nagle podejrzenie wilgotne. – Ze wszystkich moich dzieci ty zawsze byłaś tym najłatwiejszym...

– Tłum zaczął hałasować, więc podniosła głos. – Jesteś taka grzeczna, że czasami zapominam sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku. Zwłaszcza po tym, jak Karen...

– Wszystko u mnie w porządku. – A nawet jeśli nie, Mallory

wiedziała, że da sobie z tym radę. Do diaska, jest jednak tym wszystkim zmęczona! Robieniem tego, czego się od niej oczekuje, poczuciem, że coś jej w życiu umyka.

– Mallory – oświadczyła Ella z troską. – Zawsze byłaś też tą najmądrzejszą. Liczę na ciebie, kochanie...

– urwała. – Nie zrobisz dziś nic głupiego, czego mogłabyś później żałować, prawda?

Cóż, to zależy od mamej definicji głupoty. Co do żalu, Mallory starała się żyć bez niego.

– Mam nadzieję, że nie.

Matka utkwiała wzrok w przestrzeń gdzieś ponad jej ramieniem i wydała z siebie przedziwny pisk. Mallory zamarła, przymknęła powieki na ułamek sekundy i odwróciła się, by ujrzeć – ależ, oczywiście! – Tya.

Potężny facet stał za nią z dwoma kieliszkami wina. Podczas gdy Mal próbowała odzyskać równowagę, podał jej jeden. Osuszyła zawartość niemal do dna, co nie było najlepszym znakiem.

Proszę, Boże, spraw, by on nie słyszał tego wszystkiego...

– Ty Garrison – powiedziała Ella, jakby wypróbowywała jego nazwisko. – Czy moja córka jest z tobą bezpieczna?

– Mamo! Jezu.

– Nie wzywaj imienia nadaremno, kochanie. – Matka uniosła dłoń w pojednawczym geście. – Dobrze. Powiem inaczej. – Zerknęła na Tya. – Czy zamierzasz skrzywdzić moją córkę?

Zanim odpowiedział, Ty spojrzał na dziewczynę.

– Pani córka jest zbyt mądra, by pozwolić się skrzywdzić.

Okej, a więc słyszał każde słowo. Cudownie. Boże, jestem taka skołowana! A mama jeszcze pyta, czy nie zrobię nic głupiego. Cóż, na

pewno coś zrobię.

Jakby czytając jej w myślach, Ty uśmiechnął się kpiąco, uniósł kieliszek jak do toastu i odsunął się od Mallory.

Najwyraźniej on też nie jest głupi.

– Cóż, to było bardzo miłe – mruknęła.

– Rozumiem, że to sarkazm? – zapytała mama.

– Zawsze wiedziałam, że mądrość odziedziczyłam po tobie. – Mallory pochyliła się i cmoknęła Elle w policzek, a potem podeszła do swojego stolika, gdzie zostawiła torebkę. I uświadomiła sobie, że ma problem znacznie poważniejszy niż własna głupota. Sala była wypełniona po brzegi szczęśliwymi, sytymi ludźmi, o wiele jednak bardziej zainteresowanymi rozmową niż licytacją. Gdy na stół trafił pakiet „Łódką po marinie” i nikt nie podniósł tabliczki, Jane utkwiała w podwładnej niezadowolone spojrzenie.

Mallory uśmiechnęła się do niej z otuchą, choć w środku trzęsła się cała. Niech ktoś zaliczytuje, niech ktoś zaliczytuje, modliła się rozpaczliwie, starając się wpłynąć na los aukcji siłą woli.

W końcu ktoś podniósł tabliczkę, tyle że końcowa kwota okazała się znacznie niższa niż wyjściowa.

Teraz jednak licytowano prawdziwy rarytas – wycieczkę do Seattle, z limuzyną, elegancką kolacją i koncertem muzyki poważnej. Lecz gdy aukcja rozpoczęła się od sumy znacznie poniżej oczekiwań, Mallory poczuła ucisk w gardle.

Zakładali, że pójdzie im lepiej. Znacznie lepiej. Gdy Jane znów na nią spojrzała, niepokój Mallory wzrósł.

Ktoś usiadł na krześle obok. Po stwardniałych sutkach od razu poznała, że to Ty.

– Idź sobie! – nakazała, nie odrywając wzroku od sceny.

Nie odpowiedział, czym przyciągnął jej wzrok. I w tej samej chwili podniósł tabliczkę Mallory, oferując dwieście dolarów więcej, niż ośmieliłaby się pomyśleć.

Oniemiała.

– Co ty robisz?

Nawet na nią nie spojrzał. Lustrował tłum z zainteresowaniem i uśmiechem, którego dotąd u niego nie widziała. Zabójczy uśmiech, musiała przyznać Mallory. Gdy ktoś po drugiej stronie sali dołączył do licytacji, Ty znów się uśmiechnął i podniósł tabliczkę.

A potem wydarzyło się coś niezwykłego.

Do licytacji włączały się kolejne osoby. Koniec końców aukcja „Wieczoru na mieście” trwała jeszcze pięć minut. Impreza osiągnęła zawrotną cenę.

Wygrał Ty.

Wyraźnie usatysfakcjonowany odłożył tabliczkę i rozsiadł się wygodnie na krześle. Wyciągnął przed siebie nogi, spokojnie obserwując rozwój sytuacji. Mallory również powinna się skupić na aukcji, tyle że nie mogła oderwać oczu od mężczyzny. A tymczasem salę ogarnęła prawdziwa gorączka. Wszyscy zaczęli licytować wszystko, próbując się nawzajem pokonać, czasem sympatycznie, czasem nie. To było... cudowne!

Mallory nie potrafiła jednak zapomnieć, że aby do tego doprowadzić, Ty wydał setki dolarów.

– Co zrobisz z pakietem, który kupiłeś przed chwilą?

– Chyba wybiorę się do miasta.

Niemożliwe, by był amatorem orkiestr symfonicznych.

– Ale...



– Problemy na trzeciej – mruknął swobodnie.

Odwróciła się i zobaczyła Lucille i jedną z jej błękitnowłosych koleżanek, licytujące zaciekle kolejny eksponat: randkę z Andersonem Moore'em, przystojnym właścicielem sklepu z narzędziami.

– Ten Anderson – powiedział Ty do Mallory, wciąż przypatrując się dojrzałym kobietom, próbującym przelicytować się wzajemnie z niepokojącym wręcz zacięciem – ma chyba z dziewięćdziesiąt lat, prawda?

Licytator zasugerował żartem, by przeciwniczki obie wybrały się na tę randkę, zażegnując konflikt w zarodku. Ty skrzywił się z wyraźnym współczuciem.

– Nie musisz go żałować – orzekła Mallory. – Należało mu się. Podrywa wszystko, co ma piersi.

Zerknął na nią z ukosa.

– Ależ ty jesteś wredna!

Wybuchnęła śmiechem. Ty miał rację, lecz nikt w Lucky Harbor nie uwierzyłby podobnej opinii. Mallory nie miała pojęcia, co myśleć o tym, że Ty, którego w ogóle nie znała, dostrzega w niej więcej niż ci, wśród których się wychowała.

Śmiech sprawił, że mężczyzna pochylił się ku niej i zerknął na jej wargi.

– Lubię wredne kobiety.

Spojrzała mu w oczy; gdy niemal w nich utonęła, znów zaczęła się śmiać. Tym razem z siebie. Boże, jest niezły! Naprawdę niezły.

– Nie szafuj urokiem osobistym. Jestem na niego odporna.

I proszę, kolejna szokująco zła cecha: umiem kłamać jak z nut!

– Wyjaśnij mi coś.

– Co takiego?

– Dlaczego wszyscy myślą, że byliśmy dziś umówieni?

Utkwiła w nim wzrok.

– W zeszły weekend, gdy uratowałam cię podczas burzy, Amy powiedziała ci o aukcji i o tym, że potrzebuję towarzystwa na randkę. Pamiętasz?

– Nie.

Mallory niemal otworzyła usta ze zdziwienia.

– Poważnie?

– Pamiętam burzę – powiedział wolno, jakby się zastanawiał. – Pamiętam uderzenie gałęzi. Pamiętam ciebie.

Czy to dobrze, czy źle?, nie była pewna Mallory.

– Tak jakby – dodał.

Tak jakby? Tak jakby ją pamiętał? Co to w ogóle znaczy? Sięgnęła po kieliszek, żałując, że nie ma pod ręką czegoś twardszego.

– Pamiętam, że była lista. Lista... Panów Nieodpowiednich.

Mallory zakrztusiła się winem.

– I pamiętam, że ocknąłem się w karetce z piekielnym bólem głowy.

Milczała, próbując przetrwać zaskakujące fakty. W ogóle nie pamiętał, że był z nią umówiony na ten wieczór. Cóż, to wiele wyjaśnia. Na przykład fakt, że ją wystawił. Do diaska, trudno jej będzie żywić teraz do niego urazę, choć na pewno się postara...

– Następnym razem, gdy będę się umawiać z facetem ze wstrząsem mózgu, przypnę mu do kołnierzyka karteczkę. Żeby nie zapomniał.

– Dobry pomysł. – Jego dłoń leżała na stole tuż obok jej dłoni. Musnął kciukiem jej palce. Wskutek niemal nic nieznaczącego dotyku, Mallory przeszedł dreszcz. – Przepraszam, że zapomniałem o naszej randce. – Siedział tak blisko, że widziała każdy odcień zieleni w jego oczach. A było

ich wiele. Czują na skroni ciepło jego oddechu. W zatłoczonej sali ludzie siedzieli równie blisko, śmiejąc się i omawiając kolejne licytacje, Mallory jednali nie licytowała ani się nie śmiała. Znienacka serce podeszło jej do gardła, a w żołądku zatrzepotały skrzydełka setek małych motyli.

– Czy ja też jestem na tej liście, Mallory? – zapytał niskim, chrapliwym głosem. – Czy jestem Panem Nieodpowiednim?

O, Boże, wpadłam w kłopoty po uszy! Sposób, w jaki wymówił jej imię, spodobał się jej aż za bardzo.

– Niech ci to nie uderzy do głowy. Są na niej i inne nazwiska. – Uniosła dłoń, by dotknąć siniaka na jego policzku.

Chwycił ją za rękę.

– Nie o to pytałem.

– Tak – przyznała. – Jesteś na liście. Na samym jej szczycie.

## ROZDZIAŁ 6

*Co było pierwsze: kobieta czy... czekoladowy batonik?*

Ty nie miał pojęcia, co robi, flirtując z Mallory. Bzdura.

Dobrze wiedział, co robi. Po raz pierwszy od sześciu miesięcy poczuł, że żyje. A może nawet po raz pierwszy od czterech lat.

Przyglądała mu się rozświetlonymi, słodkimi, brązowymi oczami. Miała nienaturalnie czerwone policzki. Podejrzewał, że ona również czuje ożywienie, tyle że nie zastanawia się zapewne, czy ma w portfelu kondom, który nie jest zbyt stary, by go użyć.

Miała listę. On także. Krótką listę z pojedynczym nazwiskiem.

Jej nazwiskiem.

- Dlaczego taka kobieta potrzebuje listy?
- Taka kobieta?
- Piękna. Mądra. Zabawna.

Roześmiała się i pokręciła głową.

- Nie wiem. Chyba po prostu nie mam czasu na randki.

To był w stanie zrozumieć. Do diaska, minęło wiele czasu, odkąd sam się umawiał. Od bardzo dawna obywatel się bez kobiet w ogóle, a ona była najprawdziwszą kobietą. Miała na sobie zwodniczo skromną, czarną sukienkę na wąskich ramiączkach skrzyżowanych na plecach. Suknia sięgała do połowy uda i otulała krągłości, tylko zaostrować jego apetyt. Sandaalki na obcasie podkreślały nogi światowej klasy, które podczas pierwszego spotkania skrywał pielęgniarzski fartuch. Włosy upięła w luźny węzeł, z wymykającymi się kilkoma kosmykami, otaczającymi jej skroń i kark. Za jedyną biżuterię robił skromny złoty naszyjnik; nie miała

kolczyków ani niczego, co wchodziłoby w drogę jego wargom, gdyby zaczął skubać jej szyję aż do ucha... Tam zatrzymałyby się, by szeptać obietnice.

Nie powinien o tym myśleć! Mallory Quinn była słodka, ciepła i troskliwa. Kontakty z nią oznaczały domek z białym płotem i dwa przecinek cztery dziecka. I pierścionek z diamentem.

Była kimś na zawsze.

Lecz nie dla niego. Nigdy dla niego. Bo on nie wiązał się trwale.

A jednak w tym momencie, gdy jej usta znalazły się tak blisko niego, gdy zobaczył uśmiech w jej oczach...

Ty zatęsknił. Zatęsknił, zapragnął. Czegoś. Kogoś. Zapragnął wziąć ją w ramiona i się w niej zatracić.

Ktoś poklepał ją po ramieniu, ta sama kobieta co poprzednio: wysoka, szczupła i lodowato piękna, z surowo zaciśniętymi wargami, które jasno mówiły, że właścicielka jest bardzo z czegoś niezadowolona. Albo ma zatwardzenie. Że jest wredna i emanuje autorytetem z taką samą swobodą, z jaką nosi na szyi diamenty.

Mallory uniosła głowę i wyprostowała się natychmiast, przybierając neutralną minę.

– Jane – powiedziała tonem, który zasugerował Tyowi, że nieznajoma jest jej szefową albo katem.

– Mogę cię prosić na chwilę?

Na pewno szefowa, pomyślał.

– Ależ oczywiście. – Mallory wyszła za Jane do holu.

Licytacja ruszyła pełną parą; zaangażowani ludzie podskakiwali i wymachiwali tabliczkami. Mówiąc sobie, że musi rozprostować bolącą nogę i że wcale nie jest ciekawy tego, co przez ułamek sekundy zobaczył w twarzy Mallory, Ty wyszedł do lobby.

Jego pielęgniarka stała plecami do niego, a twarzą do Cruelli DeMon.

– Oczywiście – powiedziała. – Już idę na górę. Dziękuję ci za wkład w imprezę, Jane.

Po tych słowach Jane poszła w jedną stronę, a Mallory udała się w drugą, kręcąc rozkosznym, małym tyłeczkiem w tych swoich seksownych butach.

Odpuść sobie, stary. Daj jej spokój, napomniał się w myślach Ty. Od jej matki usłyszałeś dosyć, by zrozumieć, że to grzeczna dziewczynka, która szuka szalonej przygody. Zapewne dorastała w Lucky Har – bor, co w sumie równało się życiu pod kloszem. Nie jest dla niego.

Tyle że...

Tyle że najwyraźniej robi wszystko, co w jej mocy, by sprostać oczekiwaniom rodziny, współpracowników i Bóg wie kogo jeszcze, starając się jednocześnie rozwinąć skrzydła. Była odważna, musiał to przyznać. A także seksowna i urocza. Niezależnie jednak od tego, jak szeroko rozpostarłaby te skrzydła, i tak nie dorówna jego życiowemu doświadczeniu.

Ani trochę.

Mallory była czysta, niesplamiona i niezblazowana. Całkowite jego przeciwieństwo. Była dla niego zbyt dobra. Zdecydowanie za dobra, nawet jeśli gotowa zaryzykować. Zasługiwała na więcej niż to, co on może zaoferować. Powinien po prostu odejść. Przecież i tak lada dzień stąd wyjedzie, może nawet w ciągu tygodnia. Żegnaj, mała.

Powtórzył to sobie kilka razy, po czym podążył za nią korytarzem.

Mallory szła po schodach, przeklinając szpilki uciskające jej palce. Jane posłała ją po antyczną wazę, która przez przypadek nie została włączona do aukcji.

Wiedziała, że to rodzina Jane pomagała wybudować Vet's Hall w

latach czterdziestych. Najwyraźniej zaginiona waza przez te wszystkie lata stała przy wejściu, aż do zeszłej wiosny, kiedy to budynek przechodził renowację. Nie wróciła już na swoje miejsce i Jane postanowiła się jej teraz pozbyć.

A Mallory musiała ją tylko odnaleźć.

Drugie piętro miało dwa skrzydła. Pomieszczenia po jednej stronie zostały zagospodarowane przez centrum rekreacyjne i różnego rodzaju stowarzyszenia, na przykład miejscowy Booster Club. Druga strona służyła jako ogromny, zamknięty składzik. Mallory weszła do środka rupieciarni i włączyła światło. Lampy na suficie oświetliły pomieszczenie i galerię, na której upchnięto całą masę zbędnych rzeczy. Można tylko było mieć nadzieję, że nie trzeba się będzie tam wspinać w sukience i tych irytujących butach na obcasie, by poszukać wazy.

W środku było ciepło, ciasno, pachniało zapomnieniem. Mallory rozejrzała się dokładnie i poczuła ukłucie paniki na myśl, że aby odnaleźć wazę, należy się przekopać przez to wszystko. Na ściennych półkach leżały rekwizyty teatralne i elementy scenografii oraz szeroki wybór rozmaitych drobiazgów, których przeznaczenia nie potrafiła odgadnąć.

Nie było tam jednak ani jednej wazy.

Przeszła obok półek, minęła dwie sztuczne choinki i zatrzymała się przy stosie pudeł opartych o drugą ścianę. Założyła, że nikt nie położyłby cennej wazy na stosie kartonów i ruszyła dalej, rozglądając się uważnie dokoła. Pośrodku pomieszczenia stały regały, a na nich leżały cenniejsze rzeczy, takie jak sprzęt biurowy, i – na szczęście!

– na końcu jednej z półek, wysoka waza, wyglądająca dokładnie tak, jak opisała ją Jane. Mallory nie mogła uwierzyć własnym oczom. Podniosła naczynie, odwróciła się, by wrócić na przyjęcie i weszła prosto w mur.

Murem okazała się męska pierś.

Ty.

Pojawił się znikąd, przeraziwszy Mal niemal na śmierć. Waza wypadła jej z rąk i gdyby jej nie złapał, rozbiłaby się na podłodze.

Seksowny garnitur dodawał mu wyrafinowanego powabu, nie był jednak w stanie ukryć otaczającej go aury złego chłopca. Ty miał nieco zmierzwione włosy, jakby wciąż przeczesywał je palcami; to zmiękczyłoby wygląd każdego innego faceta, lecz nie tego. Mallory nie dała się zwieść. W nim nie było nic łagodnego. Ty oznaczał kłopoty, wiedziała to doskonale.

– Co ty tu robisz? – sapnęła, przyciskając dłoń do galopującego serca.

– A co ty tu robisz?

Wyrwała mu wazę z rąk.

– Pracuję.

– Cóż, w takim razie pomagam mojej towarzyszce wieczoru pracować.

– Nie jesteśmy na randce. Nawet nie wiedziałeś, że jesteśmy umówieni.

Spojrzał na nią rozbawiony.

– Czyli jesteś jedną z tych kobiet, które długo żywią urazę?

– Nie! Ja...

Nagle, gdzieś za nimi, otworzyły się drzwi.

– Halo? Mallory, moja droga?

– Niech to szlag! – szepnęła przerażona dziewczyna.

– To Lucille.

– Mama kazała ci nie przeklinać?

Zmrużyła powieki.

– Mallory? – zawołała Lucille.



Mallory zakryła usta dłonią.

– Juhu... Widziałam, jak twoja gorąca randka skrada się tutaj za tobą. Chciałabym tylko zrobić wam zdjęcie na naszą stronę.

O, nie. Nie, nie, nie... Mallory okręciła się na pięcie w ciepłym, zakurzone, zatłoczonym składziku, szukając miejsca, w którym mogłaby się schować.

Ty chyba dostrzegł jej panikę, bo przyłożył palec do jej ust, nakazując milczenie, wyjął wazę z rąk dziewczyny, ujął ją za nadgarstek i pociągnął za sobą w ciemny kąt.

Szła za nim na palcach, by uniknąć stukania obcasów, gdy nagle Ty przycisnął ją do ściany.

– Ciii – szepnął jej do ucha.

Zamarła. Zrozumiała. Musiała mu zaufać. Gdy poczuła jego wargi tuż przy uchu, przeszył ją niespodziewany dreszcz.

– Mallory? – zawołała Lucille.

Ty przełączył się w tryb 007. Oczami zbadał otoczenie, jego ciało napięło się w gotowości. Otworzył skrzynkę w ścianie, której Mallory nawet nie zauważyła, wyjął coś z kieszeni i włożył to do środka. Po chwili zgasły wszystkie światła.

Dziewczyna niemal pisnęła ze zdumienia, ale w ostatniej chwili zakryła jej usta dłonią. Ten gest w połączeniu ze sposobem, w jaki przyciskał ją do ściany, wywołał w Mallory prawdziwe tsunami całkowicie nie stosownych uczuć.

– Nie ruszaj się – polecił cicho. Gdy skinęła głową, zniknął.

No, może nie do końca.

Podskoczyła, czując na kostkach jego dłonie. Klęczał przed nią i ściągał jej buty. Zamachała rękami, by odzyskać równowagę i uderzyła go

przypadkiem w głowę. Usłyszała cichy śmiech; znów chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Nic nie mogła dostrzec, Ty jednak najwyraźniej nie miał takiego problemu. Kierował nią z widoczną swobodą, nawigując w labiryncie składziku, jakby widział w ciemnościach. Skręcali i wciskali się w różne kąty; jego ręce zsunęły się na jej biodra, prowadząc ją dokładnie tam, gdzie chciał, by szła, i uważając, by na nic nie wpadła. Mallory nie miała pojęcia, jakim cudem on zauważa cokolwiek ani dokąd zmierzają, jednak podążała za nim.

Na oślep.

Lepsze to niż alternatywa.

Za każdym razem, gdy się zatrzymywali, przyciągał ją do swego wielkiego, ciepłego ciała, aż w końcu zaczęła tego wyczekiwać.

Tęsknić za tym.

– Mallory? – Tym razem głosowi Lucille towarzyszył rozbłyśk nikłego światła.

Dobry Boże! Używała takiej samej aplikacji jak Grace!

– Och, na litość boską...

Poczuła na ustach ciepłe wargi.

– Ciii.

Tak. Ciii. Pod Mallory ugięły się kolana. Ty trzymał ją za jedną rękę, która teraz została uwięziona pomiędzy ich ciałami, druga jednak pozostawała wolna. Dziewczyna przesunęła nią po jego torsie i otoczyła jego szyję, po czym wplotła mu palce we włosy. To dla utrzymania równowagi, wmawiała sobie.

– Jak bardzo chcesz jej uciec? – zapytał, akcentując każdą sylabę. Postawił wazę na półce i uwolnił dłonie Mallory. A ona zakołysała się i zacisnęła palce na jego włosach. Pytanie zrozumiała dopiero po dłuższej

chwili. Jej mózg ewidentnie nie pracował już na pełnych obrotach.

– Mallory.

Boże, uwielbiam dźwięk mego imienia w jego ustach! I to uczucie, które ogarnia mnie zaraz potem, ospale, lecz zarazem ekscytujące ukłucie zniecierpliwienia. Mallory nie czuła się już znudzona ani smutna.

– Hm?

– Jak bardzo?

Jak bardzo go pragnie? Bardzo.

Sapnął lekko – chyba się roześmiał? – otoczył ją ciasniej ramionami i odsunął od siebie, zaciskając jej palce na czymś, co była chyba zimną stalą.

– Trzymaj się – szepnął i stanął za plecami Mallory, przyciskając bicepsy do jej ramion, a tors do jej pleców.

W umyśle dziewczyny zapanowała pustka, kontrolę przejęło ciało. Nagle zwilgotniała, uderzona szaloną myślą, by zrobić to teraz, tutaj, właśnie tak. Od tyłu.

– Do góry – poleciał i fantazja znikła. Nie, nie chciał seksu. Wskazywał na drabinę i chciał, by się na nią wspięła.

Dobrze, że było ciemno, bo dzięki temu Mallory zdołała ukryć krwisty rumieniec, który wypłynął na jej twarz. Podciągnęła się, wyjątkowo świadoma faktu, że jej pośladki znalazły się na poziomie jego twarzy, a chwilę później tuż ponad nią.

Najwyraźniej doskonale widział w ciemnościach. A to oznaczało, że zagląda jej teraz pod sukienkę. Mallory miała na sobie nowiutkie, jedwabne, czarne figi, jej najlepsze, nie wiedziała jednak czy to dobrze, czy źle.

Drabina prowadziła na galerię. Światło księżyca wpadało tu do środka przez okrągłe okno, oświetlając kolejne kartony, kanapę i duży stół z krzesłami. Na stole leżało jeszcze więcej przedmiotów. Oprawione zdjęcia,

puste żardyniery i cała masa innych drobiazgów. Wszędzie.

Odsunęła się, by Ty mógł wejść na górę, miejsca było jednak tak mało, że Mallory straciła równowagę i upadła na kanapę.

A Ty zaraz za nią.

W tamtą burzową noc też pod nim leżała, tym razem było jednak inaczej. Rozkosznie inaczej. Gdy o tym pomyślała, wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Przykrył jej usta dłonią i przesunął się nieco, uwalniając od swego ciężaru. Pomiedzy jej nogami tkwiło jego udo. O słodki Jezu! Mallory natychmiast przestała się śmiać i jęknęła. Całkiem bezwiednie, zupełnie przypadkiem wyrwał się z jej gardła dźwięk pełen pragnienia i tęsknoty. Cholernie głośny.

Ty wzmocnił uścisk i oboje zamarli, wykręcając szyje, by dojrzeć coś na dole. Podążali wzrokiem za nikłym źródłem światła w dłoniach Lucille.

Mężczyzna zabrał dłoń z ust Mallory.

– Jeśli nie zdoła wejść tu po drabinie, jesteśmy bezpieczni. Może się podda i wyjdzie?

Tak. Tak, tu było bezpiecznie. Albo bardzo niebezpiecznie. W zależności od punktu widzenia.

Ty leżał nieruchomo jak głaz, niczym rozgrzany blok testosteronu i mięśni. Mallory czuła się przy nim nieco bezsilna, bezradna. I naprawdę podobały się jej te uczucia.

Bardzo.

Co jeszcze? To, że za każdym razem, gdy brał oddech, jego udo napierało na nią, sprawiając, że ciało dziewczyny zaczynało rządzić się zupełnie innymi prawami niż jej mózg.

Szczerze mówiąc, ogarnęła je dzika żądza.

– Ona się nie podda... – wyszeptała bez tchu.

– Patrz.

Znów się poruszył – o, Boże, to udo! – wyjął coś z kieszeni i rzucił.

Moneta upadła na podłogę dokładnie po drugiej stronie składziku, tuż obok drzwi. Zabójcza precyzja.

Naprawdę potrafił rzucać.

– Och! – zawołała podekscytowana Lucille, okręcając się na pięcie. – Uciekasz, mądralo. Kurczę blade!

Przez chwilę obserwowali, jak strumień światła przesuwa się ku drzwiom, a potem znika.

Zapanowała cisza.

Zakłócana jedynie przez głośnie bicie serca Mallory, leżącej na galerii pod Panem Nieodpowiednim. Jej zdrowy rozsądek krzyczał: „Uciekaj!”, a zakamuflowana dotąd niegrzeczna dziewczynka wołała: „Och, proszę, czy nie mogę go mieć? Tylko raz?”.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Trudna kwestia.

– Masz imponujące umiejętności. Czuję się jak dziewczyna Bonda.

– Ty też byłaś całkiem niezła. Obraz ciebie mknącej na górę po tej drabinie będzie mnie nawiedzał w snach jeszcze bardzo długo.

Więc rzeczywiście widzi w ciemnościach...

Oboje leżeli w sączącym się przez okno blasku księżycy, więc Mallory też go widziała. Przygryzła dolną wargę, bo czuła również. Czuła go całego. Jej piersi rozpląszczyły się na jego torsie, próbując wydostać się z oków sukienki. Dziewczyna nie była pewna, czy Ty to zauważył, po chwili jednak pochylił głowę, niemal muskając wargami odsłoniętą skórę. Mallory wciągnęła gwałtownie powietrze, Ty zaczął się wiercić.

Tak. Zauważył. Zdecydowanie.

– Mam doświadczenie w chodzeniu po drabinie

– oświadczyła bez zastanowienia.

– Tak? – zapytał zaintrygowany. – Często chodzisz po drabinie na ostrym dyżurze?

– Och, nie. – Zdenerwowanie sprawiło, że Mallory znów się roześmiała. I wygadywała bzdury. – Musiałam oczyścić rynny zeszłej jesieni, zanim nadeszły deszcze. Prawie spadłam, gdy znalazłam w nich pająka rozmiarów pięści, zdołałam się jednak nie zabić.

Usłyszała niski śmiech.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Dlaczego wybrałem drabinę? Można było uciekać tylko w górę.

– Nie. Dlaczego w ogóle pomogłeś mi się schować? Dzięki, tak przy okazji. W sumie mnie uratowałeś. – Znowu.

Pogłaskał ją po ramieniu, zacisnął palce na jej biodrze. I zszokował ją jeszcze bardziej, zsuwając dłoń niżej i obejmując pośladki.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Słowa i dotyk sprawiły, że ciało Mallory niemal się rozpląnęło. Palce zaciskające się na jej pupie prowokowały do wicia się pod nim i kołysania biodrami.

Niegrzeczna dziewczynka, którą odnalazła w sobie całkiem niedawno, nagle przejęła kontrolę i Mallory zrobiła właśnie to, co dyktowało jej ciało.

Ty znieruchomiał. A ona nie była pewna, jak rozumieć ten bezruch, czuła jednak rzeczy, których nie doświadczała od dawna i nie zamierzała przestać. Poruszyła się ponownie.

– Mallory... – W niskim, podniecającym głosie usłyszała ostrzeżenie. Bardzo poważne ostrzeżenie.

Marzyła o pocałunku, lecz sposób, w jaki wymówił jej imię, sprawił, że zapragnęła więcej. Zapragnęła rzeczy, których nawet nie potrafiła nazwać. Poruszyła się z nadzieją, że Ty zrozumie wiadomość, mimo iż Mallory dopiero od niedawna praktykowała bycie niegrzeczną. Amy ma rację – potrzebuję kilku lekcji. Koniecznie trzeba poruszyć ten temat na kolejnym spotkaniu czokoholiczek. A na razie zdam się na instynkt, postanowiła.

– Tak?

– Czy ty się do mnie dobierasz?

– Cóż, technicznie rzecz biorąc, ty leżysz na mnie, więc chyba to ty dobierasz się do mnie?

Jęknął, przycisnął czoło do jej czoła i cicho zaklął pod nosem. Powinna była to przewidzieć.

Nie chce jej.

Doprawdy doskonale! Wspaniale zakończenie uroczego wieczoru! Przerażona i upokorzona Mallory zaczęła odpychać mężczyznę.

– Przepraszam, chyba uległam nastrojowi chwili. Nie jestem w tym najlepsza, jak widać. – Nawet nie drgnął, więc znów go popchnęła. – Przepraszam.

Lekko wzmocnił uścisk.

– W czym konkretnie nie jesteś najlepsza? – zapytał.

– Serio? Naprawdę muszę to powiedzieć?

Milczał. Mallory westchnęła.

– W wywieraniu wrażenia na mężczyznach. Nie pociągam ich. A teraz, gdybyś mógł ze mnie zejść...

Ty uniósł brodę i wsunął rękę pod jej głowę. W jego oczach błysnął żar.

– Ty pierwsza – powiedział szorstkim, chrapliwym głosem.

Zachłysnęła się z emocji, a on wykorzystał moment i pocałował ją. Jego wargi nacierały, aż oddech znów uwiązł w gardle Mallory, tym razem z czystej przyjemności.

Wtedy rozpętało się prawdziwe szaleństwo. Usta Tya była stanowczo i wygłodniałe, jego język musnął jej język i – Boże...! Mallory już niemal zapomniała, że można się tak całować, jakby na całym świecie to ona była najważniejsza. Przeszyła ją fala rozkoszy, przynosząc zapomniane miękkość i kobiecość.

Ty uniósł głowę, a dziewczyna uświadomiła sobie, że dotyka jego twarzy. Zarost na szczęce drażnił opuszki jej palców.

– Mam nadzieję, że to jasne: bardzo mnie pociągasz.

Mallory uwierzyła. W końcu na swoim biodrze czuła twardy dowód.

– To chyba przez te twoje oczy...

Popatrzyła zaskoczona nieoczekiwanie romantycznym wyznaniem. A potem zatoneła w jego pałających źrenicach. Po chwili znów się całowali, a Mallory przestała myśleć, bo Ty okazał się najwspanialszym w świecie ekspertem od pocałunków. Zagubiła się w nich, ciesząc się tym, że on wcale się nie śpieszy, że nie całuje, by osiągnąć określony cel. To całowanie było aktem samym w sobie. Gdy w końcu się od niej oderwał, gwałtownie wciągnęła powietrze. Odsunął się nieco, a ona przywarła doń odruchowo.

– Zaczekaj... To już koniec?

Opuścił głowę i potarł brodą jej szczękę.

– Tak.

– Ale... Dlaczego?

Jęknął cicho.

– Bo nie jesteś kobietą, która nadaje się do uprawiania seksu w



składziku z nieznajomym, podczas gdy czeka na nią szefowa.

Cóż, jeśli tak to ująć... A niech to. Niegrzeczna strona natury Mallory zrejterowała ponownie.

„Wydaje ci się, że nie zasługujesz na szczęście”.

Słowa Amy. Nie, Mallory nie była kobietą, która otworzyłaby serce przed nieznajomym, a co dopiero taką, która oddaje mu swoje ciało.

Nie chodzi jednak o jej serce.

A Ty nie jest już nieznajomym. Jest facetem uprzejmym i skorym do pomocy. Wielokrotnej. Facetem, który właśnie obdarzył ją najwspanialszym na świecie pocałunkiem.

Zapra gnęła, by stał się tym, który uwolni ją od niepokoju i samotności.

– Dzisiaj jestem – oświadczyła, przytulając się do niego.

– Mallory. – Spojrzał na nią. Księżyc oświetlił jego rysy. – Nie jestem fanem długoterminowych zobowiązań. Do licha, nie wiąże się nawet na krótko.

– Ja chcę tylko tego. Teraz. Tutaj. Z tobą.

Znów na nią spojrział, po czym jęknął szorstko, po męsku. Przywarła doń, próbując nakłonić do zmiany postanowienia.

– Chryste, te twoje oczy... Chodź tutaj! – Wcisnął ją w kanapę i zaczął znaczyć wargami mokry ślad od jej szyi do obojczyka.

Najwyraźniej nie kwestionował decyzji, które już podjął. Dobrze wiedzieć. Gdy napotkał przeszkodę w postaci sukienki, nie zniechęcił się. Szybko zsunął ramiączka z ramion Mallory aż po łokcie, pętając nimi jej rękę i obnażając piersi jednym zwinnym ruchem.

Najwyraźniej nie lubił niepotrzebnie marnować energii. Dobrze wiedzieć.

Jęknął gardłowo z podziwu. Pochylił się nad jej piersiami, poświęcając

sutkom tyle uwagi, że Mallory zaczęła się wić, zanim dotarł do jej brzucha.

– Taka miękka... – wymruczał, oddechem pieszcząc jej skórę. Nie okazał jednak delikatności, gdy stwardniałymi od pracy palcami zadarł jej sukienkę aż do talii. Spojrzał na czarne figi, znów jęknął z podziwu, a potem odsunął wąski pasek jedwabiu. Obnażył wszystkie sekrety Mallory. Opuścił głowę i przywarł ustami, wargami i językiem, nakłaniając, by dziewczyna wygięła się ku niemu. Wystarczyło parę minut, a zaczęła krzyczeć, zaciskając palce na jego włosach. Pod powiekami Mallory eksplodowały gwiazdy.

Wciąż jeszcze wstrząsały nią dreszcze, gdy zdejmował marynarkę, rozpiął pasek, rozporek i zakładał prezerwatywę. Jęknęła, a kiedy wdarł się w nią, niemal straciła oddech. Dał jej chwilę na przywyknienie, a potem jego usta odnalazły jej wargi. Mallory poczuła na jego języku własny smak. Doznanie było tak zmysłowe, tak dalekie od tego, czego doświadczała dotychczas, że zdołała jedynie wbić paznokcie w jego plecy i przywrzeć całym ciałem.

Pochłaniał jej krzyki, wchodząc w nią; uniósł jej nogę i otoczył się nią w pasie, by móc wedrzeć się jeszcze głębiej.

Bardzo jej to odpowiadało. Bardzo. Mallory, która nie przeżyła dotąd niczego podobnego, zatoneła w zachwycie. Był potężny, pierwotny i gdyby aż tak bardzo nie dbał o to, by dotrzymała mu kroku, chyba zwątpiłaby w siebie. Zamiast tego uniosła się, by wyjść mu naprzeciw, zdolna jedynie odczuwać pchnięcia, które znów prowadziły ją na skraj przepaści. Jego twardą męskość w swoim wnętrzu, język naśladowujący ruchy jego ciała, gdy brał ją w posiadanie. Gdy ponownie zaczęła dygotać, dołączył do niej, wstrząsany spazmami. Zacisnął palce na jej biodrach i całkowicie oddał się rozkoszy.

W niej.

Ta świadomość po raz kolejny niemal doprowadziła Mallory do orgazmu, podobnie jak niski, ochryply, bardzo męski jęk, który wyrwał się z jego gardła, gdy Ty doszedł. Oderwał wargi od jej warg i ukrył twarz w zagięciu jej szyi. Szerokie ramiona unosiły się i opadały, gdy próbował odzyskać oddech.

Wciąż głęboko w niej, uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

– Co się stało? – szepnęła.

– Chciałem się upewnić, że wszystko w porządku. Uśmiechasz się.

– Wcale nie. – Uśmiechała się. Boże, jak szeroko! Zapewne wiele dni upłynie, zanim zdoła zetrzeć z twarzy ten uśmiech. Dobrze, że wzięła sobie rady czokoholiczek do serca. Dzięki nim właśnie uwiodła Pana Nieodpowiedniego.

W składziku.

Jeszcze jeden dowód na to, że Pan Nieodpowiedni jest dla niej całkowicie nieodpowiedni. Nigdy dotąd Mallory nie uprawiała seksu bez zobowiązań. Przygotowała się na ukłucie winy.

Nic podobnego nie nastąpiło.

W zasadzie czuła się zdumiewająco fantastycznie.

– Żadnych wyrzutów sumienia – szepnęła.

Spojrzał na nią zaintrygowany i prawie się uśmiechnął.

– Podoba mi się twój sposób myślenia.

Musnęła palcem opatrunek na jego czole i siniak na policzku.

– Przepraszam, że rąbnęłam w ciebie telefonem. Myślałam, że mnie atakujesz.

Pokręcił głową i uśmiechnął się naprawdę.

– Tego nie pamiętam.

– Ups. W takim razie nieważne. – Mallory usłyszała na dole huczne oklaski i nagle sobie przypomniała. Aukcja! – O, mój Boże, musimy iść! Ty pierwszy. Szybko!

– Popchnęła Tya, lecz ten ani drgnął.

– Nie zostawię cię tutaj.

– Oczywiście, że zostawisz! Nikt nie może zobaczyć, jak wychodzimy stąd razem. – Na samą myśl Mallory ogarnęła panika. Znów go szturchnęła. – Idź już. Pośpiesz się!

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę, ani myśląc się pośpieszyć; pochylił się, przycisnął usta do jej wilgotnej skroni. W końcu się odsunął. Pomógł Mallory poprawić ubranie, a potem doprowadził do ładunku własne.

Wciąż jeszcze leżała bez ruchu na kanapie, gdy zniknął, pokonując ostatni szczebel drabiny. Rozpłynął się w powietrzu, dając jej wcześniej dokładnie to, o co prosiła. Tak po prostu. Tutaj. Teraz.

Nagle było po wszystkim.

## ROZDZIAŁ 7

*Nie ma słodszej pocatunku niż czekoladowy.*

Tej nocy Ty spał mocno, bez snów, najwyraźniej ukołyszany błogością po seksie z Mallory. Seks okazał się lekiem na koszmary. Dobrze wiedzieć.

Jego ranoek wyglądał tak samo, jak zwykle. Spotkanie z Mattem na plaży, przepłynięcie paru kilometrów. Nagle przyjaciela złapał skurcz.

Tyowi, który był już dość daleko w przodzie, serce podeszło do gardła. Zawrócił i wyciągnął Matta z wody.

Ten, ledwie żywy, padł na piasek, a Ty wziął się za rozmasowywanie jego łydki. Wkrótce skończył i położył się obok.

– Wystarczy.

Matt łapczywie łapał powietrze.

– Masz rację. W wodzie jesteś cholernym zwierzęciem. Normalny człowiek nie jest w stanie pływać tak długo w takim tempie.

– Wystarczy. Niemal się utopiłeś.

– Cóż... – Uśmiechnięty Matt uniósł się nieco.

– Dzięki tobie skończyło się zaledwie na podtopieniu...

– Do diabła, ja nie żartuję. Nie będziesz już ze mną pływał.

Uśmiech przyjaciela zbladł. Matt przez chwilę przypatrywał się Tyowi z poważną miną.

– Wiesz, że nie wszyscy twoi znajomi muszą umrzeć, prawda?

– Zamknij się.

– Co cię dziś napadło? Przecież wczoraj bawiłeś się całkiem dobrze.

Widziałem nawet, że raz zdołałeś uśmiechnąć się do Mallory...

Mallory. Dobry Boże, Mallory! Ty oparł się na łokciach, wstał i

pomimo drżenia nóg poszedł przed siebie.

– Miło się gawędziło! – zawołał za nim Matt.

Nie odwracał się, szedł w stronę domu. Chciał podbiec, jego noga miała jednak inne zdanie. Poirytowany, postanowił iść na granicy fal, gdzie piasek był najbardziej miękki i grząski. Żeby było jeszcze trudniej.

Zadziałało. Ty chciał poczuć ból, by przypomnieć sobie, po co, do diabła, przyjechał do tej dziury. Nie po to przecież, by flirtować ze słodką, ciepłą, hojną, seksowną jak diabli Mallory Quinn.

Dobry Boże, miała wszystkie te cechy i znacznie więcej! I naprawdę dała mu kopa. Ilekroć myślał, jak wyglądała, leżąc pod nim na tamtej kanapie, twardniał.

Idiotyzm. To, co zrobił poprzedniego wieczoru, przekraczało wszelkie granice głupoty. Wiedział o tym. Było też samolubne. Tya nie tłumaczyło nic, nie licząc faktu, że dziewczyna zaskoczyła go otwartością, szczerością i słodyczą. Powinien był ją zignorować. Chciał to zrobić. Niestety, nie dał rady.

Teraz do listy swoich wad mógł dopisać także bycie dupkiem. Wykorzystanie Mallory poprzedniego wieczoru było naprawdę kretyńskim posunięciem. Ona była... Cóż, wszystkim, czym on nie będzie nigdy.

Tak czy siak, nie zasłużyła na takie traktowanie. Zapewne już go za to znienawidziła.

Ty uznał, że czas na długi, gorący prysznic. Ubrał się, łypiąc okiem na pustą buteleczkę po vicodinie, stojącą na komodzie (to był jego rytuał, to gapienie się). W końcu wsunął buteleczkę do kieszeni, jak zwykle pragnąc mieć ją pod ręką jako przypomnienie. Memento, że należy zachować jasny umysł i nie zapominać o wyznaczonym celu – powrocie do gry.

Z tą myślą udał się na spotkanie z lekarzem.

– Wyglądasz lepiej – oświadczył Josh godzinę później, oglądając najnowsze zdjęcia nogi pacjenta.

– Lepiej się czuję – odparł Ty, kłamiąc w żywe oczy. Po porannym treningu bolało go wszystko.

Nie zwiódł jednak lekarza, który utkwiał w nim poważne spojrzenie.

– Jestem już gotów do lepszej służby.

– Aha. – Josh odchylił się na oparcie fotela, nie odrywając wzroku od Tya. – Lepszej niż co? Wyskakiwanie z helikopterów, ratowanie dygnitarzy?

Tu właśnie tkwiło sedno problemu: fakt, że jego szefowa wysłała go na urlop, dopóki lekarz nie uzna go za w pełni zdrowego. Dzięki Frances Josh wiedział o nim stanowczo zbyt dużo. Ty odetchnął głośno. Nie, to nie jest wina Josha. Scott jest dobrym facetem, którego w innych okolicznościach można byłoby uznać nawet za przyjaciela...

Gdyby Ty miał jakichkolwiek przyjaciół. Ale nie miał. Pozwolił im umrzeć na szczycie góry, cztery lata temu.

Kim w takim razie jest Matt?, odezwał się uprzykrzony głos w jego głowie. Kim jest Mallory?

To przypadki.

– Posłuchaj... – Josh pochylił się ku pacjentowi.

– Chcesz się stąd wyrwać. Rozumiem to. Jesteś już blisko. Zaczekajmy jednak jeszcze tydzień, dobrze?

Kolejny cholerny tydzień. Wściekłość w niczym nie pomoże. Okej, wykorzystam ten tydzień i skończę pracę nad samochodami Matta i swoim. Bo przecież bez niego nigdzie się stąd nie ruszy.

– Dobra. Ale ty jej to powiesz.

– Frances? – Josh uśmiechnął się ponuro. – Z chęcią.

Gdy Ty wrócił do domu, zauważył na telefonie mrugającą lampkę, zwiastującą nieodebrane połączenia. Usunął wszystkie bez sprawdzania, a potem poszedł do garażu. Popracował chwilę nad jimmym, po czym poświęcił całą uwagę swojej prawdziwej miłości, shelby'emu, przerywając pracę tylko po to, by poszukać części w Internecie.

Jego spokój zburzył mejl od Matta, z linkiem w treści.

Oto Ty znalazł się na Facebooku. W zasadzie miał swoją podstronę z mapą miejsc, w których go widywano, i z najnowszymi wiadomościami. Jako „Tajemniczy Przystojniak”.

Po czymś takim każdy facet obudziłby się zlany potem...

Tyle że Ty miał już przecież koszmary.

Pracował, aż zaczął mu doskwierać głód, a wtedy pojechał do centrum. Lucky Harbor leżało w kamienistej zatoczce. Architektura miasteczka była osobliwą, eklektyczną mieszanką starego i nowego: przy głównej ulicy stały budynki w stylu wiktoriańskim, pomalowane jaskrawymi farbami, w których mieściły się sklep spożywczy, poczta, stacja benzynowa i sklep z narzędziami. Za nimi skręcało się na plażę i długie molo z małymi kramami, pasażem handlowym, diabelskim młynem i kafejką.

Zjedz Mnie wyglądało jak żywcem przeniesione z Mayberry. Tyle że w Mayberry Ty nie uprawiałby seksu w Vets' Hall na strychu, podczas gdy na dole bawi się całe miasto...

Zerknął na nowe drzwi, wszedł do środka i usiadł przy barze. Amy w milczeniu naląła mu kawy do kubka. Taki mieli zwyczaj; zachowywali się wobec siebie tak samo od miesiący, rozmawiali rzadko. Ty doceniał małomówność kelnerki i lubił ją zdecydowanie bardziej niż wiecznie niezadowoloną właścicielkę knajpki. Jan go przerażała.

Teraz Amy podsunęła mu lokalną gazetę i stanęła obok.



Ty powoli przesunął okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy i spojrzał niewzruszony na kobietę. Irytację miała wypisaną na twarzy. Tego dnia włożyła czarny podkoszulek ozdobiony na przedzie jakimś chińskim symbolem i obowiązkowy różowy fartuszek z falbankami, który zupełnie nie pasował do jej krótkiej dżinsowej spódnicy, botków i ogólnie bojowego nastawienia. Podbródkiem wskazała na prasę.

AUKCJA SZPITALA MIEJSKIEGO OKAZAŁA SIĘ WIELKIM SUKCESEM, głosił nagłówek.

To dobrze, pomyślał, a potem przeczytał pierwszy akapit, w którym wszelkie zasługi przypisano pielęgniarce, a zwłaszcza Mallory Quinn, która wraz ze swym nowym chłopakiem postawiła na nogi całe miasto, rozpoczynając licytację z przytupem.

Przeczytał artykuł ponownie. Nowy chłopak? Tajemniczy Przystojniak? Posłał Amy spojrzenie nakazujące jej skończyć z tymi bzdurami i nie robić sobie z niego jaj. Groźne spojrzenie Tya było powszechnie znane i bardzo skuteczne.

Na Amy nie zrobiło żadnego wrażenia.

Złożył gazetę i odepchnął ją od siebie.

Przesunęła ją ku niemu jednym palcem.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zapytał.

– Parę rzeczy, w zasadzie. Po pierwsze, Mallory jest moją przyjaciółką. Niedawno zachęciłam ją, by wprowadziła w swoje życie pewne zmiany. Ty jesteś taką zmianą. Oby tego nie pożałowała.

Ty nie był przyzwyczajony do gróźb, nieważne, z jak słodkich ust padały; nigdy się nie bał. Wychowywało go dwoje wojskowych, na zmianę, w zależności od tego, które z nich było w domu, a które na misji. Kochali go, choć nie tolerowali słabości.

A jego obecna praca również wymagała przestrzegania zasad, dyscypliny, inteligencji i honoru.

To właśnie z honorem miał teraz kłopot.

Żył w odosobnieniu, nie szukał znajomych, a mimo to zyskał w tym szalonym miasteczku status celebryty, a, co gorsza, poznał Mallory. Która oczekiwała, że Ty pokaże jej niebezpieczną stronę życia.

Kiepski pomysł.

Najgorszy z możliwych.

A mimo to zrobił to i tak. Uległ oczom o barwie płynnej czekolady, choć wiedział, że nie pozostanie w Lucky Harbor długo.

– To duża dziewczynka – powiedział w końcu.

Amy wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym pokręciła głową i odeszła, mruczając pod nosem coś o facetach jako gatunku skażonym genetycznie.

Ty był skłonny przyznać jej rację. Gdy płacił za kawę, obdarzyła go jeszcze jednym potępiającym spojrzeniem.

Wszystko jasne.

Choć może nie wszystko. Wciąż jeszcze nie wiedział, czy weźmie pod uwagę jej ostrzeżenie.

Wrócił prosto do swego wielkiego, pustego domu. Włączył muzykę na cały regulator i zaczął majstrować przy shelbym. W lokalnej gazecie zobaczył ogłoszenie o sprzedaży tego auta pierwszego dnia po przyjeździe i nie zdołał się oprzeć.

Nie był w stanie oprzeć się pięknemu samochodowi. Ani, najwyraźniej, pięknej kobiecie...

Mallory uczestniczyła w zebraniu zarządu szpitala, razem z resztą personelu administracyjnego, w tym swoją szefową i matką. To miało być

najważniejsze spotkanie jej życia. A jednak jej myśli krążyły daleko stąd. A dokładniej: po pewnym składziku.

Wspomnienia stamtąd, o tym jak poczynął sobie Ty, sprawiały, że robiło się jej gorąco. Bardzo gorąco.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że rozebrała się przed nim tak szybko.

Cóż, ale przecież nie do naga, przypomniała sobie. Tak się śpieszyłam, że nie zdjęłam bielizny.

Ty po prostu odsunął ją na bok.

Na samo wspomnienie Mallory zwilgotniała. Boże. Nigdy wcześniej tak szybko nie stanęła w płomieniach... Bosko.

Wystarczyło siedem minut, by znalazła się w niebie. Jej nowy rekord.

Gdyby miała wybór, zrobiłaby to ponownie. W mgnieniu oka.

Oczywiście gdyby mężczyzna, który ją do tego nieba zabrał, nie zniknął nagle bez słowa. Oto nauczka, że nie należy uprawiać całkowicie niestosownego seksu z nieznanym, którego nazwisko poznało się ledwie dwadzieścia minut wcześniej.

Tak naprawdę jednak Mallory mogła myśleć wyłącznie o tym, ile ją ominęło. Boże, ominęło mnie tak wiele! Co gorsza, przekonała się, jak bardzo Ty ją pociągasz, i poważnie się obawiała, że przy następnym spotkaniu po prostu wepchnie go do najbliższej szafy, by zaliczyć rundę drugą.

I trzecią.

Zaczęła fantazjować. Co włożyć następnym razem? Może znów małą czarną? Ewidentnie mu się spodobała. A może zostawić bieliznę w domu i...

– Mallory?

Zamrugnęła, by odpędzić wizję Tya i swoich fig i dostrzegła przed sobą twarz niezadowolonej Jane.

– Suma? – zapytała przełożona tonem, który wskazywał, że pytanie

zostało powtórzone kilkakrotnie.

– Osiemnaście tysięcy. – Mallory zerknęła na trzymany w dłoni czek. Czek, z którego była szalenie dumna: całkowity dochód z aukcji. – Obiecywałeś, że zarząd przekaże dwadzieścia pięć procent na Centrum Usług Medycznych.

– Nie ma żadnego CUM. Jeszcze nie.

Mallory przygryzła wargi, by powstrzymać ciętą ripostę. Nie powinna okazywać słabości.

– Ale będzie. Dowiedliśmy takiej potrzeby.

– Czyżby?

– Tak. – Mallory, podczas swej przemowy, postanowiła patrzeć w oczy poszczególnym członkom zarządu, nieważne jak bardzo by unikali jej spojrzenia. Był wśród nich doktor Scott, rozczochrany i cudowny, jak zawsze; jego oczy pojaśniały. Nikt inny nie nawiązał kontaktu wzrokowego. Wzięła głęboki oddech. – Centrum jest bardzo potrzebne. W całym hrabstwie nie ma instytucji oferującej profilaktykę antynarkotykową, doradztwo dla ciężarnych nieletnich, porady dla kobiet czy pogotowie dla ofiar przemocy. Wszyscy to wiemy. Ostry dyżur wydaje mnóstwo środków na leczenie pacjentów, którym centrum pomogłoby o wiele skuteczniej.

– Masz na myśli ludzi, którzy nie mogą lub nie zamierzają płacić – oświadczył Bill Lawson, przewodniczący zarządu. Wysoki, szczupły i wysportowany, wyglądał na czterdzieści lat, choć w istocie miał o piętnaście więcej. Cechowało go przenikliwe spojrzenie, inteligencja i dbałość – przede wszystkim – o koszty. Słuchał jednak i za to Mallory była mu wdzięczna. Ta sprawa była dla niej naprawdę ważna. Gdyby znalazło się miejsce, które zapewniłoby jej pomoc, gdy tak rozpaczliwie jej potrzebowała, Karen wciąż by żyła.

Ludzie rzadko mówili o Karen i o tym, co się z nią stało, Mallory jednak nie zapomniała o niczym zamierzała dopilnować, by już nigdy żadna osiemnastoletnia dziewczyna nie poczuła bezradności i strachu, które stały się udziałem jej siostry.

– Zrobiliśmy analizę kosztów – kontynuowała, zwracając się już bezpośrednio do Billa. Szpital, leżący na granicy Lucky Harbor, obsługiwał całe hrabstwo, był jednak instytucją prywatną, kierowaną przez zarząd, który zazwyczaj ulegał woli przewodniczącego. A ona potrzebowała tego poparcia. – Centrum Usług Medycznych mogłoby się ubiegać o finansowanie z programów, do których szpital nie jest uprawniony. Napisałam już wnioski o granty. Jeśli zgodzicie się z moimi sugestiami i pozwolicie nam zająć dawne zachodnie skrzydło, sto procent dochodów centrum trafi do kieszeni szpitala.

– A to oznacza, że całkowita finansowa odpowiedzialność za centrum spadnie na nasze barki – wytknął Bill.

Już wiedział. I to mu się nie podobało.

– Tak – potwierdziła. – Jednak dzięki grantom i darowiznom centrum będzie samodzielne, a na dłuższą metę przyniesie oszczędności izbie przyjęć. Zebraliśmy już niemal cały budżet na pierwszy rok działalności.

– Brakuje wam dziesięciu tysięcy.

– Fakt, zapewniam jednak, że nie spocznę, dopóki nie zbierzemy tej sumy. To dobre rozwiązanie dla naszej społeczności, Bill, i po prostu należy to zrobić.

– Mallory urwała. – W tej sprawie nie dam wam spokoju – dokończyła.

– Nie dasz? – Bill pokręcił głową. – Posłuchaj, Mal – lory, popieram to, co próbujesz zrobić, jestem po twojej stronie. Powiedzmy sobie jednak

szczerze: proponowane przez ciebie programy przyciągną do Lucky Harbor określone... hm, grupy społeczne. Grupy, które zazwyczaj staramy się trzymać jak najdalej od miasta. I dlatego nie jestem pewien, czy mieszkańcy się z tobą zgodzą.

– Mieszkańców można przekonać. Są wśród nas ludzie w potrzebie, którą może zaspokoić tylko CUM.

Bill zamilkł. Mallory robiła wszystko co w jej mocy, aby nie zacząć się wiercić. Nie odniosła jeszcze sukcesu.

– Umówmy się tak – powiedział w końcu Bill. – Podczas zebrania rady miasta w tym tygodniu przedstawię nasze formalne stanowisko. A potem poproszę ją o opinię.

Ludzie chodzili na zebrania rady miejskiej jak do sklepu czy po benzynę. Po prostu robili to wszyscy. Jeśli Bill zapyta ich o opinie, dostanie ich całe setki.

– Jeśli odzew będzie pozytywny, wydam zgodę na miesięczny okres próbny dla CUM. Miesięczny, Mallory – powtórzył, gdy się uśmiechnęła. – Potem dokonamy ponownej oceny, w oparciu o faktyczne koszty. Jeśli po tym miesiącu zbierzesz brakującą część budżetu i nie pojawią się inne problemy, będziesz mogła zacząć działać. Jeśli nie, zrezygnujesz ze swojego pomysłu. – Posłał jej znaczące spojrzenie. – Czy jesteś w stanie się na to zgodzić?

Do głowy przyszła jej tylko jedna odpowiedź.

– Tak, proszę pana – oświadczyła z hamowanym entuzjazmem.

– I jeszcze jedno. Oby w tym twoim budżecie nie było środków na wycieczki do apteki, kupowanie leków dla pacjentów i dostarczanie im ich do domu.

Nawiązywał do jej wizyty w aptece dzisiejszego ranka, gdy odebrała

leki dla pani Burland i zawiozła je do jej domu. Oczywiście, musiał się o tym dowiedzieć. W Lucky Harbor była tylko jednak apteka, obok sklepu spożywczego, do którego chodzili wszyscy. Mallory mógł zobaczyć każdy, od farmaceuty po sprzedawców i klientów, bo ona nie kryła się z tym, co robi.

Pani Burland natomiast nie kryła się ze swoją opinią na temat Mallory.

– Spodziewasz się napiwku? – zapytała, gdy ta przywiozła jej leki. – Proszę bardzo, dam ci radę. Nałóż makijaż i zrób coś z tymi włosami. Bo nigdy nie złapiesz męża.

Na samo wspomnienie powieka Mallory zaczęła drgać, dziewczyna nie pozwoliła jednak zepsuć sobie humoru. Była znacznie bliżej otwarcia centrum niż kiedykolwiek wcześniej.

– Zrobiłam to w swoim wolnym czasie.

Bill skinął głową.

– Jeśli jakiś cudem rada miasta wyrazi zgodę, kiedy zdołasz rozpocząć działalność?

Mallory już od roku miała przygotowaną listę lekarzy i pielęgniarek z całego hrabstwa, którzy zgodzili się pracować w centrum jako wolontariusze.

– Uruchomimy placówkę natychmiast w ograniczonym zakresie. Kolejne usługi będziemy dodawać w miarę pozyskiwania zapasów i personelu.

– Oby to „natychmiast” naprawdę znaczyło „natychmiast”. Spodziewam się też cotygodniowego raportu na biurku.

– Dobrze, proszę pana.

Godzinę później Mallory wciąż tańczyła w izbie przyjęć z radości. W końcu mogła myśleć o czymś innym niż seksowny Ty, bo nadzieja na zgodę

radę miasta wcale nie oznaczała samej zgody.

Jednak i nad tym nie mogła się długo zastanawiać, bo na dyżurze panowało prawdziwe urwanie głowy. Wylew, diabetyk gubiący palce u stóp, członek gangu, który został postrzelony w Seattle i zdołał dojechać aż do Lucky Harbor, zanim postanowił tu umrzeć, dwóch pijaków i ból brzucha.

Pomiędzy pacjentami Mallory wisiała na telefonie, z nieśmiałą nadzieją na otwarcie centrum w następnym tygodniu.

Zanim trzy lata temu wybudowano nowe, w zachodnim skrzydle szpitala mieściła się izba przyjęć. Miejsce doskonale nadawało się na klinikę – miało łatwy dostęp i własny parking. Należało jeszcze je posprzątać i zaopatrzyć. Mallory potrzebowała też personelu w pogotowiu. Lista rzeczy, których potrzebowała i które musiała zrobić, ciągnęła się bez końca.

Gdy ziewnęła po raz dziesiąty, udała się na poszukiwanie kawy. Gdy w końcu usiadła na chwilę z kubkiem, czekając, aż kofeina zacznie działać, znów odpłynęła myślami do pewnego składziku... Duże, ciepłe dłonie, szorstkie i delikatne zarazem, muskające jej ciało...

– Mallory, moja droga. Co się dzieje w tej twojej ślicznej, małej głowie? Jesteś W Disneylandzie?

Mallory zamrugała, a wizja zniknęła, zastąpiona widokiem matki, która stała przed nią i uśmiechała się skonsternowana.

– Mówię do ciebie już trzeci raz. Tak samo było na posiedzeniu zarządu. Kochanie, nad czym ty tak dzisiaj dumasz?

O dźwiękach, które wydawał z siebie Ty podczas orgazmu. O niskim, szalenie męskim jęku, który nawet teraz wywoływał mrowienie...

– O deserze – mruknęła. – Myślę o deserze.

– Hm. – Ella spojrzała na córkę z powątpiewaniem, postanowiła jednak nie drażnić tematu. – Widziałaś gazetę?



– Chodzi ci o ten miejscowy szmatławiec, podający się za rzetelne źródło informacji? – Określił Tya mianem jej chłopaka. Czy ktoś w ogóle sprawdził fakty?

– Tak, widziałam. – Każda osoba, na którą Mallory natykała się tego dnia, podsuwała jej egzemplarz.

– Kochanie, moim zdaniem nie powinnaś aż tak ryzykować dla mężczyzny, o którym niczego nie wiesz.

– Nie chodzi o ryzyko, mamo. – Bo nie chodziło.

Przecież tak naprawdę nic nie ryzykowała, może tylko przyłapanie na dzikim seksie w miejscu publicznym... Jednak wtedy czuła się bezpieczna, w przeciwnym razie by tego nie zrobiła. Nie, zdaniem Mallory chodziło o to, że po raz pierwszy od wieków wykazała się egoizmem, sięgnęła po to, czego pragnęła. Tak, być może właśnie to wywołało burzę w jej życiu prywatnym. Dlaczego jednak martwienie się opinią innych ma być już zawsze jej życiowym celem?

Wszyscy tak mówią. Powtarzają też, że trzeba być grzecznym, by być kochanym.

– Mallory, szczerze mówiąc, to do ciebie niepodobne. Taka randka z nieznanym mężczyzną.

Tak, Mallory, co za szok! Horror. Taka grzeczna dziewczynka, a w końcu zapragnęła czegoś dla siebie! Jak śmiała?

– Nie umawiam się z nim. – Przynajmniej nie w takim sensie.

– W gazecie napisali...

– Nie umawiam się z nim – powtórzyła. Ty przestrzegł ją, że nie robi takich rzeczy. A jeszcze wyraźniej dał to do zrozumienia, znikając zaraz potem.

– Nie muszę się więc martwić?

– Nie. Chyba że lubisz farbować siwe włosy co trzy tygodnie.

Mama musnęła dłonią ciemną fryzurę na boba.

– Minęły już cztery, moja droga. Powinnam iść do fryzjera?

Właśnie wtedy do dyżurki wpadła bez tchu Camilla, ledwie dwudziestolatka po szkole pielęgniarstwa. Obecnie odbywała staż, w związku z czym spadały na nią najgorsze obowiązki. Między innymi przyjmowanie nowych pacjentów.

– On tu jest – wyszeptała z przejęciem, roztrzęsiona.

– W poczekalni!

– On? – zapytała Mallory.

Camilla energicznie pokiwała głową.

– On.

– Czy „on” ma jakieś imię? – zapytała kpiąco Ella.

– Tajemniczy Przystojniak!

Matka spojrzała na Mallory z ukosa, ta była jednak zbyt zajęta swoim zawałem serca, by zareagować. Po co przyszedł?

– Jest ranny czy chory?

– Pytał o doktora Scotta – odparła Camilla pośpiesznie. – Ale doktora Scotta nie ma.

Mallory wstała.

– Ja się nim zajmę.

– Jesteś pewna? Bo ja z chęcią...

– Jestem pewna.

Z bijącym sercem poszła korytarzem na izbę przyjęć, w myślach dokonując pobieżnej inwentaryzacji. Nie miała żadnych ohydnych ani niezidentyfikowanych plam na fartuchu, to plus. Nie pamiętała jednak, czy rano pomalowała rzęsy tuszem. I pożałowała, że podczas przerwy nie

zdążyła się uczesać.

Ty faktycznie siedział w poczekalni. Mallory nie zauważyła żadnych widocznych urazów. Odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i wyciągnął przed siebie nogę. Miał na sobie znoszone levisy i czarny podkoszulek, wyglądał jak uosobienie niebezpieczeństwa. Każdy na jego widok założyłby, że jest zrelaksowany, może nawet śpi, Mallory wyczuła jednak, że jest w nim tyle spokoju, ile w ujadającym ratlerku.

Otworzył oczy i spojrzał.

Szalenie zdenerwowana Mallory zerknęła na telewizor w rogu, gdzie właśnie leciała jakaś opera mydlana. Na ekranie piękna, ciemnowłosa kobieta molestowała w jacuzzi faceta o połowę młodszego od siebie.

– Och, Brad – dyszała i krzyczała. – Och, proszę cię, Brad!

Cudownie. Jakby cała sytuacja była nie dość niezręczna. Mallory pośpiesznie odwróciła wzrok i zaczęła szukać pilota, który gdzieś się zawieruszył. Oczywiście.

Ty bez słowa uniósł brwi. Nie musiał nic mówić. Podczas ich ostatniego spotkania wystarczył sam jego urok, by z szokującą wręcz łatwością pozbawić ją bielizny.

Okej, może nie chodziło o ten urok. Nie, zadziałało coś znacznie bardziej skutecznego: to przeszywające, pałające spojrzenie, które podniecało ją jak nic na świecie.

To również się nie zmieniło. Mallory właśnie skończyła zajmować się trzema ostrymi przypadkami, przy których jej puls nawet nie przyśpieszył, a teraz jej serce gwałtownie pompowało krew i łomotało tak, że niemal objało się o żebra.

Zostawił mnie, przypomniała sobie, ewidentnie nie zamierzając kontynuować znajomości. Jeśli można w ogóle tym mianem określić szybki

numerek w składziku.

Kobieta w telewizorze wciąż krzyczała. Zupełnie jakby brała udział w castingu do filmu porno.

– O, Boże, och, Brad, tak!

Klimatyzacja działała bez zarzutu, skąd więc u mnie te nagłe uderzenia gorąca?, zdziwiła się Mallory. Okręciła się na pięcie, rozpaczliwie szukając pilota, i w końcu dostrzegła go na krześle w kącie. Upłynęło przerażająco dużo czasu, zanim wyciszyła dźwięk, a gdy w końcu się udało, cisza, która zapanowała, okazała się jeszcze bardziej ogłuszająca niż okrzyki aktorki.

Czując na sobie wzrok Tya, Mallory przygryzła wargę. Nagle mogła myśleć tylko o tym, że sprawił, iż ona krzyczała podobnie...

Dobrze, że nie prosiła.

– Zaoferowałbym centa za twoje myśli – powiedział Ty. – Mam jednak wrażenie, że są warte znacznie więcej.

– O niczym nie myślę – odparła zbyt szybko. I od razu poczuła żar rumieńców na policzkach.

– Kłamczucha. – Wstał i podszedł do niej, a ona niemal przestała oddychać. Po prostu przestała. Niedobrze, bo naprawdę potrzebowała powietrza.

Powinna też wziąć się w garść.

Pochylił się ku niej. Jego wargi musnęły jej ucho.

– Nie byłaś tak głośna jak ona...

Mallory zamknęła oczy. Rumieniec stał się jeszcze bardziej gorący.

– Miły facet w ogóle nie podejmowałby tematu...

Ty wzruszył ramionami, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie uważa się za miłego faceta. Nigdy nie twierdził, że nim jest.

W poczekalni, rzecz jasna, nie było nikogo, ale po drugiej stronie

korytarza przy biurku siedziały Camilla i Ella. Żadna z nich nie udawała nawet, że zajmuje je coś więcej niż gapienie.

Mallory odwróciła się do nich plecami.

– W ogóle nie byłam głośna – szepnęła.

Dobry Boże! Przecież nie zamierzała o tym wspominać!

Ty nagle się uśmiechnął. Szczery uśmiech sprawił, że w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki, a rysy mu złagodniały, przez co stał się jeszcze bardziej oszałamiająco przystojny. Jeśli to w ogóle możliwe.

– Owszem, byłaś.

Okej, może jednak była. Nic nie mogła na to poradzić.

– Cóż, minęło trochę czasu... – przyznała niechętnie. A on naprawdę znał się na rzeczy.

Jak nie omieszkała przypomnieć Tammy, ostatnim chłopakiem Mallory był Allen, księgowy z Seattle, który stwierdził, że nie jest warta zachodu. To było rok temu. Długi, pełen posuchy rok...

Oczy Tya złagodniały, a ona uświadomiła sobie nagle, że wcale nie są zielone. Tuż pod zieloną powierzchnią kryły się inne odcienie, co z kolei sprawiło, że złagodniała i Mallory. Przytulał ją jak nikt inny, szeptał czule, nic nieznaczące słówka wprost do jej ucha, podczas gdy ona naprawdę dyszała i krzyczała, błagając go dokładnie tak, jak błagała aktorka z opery mydlanej. Do diaska, wciąż ogarnia mnie podniecenie na samo wspomnienie siły jego ramion, oszałamiającej mieszanki poczucia całkowitego bezpieczeństwa i dzikiego zatracenia!

– Dla mnie też minęło sporo czasu – oświadczył zaskakująco.

Jak to możliwe, że facet o takim wyglądzie i z taką ilością feromonów i testosteronu od tak dawna nie uprawiał seksu?

Na ekranie za jego plecami brunetka wciąż oddawała się rozkoszy.

Oglądanie jej bez dźwięku robiło się coraz bardziej nieprzyzwoite.

– Na pewno tak nie robiłam! – mruknęła pod nosem Mallory. Ty przezornie ugryzł się w język, minę jednak miał wymowną. – Naprawdę tak robiłam? – zapytała z niedowierzaniem.

Spojrzał na telewizor, a potem znów na jej twarz.

– Jeśli to ci w czymś pomoże, uważam, że wyglądałaś o wiele seksowniej i brzmiałaś znacznie lepiej.

O, Boże! Mallory odwróciła się i podeszła do drzwi, gdy zatrzymał ją niski, chrapliwy głos.

– Dokąd idziesz?

– Wychodzę. Nie widzisz?

– Przyszedłem tu jako pacjent.

Były to jedyne słowa w języku angielskim, jakie mogłyby ją zatrzymać, odwróciła się więc ponownie.

– Naprawdę? Jesteś chory?

Wskazał palcem na opatrunek nad brwią.

– Josh kazał mi przyjść za dziesięć dni. Na zdjęcie szwów.

Josh? Czy on mówił po imieniu do doktora Scotta?

– Doktor Scott jest w Seattle. – Mallory wzięła głęboki oddech. – Jeśli jednak zostawił odpowiednie zalecenie, mogę wyjąć te szwy...

Jej matka i Camilla nie zaprzestały obserwacji, tyle że teraz dołączyły do nich i inne pielęgniarki, które najwyraźniej nie miały do roboty nic lepszego niż podsłuchiwanie jej rozmowy z Tajemniczym Przystojniakiem. Mallory była gotowa się założyć, że dowie się o tym całe miasto jeszcze przed końcem jej dyżuru.

I nic nie mogła na to poradzić.

– Miejmy to z głowy.

– Będzie bolało?

Zerknęła na niego, na jego potężne, umięśnione ciało, na jego lewą nogę, na którą lekko utykał. W końcu popatrzyła mu w oczy. Rozbawione oczy.

Kpił.

Cóż, dobrze. Ona też tak potrafi.

– Coś mi mówi, że dasz sobie radę.

TTLR

## ROZDZIAŁ 8

*Ewa opuściła Eden właśnie dla czekolady.*

Ty poszedł za Mallory na izbę przyjęć i przystanął przy jednym z łózek. Dziewczyna zasunęła wokół przepierzenia, by zapewnić im odrobinę prywatności.

Taktyk obronnych i sposobów zatajania informacji Ty nauczył się w wojsku. I w obu dziedzinach osiągnął mistrzostwo. W rezultacie ukrywanie emocji przychodziło mu zdecydowanie zbyt łatwo. Nie wspominając już o tym, że w krajach Trzeciego Świata, w których pracował, nie było miejsca na uczucia. Dlatego też opanował sztukę przybierania doskonale obojętnej miny i traktował tę umiejętność jako przydatne narzędzie. Przyzwyczajenie było jak druga natura.

Do chwili gdy spotkał Mallory.

W jej towarzystwie było mu ogromnie trudno zachować obojętność. Tak jak teraz, na przykład, gdy na jej widok poczuł ulgę, choć starał się ukryć ten fakt. Bo ona najwyraźniej nie podzielała jego uczuć.

– Zaraz wracam – mruknęła tylko i znikła.

Doskonale. Jakaś jego część doszła do wniosku, że nigdy już jej nie zobaczy.

Ta druga część miała jednak nadzieję, że się spotkają.

Wiedział, że Mallory pracuje właśnie tutaj. Podejrzewał, że jest wspaniałą pielęgniarką. W burzliwą noc doskonale poradziła sobie z nagłym przypadkiem, dowiodła jasności myślenia i wykazała się spokojem.

Zupełnie inaczej niż podczas aukcji, w jego ramionach. Nie, wtedy pokazała prawdziwy głód, zniknęły gdzieś jej rozsądek i opanowanie. A



jemu bardzo się to spodobało. Teraz jednak Mallory powróciła do swojej spokojnej pewności siebie. Wyglądała uroczo w blad różowym fartuchu z kieszonką na lewej piersi, ozdobioną wyhaftowanym czerwonym nicią serduszkami. Podobała mu się taka, roztaczająca władczą aurę.

Do diaska!

Podobało mu się w niej wszystko, zwłaszcza to, jak smakowała. Tak, to mu się podobało naprawdę. I bez wątpienia stanowiło dobry pretekst do dzisiejszej wizyty w szpitalu. Mógł przecież, do cholery, sam sobie wyjąć te przekłete szwy!

Tuż obok ktoś jęknął cicho, ze strachu i bólu. Ty wstał, reagując instynktownie, co nie zdarzyło mu się od czterech lat. Długie cztery lata ignorował wszelkie wołanie o pomoc.

Gdy jęk dobiegł go znowu, zamknął oczy. Chryste! Nagle Ty gorzko pożałował przyjsia tutaj. Nie mogąc się powstrzymać, zerknął za przepierzenie. W łóżku obok leżał mężczyzna, podłączony do monitora, kroplówki i tlenu, około czterdziestoletni, śmierdzący jak gorzelnia. Albo od miesiąca się nie kąpał, albo też właśnie wytarzał się w śmieciach. Miał siwe, sterczące włosy. Zapewne znalazł się w Lucky Harbor przejazdem. Wyglądał biednie, słabo i był wyraźnie przerażony.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał Ty, nie podchodząc bliżej. – Mam wezwać pielęgniarkę?

Mężczyzna, nie przestając jęczeć, pokręcił głową. Miał rozbiegane oczy; jego ręce drżały. Źrenice były rozszerzone jak u kogoś pod wpływem narkotyków.

Ty zaklął pod nosem i podszedł do chorego. Zerknął na kroplówkę. Jest nawadniany, dobrze. Złapał mężczyznę za rękę i uściśnął ją lekko.

– O co chodzi?

– Żołądek. Bardzo boli.

Ubranie chorego było brudne i tak podarte, że odsłaniało trójząb wytatuowany na jego ramieniu. Ty powoli wypuścił powietrze.

– Armia... – powiedział, czując się zupełnie tak, jakby odsłaniał swój słaby punkt.

– Armia – potwierdził mężczyzna bełkotliwie. Najwyraźniej wciąż znajdował się pod wpływem.

Ty skinął głową i już miał się odwrócić, lecz nieznajomy kurczowo trzymał się jego dłoni, jak ostatniej deski ratunku. Nie mając serca jej uwolnić, Ty przysiadł na stołku obok.

– Służyłem w marynarce – powiedział. Postanowił nie mówić nic o siłach specjalnych; zawsze pomijał tę informację. Nie wstydził się, rzecz jasna, swojej roboty, nie miał jednak ochoty odpowiadać na pytania ciekawskich. A pytania padały zawsze. – Już z tym skończyłem.

Teoretycznie.

– Z tym nie da się skończyć – mruknął mężczyzna.

Cóż, racja.

– Powinni płacić nam dodatkowo za długie noce pełne koszmarów. – Obdartus przez chwilę zbierał myśli, ale przychodziło mu to z widocznym trudem. Ty miał już powiedzieć mężczyźnie, by ten się nie przemęczał, gdy ten przemówił ponownie. – Powinni nam wypłacać drugą pensję za to, na ile sposobów spieprzyli nam życie.

Nie można było się nie zgodzić z taką tezą. Przez chwilę siedzieli w milczeniu; nieznajomy wyglądał, jakby spał. Ty poczuł mdłości i coś ścisnęło go w żołądku. Szarpnęło duszę. Tak, z tym szpitalem to jednak bardzo głupi pomysł. Ostatni raz jego penis myślał za niego.

– Wciąż o nich myślę – wyszeptał nagle mężczyzna.

Niech to szlag! Ty nawet nie musiał pytać o kim.

Wiedział. O wszystkich poległych. Przełknął ślinę i skinął głową.

Obdartus wpatrywał się w niego zamglonym, lecz przytomnym wzrokiem.

– Ilu w twoim przypadku?

Ty zamknął oczy.

– Czterech. – Byli jednak inni. Zbyt wielu.

Mężczyzna westchnął ze współczuciem.

– Masz. – Uniósł drżącą rękę i wyjął zza koszuli płaską butelkę. – To pomaga.

W tym samym momencie Mallory szarpnęła za zasłonkę.

– Tu jesteś – powiedziała do Tya, a potem uśmiechnęła się z sympatią do mężczyzny na łóżku. – Już ci lepiej, Ryan?

Przyłapany na gorącym uczynku Ryan nie spojrzał jej w oczy, tylko pokiwał energicznie głową.

– Może to dla ciebie przechowam? – Delikatnie wyjęła mu z palców flaszkę i skonfiskowała ją bez słowa.

Ty nie wiedział, czego się po niej spodziewał w tej chwili. Może irytacji, może jakiegoś znaku, że odpycha ją obowiązek opieki nad człowiekiem, który zjawił się tutaj z własnej winy. Ona jednak pogłaskała Ryana po ramieniu, by dodać mu otuchy. Nie unikała jego dotyku.

To coś więcej niż obowiązkowość, pomyślał. To prawdziwe powołanie. Mallory naprawdę troszczyła się o innych.

– Dzwoniłam do twojej córki – wyznała Ryanowi.

– Będzie tu za dziesięć minut. Pozwolimy jeszcze spłynąć tej kroplówce. Napelni cię minerałami, potasem, sodem i innymi dobrymi rzeczami. Niedługo poczujesz się lepiej. – Poklepała go po przedramieniu.

Później spojrzała na Tya i gestem pokazała mu, by poszedł za nią.

– Wyzdrowieje? – zapytał cicho, gdy usiedli po drugiej stronie zasłonki.

– Gdy tylko wytrzeźwieje.

– Jest pod wpływem czegoś więcej niż alkoholu.

– Owszem.

– Czy ma gdzie mieszkać?

Spojrzała na niego poważnie.

– Zadajesz bardzo dużo pytań.

– Ma?

Westchnęła.

– Przykro mi, ale nie mogę z tobą rozmawiać o innych pacjentach.

Mogę ci tylko powiedzieć, że ktoś się nim zajmie. Czy to wystarczy?

Tak. Nie. Ty nie miał pojęcia, dlaczego nagle w gardle poczuł ucisk. Zupełnie jakby ktoś wepchnął tam piłkę do nogi. I dlaczego jego serce bije tak szybko? Dlaczego nie potrafi po prostu odpuścić?

– To weteran. Ma koszmary. On...

– Wiem – powiedziała łagodnie, wyciągając do niego rękę, by go pocieszyć. Jak Ryana. – Jak już mówiłam, ktoś się nim zajmie... – Urwała i przez niepokojąco długą chwilę patrzyła w milczeniu. – Nie każdy by się tak zachował, wiesz? Nie każdy poszedłby tam, by potrzymać za rękę bezdomnego i go pocieszać.

– Ja nie jestem każdym.

– Nie żartuj. – Jej telefon zawibrował. Zerknęła na wyświetlacz i westchnęła cicho. – Zaczekaj chwilę. Zaraz wrócę. – Odwróciła się i poszła do recepcji.

Po drugiej stronie boksu Tya stało inne łóżko. Zasłony wokół były

zaciągnięte, lecz nagle rozsunęła je zdecydowanym ruchem jakaś pielęgniarka.

– Proszę się przebrać – zwróciła się do siedzącego na łóżku pacjenta.

– Zaraz wezwę pańskiego lekarza.

Chory najwyraźniej przyszedł do szpitala o własnych siłach, nie wyglądał jednak zbyt dobrze. Był potężnym mężczyzną w wieku około trzydziestu paru lat. Miał na sobie kombinezon zakładu usług komunalnych tak brudny, jakby przyjechał prosto z pracy. Pobladł gwałtownie, zaczął głośno dyszeć i chwycił się za pierś.

O Chryste!, pomyślał Ty. Po co tutaj zostałem?

Mógł wyjść już dawno, a tymczasem znów cofał się w czasie, na szczyt tamtej góry, mrużąc oczy w obliczu płonącej kuli ognia, w jaką zamienił się jego samolot. Siedział na skraju przepaści z Trevorem w ramionach. Jego przyjaciel przyciskał dłonie do zmiażdżonej klatki piersiowej.

Milion kilometrów dalej i cztery lata później obcy mężczyzna stojący obok łóżka jęknął i upuścił szpitalną koszulę. Upadł na podłogę, źrenice uciekły mu pod powieki.

Ty cofnął się o krok i schował za wózkiem z lekami, choć wszystkie jego instynkty domagały się głośno, by podbiec do mężczyzny i udzielić mu pomocy.

Zdołał jednak tylko przesunąć wózek. Nogi ugięły się pod nim jak rozgotowane kluski.

Nagle w pomieszczeniu zapanowały chaos i tłok. Zjawiała się Mallory.

– Doszło do zatrzymania krążenia!

Rozpoczęła się walka o życie. Ktoś szarpnął Tya za ramię w kierunku jego łóżka i zaciągnął zasłony. Ty czekał. Być może przez pięć minut, może

przez godzinę. A może całą wieczność?

W końcu przyszła Mallory. Gdy zobaczyła, że Ty wciąż stoi, spojrzała zdumiona.

– Przepraszam za to... Wszystko w porządku?

– Ten facet. Czy on...?

– Przeżyje. – Wskazała mu gestem łóżko. – Usiądź. Wyglądasz, jakby ci to było potrzebne.

Nie ma mowy, do diaska!

– Usiądź – powtórzyła miękko.

W porządku. Usiadł. Ale na stołku, nie na łóżku. Łóżko jest dla pacjentów, a on się do nich nie zalicza. Jest cholernym idiotą, ale nie pacjentem.

– Nie jesteś fanem szpitali, prawda?

– Nie.

Dokładnie umyła ręce.

– Ze względu na osobiste doświadczenia?

Nie odpowiedział, nie był gotowy. Nie naciskała. Włożyła lateksowe rękawiczki i trzasnęła kilkoma szufladami.

– Masz słabe nerwy?

Na to pytanie również nie odpowiedział. Przecież nie dalej jak wczoraj wmawiał jej, że nie ma w nim grama delikatności. Niestety, to, co właśnie wydarzyło się na korytarzu, jasno przeczyło jego słowom.

Zmienił się.

Kiedyś nic nie mogło nim wstrząsnąć, teraz jednak działało się inaczej. Dowodem była między innymi Mallory. Wstrząsnęła nim, i to bardzo.

Wzięła do ręki wielką, grubą igłę. Zamrugął.

Uśmiechnęła się i odłożyła strzykawkę, a on pojął, że to tylko taki żart,

żeby poprawić mu nastrój. Z piersi Tya wyrwał się pełen zaskoczenia śmiech, jakby nieco zardzewiały. Gdy się uśmiechnął i pokręcił głową, napięły się od dawna nieużywane mięśnie.

– Chyba mi się należało.

– Chyba tak. – Ułożyła na tacy wszystkie potrzebne instrumenty i podeszła bliżej. Postawiła tacę na łóżku i oparła się o nie biodrem, biorąc głęboki oddech. Najwyraźniej była skonana.

– Jeśli nie chcesz tu usiąść, ja chętnie skorzystam.

Znow się uśmiechnął.

– Zmęczona?

– Zmęczona byłam trzy godziny temu. – Zamoczyła gazę w roztworze alkoholu.

– Więc jesteś pielęgniarką?

– Tak. Kupiłam dyplom. Wczoraj, przez Internet.

– Przetarła ranę nad jego brwią i otworzyła doskonale znany Tyowi zestaw do szycia. Jako wojskowy sanitariusz często z niego korzystał, latając kolegów.

– Nie martw się – powiedziała, biorąc do ręki pincetę. – Widziałam, jak robił to jeden facet.

Zacisnął palce na jej nadgarstku.

– Żartowałam.

– Wiem. Nie chciałbym jednak, abyś wybuchnęła śmiechem, gdy zbliżysz mi to do oka.

– Wcale nie jest mi teraz do śmiechu.

– A jak się czujesz?

Zawahała się.

– Wstyd mi – przyznała niechętnie. Znieruchomiał. Była to ostatnia

rzecz, jaką chciał usłyszeć.

– Nie wstydz się. Wybierz coś innego. Cokolwiek.

– Na przykład?

– Wścieknij się. Złość byłaby lepsza.

– Wolałbyś, żebym była na ciebie zła? – Zrobiła zdezorientowaną minę. – Dlaczego? Przecież to ja powiedziałam „tu” i „teraz”. Pamiętasz?

Owszem, pamiętał. Bardzo mu się to podobało.

– I to ja chciałam jednorazowej przygody – dodała.

– Bez zobowiązań.

– Dlaczego w takim razie ci wstyd?

Westchnęła.

– Powiedz mi.

– Bo nie robiłam tego nigdy wcześniej. – Zniżyła głos do miękkiego szeptu. – Nigdy nie uprawiałam seksu bez zaangażowania emocjonalnego. A teraz – spojrzała mu w oczy – żałuję, że nie poprosiłam o dwurazową przygodę.

Zaniemówił.

Skrzywiła się, pokręciła głową i roześmiała się cicho.

– Nieważne. – Pochyliła się, by zerknąć na szwy.

– Dobra robota. Doktor Scott jest najlepszy, ale i tak zostanie ci blizna. Nie przejmuj się nią, kobiety lubią takie rzeczy. Będą się zabijać, żeby się z tobą przespać.

Wciąż trzymając Mallory za nadgarstek, Ty musnął palcem jej puls.

– Ty nie musiałaś się zabijać... – szepnął.

– Nie?

– Było nas przecież dwoje.

Znów spojrzał jej w oczy. Chwilę obserwował wewnętrzną walkę



Mallory.

– Cóż... – oświadczyła po chwili milczenia, uwalniając dłoń. – Skoro było nas dwoje... – Wrócił jej dobry humor. Znow była pełna troski, zabawna i odporna.

Cechy, które Ty najbardziej podziwiał u kobiet.

Ale przecież nie szuka kobiety. Nie szuka niczego. Chce tylko wrócić do swojego świata, w którym funkcjonuje najlepiej.

Pochyliła się nad nim i pincetą podważyła szwy. Przecięła je nożyczkami.

– Trochę zakłuje – ostrzegła i wyciągnęła nić. – Mówiłeś, że czym się zajmujesz?

Och, jest dobra, pomyślał. Naprawdę dobra.

– Nie mówiłem?

Wyjęła kolejny szew i spojrzała na niego z powagą.

Miała cudowne oczy, koloru czekolady z plamkami złota. Błyszczały inteligencją, która podniecała go nawet bardziej niż jej rozkosznie kształtne, drobne ciało.

Za przepierzenie zajrzała jakaś kobieta. Ta sama, która wcześniej siedziała w recepcji. Młoda. Chętna.

– Pomóc ci? – zapytała Mallory, patrząc na Tya.

– Nie. Poradzę sobie.

Pielęgniarka posmutniała, lecz wycofała się bez słowa.

Dwie sekundy później pojawiła się kolejna. Ty rozpoznał matkę Mallory.

– Przywieźli kolejny przypadek – powiedziała do córki, mierząc Tya pełnym rezerwy spojrzeniem.

– Twoja kolej – mruknęła Mallory.

Ella zmarszczyła brwi.

– Mal.

– Matko.

Zasłonka zasunęła się gwałtownie. Znów zostali sami.

– Nie cierpi, kiedy mówię do niej „matko”.

– Pracujesz z mamą...

Postanowiła, wzorem Tya, nie odpowiedzieć. Uśmiechnął się.

To ona sprawiała, że się uśmiechał.

– Wyglądała na wkurzoną – stwierdził, próbując sprowokować Mallory do zwierzeń. To była dla niego nowość. Nigdy nikogo nie prowokował w tym celu. Nienawidził wścibstwa.

– Och, jest wkurzona. – Wyjęła następny szew tak delikatnie, że niemal tego nie poczuł. Miała sprawne dłonie. Ty wiedział o tym już wcześniej.

– Przeze mnie?

– Dlaczego tak sądzisz? Bo wyszłam z własnego przyjęcia, by uprawiać w składziku seks z nieznanym mężczyzną?

– Naprawdę wspaniały seks – przypomniał jej. A gdy na niego spojrzała, dodał: – Wyobraź sobie, co moglibyśmy osiągnąć w łóżku.

Wybuchnęła śmiechem. Ty patrzył zafascynowany. Zaskakiwała go. A miała być przecież zwykłą kobietą, ładną pielęgniarzką z małego miasteczka, którego nazwę miał wkrótce zapomnieć...

A jednak.

– Hej, Mal. – Za ich zasłonkę zajrzała kolejna kobieta. Ta nosiła fartuch sprzątaczkę. – Potrzebujesz czegoś?

– Nie!

– Jezu! Dobrze, nie musisz od razu odgryzać mi głowy.

Znikła, a Mallory westchnęła.

– Moja siostra. – Wrzuciła zużyte instrumenty do zlewu i nie patrząc na Tya, zapytała: – A twoja noga?

– Co z moją nogą?

– Czy na nią też trzeba spojrzeć?

– Nie.

Odwróciła się plecami w milczeniu. Znow się uśmiechnął.

– Nie możesz wykorzystywać tej sztuczki z nicniemówieniem przeciwko mnie. To ja ją wymyśliłem.

– Jakiej sztuczki? – zapytała niewinnie.

– Dobrze wiesz. Ty milczysz, a ja mam się poczuć zobowiązany do wypełnienia ciszy i wyznać ci wszystkie moje tajemnice.

Uśmiechnęła się.

– Przyznajesz więc, że masz tajemnice.

– Wiele – odparł bezbarwnym głosem.

Jej uśmiech zbladł.

– Jesteś zaręczony. Gorzej, jesteś żonaty. Masz dziesięcioro dzieci. O, Boże, powiedz mi, że nie masz dzieci!

– Nie mam. Nie jestem też zaręczony ani żonaty.

Wpatrywała się w niego przez chwilę.

– Niektóre tajemnice mogą zatruć duszę, jeśli uprzesz się, by je w sobie dusić. Wiesz o tym, prawda? Niektóre trzeba komuś zdradzić, zanim pożrą cię żywcem.

Sekrety Tya nie należały do tej kategorii. Lada dzień wróci do swego szybkiego, niebezpiecznego życia, które w końcu go zabije. A ona znajdzie sobie kogoś, z kim będzie mogła dzielić życie. Z kim się zestarzeje.

– Oglądasz za dużo Oprah.

Nie obraziła się. Zdjęła rękawiczki i wyrzuciła je do śmieci.

– Cała twoja rodzina tu pracuje? – zapytał, dotykając palcem gojącego się rozcięcia, teraz już bez szwów. Dobrze sobie poradziła.

– Tylko moja mama, moja siostra i ja. Pracuję też w Centrum Usług Medycznych.

– Nie wiedziałem, że macie tu coś takiego.

– Cóż, nie mamy. Jeszcze. Jeśli jednak rada miasta wyda jutro wieczorem zgodę, otworzymy je w ograniczonym zakresie w najbliższy weekend.

– Naprawdę potrzebujecie takiego ośrodka w tak małym mieście?

– Szpital obsługuje całe hrabstwo, nie tylko Lucky Harbor. I naprawdę potrzebujemy centrum. Mamy wysoki odsetek ciąż wśród nastolatek, wzrasta też odsetek narkomanów. Nasila się przemoc domowa i bezdomność. Potrzebujemy profesjonalnego doradztwa, pomocy prawnej i programów edukacyjnych. A w soboty będziemy otwierać poradnię dla tych, których nie stać na opiekę medyczną.

Boże. Mallory mówiła z takim przekonaniem, że Tya aż rozboleło serce. Stanowiła uosobienie Lucky Harbor. Mógł tylko żywić nadzieję, że dziewczyna nigdy nie przeżyje prawdziwego horroru i nie straci szczerego współczucia na rzecz zgryźliwego cynizmu.

– Dlaczego taka kobieta jak ty zajmuje się czymś takim?

– Co masz na myśli?

– Zazwyczaj za podobnym projektem stoi jakaś przyczyna. Jaka jest twoja?

Mallory odwróciła się i zaczęła myć ręce.

– Ha! Czyli nie tylko ja mam tajemnice.

Zmrużyła powieki.

– Wiesz co? Za każde pytanie, na które mi odpowiesz, udzielenie ci odpowiedzi na twoje.

Ty dobrze wiedział, że nie powinien się w to pakować. Być może potraktował ją jak przygodę na jedną noc, czuł jednak, że jest inna. Śliczna, słodka i niewinna, lecz pod prostolinijnym uśmiechem kryła się siła. Wyczuwał ją. Mallory nakłoniłaby go do wyznania wszystkich grzechów jednym ciepłym dotykiem.

Ona nie jest dla ciebie...

– Tak – orzekła kpiąco, kładąc ręce na biodrach.

– Wiedziałam, że to dla ciebie zbyt wiele.

Miała rację. Ty już podchodził do drzwi, gdy nagle jego usta otworzyły się niezależnie od niego.

– O której kończysz?

Zaszokował ją. Zauważył to od razu. I dobrze. Siebie też zaszokował.

– O siódmej.

– Przyjadę po ciebie.

– Nie. Wiesz, gdzie jest molo?

– Jasne.

– Tam się spotkamy. Przy diabelskim młynie.

Nie ufała mu. Mądra kobieta.

– Dobrze. Przy diabelskim młynie.

– Jaką mam pewność, że nie zapomnisz o tej randce? Randka. Chryste, prawdziwe szaleństwo! Ty spojrzał w piękne oczy Mallory i niemal w nich zatonął.

– Tym razem jestem w pełni władz umysłowych. Najwyraźniej jednak nie był.

## ROZDZIAŁ 9

*Stres oblany czekoladą byłby łatwiejszy do zniesienia.*

Gdy Mallory wsiadła do samochodu po skończonym dyżurze, rozdzwoniła się jej komórka. Na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer.

- Przyszedł do szpitala, żeby się z tobą zobaczyć?
- zapytała Amy bez ogródek.

Mallory postanowiła nie pytać, skąd przyjaciółka wie, że tego dnia Ty był w szpitalu. Zapewne odpowiednie ogłoszenie wisiało już na każdym rogu, w promieniu wielu kilometrów.

- Z czyjego telefonu dzwonisz?
- Znalazłam go w kafejce. Tylko nie mów Jan! Ona zostawia wszystkie minuty z komórek dla siebie.
- Amy! Nie możesz bez pozwolenia korzystać z czyjejś komórki!
- I właśnie dlatego potrzebujesz korepetycji z bycia niegrzeczną dziewczynką. Okej, ogłaszam awaryjne spotkanie czokoholiczek, bo najwyraźniej znalazłaś się w kryzysie.

- Wcale nie.
- Lekcja pierwsza – kontynuowała Amy, ewidentnie nie słuchając. – Zawsze obracaj sytuację na swoją korzyść.

- To jest lekcja pierwsza? A jaka będzie w takim razie lekcja druga?
- Lekcja druga: nigdy nie pozwól, aby twoje przygody trafiały na Facebooka. Błąd żółtodzioba, Mal.

Mallory westchnęła.

- Mogłabyś się podzielić jakąś naprawdę przydatną mądrością?
- Tak. – W słuchawce przez chwilę trwała stłumiona rozmowa, po

czym Amy dodała: – Jest tu Grace. Potrzebowała wielkiej, ciepłej babeczki po całodziennym szukaniu pracy. Mówi, że lekcja trzecia brzmi: musisz zrozumieć, że faceci są wzrokowcami, i ma rację. Zawsze wkładaj niegrzeczne buty i niegrzeczną bieliznę. One tworzą nastrój.

Niegrzeczna bielizna była zrozumiała sama przez się.

– Niegrzeczne buty? Ty nosisz botki ze stalowymi noskami...

Grace i Amy ponownie odbyły szeptaną naradę.

– Okej. Grace twierdzi, że buty odzwierciedlają stan umysłu. Ja jestem twardą sztuką, więc w moim przypadku działają botki. Ty jesteś... hm, łagodniejsza.

Potrzebujesz wysokich obcasów I pasków. Seksownych.

Na samą myśl o wysokich obcasach po całym dniu pracy Mallory zachciało się płakać. Później jednak przypomniała sobie uczucie, gdy Ty zacisnął palce na jej kostkach i zdjął jej buty. Gest się jej podobał.

– Moje jedyne szpilki strasznie obgryzają mi stopy.

– To kup sobie drugie. Lekcja numer cztery: spróbuj ukraść jego komórkę i przejrzeć listę kontaktów.

– Nie będę przeglądać listy jego kontaktów! – Mallory urwała i zamilkła na chwilę. – A czego miałabym tam szukać?

– Na przykład pozycji „mój diler”. Jeśli taką znajdziesz, uciekaj.

Mallory zamruwała.

– Facet, który zostawił w kafejce telefon, ma na liście kontaktów „mojego dilerą”?

– A także „wredną byłą żonę” i „mamusię”. – Amy westchnęła. – Beznadziejny przypadek.

Telefon przejęła Grace.

– Na kolejne spotkanie musisz przyjść osobiście, Mallory –

oświadczyła z pełnymi ustami. – Te babeczki są po prostu orgazmiczne.

Przydałaby się taka orgazmiczna babeczka...

– Teraz wasza kolej.

– Cóż, Grace dostała odpowiedzi odmowne na wszystkie aplikacje, które wysłała. A brała pod uwagę firmy od kanadyjskiej granicy do San Diego – zaraportowała Amy. – Zamierzam jej więc czegoś nalać do babeczki. Na szczęście dzwoniła Tara z hotelu i powiedziała, że dadzą Grace zniżkę, jeśli przedłuży pobyt, bo w sumie jest już miejscowa. A co do mnie, nic się nie zmieniło. Wciąż czekam na cieplejszy dzień, żeby wykonać pierwszy krok.

– Pierwszy krok ku czemu?

– Ku życiu. Ale w międzyczasie skupimy się na tobie. Jesteś z nas najbardziej porąbana, więc ma to głęboki sens. Jedź i kup sobie jakieś niegrzeczne buty.

Mallory rozłączyła się, ale pojechała na przystań. Wsiadła z samochodu i przez chwilę oddychała głęboko słonym morskim powietrzem. Odgłos fal bijących o brzeg koł jej skołatanę nerwy. Przy wejściu na molo wisiały plakaty: zbliżającego się przedstawienia teatralnego w miejscowym liceum oraz festiwalu muzycznego, w przyszłym tygodniu. Jednak jej uwagę przykuła ulotka o comiesięcznym Spotkaniu Zaangażowanych Obywateli.

To właśnie na nim Bill Lawson miał przedstawić projekt otwarcia Centrum Usług Medycznych, by wybadać opinie mieszkańców.

Tymczasem jednak Mallory miała jeszcze jedno spotkanie, nieuniknione według jej serca, które nagle przyśpieszyło gwałtownie. Po dyżurze włożyła letnią sukienkę, którą pożyczyła sobie z szafki Tammy. Jej siostra miała wspaniałe ubrania. Oto korzyści z bycia małżonką strażnika w



centrum handlowym... Dzięki mężowi Tammy na wszystko dostawała szalone rabaty.

Podchodząc do diabelskiego młyna, Mallory dokonała szybkiego rachunku sumienia w kwestii własnego wyglądu. Nieźle, pomyślała, choć jej sandaalki na płaskiej podeszwie na pewno nie odpowiadały wymaganiom kodeksu niegrzecznej dziewczynki.

Następnym razem.

Noc była ciepła i wilgotna, fale uderzały delikatnie o słupy molo, wprawiając je w niemal niewyczuwalne drżenie, które odpowiadało rytmem pulsującemu w Mallory zniecierpliwieniu.

Nie prześpisz się z nim po raz drugi!, napomniała się stanowczo w duchu. To była jednorazowa przygoda. Jesteś tutaj tylko dlatego, że cię zaciekał.

I dlatego że tak seksownie wyglądał, gdy zjawił się w szpitalu... Do diaska, mam poważny problem, pomyślała. Zachowuje się przy nim jak ćma lecąca w ogień. Mallory nie miała pojęcia, jak to jest możliwe. Ich pożegnanie w noc aukcji było... hm, nagłe. Tymczasem nic, co wydarzyło się pomiędzy nimi wcześniej tamtego wieczoru, nagłe nie było. Było po prostu... Cudowne.

Zatrzymała się na końcu kolejki do diabelskiego młyna. Gdy jej zdenerwowanie zamieniło się w mrowienie u podstawy karku, odwróciła się powoli.

Ty się jej przyglądał.

Opierał się o poręcz molo, skrzyżowawszy nogi w kostkach. Wyglądał jak facet, który ma w zwyczaju samotne spacerunki po plaży.

Oboje wiedzieli, że to nieprawda.

Dobry Boże, wystarczyło, by na nią spojrzeć, a jej robi się gorąco!

Miał zmierzwione włosy, jakby bezustannie przeczesywał je palcami. Jego szczękę ocieniał zarost, stanowcze, zmysłowe usta zaciskały się ponuro. Blizna nad brwią lśniła świeżością. Zawadiacki urok podkreślały jeszcze okulary przeciwsłoneczne.

Teraz założył bojówki i ciemny podkoszulek, uwypuklający zarys szerokich ramion i wąskiej talii. Ty był wielki, zły, potężny. I niebezpieczny jak diabli.

A teraz był jej. I to na cały wieczór.

Jej.

To nie był najlepszy pomysł. W rozprostowywaniu skrzydeł nie chodziło jednak o zdrowy rozsądek, lecz o... bycie. O życie.

O odczuwanie.

A ten mężczyzna sprawiał, że Mallory czuła. Znali się krótko, a już zdążył wywołać w niej ciekawość, irytację, frustrację. I przede wszystkim...

Pożądanie.

Czuła je nawet teraz. Zapragnęła zedrzeć z niego podkoszulek i polizać go – od jabłka Adama aż do guzika przy rozporku.

I niżej.

Powoli zsunął okulary na czubek głowy i utkwiał w niej ciemnozielone oczy. Mallory wiedziała, że Ty nie potrafisz czytać w myślach, lecz i tak niemal podskoczyła. Zaczerwieniła się lekko.

Odepchnął się od poręczy i podszedł do niej. Pomimo masywnej budowy poruszał się płynnie i bez wysiłku. Nie miała żadnych oczekiwań, nie spodziewała się jednak, że Ty weźmie ją za rękę i pociągnie za sobą w cień starej szopy.

– C – co ty robisz?

Nie odpowiedział. Wziął ją w objęcia, uniósł nieco i nakrył jej usta

swoimi.

Torebka Mallory upadała z hukiem na deski. Dziewczyna wplotła palce we włosy Tya. A gdy on wsunął język do jej ust, po prostu stopniała.

Znienacka przerwał pocałunek. Mallory zachwiała się niepewnie na nogach i zamrugała, próbując się skupić.

– Co to było?

Podniósł z ziemi torebkę i podał właścicielce.

– Straciłem głowę. Rozpraszasz mnie.

– Ty mnie również.

Jego oczy zapłonęły.

– Możemy to szybko naprawić.

– O, nie. Powiedziałeś, że nie szukasz długoterminowych zobowiązań. Krótkoterminowych chyba również?

– Przecież jestem na twojej liście. Liście Panów Nieodpowiednich.

– Tak. A jeśli już o tym mowa, zmieniłam na niej kolejność. – Było to wierutne kłamstwo. Nie zmieniła kolejności. Obecnie lista ograniczała się do jednego nazwiska.

Uniósł brew.

– Wyprzedził mnie ten, jak mu tam, ze sklepu z narzędziami? Ten, który podrywa wszystko, co ma piersi?

– Być może.

– Byłem dzisiaj w tym sklepie. Anderson flirtował z jakąś młodą ślicznotką. – Ty pochylił się i musnął wargami ucho Mallory. – Możesz go skreślić.

O, nie. Nie pozwoli, by mówił jej, co ma robić.

– Ja...

Przycisnął ją do poręczy i znów pocałował. Najwyraźniej nie chciał jej

słuchać. Dobrze się złożyło, bo Mallory zapomniała nawet własnego nazwiska, nie mówiąc już o tych, które umieściła na liście. Wepchnęła mu język do ust, wplotła palce w jedwabiste włosy i wtuliła piersi w jego twarde, ciepły tors. Gdyby tylko mogła, wspięłaby się na niego.

A przecież przyjechała tu, by zadawać mu pytania.

Zacisnęła uda, próbując odzyskać rozum, męskie kolano rozchyliło je jednak i wsunęło się pomiędzy nie. Dobry. Boże. Ty jest taki... Cudowny! Sięgając do zasobów silnej woli, o którą Mallory się nie podejrzewała, pchnęła lekko jego pierś. Przez chwilę ani drgnął, w końcu jednak cofnął się o krok i popatrzył spod przymkniętych powiek.

– Okej – powiedziała Mallory drżącym głosem.

– Spróbujmy zrobić coś, co nie doprowadzi do rundy drugiej seksu w miejscu publicznym. – Jego mina nie zdradzała emocji. Mallory również nie pozwalała sobie na otwartość, miała jednak zwyczaj dotrzymywać słowa i chciała dowiedzieć się, jakim Ty jest człowiekiem.

– Czym się zajmujesz? Czy jesteś... wojskowym?

– Zadała pytanie, od którego nie mogła się uwolnić od początku ich znajomości. Ty był taki spokojny, opanowany, gotowy na wszystko, a przy tym tak stoicko nieporuszony. A przy łóżku Ryana wyglądał tak, jakby w głębi duszy doskonale wiedział, przez co przechodzi ten człowiek.

Zaśmiał się gardłowo. Kpiąco.

– Naprawdę chcesz się w to zagłębiać?

– Tak. – Mallory ucieszył ten uśmiech. – Nie wiesz tego, ale zazwyczaj angażuję się we wszystko całym sercem.

– Zauważyłem. – Jego spojrzenie przypominało o innych rzeczach, o których wiedział, a które wywoływały u niej rumieniec. – Obecnie naprawiam samochody.

Nie była to odpowiedź na pytanie, raczej prowokowanie kolejnych.

- Jesteś mechanikiem?
- Na czas pobytu w Lucky Harbor.
- Ale...
- Moja kolej. Tamtej nocy. Dlaczego ja?

Mallory skrzywiła się nieco, choć pytanie było jak najbardziej zrozumiałe. Powiedziała mu przecież, że po raz pierwszy w życiu zrobiła coś takiego, nie dodała jednak, że mogła to zrobić wyłącznie dlatego, bo coś do niego poczuła. Szaleństwo – przecież wcale się nie znali.

- Jak już mówiłam, minęło sporo czasu...
- A ja znalazłem się pod ręką?
- Cóż, Anderson był już zajęty, więc...

Mruknął groźnie, a Mallory się roześmiała.

– Sama nie wiem. Po prostu... – Po prostu to powiedz. – Poczułam z tobą więź.

Spowaźniał nagle. Powoli pokręcił głową.

- Nie chcesz czuć ze mną więzi, Mallory.
- Nie, nie chcę. Lecz czuję i tak. Zresztą, powodów jest więcej.
- Byłaś znudzona i niespokojna?

Aha, słyszał jej rozmowę z matką. Słuch musi mieć jak nietoperz.

- Wykorzystałaś mnie, by pozbyć się niepokoju – powiedział cicho.
- Tak. – Skrzywiła się. – Przepraszam.
- Mallory, możesz mnie wykorzystywać w każdej chwili.

– Mówiłeś, że to jednorazowa sprawa – przypomniawszy.

– To ty tak powiedziałaś. A plany się zmieniają. Najwyraźniej potrzebujesz więcej, co oznacza, że nie zdołałem cię zaspokoić. – Jego spojrzenie stało się gorące i mroczne. – Trzeba to naprawić.

Odpowiedziała całą sobą, jakby już czuła na sobie jego dotyk. Nie pozostawił jej niezaspokojonej. Wręcz przeciwnie, nigdy wżyciu nie czuła większej satysfakcji.

– Lody – wyszeptała, bo nagle zaschło jej w gardle.

– Mam ochotę na lody.

Uśmiechnął się znacząco, lecz nie prowokował dłużej. Podeszli do budki z lodami. Za ladą stał drobny, przeraźliwie chudy dwudziestolatek, który uśmiechnął się ciepło na widok Mallory.

– Cześć, Mal. Dobrze wyglądasz.

Lance witał ją tak za każdym razem, gdy trafiał na ostry dyżur. Mógł nie mieć siły się podnieść, mógł zaglądać śmierci w oczy – co często się zdarza przy mukowiscydozie – a jednak nigdy nie przeszkadzało mu to uśmiechać się do niej i flirtować.

Był jednym z jej ulubionych pacjentów.

– A gdzie twoja śliczna dziewczyna? – zapytała, wiedząc, że od wielu miesięcy Lance umawia się z jej koleżanką Nancy.

Zza pleców chłopaka wystawiła głowę atrakcyjna, uśmiechnięta brunetka.

– Tutaj jestem. Cześć, Mallory. – Zerknęła na Tya. – Wygląda na to, że nie tylko Lance znalazł sobie śliczną dziewczynę.

Na widok miny Tya Mallory nie mogła się nie roześmiać. Na pozór nie zareagował, lecz wszystko można było wyczytać z jego spojrzenia. Trzeba się nad nim ulitować i szybko załatwić sprawę.

– Poproszę dwie gałki waniliowych.

– Czyli to, co zwykle – odparł Lance. – Zamierzasz kiedyś zaszaleć? Domówić rurkę z kremem albo pójść na całość i zdecydować się na posypkę?

Mallory bardzo starannie unikała oczu Tya.

– Nie tym razem. – Już poszła na całość, a powód stał tuż obok.

Lance obsłużył Mallory i zerknął na Tya, który pokręcił głową. Żadnych lodów.

To dlatego zapewne udaje mu się utrzymywać tak nieskazitelną formę, pomyślała Mallory, sięgając do kieszeni po pieniądze. Ty ją uprzedził.

– Dbasz o dziewczęcą figurę? – zapytała, oblizując deser.

Nie odrywał wzroku od jej języka.

– O dziewczęcą figurę?

Nie ma we mnie nic dziewczęcego!

– A może jesteś na diecie? Walczysz z nadwagą.

Ty Garrison nie miał na sobie ani grama tłuszczu; wiedzieli o tym oboje. Miał natomiast bardzo mroczne, rozpalone oczy, czujnie obserwujące jak Mallory nieśpiesznie liże swój rozek. Jak głodny drapieżca śledzący ofiarę. Dziewczyne przeszedł dreszcz.

– Uważasz, że mam nadwagę? – zapytał Ty zwodniczo miękkim głosem.

Poklepała go po brzuchu. Jej dłoń odbiła się od twardych mięśni.

– Nie przejmuj się tak. Wszystkim się to zdarza

– odparła lekko, znów oblizując lody. – Czy twoja przerwa w pracy ma coś wspólnego z twoją nogą?

– Tak. – Nie odrywał wzroku od jej ust. Mallory igrała z ogniem i zdawała sobie z tego sprawę.

– Wiesz, ta twoja tajemniczość wcale nie jest tak urocza, jak można sądzić.

– Nie jestem uroczy.

– Nie żartuj!

Wygiął wargi w nikłym uśmiechu. Przyglądał się jej przez chwilę; zdawało się, że podejmuje decyzję.

– Zapytałaś, czy jestem wojskowym. Byłem. Spojrzała mu w oczy.

– A teraz?

– Tak jak mówiłem. Naprawiam samochody.

– A gdy nie naprawiasz samochodów? – dopytywała.

– Co wtedy robisz?

Znów przez dłuższą chwilę patrzył w milczeniu.

– Zajmuję się mniej więcej tym, czym mechanik. Lokalizuję problem i... naprawiam go.

– Ale... nie w samochodach.

– Nie. Nie w samochodach.

Ha. Najwyraźniej nie zamierzał dodać nic więcej. Co zdecydowanie nie odpowiadało Mallory.

– A twoja noga?

– Miałem wypadek.

Przy odpowiedzi się nie zawahał, Mallory jednak wyczuła niechęć do kontynuowania tematu.

– Przykro mi – odparła, nie zamierzając naciskać. Doskonale wiedziała, jak czuje się człowiek, który nie chce rozmawiać o bolesnych przeżyciach, choć żałowała, że nie powiedział nic więcej. I wtedy Ty przemówił ponownie.

– Zostanę w Lucky Harbor, dopóki nie odzyskam zdrowia. Matt jest moim starym kumplem. To on wynajął dla mnie dom na okres rekonwalescencji.

– A jak twoja... rekonwalescencja? – zapytała miękko.

– Pracuję nad tym.



Mallory skinęła głową, z trudem zwalczając osobliwe pragnienie, by go przytulić. Nie chciał jej współczucia. Tyle wiedziała.

– Noga ci dokucza. Bierzesz jakieś leki na ból?

– Nie – powiedział. Położył jej dłoń na plecach i skierował ku pasażowi handlowemu. Najwyraźniej ich rozmowa dobiegła końca.

Ty wręczył kilka monet chłopakowi za ladą w pierwszej budce.

Strzelnica.

– Co ty robisz? – zapytała.

– Zamierzam postrzelać do kaczek. Ty również.

– Nie jestem w tym najlepsza – oświadczyła, gdy ze znawstwem podniósł broń. Westchnął i zaczął strzelać.

Ustrzelił wszystkie kaczki w szeregu.

– Pozer – powiedziała i wzięła wiatrówkę do ręki. Nie miała o strzelaniu zielonego pojęcia, więc nie trafiła w ani jedną kaczkę. Odłożyła broń i westchnęła.

– Żałosne. – Ty podałeś chłopakowi więcej drobnych I stanął za Mallory. – Podnieś – polecił. Skorygował postawę dziewczyny, wpychając stopę pomiędzy jej stopy i rozsuwając jej nogi. Potem położył dłonie na jej ramionach.

I niemal się wokół niej owinał, otoczył ją całym sobą. Gdyby Mallory odwróciła głowę, mogłaby przycisnąć wargi do jego bicepsa. Twardego jak kamień. Ogarnęło ją wręcz szokująco silne pożądanie. Była gotowa iść o zakład, że smakuje lepiej niż lody.

Znieruchomiał, odetchnął głęboko i musnął szczęką jej brodę.

– Myślisz tak głośno, że już jestem twardy...

Roześmiała się cicho, więc przytulił się do jej pośladków, udowadniając, że nie żartuje.

– O czym myślę, twoim zdaniem? – zapytała bez tchu. – Może tylko o następnej porcji lodów?

– Nie o tym. Zestrzel te kaczki, Mallory.

Dzięki jego wskazówkom trafiła w jedną. I obudził się w niej duch rywalizacji.

– Jeszcze raz – zażądała.

Ty z uśmiechem położył na ladzie kolejne monety.

– Pokaż, co potrafisz – mruknął i ku rozczarowaniu Mallory odsunął się nieco, by mogła zrobić to sama.

Znów trafiła tylko w jedną kaczkę w całym rzędzie. Wynik zirytował ją szalenie.

– Dlaczego w twoim wykonaniu wygląda to jak bułka z masłem?

– Lata praktyki. Musisz się bardziej skupić.

Nie miał racji; była bardzo skupiona. Tyle że na swoich odczuciach, gdy jego twarde ciało przytulało się do jej pleców.

Podobało się jej to. Zdecydowanie za bardzo.

– Może nie zależy mi na umiejętności strzelania do kaczek?

– Nie ma sprawy. – Znów rzucił na blat kilka dolarów i unicestwił kolejny szereg ptaków.

– Nieźle, stary – powiedział chłopak za ładą, wyraźnie pod wrażeniem.

Nagrodą był wielki miś.

Ty podarował go Mallory.

– Mój bohater! – mruknęła ze śmiechem. Gdy się skrzywił, roześmiała się jeszcze głośniejsze, a potem przytuliła zabawkę. Taki drobny gest, a sprawił, że zakręciło się jej w głowie.

Wiedziała, że on wcale nie chce być jej bohaterem.

Później Ty zaciągnął ją do budki z pistoletami na wodę, gdzie pokonał ją trzy razy z rzędu. Ewidentnie nie zamierzał martwić się tym, że rani jej ego. Wygrał dla niej pluszowego psa, a potem śmiał się głośno, gdy próbowała nieść obie ogromne maskotki, uważając, by nikogo nie potrącić na wąskiej alejce.

Mallory znów doznała radosnego zawrotu głowy, ale nie zamierzała być jedną z tych kobiet, które zakochują się w facecie tylko dlatego, że podarował im pluszową zabawkę. Nie wolno ci się w nim zakochać!, napomniała się w duchu.

– Zachowujemy się jak para nastolatków – powiedziała na głos.

– Gdybyśmy byli nastolatkami, schowalibyśmy się za budki, gdzie okazałabyś mi wdzięczność za pluszaki, pozwalając na obmacywanki.

– Chyba śnisz! – pisnęła, ale jej sutki stwardniały. Następnie wzięli udział w wyścigu samochodowym.

Usiedli w symulatorze, gotowi do walki o pierwsze miejsce. Ty prowadził samochód ze swobodną koncentracją, w ogóle nie zwracając uwagi na Mallory. Za to ona nie była w stanie się skupić, zbyt zajęta zerkaniem na niego kątem oka. Gdy w rezultacie wyprzedziło ją kilka pojazdów, Ty się uśmiechnął.

Ha, czyli jednak zwracał na nią uwagę! Otarła się o niego, by to sprawdzić.

Uśmiechnął się szerzej, lecz nie oderwał wzroku od monitora.

– To nie zadziała, Mallory. Znowu przegrasz.

Nie zadziała, jasne. Otarła się o niego ponownie, tym razem nieśpiesznie, i musnęła piersiami jego ramię.

– Nie grasz fair – mruknął chrapliwie, rozbawiony. Zdołała całkowicie skupić na sobie jego uwagę.

Zagapiona w ekran Mallory, nie zauważyła wprawdzie, że odwrócił głowę, lecz zatopienie zębów w jej małżowinie i lekkie szarpnięcie zauważyć musiała. Gdy syknęła, ukoił ból językiem. Miękkie kolana sprawiły, że jej stopa ześliznęła się z gazu.

Wbiła się samochodem w ścianę.

Ty przyśpieszył i gładko pokonał linię mety.

– Oszukiwałeś! Nie możesz...

Porwał ją w ramiona, podniósł z siedzenia i całował tak długo, aż zapomniała, co chciała powiedzieć. Gdy ponownie wylądowała w fotelu, niemal spadła, lecz Ty ją podtrzymał.

– Sama zaczęłaś. – Obdarzył ją jeszcze jednym oszałamiającym pocałunkiem, a potem kupił im po hot dogu na kolację. Usiedli na moło: ona, Ty i dwa ogromne pluszaki.

– Co robisz, by odzyskać zdrowie po wypadku? – zapytała.

– Pływam. Siłuję się z Mattem. – Przełknął ostatni kawałek hot doga.

– Kim jest Karen?

Gdyby życie Mallory było filmem na DVD, w tym właśnie momencie pojawiłaby się stop – klatka z odpowiednim efektem dźwiękowym.

– Słyszałem, jak twoja matka wypowiada to imię

– dodał, przyglądając się jej uważnie. – A ty zrobiłaś wtedy taką dziwną minę. Taką jak teraz.

– Karen to moja siostra... – Mallory urwała. Wciąż nie potrafiła o tym rozmawiać. – Umarła, gdy byłam młodsza.

W oczach Tya błysnęła troska, wzbudzając w niej uczucia, o których nie chciała myśleć. Na szczęście nie uciekł się do pustych frazesów, za co była mu wdzięczna. Wziął ją za rękę.

– Jak?

– Przedawkowanie.

Jego dłoń była wielka, ciepła i pokryta odciskami. Na kłykciach miał kilka gojących się rozcięć, zapewne po mocowaniu się z jakąś częścią samochodową albo narzędziem.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Szesnaście.

Uścisnął jej dłoń. Mallory wzięła głęboki oddech.

– Straciłeś kiedyś kogoś bliskiego?

Nie odpowiedział od razu. Dziewczyna odwróciła ku niemu głowę. Wpatrywał się w grę świateł na wodzie. Zachodziło słońce.

– W jednej chwili straciłem czterech najbliższych przyjaciół – wyznał w końcu i spojrzał jej w oczy.

– Cztery lata temu, a nadal boli.

Skinęła głową, czując ucisk w gardle.

– W armii?

– W marynarce. Tworzyliśmy szaloną paczkę, a tamto nie powinno się wydarzyć...

– Moje rodzeństwo też tworzyło szaloną paczkę. Nie w armii, rzecz jasna, tylko po prostu... Szaloną.

Uśmiechnął się.

– Ale nie ty.

– Miewam takie chwile. – Wypuściła powietrze z płuc. – Cóż, dokładnie jedną. Jak dotychczas.

– Nas.

Przytaknęła.

– To znaczy, że naprawdę wodzę cię na pokuszenie...

– Ty pokręcił głową. – Nadal nie rozumiem, dlaczego mnie wybrałaś.

– Sama nie rozumiem wielu rzeczy. – Spojrzała mu w oczy. – Po namyśle dochodzę do wniosku, że zadziałało poczucie bezpieczeństwa.

Zerknął z niedowierzaniem. Wybuchnął śmiechem i potarł twarz dłonią.

– Mallory, jestem tale niebezpieczny, jak to tylko możliwe!

Owszem. Jednak z jakiegoś powodu zaufała mu tamtej nocy. I nadal mu ufa.

– Skoro już pływasz, to znaczy, że szybko dochodzisz do siebie. Kiedy wracasz do pracy?

W oczach Tya nie było śladu wyrzutów sumienia.

– Wkrótce.

– I to nie w Lucky Harbor... – dodała cicho. Wiedziała, musiała to jednak usłyszeć od niego. Żeby zapamiętać, że połączyła ich wyłącznie przygoda.

– Owszem. Nie w Lucky Harbor.

Mallory ogarnęło niezaprzeczalne, szokująco bolesne rozczarowanie. Naprawdę była przekonana, że da temu radę, że potrafi ograniczyć się wyłącznie do seksu, co okazało się pomyłką. Wstała z westchnieniem. On również wstał, pozbierał śmieci i wyrzucił je do kosza. Wrócił i oboje zapatrzyli się w ocean.

– Nie mogę tego zrobić – szepnęła.

Skinął głową.

– Wiem.

– Chcę tego, ale...

– To nic. – Musnął wargami jej policzek i zniknął chwilę później, udowadniając po raz kolejny, że jest przede wszystkim doskonałym Panem Nieodpowiednim.

## ROZDZIAŁ 10

*Czekolada jest tańsza niż terapeuta i nie trzeba się z nią wcześniej umawiać.*

Gdy dwa dni później Mallory weszła do Vets' Hall, by wziąć udział w zebraniu rady miejskiej, ogarnęło ją uczucie déjà vu. Z rozmysłem nie patrząc na schody prowadzące na drugie piętro, poszła prosto do głównej sali konferencyjnej. Było tłoczno, jak za każdym razem.

Boże broń, by jakiegoś mieszkańca Lucky Harbor ominęło cokolwiek!

Mallory znalazła sobie miejsce z tyłu; pocily się jej dłonie, serce biło zbyt szybko. Chwilę później na krześle obok usiadła Tammy.

– Uff! – oświadczyła. – Ależ jestem zmęczona! – Odchyliła się na oparcie i poruszyła palcami u nóg.

– Personel medyczny to okropne flejtuchy, wiesz?

Niemal godzinę sprzątałam waszą kuchnię i przez to skończyłam zmianę dziesięć minut później. A miałam w planach numerek z Zachem podczas jego dwudziestominutowej przerwy. Tym razem naprawdę musieliśmy się spieszyć.

– To cudownie. Naprawdę bardzo chciałam się tego dowiedzieć, dziękuję. – Mallory zerknęła na promienną twarz siostry. Nie mogła zaprzeczyć, że Tammy wygląda na... Cóż, może nie do końca ustatkowaną i zdecydowanie nie spokojną, ale zadowoloną.

– Czemu tak na mnie patrzysz? – zapytała Tammy.

– Wyglądam na osobę, która właśnie przeżyła szalony orgazm? Cóż, tak było.

Mallory wykrzywiła wargi.

– Raz jeszcze dziękuję. Patrzę na ciebie, bo wyglądasz na szczęśliwą. Naprawdę szczęśliwą.

– Mam nadzieję. Bo Zach jest...

Mallory zakryła uszy rękami, a Tammy się uśmiechnęła.

– Ojej, Mal, chyba trochę przesadzasz. Można by pomyśleć, że od wieków nie uprawiałaś seksu, co wcale nie jest prawdą.

– A skąd ty o tym wiesz, do diaska?

– Cóż, do teraz nie miałam pewności. Tajemniczy Przystojniak, prawda? Kiedy? Podczas aukcji, gdy zniknęłaś na godzinę, a wróciłaś z uśmiechem kota, który wylizał całą śmietankę? Wiedziałam.

Mallory aż się zakrztusiła.

– Ja...

– Nawet nie próbuj zaprzeczać. Och, pożycz na chwilę telefon.

Zażenowana Mallory podała siostrze komórkę, a Tammy wpisała coś do pamięci.

– Co robisz?

– Upewniam się, że nie zapomnisz imienia swojego chłopaka. Proszę bardzo.

Mallory zerknęła na najnowszy wpis na liście kontaktów.

– Tajemniczy Przystojniak, czyli Ty Garrison. – Łypnęła na siostrę. – Skąd masz jego numer?

– Zostawił wiadomość dla doktora Scotta w dyżurce pielęgniarek. Przez przypadek go zapamiętałam.

– Tak nie wolno...

– Och, uspokój się, Panno Porządnicka. Nikt mnie nie widział.

– Tammy...

– Cii, zaczyna się. – Tammy odwróciła się w kierunku sceny.



Właśnie ogłoszono początek zebrania.

Mallory obgryzała paznokcie przez czas dyskusji o planach przywrócenia zajęć sportowych i artystycznych w szkołach, o ustawieniu w centrum parkomatów i o tym, czy udzielić poparcia obecnemu burmistrzowi, Jaxowi Cullenowi, gdy będzie się ubiegał o następną kadencję.

W końcu podniesiono temat Centrum Usług Medycznych. Bill Lawson wstał i pokrótce przedstawił plany i fakty, a potem poprosił zebranych o opinie. Jego dwoje asystentów natychmiast ustawiło w środkowej alejce mikrofon. Pierwsza podeszła do niego pani Burland.

– Jestem przeciwna centrum. Zawsze byłam – oświadczyła, wspierając się jedną dłonią na lasce, palcem drugiej mierząc po kolei w zgromadzonych.

– To będzie kosztować nas, ciężko pracujących podatników, masę pieniędzy.

– W zasadzie – wtrącił Bill – otrzymaliśmy spory grant na działalność centrum. Mamy również pieniądze zebrane podczas aukcji. Planujemy zorganizować w przyszłym tygodniu myjnię samochodową, by zebrać brakujące środki. – Uśmiechnął się. – Mallory Quinn namówiła do pracy w myjni cały zarząd, oczekuję więc, że zjawicie się wszyscy, by nas zobaczyć.

Z piersi zgromadzonych wyrwało się zbiorowe westchnienie. W zarządzie szpitala zasiadała śmietanka Lucky Harbor, w tym najseksowniejsi mieszkańcy miasteczka, czyli burmistrz, doktor Scott i Matt Bowers.

– Nawet ciebie, Bill? – zawołał ktoś.

– Nawet mnie. Mogę zmierzyć się w myjni z najlepszymi.

Rozległ się gwizd, a Mallory zrelaksowała się nieco. Bill właśnie zagwarantował myjni rekordową frekwencję. Ludzie zjawią się na pewno, by zobaczyć, jak elita miasteczka pucuje ich samochody. Będą płacić, robić

zdjęcia, śmiać się i wytykać wolontariuszy palcami.

Lucky Harbor to jednak urocze miejsce.

Pani Burland, ze ściągniętą twarzą, postukała palcem w mikrofon.

– Halo! Jeszcze nie skończyłam! Centrum ściągnie do miasta niepożądany element. A już mamy z tym problem. – Zlustrowała wzrokiem mieszkańców, jak sokół wypatrujący ofiary, i zmrużyła powieki na widok Mallory.

– Jędza! – mruknęła Tammy.

Mallory skuliła ramiona.

– Pomyślcie o tym – dodała jeszcze pani Burland, zanim wróciła na swoje miejsce.

Następnie wstała Sandy, urzędniczka miejska.

– Ja również jestem przeciwna – oświadczyła z wyraźnym żalem. – Nie sądzę, by stać nas było na utrzymywanie centrum. Nie w sytuacji gdy nasza biblioteka nie ma funduszy, w szkołach brakuje personelu z powodu wymuszonych zwolnień, a nasz budżet się nie domyka. Środki z datków moglibyśmy zagospodarować o wiele lepiej. Przykro mi, Mallory, naprawdę.

Przez zgromadzony tłum przebiegł pomruk aprobaty; wstały jeszcze dwie osoby, również przeciwnie otwarciu centrum.

W końcu nadeszła kolej Lucille. Ta stanęła przed mikrofonem w jaskraworóżowym dresie, białych tenisówkach i różowej opasce na siwych włosach o niebieskim odcieniu. Przez chwilę mierzyła złym wzrokiem siedzącą w pierwszym rzędzie panią Burland. Plotka głosiła, że dwa stulecia wcześniej obie chodziły razem do liceum, gdzie pani Burland odbiła Lucille narzeczonego. Lucille zemściła się, uciekając z bratem pani B., który poległ podczas wojny w Korei – nie na froncie, lecz w burdelu – na atak serca.

Lucille była tak niska, że mikrofon wystawał kilka centymetrów ponad jej głowę. To jej nie powstrzymało.

– Miło byłoby mieć pod ręką Centrum Usług Medycznych – oświadczyła, unosząc wysoko brodę. – Bo gdybym na przykład złapała trypra, miałabym dokąd z nim pójść.

Sala wybuchnęła śmiechem.

– Co? Myśleliście, że już tego nie robię? – Lucille odwróciła głowę i puściła oko do pana Murdocka w trzecim rzędzie.

Pan Murdock uśmiechnął się do niej szeroko. Świeżo wypucowana proteza jaśniała nienaturalną bielą.

Lucille ponownie puściła do niego oko.

– Należy też zaznaczyć, że centrum nie mogłoby się znaleźć w rękach lepszych niż ręce naszej Mallory Quinn. To wspaniała pielęgniarka, która zdobyła również dyplom z zarządzania. Nasza mądrała.

Tammy odwróciła się do Mallory.

– Naprawdę masz dwa dyplomy? – zapytała, wyraźnie zaskoczona.

Mallory spojrzała na siostrę z ukosa.

– Przecież byłeś na rozdaniu...

Tammy zastanawiała się przez chwilę.

– Niczego podobnego nie pamiętam. – Pokręciła głową. – Na swoją obronę dodam tylko, że w tamtym okresie przez większość czasu bywałam pijana...

Lucille nie przestawała mówić.

– Wiem, że niektórzy z was sądzą, iż Mallory jest zbyt słodka, by zmierzyć się z tak wielką odpowiedzialnością, i że jej programy pomocy uzależnionym i nastolatkom w ciąży przyciągną tylko dilerów i alfonsów. Powinniście jednak obdarzyć ją większym zaufaniem. Jeśli nie zdoła

opanować hołoty, którą jej centrum sprowadzi do miasta, na pewno poradzi sobie z tym jej nowy chłopak.

– O, Boże...! – Mallory zakryła oczy dłonią. – Nie mogę na to patrzeć. Tammy prychnęła.

– Dobrze, że nie nazwała go twoim kochankiem. Zresztą to wcale nie jest twój największy problem. Twój największy problem to fakt, że popiera cię wyłącznie ta stara szalona nietoperzyca.

– Wiesz co? I ty mogłabyś tam stanąć i mnie poprzeć.

– O, nie. Ja jestem zbyt nieśmiała, by występować przed publicznością.

Tak, jasne.

Lucille wróciła na miejsce, a do mikrofonu podeszły kolejne cztery osoby. Żadna z nich nie poparła centrum. Tammy musiała niemal usiąść na siostrze, by powstrzymać ją przed zerwaniem się z krzesła.

– Pobicie ich na pewno ci nie pomoże.

Poza tym telefon Mallory brzęczał nieustannie, zasypywany esemesami o treści: „To twój chłopak?”. Nawet matka o to zapytała.

W końcu do mikrofonu podszedł wysoki, postawny mężczyzna w spranych dzinsach i ciemnych okularach.

Ty Garrison.

Mallory skuliła się na krześle tak, że niemal nie było jej widać, i na wszelki wypadek znów zakryła oczy.

– Tak, Mallory, to działa – szepnęła Tammy. – W ogóle cię teraz nie widzę.

roberwała od Mallory kuksańca.

W ciszy rozległ się spokojny, wyraźny głos.

– Centrum Usług Medycznych poprawi jakość życia osób, które teraz

zmuszone są obywać się bez pomocy.

Znów rozległy się szepty.

– Miejsca, w których tacy ludzie mogą otrzymać pomoc, są w innych miastach – rzucił ktoś.

– Tak! – zawołał inny. – CUM jest nam niepotrzebne.

– Mylicie się – oświadczył Ty obcesowo. – Są w Lucky Harbor ludzie, którzy potrzebują pomocy, jaką zapewnić im może tylko centrum. Na przykład weterani wojenni.

Te słowa przeszły bez komentarza, może dlatego że zgromadzeni przestraszyli się hamowanej gwałtowności, z jaką mówił Ty, a może dlatego, że była to prawda.

– Możecie wciąż chować głowę w piasek, są jednak wokół was ludzie potrzebujący pomocy, by poradzić sobie z uzależnieniami, ludzie, którzy potrzebują bezpiecznego schronienia przed przemocą, nastolatki, którym brakuje wiedzy z zakresu profilaktyki chorób wenerycznych i zapobiegania ciąży. To są realne problemy. Ich skala jest coraz większa, a Centrum Usług Medycznych będzie nieocenioną pomocą dla całego hrabstwa... – Urwał. Na sali panowała głucha cisza. – Lucille ma rację – dodał. – Nie ma bardziej odpowiedniej osoby niż nasza Mallory Quinn. Każdy z was powinien jej pomóc. Zacznę od siebie, przeznaczając datek na program dla weteranów wojennych, którzy w centrum będą mogli uzyskać informacje na temat rehabilitacji, z zakresu pośrednictwa pracy albo pomoc w zaaklimatyzowaniu się w społeczeństwie na nowo.

Mallory aż otworzyła usta ze zdziwienia.

Wszyscy zamarli. Rzadko spotykany przypadek w Lucky Harbor. Nikt nawet nie mrugnął.

– Ależ on jest seksowny! – szepnęła Tammy. – Powinnaś go przy

sobie zatrzymać.

– Nie mogę – odparła Mallory, wpatrując się w Tya ze zdumieniem. – Uzgodniliśmy, że to jednorazowa sprawa.

– Cóż, to było głupie. Możesz już opuścić dłonie. Jesteś bezpieczna. Nikt nie ośmieli się teraz sprzeciwić. To prawdziwy zabijaka.

Faktycznie, Ty wyglądał groźnie pośrodku sali. Niewzruszony jak skała i przemawiający z głębi serca. Pomocny...

– Hej, czy nie uratował ci tyłka również na aukcji? Gdy rozruszał licytację? – zapytała Tammy.

Owszem, uratował. I znów to robi.

Jakby wyczuwając na sobie wzrok Mallory, Ty spojrzał prosto na nią przez długość sali. A potem odwrócił się i wyszedł.

W jej obronie stawiał czoło całemu miastu. W obronie jednorazowej przygody. Co to może oznaczać? Zależy mu na mnie?

Gdy to zrozumiała, usiadła prosto i wyciągnęła szyję, by spojrzeć na niego jeszcze raz.

– Mój chłopak jest jak marzenie... – Kpiąco wyszeptała Tammy.

Mallory znów ją dźgnęła.

Pomimo piorunującego wystąpienia Tya kolejne trzy osoby, które podeszły do mikrofonu, opowiedziały się przeciwko klinice. W końcu nadeszła kolej na Elle Quinn. Wciąż w fartuchu, chwyciła za mikrofon.

– To wszystko duby smalone – oświadczyła. – Każdy, kto sprzeciwia się otwarciu centrum, jest samolubem, egoistą i powinien się wstydzić. A co do mojej córki Mallory, wszyscy dobrze wiecie, że można jej powierzyć zarządzanie centrum, bo na pewno poradzi sobie ze wszystkimi problemami, które mogą wyniknąć. Przecież to ona, bez mrugnięcia okiem, przez całe życie zarządza swoją szaloną rodziną. – Rozejrzała się dokoła, odnalazła w

czwartym rzędzie Joego i spojrzała znacząco na syna. – I dzwoni do waszych mam.

Bo żadne z was nie dzwoni do mamy wystarczająco często. To wszystko.

Joe ukrył głowę w ramionach. Siedząca obok niego blondynka uderzyła go otwartą dłonią w potylicę.

Niedługo potem spotkanie dobiegło końca, a Mallory otoczyli ludzie pragnący odpowiedzi na swoje pytania. Czy naprawdę będzie zaopatrywać narkotykowych dilerów? Wykonywać aborcje? Minęła jeszcze godzina, zanim dziewczyna uwolniła się od ciekawskich i zaczęła szukać Tya.

On jednak wyszedł już dawno.

Tego popołudnia nad Lucky Harbor rozpętała się gwałtowna wiosenna burza. Ty skończył dłuwanie się w shelbym i wybrał się na przejażdżkę w najbardziej ulewnym deszczu, by przewietrzyć głowę. Po raz pierwszy jednak nie myślał o przeszłości ani o pracy.

Myślał o pewnej ciepłej, seksownej pielęgniarce.

Nauczył się ukrywać emocje już wiele lat temu, na obozie treningowym SEAL, na długo przed poznaniem Mallory Quinn. Żaden trening nie przygotował go jednak na nią.

Była jednoosobową ekipą rozbiórkową, swobodnie kruszącą mur, którym się otoczył, wszelkie bariery ochronne. Jeszcze kilka tygodni temu Ty wyśmiałby każdego, kto próbowałby go przekonać, że istnieje kobieta o spojrzeniu zdolnym do powalenia go na kolana w jednej chwili.

A ona to potrafiła. Mało – zrobiła to.

Kiedy kilka godzin później Ty wracał do Lucky Harbor, burza szalała nadal.

Na poboczu stał zaparkowany Volkswagen. Poprzez deszcz Ty dostrzegł kobietę grzebiącą się pod maską w przemoczonym ubraniu. Do diaska! Zatrzymał się i podszedł do niej. Zamarła, a potem sięgnęła do zawieszanej na ramieniu torebki.

Rozpoznał nerwowy odruch i od razu zrozumiał, że właśnie wzięła do ręki jakąś broń. Zachował więc rozsądny dystans pomiędzy nimi i uniósł rękę, by dać nieznajomej do zrozumienia, że nie robi jej krzywdy.

– Pomóc pani?

– Nie... – urwała. – Ale dziękuję. Dam sobie radę.

Skinął głową, spojrzał raz jeszcze na jej przemoczone ubranie i włosy, z których kapało do oczu, a potem zerknął pod maskę.

– Mokra kopułka rozdzielacza?

W oczach kobiety błysnęło zaskoczenie.

– Skąd pan wie?

– To Volkswagen z siedemdziesiątego trzeciego. Jak zamoknie kopułka, w życiu nie zapali.

Skinęła głową, rozluźniła się nieco. Wyjęła dłoń z torebki.

– Miałam ją osuszyć spódnicą, ale wszystko mam mokre. – Odsunęła włosy z twarzy i zamrugnęła gwałtownie. – Hej, ja cię znam! Tajemniczy Przystojniak.

Chryste, jak on nienawidził tego przydomka!

– Ty Garrison.

– Jestem Grace Brooks. Jedna z trzech anielic stróżów, które uratowały cię podczas śnieżycy. – Uśmiechnęła się. – To ja zadzwoniłam pod 911.

– W takim razie ja mogę zrobić chociaż to. – Ty podszedł bliżej, zdjął



kopułkę rozdzielacza i wytarł go swoją koszulą, która jeszcze nie nasiąkła wodą. Potem założył kopułkę i uruchomił silnik.

Wsiadł do swego auta i pojechał do kafejki, gdzie urzędowały Amy i Jan. Jan przykleiła się do telewizora. Oglądała *Idola*.

– Okej, bez jaj! – wrzeszczała. – To było do bani. Boże, jak ja tęsknię za Simonem! On zawsze mówił prawdę.

Amy przewróciła oczami i podeszła do stolika Tya z dzbankiem kawy. Anioł stróż numer dwa w nisko zawieszonych na biodrach bojówkach i obcisłym koronkowym podkoszulku. Zazwyczaj ożywiona i bezpośrednia, tego wieczoru jednak blada, z nijakim uśmiechem.

– Ciasta? – zapytała.

– Jasne.

Wróciła dwie minuty później, z wielkim kawałkiem truskawkowego placka.

– Masz szczęście. To Zarąbisty Placek Truskawkowy z hotelu na końcu drogi. To znaczy, że upiekła go Tara

– wyjaśniła Amy, gdy spojrzał, nic nie rozumiejąc.

– Najlepsze ciasto na świecie, możesz mi wierzyć.

Śmiałe stwierdzenie, którego prawdziwości dowiódł pierwszy kęs. Ty przyglądał się przez chwilę, jak Amy dolewa mu kawy, a potem wskazał palcem na ręcznik owinięty wokół jej lewej dłoni.

– Dobrze się czujesz?

– Tak.

Bzdura. Druga ręka dziewczyny drżała. Amy wyglądała okropnie. Jeśli jednak zamierzała udawać, że wszystko jest w porządku, postanowił się nie wtrącać. Zwłaszcza że przecież i u niego zawsze wszystko było w porządku.

Tyle że ręcznik ociekał krwią.

– Mam wezwać lekarza?

– Nie.

Ty skinął głową i ukroił sobie kolejny kęs ciasta. Dobrze. A Amy dobrze się czuje i mówi, że nie potrzebuje lekarza. On nie będzie się w to angażował. Gdy jednak skończył jeść, odniósł talerz do kuchni.

– Hej! – zawołała za nim Jan, nie odrywając wzroku od telewizora. – Nie wolno tam wchodzić! To wbrew przepisom.

– Pani kelnerka krwawi. To chyba również wbrew przepisom.

To stwierdzenie przykuło uwagę kobiety. Zerknęła na plecy Amy i zmarszczyła brwi.

– Połatasz ją? – zapytała Tya. – Ma jeszcze godzinę do końca zmiany.

Co jej przyszło do głowy? Ty nie „łatał” nikogo już od bardzo dawna. A dokładnie od czterech lat. Czekał na ściskające w żołądku, wywołujące mdłości wrażenie, czuł jednak wyłącznie pragnienie, by pomóc Amy.

– Tak, połatam.

Amy stała w kuchni przy bloku do krojenia, wsparta na rękach, z pochyloną głową. Na jej twarzy malował się ból. Gdy zobaczyła Tya, poderwała się i pokręciła głową.

– Gościom nie wolno sprzątać.

– Zapytam raz jeszcze. Czy potrzebny ci lekarz?

– To tylko głupie nieporozumienie z nożem.

Żadna odpowiedź. Odwinął ręcznik z jej dłoni i spojrzał na skaleczenie.

– To coś więcej niż głupie nieporozumienie. To trzeba zszyć.

– To powierzchowne.

– Aha. Musisz jechać na pogotowie.

– Wcale nie.

W jej głosie zabrzmiała nerwowa nuta, którą Ty znał doskonale. Z jakiegoś powodu ta dziewczyna z całego serca bała się albo nienawidziła szpitali. Potrafił to zrozumieć.

– Masz apteczkę?

– Tak.

Wziął głęboki oddech ze świadomością, że jeśli on jej nie pomoże, ona nie zgłosi się do nikogo innego.

– Przynieś.

W apteczce znalazł tylko kilka plastrów i nożyczki, poszedł więc do samochodu. Zawsze woził ze sobą zestaw pierwszej pomocy, choć nie korzystał z niego nigdy dotąd. Wrócił do kuchni i znów przyjrzał się ranie. Miał odpowiednie opatrunki, ale skaleczenie było bardzo głębokie.

– Ufasz mi? – zapytał.

– Jasne, że nie.

Grzeczna dziewczynka, pomyślał. Mądra.

– Ja albo szpital, Amy.

Odetchnęła głęboko.

– Wystarczy cholerny plaster. Tylko pośpiesz się. Mam klientów.

– Zaczekają. – Twarz Amy przybrała zielonkawy odcień. Ty popchnął dziewczynę na stołek. – Połóż głowę.

Oparła czoło o blat z głośnym hukiem. Ty zdezynfekował ranę, otworzył tubkę.

Nie odrywając głowy od blatu, Amy przewróciła ją na bok, by kątem oka obserwować poczynania ratownika.

– Potraktujesz mnie klejem? – pisnęła.

– To klej tkankowy. Trzymaj się, bo piecze jak diabli.

– Nałożył klej na ranę. Amy głośno wciągnęła powietrze. – W

porządku?

Przytaknęła. Przez chwilę pracował w milczeniu. Na koniec osłonił ranę wodoodpornym opatrunkiem.

– Dzięki – odetchnęła drżąco. – Faceci to dupki. Z wyłączeniem tu obecnego, rzecz jasna.

Ty wzruszył ramionami. Skoro faceci to dupki, to i on również. Spojrzał na jej rękę.

– Jak się czujesz?

Amy na próbę otworzyła i zacisnęła dłoń.

– Całkiem nieźle. Dzięki. – Przez chwilę obserwowała, jak Ty pakuje zestaw ratunkowy. – Czy Mallory wie, że masz równie sprawne dłonie jak ona?

– Nie odpowiadam na podchwytliwe pytania.

Zaczęła się śmiać, lecz zamilkła, bo w progu kuchni stanął mężczyzna.

Matt. W mundurze, ze zmarszczonymi brwiami.

– Jan powiedziała, że krwawisz i... – Zmrużył powieki na widok plam na białym podkoszulku dziewczyny.

– Co się stało, do diabła?

– Nic.

– Chryste, Amy! – Podniósł z podłogi zakrwawiony ręcznik i spojrzał na nią ponownie. Podszedł bliżej i zlustrował ją dokładnie.

Gdy odwróciła się do niego plecami, zerknął na Tya.

– Co się jej stało?

– Nie chce powiedzieć.

– Nóż – rzuciła Amy przez ramię. – Nic wielkiego. A teraz sobie idźcie. Wielkim złym facetom nie wolno wchodzić do kuchni.

Matt nawet się nie uśmiechnął, a to było do niego całkiem niepodobne.

Ty nie miał pojęcia, że coś się dzieje pomiędzy nim a tą śliczną, opryskliwą kelnerką, choć rzecz wyraźnie rzucała się w oczy. W zawsze swobodnym, zrelaksowanym Matcie można było czytać jak w otwartej księdze i niewiele było rzeczy, które mogły wytrącić go z równowagi. Język ciała obojga sprawił jednak, że w kuchni zrobiło się gorąco.

Nagle Amy prychnęła z irytacją i podeszła do drzwi. Przechyliła głowę, jasno wyrażając życzenie. Żeby sobie poszli.

Matt nawet nie drgnął, więc podeszła do niego i lekko go popchnęła. Nie była wysoka, choć buty na koturnie dodawały jej kilku centymetrów. Matt miał jednak metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył o dobrych trzydzieści pięć kilo więcej. Amy mogłaby go przesunąć tylko wówczas, gdyby jej na to pozwolił. Ku zdumieniu Tya przyjaciel jednak ustąpił i wyszedł, mrużąc pod nosem: „Pieprzyć to”.

Ty poszedł za nim, powtarzając sobie w duchu, że nie zamierza się angażować w jego sprawy. Najchętniej wprosiłby się na ten wieczór do łóżka Mallory. Mógłby to zrobić.

Z łatwością.

Nie przemawiało przez niego rozrośnięte ego, lecz fakty. Ona go pragnęła. On również jej pragnął, bardziej, niż był to sobie w stanie wyobrazić. Nawet teraz mógłby leżeć owinięty jej słodkimi, ciepłymi kończynami, zatopiony głęboko w jej wnętrzu.

– Niech to szlag!

– Właśnie – mruknął Matt, gdy szli ramię w ramię przez parking. –

Niech to szlag.

– O co wam poszło?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Dlaczego w twoim przypadku ma to działać, a w moim nie?

Matt zignorował przyjaciela i podszedł do shelby'ego.

– Zrobiłeś zawieszenie?

– Tak, ale i tak jeszcze sporo zostało. Zajmowałem się twoim jimmym. Już prawie skończyłem, tak na marginesie.

– Świetnie. A jak się sprawuje to maleństwo?

– Lepiej z nim niż z każdą inną dziedziną mojego życia.

Matt roześmiał się ponuro i zajął miejsce pasażera. Milczący i ponury, najwyraźniej zamierzał towarzyszyć Tyowi w jego wieczornej przejażdżce. A jemu odpowiadało to jak najbardziej.

TTLRR

## ROZDZIAŁ 11

*Jedz co najmniej jeden pełnowartościowy posiłek dziennie – tabliczkę czekolady.*

W sobotę nastąpiło oficjalne otwarcie Centrum Usług Medycznych. Wprawdzie miasto odniosło się do pomysłu z rezerwą, jednak nieśmiałe poparcie podczas sesji rady pozwoliło Mallory przekonać Billa do miesięcznego okresu próbnego.

Wiedziała, że za owo nieśmiałe poparcie powinna podziękować przede wszystkim Tyowi. Po spotkaniu wiele osób przeznaczyło datki na konkretne programy. Ford Walker i Jax Cullen, właściciele miejscowego baru, wsparli projekt „Piłeś? Nie jedź”. Lucille przekazała przybory malarskie ze swojej galerii do warsztatów sztuki. Lance, ulubiony pacjent Mallory, ten z mukowiscydozą, zgłosił się, by jako wolontariusz doradzać przewlekłe chorym. Każdego dnia dzwonił ktoś nowy.

Bill stwierdził, że tyle pieniędzy i dobrej woli nie może się zmarnować i dał swoją zgodę. Zazaczył jednak, że jeśli wszystko nie będzie szło jak po maśle, zamknie centrum po miesiącu.

Placówka miała być otwarta przez pięć dni w tygodniu jako ośrodek doradztwa kryzysowego, edukacji i programów odwykowych, natomiast w soboty zamieniałaby się w pełnowymiarową poradnię lekarską.

Pacjentów przyjmowano non stop, głównie dzięki doktorowi Scottowi. Gdy tego dnia Mallory zamykała centrum, Josh właśnie wychodził.

Po długim dniu wyglądał jeszcze bardziej nieporządnie niż zwykle. Jego fartuch był pomięty, wokół jego szyi wciąż zwisał stetoskop. Ciemne włosy były zmierzwione, a ciemne oczy podkrążone ze zmęczenia. A jednak

emanował tym rodzajem determinacji, który podpowiadał, że mężczyzna nie jest aż tak zmęczony, by komuś nie skopać tyłka, jeśli zajdzie taka potrzeba. Tego dnia przepracował dwa dyżury, poświęcając jeden centrum w ramach wolontariatu, Mallory wiedziała jednak, że to nie koniec jego obowiązków. Musiał jeszcze wrócić do domu, gdzie czekały kolejne: mały synek i niepełnosprawna siostra, nad którymi Josh sprawował wyłączną opiekę.

– Dobra robota dzisiaj – powiedział do Mallory.

– Dzięki tobie.

Wzruszył ramionami, jakby nie zrobił niczego nadzwyczajnego. Był potężnym facetem – ponad metr osiemdziesiąt wzrostu umięśnionej sylwetki – co jeszcze bardziej podkreślało jego talent. Poważny i nieco przerażający, okazał się najbardziej bezpośrednim lekarzem, jakiego Mallory spotkała kiedykolwiek. Lubiły go wszystkie pielęgniarki, bo traktował je z szacunkiem. Wprawdzie powinno być to normą wśród lekarzy, ale nie było. Całokształt sprawiał, że regularnie trafiał na listę Najbardziej Pożądanych Facetów, którą prowadziła na Facebooku Lucille, co doprowadzało doktora do szału.

– Cieszę się, że udało ci się przeforsować powstanie centrum – dodał.

– Robisz coś naprawdę dobrego.

Rozpromieniona Mallory zamknęła za nim drzwi. Jako ostatnia na posterunku obeszła wszystkie pomieszczenia, przy okazji ogarniając co się dało. Mieli dwa gabinety lekarskie, malutką kuchnię dla personelu i recepcję. Na tyłach znajdowała się niewielka garderoba\* która po remoncie miała służyć za zamykaną szafę na leki, tymczasowo przechowywane w zamkniętej witrynie w jednym z gabinetów. Recepcja była na tyle duża, by w dni powszednie pomieścić całkiem pokaźną liczbę osób.

Następnego wieczoru miało się odbyć pierwsze zaplanowane spotkanie



AA. Poniedziałek przeznaczyci na spotkania Anonimowych Narkomanów – NA. W środy oddawali parkiet gościom – prelegentom w ramach programów skierowanych do nastolatków.

Nareszcie działo się coś, co sprawiało, że Mallory czuła się potrzebna. Użyteczna. Nie zdołała pomóc Karen, wyciągnęła jednak dłoń do innych.

Gdy w końcu zamknęła frontowe drzwi i wyszła do samochodu, rozpętała się kolejna burza. Zapadł zmrok, a parking nie był dobrze oświetlony. Mallory zaparkowała za szpitalem, przy bocznej ulicy. Zano-towała w pamięci, by poprosić o naprawę okolicznych latarni i wsiadła do samochodu, w ostatniej chwili chroniąc się przed ulewnym deszczem. Włożyła kluczyk do stacyjki i przekręciła.

Nic. Tylko kliknięcie. Spróbowała ponownie, co jednak nic nie dało. Oczywiście akumulator. Mallory wyjrzała przez szybę i westchnęła. Ośmiokilometrowy spacer do domu podczas ulewy nie wchodził w grę. Przez cały dzień była na nogach. Z grymasem na twarzy wyjęła telefon i zadzwoniła do Joego.

– Jo! – przywitał ją brat. – Dzwonisz nie w porę.

– Dla mnie też nie jest dobra. Musisz przyjechać i pomóc mi z samochodem. Padł mi akumulator.

– Znów zostawiłaś włączone światła?

– Nie. – Może. – Jesteś mi to winien, Joe. – Musiała zacząć z grubej rury, by uzyskać przewagę w negocjacjach. Joe był hazardzistą i obstawiał tylko wtedy, gdy szanse przemawiały na jego korzyść. – Pożyczyłam tobie i twoim głupim kumplom mój samochód, pamiętasz? Potrzebowaliście go, by dojechać na jakieś durne przyjęcie w Peak's Landing. Może to wasza wina.

– Nie. Nasza wina to pęknięcie na szybie. Nie akumulator.

Mallory utkwiała wzrok w niewielkiej rysie po stronie pasażera i

poczuła w oku znajomy nerwowy tik.

– Daj spokój, Joe. Naprawdę potrzebuję pomocy.

– Chryste! Zaczekaj chwilę. – Nakrył słuchawkę dłonią i coś wyszeptał.

Odpowiedział mu stłumiony kobiecy śmiech.

– Mal, jeśli trzeba cię podrzucić, możesz poprosić kogokolwiek. – Joe zniżył głos. – Jestem na randce. Z Ashley.

Nie miała pojęcia, kim jest Ashley, założyła jednak, że to nie jego blondynka.

– A co się stało z tą... Jak jej tam?

– To było w zeszłym tygodniu.

Westchnęła z dezaprobatą.

– Jesteś męską ladacznicą.

– Przyznaję się – powiedział i się rozłączył. Zaciskając zęby, Mallory ponownie wybrała jego numer.

Nie odebrał.

– Niech to szlag! – Przewinęła listę kontaktów. Matkę wykluczyła od razu; Ella na pewno nie miała zestawu kabli, a poza tym chciałyby zapewne porozmawiać o życiu towarzyskim córki. Może Tammy, pomyślała, i wybrała numer siostry.

– Czy Zach może mnie podrzucić?

– Skarbie. Teraz jest zbyt zajęty podrzucaniem mnie. Jeśli wiesz, o czym mówię.

Och, na miłość boską! Mallory rozłączyła się, czując, że nerwy zaczynają ją zawodzić. Ona rzuciłaby wszystko dla każdego członka swojej rodziny, lecz żaden z nich nie chciał pomóc jej. Ta przygnębiająca myśl nie zmieniała faktu, że Mallory wciąż była przemoczona, zziębnięta i samotna

na mrocznym parkingu. Zaczęła od nowa przeglądać listę kontaktów i nagle zatrzymała się przy jednym z nich.

Tajemniczy Przystojniak, czyli Ty Garrison.

Pluszowe zwierzaki, które dla niej wygrał, zajmowały honorowe miejsce na jej łóżku. Zupełnie jakby znów miała dwanaście lat i podkochiwała się w miejscowym rozrabiace.

Tylko czy miejscowy rozrabiaka ująłby się za nią na spotkaniu rady miasta i bronił jej przed wszystkimi? Czy zatrzymałby się i pomógł obcej kobiecie unieruchomionej na poboczu drogi? Grace opowiedziała Mallory wszystko. Podobnie jak Amy, która twierdziła, że Ty opatrzył ją spokojnie i profesjonalnie.

Tak, Ty był kimś znacznie więcej niż zwykłym mechanikiem. A ona zupełnie nie potrafiła go rozszyfrować.

Nie powinna dzwonić do niego po pomoc. Po pierwsze, uprawiali niestosowny seks bez zobowiązań. Po drugie, odkryła, że go lubi. I to bardzo. A na dodatek śniła, że znów uprawiają seks.

Same dobre powody.

I jeden dobry powód, żeby jednak zadzwonić.

Bo on by po nią przyjechał.

Mallory wybrała numer i wstrzymała oddech. Odebrał po czwartym sygnale, spokojny i zrównoważony jak zawsze.

– Garrison.

– Cześć. Tu Mallory.

Przez chwilę przyswajał tę informację, zapewne zastanawiając się, skąd ma jego numer. Mallory nie śpieszyło się do dyskusji na ten temat.

– Jestem w centrum, mój samochód nie chce zapalić, zostałam sama, a na tym głupim parkingu nie świecą latarnie i...

– Zamknij drzwiczki. Zaraz tam będę.

– Okej, dzięki...

Już się rozłączył. Mallory włożyła telefon do kieszeni i oparła czoło o kierownicę. Była taka zmęczona... Myślała tylko o tym i o bolących nogach. Naprawdę przydałby się jej masaż stóp. I ciała. Kiedyś dostała masaż w prezencie, w zeszłym roku na urodziny. Jako prezent od Tammy. Masowała ją Chloe Traeger w swoim spa, w hotelu. Zabieg był fantastyczny. Teraz Mallory zastanawiała się, co by czuła, gdyby jej ciało masował mężczyzna.

I to nie byle jaki mężczyzna.

Doskonale wiedziała, o kogo chodzi. O Tya. Westchnęła ponownie, wyobrażając sobie, że leży na plecach na odludnej plaży, słońce zachodzi, a on pochyla się nad nią w dżinsach – biodrówkach, dotykając wielkimi dłońmi jej ciała odzianego w bikini...

Nie, chwilę.

Żadnego bikini. A Ty ma na sobie spodenki do pływania. Tak, spodenki do pływania, zawieszane niepokojąco nisko na biodrach. Jego oczy płoną uczuciami, które okazuje bez otwierania ust. Mmm, o wiele ładniejsza wizja, pomyślała rozmarzona Mallory.

*Jest podniecony. Ona czuje go, gdy się nad nią pochyla. Wielki. Twardy. Uśmiecha się do niego.*

*Ty nie odpowiada uśmiechem, lecz przewraca ją na brzuch, twarzą do ręcznika, tak gwałtownie, że aż pozbawia ją oddechu. Ona czeka, by jej dotknął. Gdy jego wargi muskają jej ramiona, zaczyna się wić.*

*– Leż nieruchomo. – Jego głos jest ekscytująco szorstki, lecz ona nie słucha polecenia, prowokując kolejny groźny pomruk. Ty wypowiada jej imię ostrzegawczym szeptem, przesuwa palcem wzdłuż jej kręgosłupa, a potem pomiędzy nogami, aż Mallory zaczyna dygotać z podniecenia.*

*I znów to robi.*

*I jeszcze raz, aż w końcu ona zaczyna poruszać biodrami, odruchowo zataczając nimi małe kółka, próbując wchłonąć w siebie więcej jego palców. Ty wsuwa udo pomiędzy jej nogi, rozsuwa je, unosi ją na kolana i wchodzi.*

*Ona wybucha od razu, tłumi okrzyk, przytulając twarz do jego przedramienia opartego na ręczniku pod jej ciałem. On jest tuż za nią, dygocze z rozkoszy i opada na nią całym ciężarem...*

Słyszając pukanie w okno, Mallory poderwała głowę i uderzyła nią w osłonę przeciwsłoneczną.

Ty, z wargami wygiętymi w kpiącym uśmiechu, czekał cierpliwie, aż opuści szybę.

– Cześć – przywitała go bez tchu. – Ja tylko... – Boże! Marzyłam, że doprowadzasz mnie do orgazmu.

– Spałaś?

Właśnie. Znacznie mniej żenujące. Przytaknęła i otarła dłonią spoconą skroń.

– Chyba jestem zmęczona.

– Masz wypieki. Dobrze się czujesz?

Zacisnęła uda. Tam była bardziej niż zaczerwieniona.

– Tak.

– Spróbuj teraz.

Uświadomiła sobie, że nie tylko przespała chwilę, kiedy zaparkował obok, ale też podniesienie masek obu samochodów i podłączenie kabli.

Niezła drzemka. Dobrze, że nie wykrzykiwała jego imienia. Przekręciła kluczyk i auto zapaliło.

Ty odwrócił się i pochylił nad jej silnikiem, chowając głowę pod

maską. Ignorując apetyczny wygląd jego pupy w tej pozycji, Mallory wysiadła i stanęła obok.

– Wcześniej czy później będziesz musiała kupić nowy alternator.

Spojrzała pod maskę, nie mając zielonego pojęcia, o której części mowa.

– Czy to kosztowne?

– Sama część nie. – Wciąż grzebał w okolicach silnika. – Robocizna jest droga, choć nie powinna. To łatwo wymienić.

– Więc jednak jesteś mechanikiem?

Ty wyciągnął bagnet i sprawdził poziom oleju.

– Zawsze byłem dobry w rozbieraniu wszystkiego na części i składaniu z powrotem.

Tego była pewna. Tydzień rozmontował ją całkowicie, a potem zebrał do kupy. Swoboda, z jaką doprowadził ją do orgazmu, wciąż napędzała fantazję Mallory. Uprawiała wcześniej seks, całkiem dobry seks, nigdy dotąd jednak nie przeżyła czegoś takiego.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Nie? – Zerknął.

– Nie.

Jego usta wygięły się w uśmiechu.

– Czy ktoś ci kiedyś mówił, że jesteś nieco...

– Uparta? Zdeterminowana? Irytująca? – Skinęła głową. – Owszem. Możesz mi wierzyć, słyszałam to nieraz.

– Trzeba uzupełnić olej. Pracuję dla dostawcy rządowego i robię mniej więcej to samo, co robiłem w wojsku.

– Mniej więcej to samo? – Mallory niemal zaczęła się ślinić, gdy smukłe mięśnie jego pleców wygięły się, rozciągając materiał podkoszulka.

Ty wsunął bagnet na miejsce. – Czyli rzeczy, których poznanie przypłacałabym życiem?

Odwrócił się do niej i uśmiechnął, niszcząc skutecznie kilka milionów komórek mózgowych Mallory. Niedobrze. Bardzo ich potrzebowała.

– Coś w tym rodzaju.

Zastrzeżone, pomyślała. Interesujące. Niepokojące. Wyjaśniające jednak aurę gotowości, która unosiła się wokół niego, i fakt, że wyglądał jak postać z plakatu zachęcającego do służby wojskowej. Widziała go oczami wyobraźni w punktach zapalnych na całym świecie, pracującego nad maszyną. Czołgi. Łodzie podwodne. Wyrzutnie rakiet. A może na statkach? Wspominał coś o marynarce... Mallory poczuła ucisk w żołądku, gdy uświadomiła sobie, jak niebezpieczne może być jego życie.

– Opatrzyłeś Amy w kafejce. To było miłe.

Wzruszył ramionami.

Chciała dowiedzieć się więcej. Czegokolwiek. Ale się nie doczekała.

– Ładnie wyglądasz w dzinsach.

Wciąż pochylony nad silnikiem, odwrócił głowę i znów się uśmiechnął.

– Jesteś chodzącą zagadką, wiesz? Niby wysyłasz sygnał „zabieraj łapy”, a nie masz problemu z kładzeniem rąk na mnie.

– I ust – dodał usłużnie. – Lubię dotykać cię ustami. Ciało Mallory zadygotało.

– Dlaczego cię pociągam?

– Cóż... Po pierwsze, przez tę seksowną bieliznę...

– Tylko raz widziałeś moją bieliznę.

– Dwa razy. Zaglądałem ci za dekollet na przystani.

– Nieprawda.

– Stanik w biało – różowe kropki.

– O mój Boże!

– Tak właśnie pomyślałem. – Wyprostował się.

– A po drugie, skoro już o tym mówimy, podobają mi się odgłosy, które z siebie wydajesz, gdy...

Nakryła jego usta dłonią.

Skubnął jej palce zębami, a pod Mallory ugięły się kolana. Głupie kolana.

– Podobają mi się twoje oczy.

– Słucham?

– Tak. Podoba mi się, jak łagodnieją, gdy na mnie patrzysz.

Zerknęła, zastanawiając się, czy tylko ją podrywa, czy mówi prawdę. Ty miał szczere spojrzenie.

– Kontynuuj.

– Podoba mi się, że potrafisz zanurkować w burzę śnieżną, żeby pomóc nieznanemu. Podoba mi się, że traktujesz wszystkich tak, jakby byli ważni, nawet bezdomnego narkomana. Podoba mi się, że każdej części swojego życia poświęcasz się w stu procentach. Nie wstrzymujesz się, Mallory.

– I... to ci się we mnie podoba?

– Oraz to, że ja ci się podobam. – Znów się uśmiechnął. – To też mi się podoba.

– A to, że jesteś pewny siebie jak kogut? To też ci się podoba?

– Mhm. Podoba mi się, jak wymawiasz słowo „kogut”.

Odepchnęła go, a gdy się roześmiał, pchnęła raz jeszcze. Nawet nie drgnął, podlec. Wręcz przeciwnie, podszedł bliżej i przycisnął ją do samochodu.



– A tobie co się we mnie podoba?

– Absolutnie nic.

Uśmiechnął się.

– To nieprawda. Lubisz, kiedy...

– Nie mów tego!

– W porządku. I tak jestem lepszy w pokazywaniu niż w mówieniu. –

Nakrył jej usta swoimi. A gdy jego dłonie zaczęły wędrować, usłyszała niski, rozpaczliwy jęk.

Swój jęk.

Ty objął wielką dłonią jej głowę i zmienił słodki, przyjacielski pocałunek w pożądliwą, stanowczą, i – Boże! – wygłodniałą pieszczotę. Zacisnął palce na jej włosach i zaczął całować tak, jakby umierał z tęsknoty.

Dzielnie dotrzymywała mu kroku. Gdy pocałunek dobiegł końca, żadne z nich nie oddychało swobodnie.

– Ojej – powiedziała Mallory i pokręciła głową, by odzyskać jasność myślenia. – Musisz z tym uważać. Dziewczyna może się przy tobie zapomnieć.

Najwyraźniej biorąc te słowa za wyzwanie, znów po nią sięgnął, lecz ona się wywinęła.

– O, nie! – roześmiała się. – Jesteś śmiertelnie niebezpieczny, wiesz?

– Wciąż jestem na twojej liście?

– Cóż, zobaczymy. To lista Panów Nieodpowiednich, a nie Zabijających Czas Zanim Wyjadą. Co w sumie odpowiada definicji Pana Nieodpowiedniego... – Przyjrzała mu się uważnie, mrużąc powieki. – Z drugiej strony jednak, pojawiaasz się na sesji rady miasta... Po unikaniu wszystkich przez wiele miesięcy... I wstawiasz się za mną, że tak powiem. – Pokręciła głową.

– Kim ty jesteś, Tyu Garrisonie?

Nie umiejąc odpowiedzieć, znów dał nura pod maskę.

– Kiedy ktoś oglądał to biedactwo?

– Hm...

Pokręcił głową i powrócił do grzebania w silniku, mrużąc pod nosem coś o braku szacunku dla pojazdów, nawet jeśli są kupą złomu.

– A gdzie ty się nauczyłeś szacunku dla pojazdów? – zapytała kpiąco.

– Od taty. Był mechanikiem w marynarce.

– Ach, rodzinna tradycja.

– Tak. Moja mama służyła w lotnictwie.

Uśmiechnęła się.

– Syn armii.

– Tylko to znam – zgodził się, przykręcając coś do czegoś.

– To dlatego zainteresował cię program dla weteranów w CUM! – zgadła.

I przez osobiste doświadczenia. Zresztą, dotrzymał obietnicy. Mallory otrzymała pokaźny czek, który pokryje koszty piekielnie dobrego programu. Prosił, by zatrudniła dobrego psychologa, takiego, który potrafiłby pomóc Ryanowi i podobnym, a ona właśnie to zamierzała zrobić.

– Czym się teraz zajmują twoi rodzice?

– Mój tata zginął podczas Pustynnej Burzy. Mama zmarła dwa lata temu na zapalenie płuc.

Poczuła ucisk w sercu, jej uśmiech przybladł. A on wciąż naprawiał to coś, co naprawiał.

– Przykro mi – powiedziała cicho, choć żadne słowa w tej sytuacji nie byłyby dobre.

– Wszystko wygląda nieźle, przynajmniej na razie.

– Wyprostował się. – Pojadę za tobą do domu, żeby mieć pewność.

– I znów to robisz – oświadczyła miękko, wciąż wzruszona jego stratą. – Chcesz być na mojej liście Panów Nieodpowiednich, a zachowujesz się jak... Pan Odpowiedni.

– Niech cię to nie zmyli – odparł cicho. – Jestem dla ciebie nieodpowiedni. Bardzo nieodpowiedni.

Co do tego Mallory nie miała żadnych wątpliwości.

TTLRR

## ROZDZIAŁ 12

*To nie czekolada jest substytutem miłości, lecz miłość jest substytutem czekolady. Na czekoladzie można polegać, na facecie – nie.*

W niedzielę Mallory z satysfakcją obserwowała kolejkę obywateli Lucky Harbor, która ustawiła się na parkingu za szpitalem, by skorzystać z usług myjni. Grafik uzgodniono już wcześniej – jak ogłoszono, każdy członek zarządu szpitala zgodził się na dwugodzinną zmianę.

Brano dwadzieścia pięć dolarów od samochodu. Poważna suma, ludzie płacili jednak głównie za radość obserwowania, jak miejscowe grube ryby – odarte ze swej obnoszonej na co dzień finezji – wykonują ciężką fizyczną pracę.

Zmiana Mallory trwała od dwunastej do drugiej, podobnie jak zmiana Matta, Josha i Jane. Matt pozbył się na ten dzień munduru strażnika leśnego, Josh nie miał stetoskopu. Obaj włożyli spodenki kąpielowe. Matt słuchał iPod'a, którego włożył do kieszeni spodenek, kołysząc lekko głową ze swobodnym uśmiechem na twarzy.

I bez koszuli.

Mallory wiedziała, że gość jest niemal uzależniony od siłowni; widać było, że nie marnuje tam czasu. Był jak blok mięśni owinięty testosteronem.

Kolejka do niego zakręcała aż za róg.

Josh miał na sobie bladoniebieski podkoszulek, który zamókł, gdy mył dużą półcieżarówkę; cienka bawełna przywierała do niego jak druga skóra. Szesnaście godzin na dobę spędzał w szpitalu, więc Mallory naprawdę nie miała pojęcia, skąd się bierze to cudowne ciało.

Kolejka do niego była niemal tak długa, jak kolejka do Matta.

Jane miała na sobie spodnie capri i męską koszulę zapiętą pod szyję. Wysoka, posągowa czterdziestolatka posługiwała się na ostrym dyżurze zimnym uśmiechem jak bronią, którą eliminowała wszelkie nieposłuszeństwo. Tego ranka minę miała niemniej bojową.

Do niej nie było kolejki.

– Nie rozumiem – powiedziała do Mallory. – Ludzie mnie nienawidzą. Myślałam, że specjalnie się do mnie ustawiają, bym myła ich samochody, i że z lubością będą wytykać mi każde niedopatrzenie.

– Tak. Hm... Czy mogę ci coś zasugerować?

Jane posłała podwładnej przeciągłe spojrzenie.

– Sama nie wiem. Możesz?

Mallory postanowiła zignorować ton Królowej Śniegu.

– Podwiń rękawy. Och, i zawiąż koszulę na pępku. I rozepnij trzy pierwsze guziki na dekolcie.

Jane prychnęła, obrażona.

– Słucham? Mam sama siebie stręczyć?

– Tak. I podwiń spodnie. Nawet kolana nie pokazujesz.

– Bo są guzowate.

Mallory utkwiała w niej wzrok.

– Okej, jesteś moją szefową, więc nie powiem ci, jak bardzo cię nienawidzę, jeśli to twoje największe zmartwienie. Powiem ci jednak, że jeśli rozepniesz kilka guzików i zwiążesz koszulę, nikt nie będzie patrzył na twoje kolana. Aha, i często się pochylaj. Kolejka do ciebie uformuje się w mgnieniu oka.

Jane położyła rękę na biodrze.

– Ja mam czterdzieści lat, Mallory.

– Dokładnie. Czterdzieści, a nie osiemdziesiąt. I ładniejsze ciało niż

ja. Kiedy ostatnio byłaś na randce?

Jane zastanawiała się przez chwilę, a potem wykrzywiła wargi.

– Nie pamiętam.

Mallory sama rozpięła jej guziki, odsłaniając tym samym ledwie skrawek dekoltu. Naprawdę ładnego dekoltu. Gestem nakazała Jane dokończyć dzieła.

Tamta wywróciła oczami, związała jednak posłusznie koszulę.

– Wiedziałam! – oświadczyła Mallory na wdechu.

– Świetne mięśnie brzucha. Teraz spodnie.

Jane pochyliła się, podwinęła nogawki i w tej samej chwili ustawiły się do niej trzy samochody.

Gdy się wyprostowała, twarz Mallory rozjaśnił uśmiech. Jane wyglądała nie jak sztywna przelożona pielęgniarok, lecz jak potargana, seksowna, pewna siebie kobieta.

Zamrugła, spojrzawszy na auta.

– Widzisz?

– Hm... Oby napiwki były tego warte.

Mallory powróciła do swojej, całkiem przyzwoitej kolejki. Pierwsza była Amy, w starej terenowej toyocie, która dobre czasy miała dawno za sobą.

– Żartujesz? Matt czy Josh zarznąliby się przy tym potworze, a ustawiłaś się do mnie? Może to ja powinnam udzielić tobie kilku lekcji, jak być niegrzeczną dziewczynką?

Amy utkwiała spojrzenie w Matcie; mężczyzna mył właśnie bmw Natalii Decker. Natalia była dyplomowaną księgową z własną firmą, uroczą, drobną blondynką, która umawiała się ze wszystkimi facetami w Lucky Harbor po kolei. Nie zdążyła jeszcze zatopić szponów w Matcie, choć

sądząc po tym, jak zwisała z okna, ciężko nad tym pracowała.

Obojętny na jej starania leśnik pochylał się właśnie z gąbką nad zderzakiem auta. Mięśnie jego pleców grały przy każdym ruchu. Był opalony, mokry i wyglądał piekielnie seksownie.

– Ustaw się w kolejce do niego! – poleciła przyjaciółce Mallory. – Jedna z nas powinna mu się przyjrzeć z bliska.

Amy zsunęła ciemne okulary na oczy i mruknęła coś pod nosem.

– Słucham?

– Nieważne. Nie chcę o tym rozmawiać. Umyjesz mi samochód czy nie?

– Tak, ale, Amy... On na ciebie patrzy.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Okej, ale to będzie jednak pierwsza kwestia, jaką poruszymy na kolejnym spotkaniu czokoliczek. Słyszysz?

– Ty masz akurat inne zmartwienie.

– Tak? A jakie?

– Zaraz za mną stoi twój Pan Nieodpowiedni.

Mallory odwróciła głowę i zamarła na widok sportowego samochodu z seksownym mężczyzną w ciemnych okularach za kółkiem. Miał ciemny zarost i mroczne spojrzenie.

Ty obudził się jeszcze przed świtem. Gdy wyszedł popływać, Matt czekał już na niego na plaży. Przyjaciel posłał mu znaczące spojrzenie, Matt jednak nie wyglądał na przejętego tym, że nie jest mile widziany. Po prostu płynął obok Tya – dopóki był w stanie utrzymywać tempo – a potem usiadł na brzegu, by na niego zaczekać.

– Dobrze sobie radzisz – powiedział, gdy Ty wyszedł z wody.

Miał rację – Ty dobrze sobie radził. Dobrze się czuł. Czynił prawdziwe

postępy. Po pływaniu poszedł jeszcze pobiegać

– potknął się tylko raz i tylko dlatego, że tuż pod jego stopami znikąd pojawił się krab i śmiertelnie go wystraszył. Jeszcze później udał się na strzelnicę, by poćwiczyć inne umiejętności. Był przekonany, że w tym tygodniu dostanie w końcu zgodę na powrót do służby. Czuł to.

Pojechał na strzelnicę położoną około pięćdziesięciu kilometrów od Lucky Harbor. Wracał właśnie do miasta, gdy w prowizorycznej myjni obok szpitala zauważył Mallory. Miała na sobie podkoszulek i szorty, cała była mokra i pokryta pianą. Wyglądała jak skrzyżowanie dziewczyny z sąsiedztwa z modelką z „Maxima”.

Przyciągała go jak magnes, więc ustawił się w jej kolejce. Zobaczyła go i zmrużyła powieki, starając się dostrzec cokolwiek pod słońce i przez szybę shelby’ego. Poczuł, jak coś się w nim uwalnia; powróciła potrzeba powrotu do pracy przy ratowaniu życia.

Mallory upięła włosy na czubku głowy, ale nie chciały się trzymać. Luźne pasma kleiły się do jej wilgotnych skroni, policzków i karku.

Miała tam taką miękką skórę... Ty wiedział, że jeśli dotknie jej ustami, dziewczyna wyda z siebie cichy dźwięk, który przeszyje jego serce. To szaleństwo, powtarzał sobie. Szalał z pożądania do kobiety, której nie powinien pragnąć. I nie było na to siły.

– Hej, Tajemniczy Przystojniaku!

Ty niemal wyskoczył ze skóry. Nie usłyszał, że do jego okna zakrada się Lucille. Uśmiechnęła się znacząco.

– Mój sąsiad ma chargera. Rocznik 1970, tak sędzę. Problem z silnikiem. Powiedziałam, że mógłbyś zerknąć. Co ty na to?

Charger. Prawdziwe чудо. Ty nie miał nic przeciwko.

– Z chęcią.



Lucille się uśmiechnęła.

– To bardzo miło z twojej strony.

Bo taki właśnie jestem, pomyślał. Miły.

Mallory skończyła właśnie myć samochód Amy. Podeszła.

– Cześć. Dzięki, że przyjechałeś.

Ty rozciągnął wargi w leniwym, sugestywnym uśmiechu. Dziewczyna zaczerwieniła się od razu.

– Zamknij okno! – ostrzegła. – Bo będziesz cały mokry... – Urwała i zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Do diaska, teraz będziesz miał brudne myśli!

Roześmiał się i zamknął okno.

Mallory wzięła się do pracy wyraźnie podenerwowana, co bardzo mu się spodobało. I może nieco poirytowana.

To też lubił.

Doskonale radziła sobie z gąbką; miała zaskakująco foremne i silne ramiona. Nosila ciemnoniebieski podkoszulek bez dekoltu, zmokła jednak, więc materiał oblepiał jej ciało. Wąskie dżinsowe szorty pobrudziła na pupie smarem. Cofnęła się kilka kroków, by obejrzeć dokładnie całe auto, najwyraźniej chcąc się upewnić, że splukała wszystkie mydliny. Ty szybko opuścił szybę.

– Uważaj, bo wejdiesz w...

Wiadro z mydlinami.

Za późno. Mallory potknęła się i przewróciła, piszcząc ze zdumienia.

Ty wyskoczył z samochodu w tej samej chwili, w której ona wylądowała pupą w wiadrze. Upadając, instynktownie zacisnęła palce na ogrodowym wężu.

Strumień wody wystrzelił prosto w jego pierś.

– O, Boże... – powiedziała, wypuszczając wąż i próbując wydostać się z wiadra. – Przepraszam!

Josh i Matt ruszyli na pomoc, lecz Ty był pierwszy.

– Wszystko w porządku? – zapytał ją, podnosząc.

Od razu się od niego odsunęła i zaczęła obmacywać pośladki, ociekające teraz mydlinami.

– Nic się nie stało. Mam tam odpowiednią izolację.

– Jesteś pewna? – zapytał Josh, podając Mallory dłoń. Zmarszczył brwi na widok jej kostki. – Nie skreśliłaś stawu złamanego w zeszłym roku, prawda?

– Nie. – Roześmiała się cicho, ewidentnie zażenowana i zrezygnowana. – Powiedźcie, że nikt nie zrobił mi zdjęcia.

– Wszyscy są zbyt zajęci gapieniem się na Jane – zapewnił ją Matt, po czym sam zerknął na szefową Mallory. – Ona dzisiaj... nie jest sobą.

Jak na komendę wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku. Jane faktycznie wyglądała zupełnie inaczej. Uśmiechała się.

Ktoś z kolejki Josha nacisnął klakson.

– Panie doktorze! – zawołał.

Josh przeklął pod nosem, czym serdecznie ubawił Mallory. Poklepała go delikatnie po piersi.

– Kobiety pana wzywają, doktorze. Proszę do nich wracać. Trzeba im dać to, czego pragną.

– Czysty samochód?

– Liczne widoki pana pośladków, gdy się pan pochyla.

Josh wykrzywił się, ale posłusznie zawrócił do kolejki. Mallory odwróciła się do Tya i aż pisnęła, gdy zobaczyła, jaki jest mokry.

– To moja sprawka?

– Będziesz mi zapewne wmawiać, że nie zrobiłaś tego specjalnie?

– Nie. – Wybuchnęła śmiechem. – Nie zrobiłam tego specjalnie, przysięgam! Gdybym to zaplanowała, pominęłabym żenującą scenę z wiadrem, możesz mi wierzyć.

Matt także powrócił do swojej kolejki i zajął się flirtem ze śliczną blondynką za kierownicą kolejnego samochodu.

Ty stał, osobliwie świadomy faktu, że Josh wciąż im się przygląda. Josh był dobrym facetem, jednym z najlepszych, jakich Ty w życiu spotkał, lecz jego nazwisko mogło znajdować się na liście Mallory. Altruizm Tya nie był aż tak głęboki, by życzyć mu szczęścia z dziewczyną.

– Mallory?

– Tak?

Ty podszedł bliżej.

– Powinnaś skreślić Josha ze swojej listy.

Gdy oderwał mokrą koszulę od skóry, Mallory z trudem opanowała uśmiech. Ty wciąż miał pod pachą kaburę z pistoletem. Wyjął z niej mokrego glocka, a cała myjnia nagle zamilkła i wszyscy utkwili w nim wzrok. To znaczy, nie w Tyu. W jego broni.

Chryste.

– Zamókł. Pistolety nie lubią wilgoci.

Matt solidarnie stanął u boku przyjaciela. Zwierzchnik straży leśnej i szalony facet ze spluwą.

– W porządku – powiedział głośno. – On ma na to licencję. – Uśmiechnął się przy tym swobodnie i położył dłoń na ramieniu Tya, drugą machając do kogoś, kto właśnie wjechał na parking.

Po tych słowach wszyscy zajęli się swoimi sprawami, zostawiając obu mężczyzn w spokoju.

Matt zerknął na przyjaciela.

– Cały czas ci powtarzam: Lucky Harbor to nie Bliski Wschód.

Ty odpowiedział spojrzeniem, lecz nie odezwał się ani słowem.

Matt westchnął.

– Pamiętasz ten program dla weteranów? Ten w CUM, który współfinansujesz? Ten, do którego kazałeś znaleźć Mallory dobrego psychologa? Powinieneś sam z niego skorzystać.

– Nic mi nie jest.

– Cóż, cieszę się, że to słyszę. Może jednak już czas zrobić krok dalej i poczuć szczęście. Coś ci jeszcze zostało? Jeśli się czasem uśmiechniesz, na pewno ujdzie ci to na sucho. Mówię ci, powinieneś spróbować.

– Zapamiętam – odparł Ty, nie mając ochoty na uśmiech. Co on tu w ogóle robi? Z nogą już w porządku. A jednak zatrzymał się w myjni, bo Mallory dobrze wyglądała w szortach. I właśnie się zgodził naprawić czyjegoś chargeera. Co on wyprawia, do diabła? Przecież lada dzień stąd wyjedzie, powróci do dawnego życia.

Dlaczego więc zachowuje się tak, jakby planował tu zostać? Dlaczego dopuszcza do siebie kolejne osoby i robi plany? Życie w małym miasteczku nie jest dla niego. Nie dla niego są korzenie i więzi. Zapłacił za umycie samochodu. Chciał pożegnać się z Mallory, ale ona myślała już inne auto, wsiadł więc do swojego i odjechał. Tylko raz obejrzał się za siebie. Przyglądała mu się z namysłem.

Ty wiedział, że tym razem pożałuje. Jego wyrzutem sumienia będzie Mallory Quinn.

Tego wieczoru Mallory, Grace i Amy znów usiadły w narożnej łoży w Zjedz Mnie. Z widelcami w dłoniach i ciastem na talerzu.

Narada czekoladiczek.

– Więc... – powiedziała Grace, oblizując widelec.

– Sklep z narzędziami szuka pracowników. Jego właściciel, Anderson, zaprosił mnie na randkę.

– Nie rób tego – ostrzegły ją chórem przyjaciółki.

Grace westchnęła.

– On jest słodki. Wolę mieć pracę. Wypełniłam podanie. Ciężko tyram, by odnaleźć szczęście.

– Myślisz, że liczenie gwoździ ci w tym pomoże? – zapytała Amy.

– A tobie pomaga mycie naczyń?

Amy wzruszyła ramionami.

– Dzięki temu mam mnóstwo wolnego czasu na to, co lubię naprawdę.

– Czyli? – zapytała Mallory.

Znów wzruszenie ramion.

– Na rysowanie.

– Masz nawiązywać przyjaźnie – przypomniała jej Mallory. – To twoje postanowienie, pamiętasz? Rysowanie to dosyć samotniczy sport.

Amy wbiła widelec w duży kawałek ciasta.

– Dopiero się uczę. – Zerknęła na Mallory. – Chcesz porozmawiać o tym, co się dzisiaj wydarzyło?

– A co się dzisiaj wydarzyło?

– Ojej, sama nie wiem... Okazało się, że TP nosi przy sobie broń?

– TP?

– Tajemniczy Przystojniak. Ty Garrison. Ciacho. Facet, na wzmiankę o którym uśmiesz się, jakbyś była na haju.

– Nie uśmiecham się, jakbym była na haju.

Amy zerknęła na Grace. Grace wyjęła z torebki małe lusterko i podała je Mallory.

Dziewczyna zauważyła bijący z jej oczu blask i – do diaska! – rozanielony uśmiech, zrobiła więc, co mogła, by się pozbyć tych objawów.

– To przez to czekoladowe ciasto...

Amy wybuchnęła śmiechem.

Mallory westchnęła i odłożyła widelec.

– Oho! – mruknęła Grace.

– Lubię go.

– To źle? – zapytała Grace. – Przecież chciałaś rozwinąć skrzydła, doświadczyć czegoś nowego. A to właśnie się dzieje.

– Ten facet może złamać jej serce – wtrąciła Amy łagodnie. – O to chodzi, Mal? Boisz się?

– Bardzo. Marna ze mnie niegrzeczna dziewczynka.

Ty pływał długo w świetle księżycy, a potem wyszedł na brzeg, by pobiegać. Tym razem nie potknął się ani razu.

Postęp.

Gdy skończył torturować ciało, a każdy jego mięsień drżał z wysiłku, wrócił do łóżka. Jestem zbyt zmęczony na koszmary, pomyślał.

Zaczął się całkiem nieźle. Śnił o przydzielonej jego oddziałowi misji odbicia córki dyplomaty w Istambule. Potem przeniósł się do innej misji: „przechwycenia” określonych komponentów w zapomnianym przez Boga, opuszczonym zakątku Iraku. Przedmioty czekały już na inny transport; połączone mogłyby stanowić poważne zagrożenie terrorystyczne. Potem znów się przeniósł, do dnia, w którym udało się im przejąć autobus pełen amerykańskich i brytyjskich dziennikarzy tuż przed zaplanowanym porwaniem.

Same sukcesy...

Nagle wszystko się zmieniło i rozszalało się piekło.

*Wyrzuciło go z płonącego wraku. Otworzył oczy, w uszach mu dzwoniło, widział płomienie wokół, ale nic nie słyszał. To był film bez dźwięku.*

*Jego ludzie. Podczołgał się do Kelly'ego, lecz ten już nie żył. Następnie odszukał Tommy'ego i Brada, i zrobił, co mógł, a potem udał się na poszukiwania Trevora. Trevor leżał po drugiej stronie wraku, łapczywie łapiąc powietrze zmiażdżonymi płucami. Mógł go tylko trzymać w ramionach, gdy tamten powoli umierał...*

Ty obudził się sam, w łóżku. Nie na tej przeklętej górze.

– Chryste! – szepnął i wplótł palce w mokre od potu włosy. – Chryste!

Była druga w nocy, gdy wstał, chwycił dzinsy i wciągnął je na siebie. Jego telefon znów migał, zapewne od nieodebranych wiadomości, które pozostawiła Frances. Włożył komórkę do kieszeni. I pustą buteleczkę po vicodinie.

Wsiadł do mustanga i odpalił silnik. Nie wiedząc, co go opętało, jechał do domu Mallory. Nie tylko ona posługiwała się metodami rodem z wywiadu. Dopiero niedawno Ty domyślił się, że jego numer mogła wyciągnąć tylko ze szpitala.

Bardzo przedsiębiorcze.

I nielegalne.

Czyn ten bardzo go rozbawił, a w świecie, w którym bawiło go niewiele, również zaintrygował. Śmiertelnie niebezpieczna kombinacja.

Dystans. Powinien zachować dystans. Pracował nad tym.

Jej mały domek stał w starszej dzielnicy miasta. Typowe amerykańskie przedmieście. Ściany świeżo pomalowane, zadbane podwórko. Znacznie bardziej niż ta kupa złomu, którą jeździ Mallory.

Dla tego gruchota znalazł się tutaj. Tak sobie wmawiał.

W sześć minut wymienił jej stary alternator na nowy, po który wcześniej pojechał do Seattle.

Chyba jednak trzeba bardziej popracować nad tym dystansem...

Musi wrócić do pracy. Zwariuje, jeśli komuś się na coś szybko nie przyda. Ty odniósł narzędzia do samochodu i usiadł za kółkiem, gdy nagle usłyszał skrzypienie zamków i otworzyły się drzwi.

Stała w progu. Padało na nią światło z werandy i z małej lampki wewnątrz. Włosy wiły się dziko wokół jej twarzy i opadały swobodnie na ramiona. Spod szlafroka wystawały nagie stopy.

– Ty?

Jego plan, by dokonać wymiany ukradkiem, spalił na panewce.

– Co ty tu robisz?

Zabawne. Nie miał pojęcia. Żadnego. Nic. Zero. Zatrzasnął drzwiczki samochodu i podszedł do niej.

– Ty?

Nie odpowiedział. Postanowił, że jeśli ona się wycofa albo powie mu, że oszalał, czy da mu jakikolwiek inny znak, że nie jest mile widziany, odwróci się na pięcie i odejdzie.

Był w tym mistrzem. Wiedzieli to oboje.

Spodziewał się, że będzie podenerwowana. Widział jej minę w myjni, gdy wziął do ręki broń.

Zaskoczyła go jednak, wychodząc mu naprzeciw, spotykając go w pół drogi. Wyciągnęła rękę, jej ciało odpowiedziało na jego dotyk delikatnym drżeniem, które sprawiło, że nagle Ty poczuł się cholernie potrzebny, o czym marzył właśnie przed chwilą. By komuś się na coś przydać.

Powtarzał sobie, że choć go intrygowała i pociągała, nie zainicjowałby tego związku, gdyby to ona nie zrobiła pierwszego kroku podczas aukcji.



Bzdury. Zapewniła go, że pragnie tylko jednej nocy, a on chciał jej wierzyć z całego serca. A mimo to angażowali się coraz bardziej.

Była jak narkotyk. I to taki najbardziej uzależniający. Ty był niemal pewien, że zaczyna coś do niego czuć. Nie miał pojęcia, co z tym zrobić, co począć z własnymi uczuciami, które coraz częściej wchodziły mu w drogę. I to tyle, jeśli chodzi o brak zaangażowania, który ustalili oboje. Mallory Quinn przywiązywała się do każdego, kogo spotkała na swojej drodze, co okazało się zaraźliwe. A on ląknął kontaktu z nią w sposób, którego nigdy wcześniej nie doświadczył.

A lubił być doświadczany.

Nie mógł jednak myśleć o tym teraz, gdy rozchyliła wargi. Jej policzki poczerwieniały, a oczy powiedziały mu, że jego obecność działa na nią równie mocno, jak jej na niego. Bezradny wobec tego przyciągania, Ty wziął ją w ramiona i przekroczył próg, kopnięciem zamykając drzwi.

Zataczali się po przedpokoju złączeni ustami. Wpadli na stojak na parasole, przewrócili go, Mallory potknęła się o swoje buty i wpadła na wieszak z płaszcami.

Wybuchnęli śmiechem. Ty wziął ją na ręce, by ochronić przed niebezpieczeństwem, i przycisnął do toaletki z lustrem, takiej z czereśniowego drewna. Uwięził ją. Rozbawienie znikło, z gardła Mallory wyrwał się pełen pożądania jęk.

Zapragnął usłyszeć go znowu. Musiał go usłyszeć. Pochylił głowę i pocałował to słodkie miejsce tuż za jej uchem, musnął wargami linię jej szczęki i karku. Dużo czasu poświęcił podstawie szyi, bo gdy ją tam pocałował,

Mallory ponownie jęknęła pożądliwie i zacisnęła drżące dłonie na jego ramionach.

– Śniłam o tobie – szepnęła.

Ucieszył się, zwłaszcza, że on śnił o piekle. Ale aż do tej chwili nie wiedział, jak bardzo tego potrzebuje. Jak bardzo potrzebuje jej.

– Opowiedz mi.

– Byliśmy na aukcji. – Wplotła mu palce we włosy, wywołując dreszcz. – Torowaliśmy sobie drogę przez meble.

– Torowaliśmy sobie drogę przez meble?

– Tak, wiesz... – Zawahała się. – Robiliśmy to na każdym – wyjaśniła szeptem.

Cofnął się, by spojrzeć jej w oczy. A gdy dostrzegł uroczy rumieniec, roześmiał się miękko.

– Po tym, co robiliśmy tamtej nocy, wciąż się wstydzisz, gdy o tym mówisz? – Pchnęła go, lecz ani drgnął.

– Nie – powiedział i przytulił dziewczynę. – Podoba mi się to. – Do diaska, na pewno czuje już na udzie dowód! – Na jakim meblu zrobiliśmy to najpierw?

Odwróciła głowę.

– Nic więcej ci nie powiem.

Skubnął jej ucho.

– Powiedz... – poprosił, muskając językiem małżowinę.

Oddech uwiązał Mallory w gardle.

– Na stole.

Uśmiechnął się.

– Wziąłem cię na stole?

Wydała z siebie dźwięk, który w połowie świadczył o zażenowaniu, a w połowie o najczystszych pożądaniami.

– Powiedz, że rozłożyłem cię szeroko, by cieszyć się twoim

widokiem, a potem uctowałem we wszystkich twoich słodkich miejscach...

Oblała się krwistym rumieńcem i wbiła wzrok w jego szyję.

– Nie. Ty... hm, pochyliłeś mnie nad stołem, a potem, no... Wiesz...  
Wzięłeś mnie od tyłu.

Tak. Powodzenia w zachowywaniu dystansu. Ty był już twardy jak skała. Może jednak dystans to nie najlepsze wyjście. Może powinni to zrobić raz jeszcze? Wyrzucić z siebie napięcie?

Podjął decyzję. Odwrócił ich oboje tak, by Mallory stanęła twarzą do blatu toaletki.

– To był tylko sen... – wyszeptała do lustra.

– Nie musi tak pozostać.

Utkwiła wzrok w jego odbiciu. Patrzyła, jak Ty muska dłońmi jej ramiona, obejmuje palcami nadgarstki i zakłada je sobie na szyję, by mu nie przeszkadzały.

Powietrze wokół nich iskrzyło od pożądania.

– Co masz na sobie pod tym szlafrokiem? Przygryzła wargę.

– Mallory.

– Nic.

Jęknął. Jej ciało było tak blisko, że nie zdołałby wcisnąć pomiędzy nich kartki papieru. Sięgnął do paska od szlafroka.

– Chcesz tego?

– Ja... – Zacisnęła wargi.

– Tak czy nie, Mallory.

– Tak.

Szarpnął i rozluźnił wiązanie.

– Zaczekaj – wydyszała. – Ja... Ja... – Zawahała się. – Nie mogę patrzeć...

A mimo to nie oderwała ani rąk od jego szyi, ani wygłodniałego wzroku od lustra. Wpatrywała się w palce zaciskające się na połach okrycia.

– Tym razem pełen dostęp – powiedział.

– O Boże! – Skinęła głową. – Dobrze, ale... – Urwała, gdy powoli rozchylił szlafrok i zobaczyła swoje ciało.

A on już wiedział, że to ciało z jego marzeń.

– Mallory. Jesteś taka piękna. – Musnął dłońmi jej brzuch, objął piersi. Kciuki podrażniły aksamitne sutki. Krzyknęła cicho. Zrobił to ponownie, dotknął jej lekko, a potem wycofał ręce.

Jęknęła.

Rozplótł jej dłonie i zsunął z ramion szlafrok, który spłynął na ziemię u ich stóp. Chwycił za nadgarstki i przycisnął je do blatu, zmuszając Mallory, by się pochyliła. Delikatnie uścisnął jej palce, dając do zrozumienia, że chce, by pozostała w takiej pozycji.

– Ty... – wykrztusiła, poddając mu się z pełną ufności słodyczą. Rozbroiła go niemal doszczętnie seksownym falowaniem biustu i bezwiednym, mimowolnym kołysaniem bioder przy jego kroczu.

Zamknął dłonie na jej cudownie pełnych piersiach, zaczął uciskać sutki, a potem przesunął rękę niżej, pomiędzy jej nogi.

– T – tutaj? – zawahała się. – Naprawdę nie powinniśmy...

– Nie?

– Nie – wyszeptała, po czym rozsunęła uda, pozwalając na więcej.

Zanurzenie się w nią było doznaniem iście niebiańskim. Ty jęknął, czując jej wilgoć. Rozprowadził ją po skórze dziewczyny, badając każdą szczelinę i każdą wypukłość, aż od nowa zaczęła poruszać biodrami. Zaciskała palce na krawędzi blatu tak mocno, że pobieleły jej kłykcie. Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, opierając ją na jego torsie.

– Patrz – przypomniał.

Otworzyła oczy i utkwiała wzrok w swoim ciele, nagim, wygiętym nad blatem. Widziała jego opaloną dłoń na swojej bladej piersi i drugą, poruszającą się powoli, leniwie, pomiędzy jej nogami.

– Och... Wyglądamy...

– Seksownie. – Zanurzył w nią wilgotny palec. Mallory krzyknęła cicho i napięła mięśnie.

– Ty...

– Powiedz mi.

– We mnie – wydyszała bezradnie. – Proszę, we mnie.

– Najpierw musisz dojść.

Jeszcze raz nieśpiesznie zatoczył kciukiem kółko i patrzył, jak dygocze, wciąż posłusznie trzymając się blatu toaletki. Poczul wstrząsające nią dreszcze, a gdy się napięła, wsunął w nią kolejny i zaczął uciskać kciukiem, skubiąc jednocześnie zębami jej kark i ramiona. Wypreżyła się, oddech zaczął się rwać, wtuliła w niego kręgosłup i pośladki. Twarz Mallory zastygła w masce rozkoszy.

– Ty...

– Jestem tutaj – zapewnił ją, po czym strącił w przepaść. Gdy rozpadła się na kawałki, krzyknęła i upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał.

– Teraz! – zażądała bez tchu. – Teraz...

Nie zamierzając sprzeczać się z damą, Ty rozebrał się pośpiesznie, wyjął z kieszeni prezerwatywę, założył ją i wszedł.

Mallory krzyknęła. Podtrzymując ją jedną ręką, Ty odnalazł drugą zaciśniętą na blacie dłoń i splótł z nią palce. Wciąż drżała po przeżytych orgazmie. Pochylił się, przycisnął tors do pleców dziewczyny, musnął wargami jej kark i zastygł, pozwalając jej na chwilę odpoczynku. Gdy

jednak wcisnęła w niego swą rozkoszną pupę, zniecierpliwiona, zaczął się poruszać. Przyjmowała każde jego pchnięcie, wyginając się w łuk po więcej, domagając się go każdym ruchem.

Już nie jesteś nieśmiała, pomyślał, ogarnięty głodem i szokująco zaborczą opiekuńczością.

Nie mógł oderwać od niej wzroku, choć każde zakończenie nerwowe na jego ciele krzyczało, że czas już odpuścić i kończyć. Ogień, który w nim rozpałała, płonął jasnym płomieniem, pragnienie ścisnęło mu żołądek. Nie był w stanie wstrzymać się dłużej, lecz nagle przestało to być ważne, bo Mallory znów się napięła i poszybowała nad przepaścią.

Zacisnęła się na nim w erotycznym, zmysłowym wirze.

Czuł za mało.

Zbyt dużo.

Wszystko.

Wtulił się w nią, z jego piersi wyrwało się chrapliwe przekleństwo. Ukrył twarz we włosach Mallory i podążył za nią. Orgazm był tak silny, że ugięły się pod nim nogi.

Zdołał odzyskać kontrolę i dopilnował, by to jego kolana zetknęły się z twardą podłogą. Podtrzymał ją, odwrócił ku sobie i przytulił mocno, muskając nosem jej szyję. Po chwili odsunął się nieco.

Na jej uśmiech odpowiedział uśmiechem.

– Dobrze? – zapytał.

Przesunęła palcem po jego dolnej wardze.

– To niezbyt adekwatne słowo na opis tego, co się właśnie wydarzyło.

Na pewno wymyślisz coś lepszego.

Skubnął palec zębami.

– Wiesz, że wolę pokazywać niż mówić.

- Tak?
- Tak.
- Cóż, w takim razie... Pokaż.

TTLR

## *ROZDZIAŁ 13*

### *Do diabła z miłością – wolę czekoladę!*

Mallory nie wiedziała, co przywiodło do niej Tya w środku nocy ani co planował zrobić, jednak nagi mężczyzna w jej przedpokoju mógł być obiecującym początkiem.

Albo końcem.

Zaczerwieniła się, gdy pochylił się, by ją pocałować, a potem roześmiał się lekko, jakby umiał czytać w jej myślach. Aby rozproszyć napięcie obojga, Mallory przesunęła palcem wzdłuż jego torsu, aż do biodra, gdzie napotkała nienaturalne zgrubienie. Opuściła głowę i ujrzała poszarpaną bliznę, która biegła od pachwiny aż do kolana. Zamarła z przerażenia na myśl, ile musiał wycierpieć.

Uświadomiła sobie, że wygodnie jej, gdy przytula się do jego piersi. Jemu na pewno nie było wygodnie.

- Czy z twoją nogą wszystko w porządku?
- Teraz nawet jej nie czuję.

Roześmiała się, bo wielkie, pokryte bliznami ciało opuściło napięcie.

- To dobrze. Na pewno cię boli po tym wypadku.
- Ból mija... – Urwał i wykrzywił wargi. – To nie był wypadek, tylko katastrofa lotnicza.

Krzyknęła odruchowo.

- Przeżyłeś katastrofę lotniczą?
- Sama katastrofa nie była tak zła, jak następnych kilka dni. Do przylotu ekipy ratunkowej.
- Och, Ty? – wyszeptała Mallory, czując uciskające w gardle



współczucie. – Było aż tak źle?

– Dostatecznie.

– Miałeś poważne obrażenia?

– Połamane żebra, złamany nadgarstek i obojczyk. Obrażenia wewnętrzne. I ta noga. To było najgorsze. Ale przeżyłem – zamilkł. – W przeciwieństwie do pozostałych.

Mallory nie była w stanie wyobrazić sobie ogromu cierpienia Tya. Kilka dni... A pozostali... Przeżył jako jedyny. Współczując z całego serca, musnęła palcem jego tors, wywołując drżenie mięśni. Może to jednak następstwo wspaniałego seksu?

A może wspomnienia?

– Twoi przyjaciele... Ci, o których kiedyś wspomniałeś. To tam ich straciłeś.

– Tak. Mój oddział.

– Byłeś...

– Mallory. – Pokręcił głową. – Naprawdę nie chcę teraz o tym rozmawiać.

– Wiem. – Zacisnęła palce na wisiorku w kształcie symbolu nieskończoności, który nosiła na szyi. Znała ten ból. – O Karen też nikt nie chce rozmawiać. A ona była dla mnie tak ważna. Przez długi czas po jej śmierci... Po tym, jak nie udało mi się jej uratować... Nie mogłam znieść wspomnień o niej, a co dopiero rozmów.

Westchnął przeciągle i przyciągnął ją do siebie, kryjąc twarz w jej włosach.

– Jak umarła?

– Połknęła całą fiolkę leków. – Poczwała, że zmarła.

– Miała osiemnaście lat. Była w ciąży. Policja uznała to za

przypadkowe przedawkowanie, ale... – Mallory zamknęła oczy i pokręciła głową. – To nie było przypadkowe. Zrobiła to celowo.

– Chryste, Mallory! – Przytulił ją mocniej. – Z tego, co mówisz, wynika, że i tak nie zdołałabyś jej uratować.

– Byłyśmy siostrami. Wiedziałałam, że ma problem z narkotykami. Mogłam...

– Nie – przerwał stanowczo i odsunął ją od siebie. Spojrzał w oczy. – Nie pomożesz osobie, która nie chce pomocy.

Prawda tak bolesna, że aż pozbawiająca oddechu.

– Jak z tym żyć?

– Po prostu. Nie przestawać robić tego, co się robi.

Nie przestawać żyć. – Jego dłonie znów zaczęły wędrowkę, czułe i kojące. I ponownie pozbawiły Mallory tchu. Wyszeptała jego imię, ponownie spragniona miłości.

Dotyk Tya zmienił się w zawzięty, agresywny. I zdeterminowany, by znów odebrać jej powietrze.

– Nie przestawać żyć... – powtórzyła. – Dobry plan...

O Boże, Ty! – wyszeptała, gdy zaczął mocno ssać jej sutek. – Myślałam, że rozmawiamy.

– Proszę bardzo, możesz mówić – zapewnił ją łagodnie, a potem już wcale nie łagodnie odzierał ją ze zdrowego rozsądku. Krok po kroku.

Znacznie, znacznie później Mallory położyła się płasko na plecach, na podłodze, nie czując w ciele ani jednej kości.

– Miło się rozmawiało – wyszeptała ochryple.

Ty się obudził, bo drzazgi z drewnianej podłogi wbijały się w jego kręgosłup i pośladki. U jego boku spała zwinięta w kłębek ciepła, zaspokojona kobieta. Wziął ją tutaj, na tej podłodze; dowodem były jego

otarte kolana. Zdołał się podnieść i wziąć Mallory na rękę. Będzie musiał powiedzieć Joshowi, że skoro jego noga zdołała przetrwać maraton seksu, przetrwa wszystko. Może dzięki temu dostanie zgodę na powrót do służby?

– Nie – mruknęła wyczerpana Mallory, poruszając się w jego ramionach. – Nie chcę jeszcze wstawać...

Wiedział, że pracuje niemal bez przerwy, spędzając na nogach po dwanaście godzin i więcej. Że pracuje cholernie ciężko.

– Cii. Śpij.

Przebudzenie wywołało u niej napięcie mięśni.

– Ty...?

A niby kto, do diabła?

– Dokąd idziemy? – zapytała sennie, zarzucając mu rękę na szyję.

– Do łóżka. – Zamierzał ułożyć ją do snu i uciec, zanim zrobi coś głupiego. Na przykład zaśnie obok. Seks to jedno, ale wspólne sypianie to całkiem co innego.

Ty idioto, to już jest coś innego...

Gdy wszedł do jej sypialni, rzuciły mu się w oczy oparte o poduszki dwie pluszowe zabawki ze strzelnicy. Opanowało go osobliwe uczucie, takie samo, jakie ogarniało głupich, napalonych nastolatków, gdy zauroczyła ich dziewczyna. Rozbawiło go to.

Pochylił się nad łóżkiem, by ułożyć na nim Mallory, ona jednak pociągnęła go na siebie.

– Zimno – zamruczała, drżąc i próbując wspiać się na Tya.

Przytulił ją – tylko na chwilę! – sięgnął po kołdrę i przykrył ich oboje. Podzielił się z nią ciepłem swojego ciała, dopóki nie przestanie drżeć, a gdy już zaśnie, wymknie się po cichu.

– Mhm – mruknęła błogo, wtulając twarz w jego szyję i wpychając

lodowate palce stóp pod jego łydki. – Jesteś taki ciepły...

– Nie zostaję – ostrzegł, nie wiedząc właściwie, do kogo mówi. Do kobiety, która się do niego tuli czy do własnego libido. – Nie zostaję – powtórzył.

Niepotrzebnie. Dwie minuty później Mallory oddychała już powoli i głęboko, pogrążona w śnie osoby prawdziwie wyczerpanej. Była całkowicie nieprzytomna.

A on był nią przykryty.

Miał na twarzy jej włosy, ciepły oddech dziewczyny owiewał mu szczękę, jej nagie piersi rozpląszczały się na jego boku i torsie. Jedną rękę trzymała pomiędzy nimi, a drugą na jego brzuchu. Przez sen poruszyła palcami i wymamrotała coś, co brzmiało jak: „Ugryź mnie, Jane”.

Uśmiechnął się i pogłaskał ją po plecach.

– Cii.

Uspokoila się natychmiast i odetchnęła głęboko, ufnie. Była taka ciepła. Przykleiła się do niego niczym druga skóra.

Chryste. Nie chciał jej budzić, nie zamierzał z nią spać. Nigdy nie zostawał na noc.

Nigdy.

Mimo to, ukojony jej miękkim, hojnym ciepłem, zamknął oczy. Tylko na sekundę. I zasnął.

Koszmary znów się odezwały, zaczęły go mamić, na szczęście zdołał się obudzić, zanim zrobił z siebie kompletnego idiotę. Wciąż było ciemno. Zbyt ciemno.

Ty stoczył się z łóżka, podniósł dzinsy i był już w połowie drogi do drzwi, gdy poczuł na ramieniu dłoń. Podskoczył, odwrócił się gwałtownie i zobaczył Mallory.

Trzeba być świadomym otoczenia, żołnierzu!

Nie mogąc się powstrzymać, strząsnął z siebie jej rękę i zrobił krok do tyłu. Klamka wbiła mu się w plecy.

– Cholera jasna, Mallory!

– Przepraszam. Nie chciałam cię przestraszyć. – Stała zaledwie kilka centymetrów od niego, w bladym świetle księżyca sączącym się do środka przez szpary w żaluzjach. Na jej twarzy malowała się troska, która zastąpiła niedawne namiętność i pragnienie. – Dobrze się czujesz?

Wtedy właśnie Ty popełnił błąd. Mógł skłamać i powiedzieć, że tak. Mógłby to zrobić, z łatwością. A gdyby dodał jeszcze blady uśmiech i pocałunek, na pewno by to kupiła. Kupiłaby wszystko, co spróbowałaby jej sprzedać. Bo mu ufała.

Taka właśnie była.

On natomiast był inny. Nie chciał tego. Nie chciał bliskości. Włożył buty, chwycił portfel i kluczyki.

– Ty?

Wyszedł na korytarz. Poszła za nim; słyszał za sobą stapanie bosych stóp. Znowu zmarznie, pomyślał od razu.

Dogoniła go przy wyjściu. Dopiero gdy poczuł jej palce na nagich plecach, uświadomił sobie, że zapomniał koszuli.

– Miałeś zły sen?

Zamarł.

– Nie.

Delikatnie pogłaskała go po karku.

– Tamtej nocy podczas burzy miałeś koszmary – powiedziała cicho. – Myślałam, że znowu cię dopadły.

Oparł czoło o drzwi.

– Nie o to chodzi.

– A o co? Czyżby wszystko stało się nagle zbyt realne?

Wyprostował się.

– Muszę już iść, Mallory.

– Bez koszuli?

Odwrócił się do niej. Stała uśmiechnięta.

W jego koszuli.

– Zostań – poprosiła z przerażającą łagodnością.

– Śpij ze mną. Nikomu nie powiem.

Chodziła na palcach wokół szalonego faceta, próbując mu pomóc, on jednak nie chciał tej pomocy. Nie chciał niczyjej pomocy. Wszystko było w porządku. Musi tylko wrócić do pracy. Albo zatopić się w niej głęboko raz jeszcze, bo wtedy nie cierpi. W niej czuł się wspaniale.

Gdyby wziął ją ponownie, nie odszedłby już nigdy.

– Nie mogę.

– Ale...

Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz bez koszuli, nie pozwalając jej dokończyć.

Mallory leżała na łóżku, ze wzrokiem utkwionym w suficie, wciąż poruszona wyrazem twarzy Tya przed wyjściem. Był niegrzeczny i gwałtowny, a ona powinna być wkurzona.

Nie była.

Nie potrafiła stwierdzić, co dokładnie czuje.

To, co ich połączyło, miało być tylko zabawą. Małą wycieczką na ciemną stronę.

Stało się jednak czymś więcej. Taka była niepokojąca prawda. Ona chciała więcej.

A on był tak nieodpowiedni, że aż przerażający.

A mimo to i tak go pragnęła. Jak to możliwe?

Była dobra w polepszaniu ludziom nastroju, w uzdrawianiu ich. Tak lubiła o sobie myśleć. To coś, z nim... Nie mogła uleczyć tego, co go zżerało, tak jak nie była w stanie uleczyć siebie.

Następnego ranka wstała i poszła do pracy. Po kilku godzinach została wezwana do dyżurki pielęgniarek.

– O co chodzi? – zapytała Camillę, która siedziała za biurkiem.

Camilla skinęła głową w kierunku korytarza. Mallory odwróciła się i dostrzegła znajomą wysoką i postawną sylwetkę, opartą o ścianę. Ty stał swobodnie, zrelaksowany.

Jednak ona znała go zbyt dobrze.

– Mam przerwę – powiedziała do Camilli. – Cześć – zwróciła się do gościa.

– Cześć. – Utkwił w niej wzrok. – Masz chwilę?

– Może nawet dwie.

Nie uśmiechnął się. Ha. To nie wróżyło dobrze. Doskonale wiedząc o tym, że Camilla ich widzi – i słyszy

– Mallory wskazała gestem, by poszedł za nią. Zeszli schodami do kafeterii na parterze i usiedli przy stoliku w rogu.

Na lunch było jeszcze za wcześnie, mieli więc cały lokal dla siebie. Tylko woźny mył podłogę po drugiej stronie sali.

– Śmierdzi jak w kantynie – oświadczył Ty.

– Założę się, że jedzenie jest lepsze.

– A ja się założę, że nie.

Siedział blisko; jego ciepłe udo dotykało jej uda pod stołem. Miał na sobie dzinsy sprane do aksamitnej miękkości i niebieską koszulę na guziki, z

długimi rękawami podwiniętymi do łokci.

Wyglądał rozkosznie.

A ona bała się, że przyszedł jej powiedzieć, iż jego czas się skończył. Że wyjeżdża.

– Chcesz coś? – zapytała. – Kawa? Herbata? Naleśniki? – Ja? – Mają tu świetne naleśniki...

– Nie, dziękuję. Mallory...

– Może kanapkę? – przerwała rozpaczliwie. – Do diaska, sama bym zjadła. – Zerwała się z krzesła, lecz chwycił ją za nadgarstek.

Dobrze. Przecież da sobie radę, niezależnie od tego, co się stanie. Usiadła powoli, gotowa na pożegnanie. Niech to szlag!

Patrzył na nią po swojemu: spokojnie, pewnie.

– Dobrze się czujesz? Jesteś nerwowa.

– Po prostu to powiedz. Pożegnaj się i już. Nie wyobrażam sobie, że to dla ciebie trudne.

Uniósł brwi.

– Myślisz, że przyszedłem się pożegnać? I że przy – szłoby mi to z łatwością?

– A przyszłoby?

Jego spojrzenie było nieodgadnione.

– Nie przyszedłem się pożegnać. Jeszcze nie.

– Och. – Skinęła głową, wiedząc, że powinna czuć ulgę, której nie czuła. Napięcie nie ustąpiło, nawet gdy powoli wypuściła powietrze. – Chyba muszę cię o coś poprosić, Ty. Gdy nadejdzie czas, chcę, żebyś to po prostu zrobił. Nie żegnaj się. Po prostu wyjeżdź.

– Mam wyjechać bez słowa?

– Tak. – Poczowała ucisk w gardle. I w sercu. – Tak będzie najlepiej. –



Wstała, by odejść.

– Chciałem cię przeprosić za ostatnią noc – powiedział, chwytając ją za rękę. – Zachowałem się jak dupek.

Złagodniała. Delikatnie uścisnęła jego palce i usiadła ponownie.

– Cóż, może dupek to zbyt surowe określenie. Raczej jak przerażony kociak.

Roześmiał się szorstko.

– Tak. To też.

– Rozumiem.

– Nie powinnaś.

– Dlaczego? Bo nigdy nie musiałam stawiać czoła swoim demonom?

Nie odrywał od niej wzroku.

– Przykro mi z powodu Karen. Masz rację. Jesteś silniejsza niż jakikolwiek znany mi człowiek. Chodzi mi o to, że nie powinnaś być wyrozumiała. Bo zasługujesz na więcej.

Zanim zdołała odpowiedzieć, spokojna muzyka w kafeterii umilkła, zastąpiona przez stanowczy męski głos.

– Czerwony alarm.

Mallory zerwała się z krzesła. Czerwony alarm oznaczał pożar, a po jego ogłoszeniu cały personel miał obowiązek natychmiast zgłosić do dyżurki. Na dzisiejszy dzień zaplanowano ćwiczenia, dziewczyna sądziła jednak, że odbędą się później.

– Albo cię stąd zaraz ewakuują – wyjaśniła Tyowi

– albo spędzisz tu trochę czasu. – Położyła na stoliku swoją kartę pracownika. – Gdy ćwiczenia się skończą, kup sobie coś do jedzenia.

– Czerwony alarm – powtórzył głos. – Cały personel ma się natychmiast zgłosić na stanowiska. Czerwony alarm. Powtarzam, czerwony

alarm.

Życiem Mallory rządziło doskonałe wyczucie czasu.

TTLR

## ROZDZIAŁ 14

*Kiedy zaczynają się kłopoty, odżywiaj się czekoladą.*

Gdy wskutek alarmu zamknięto szpital, Ty postanowił usiąść i poczekać. Ze swego miejsca widział całą strefę recepcyjną i główne wejście. Nie upłynęły cztery minuty, a do środka zaczął wlewać się personel medyczny i strażacy.

Ćwiczenia, pomyślał. Nikt nie został ewakuowany.

Dziesięć minut później w kafeterii pojawili się pracownicy, lecz wśród nich nie było Mallory.

– Chcesz coś do jedzenia? – zawołała do niego kucharka.

Nagle uświadomił sobie, że umiera z głodu. Wstał i podszedł do lady, by obejrzeć wystawione dania. Za nim w kolejce ustawiło się kilka osób. Na widok Tya dwie kobiety w fartuchach zaczęły szeptać.

– Quesadilla? – zapytała kucharka. – A może grillowany indyk i ser? Burger? Mam dzisiaj świetną sałatkę Cobb, ale to nie nasyci takiego dużego faceta jak ty.

– Niech będzie burger – zdecydował. Jeśli nie zabiła go katastrofa lotnicza ani skok z drugiego piętra, odrobina cholesterolu na pewno nie zaszkodzi.

Kobiety za nim wciąż rozmawiały szeptem.

– W Vets' Hall... – zaszemrała jedna. – Każdy mógł ich zobaczyć.

– Skąd wiesz?

– Sheryl powiedziała Cissy, która z kolei powiedziała Gail. To do niej niepodobne. To znaczy, czegoś takiego można by się spodziewać po innych

Quinnach, ale nie po niej...

Kucharka posłała Tyowi przepaszające spojrzenie, przewracając jego burgera.

– Ser?

Przytaknął.

Szepty nie milkły.

– ... myślałam, że będzie bardziej zważać na opinię, zwłaszcza że na szali znajduje się centrum i tak dalej. Wciąż brakuje jej pieniędzy i poparcia.

– Myślisz, że zrobili to w jednej z szaf?

Ty nigdy nie przejmował się opinią, nie sądził również, by przejmowała się Mallory, sytuacja jednak zaczynała go naprawdę wkurzać. Odwrócił się do obu wścibskich, starych nietoperzyc.

Wydały stłumione okrzyki i natychmiast zajęły się swoimi tacami. Wpatrywał się w nie przez chwilę, lecz milczały.

Ty przerwał ciszę.

– Pilnujcie swojego nosa.

Nie spojrzały mu w oczy, odwrócił się więc do kucharki, która podała mu talerz. Wyciągnęła rękę po kartę.

– Po prostu ją tutaj przyłóż – powiedziała, wskazując mu maszynę przy kasie. – Z kartą Mallory kupisz wszystko, co zechcesz, na jej konto. Podać ci coś do picia? Frytki?

Mallory zostawiła mu kartę pracownika; wciąż próbowała się nim opiekować. Nie przywykł do tego. Pokręcił głową i wyjął portfel.

– Ale...

Spojrzał na kucharkę znacząco, a ta szybko wydała mu resztę. Czując, że kobiety za nim wypalają mu dziury w plecach paciorkowatymi oczami, Ty zabrał swojego burgera i wrócił do stolika.

Plotkarki także dokonały zakupu i przeszły obok niego, posyłając mu długie spojrzenia spod rzęs, dzięki którym od razu zrozumiał, że tylko pogorszył sprawę.

Co sobie wyobrażał, igrając z życiem Mallory? On wkrótce wyjedzie, dla niej Lucky Harbor pozostanie domem, całym światem. Zjadł, przepelniony zażenowaniem i niepokojem, uczuciami dotychczas całkowicie mu obcymi. Dał się nabrać, że to on jest w tej sytuacji stroną, która daje, że jako bardziej doświadczony wnosi w jej życie odrobinę dzikości i (wątpliwego) poluru światowca. Doprawdy, cholernie wielkoduszne!

Zwłaszcza że prawda była taka, iż to Mallory dawała, zalewając go dosłownie swoim ciepłem, współczuciem i siłą. A przy okazji, dzięki miękkiemu głosowi i stalowemu kręgosłupowi, owinęła go sobie wokół palca.

Chryste, ależ ze mnie dupek! Ty odniósł talerz i wyszedł z kafeterii, zwolniwszy dopiero przy drzwiach. Stała tam skrzynka, podobna do skrzynki pocztowej, do której ludzie mogli wrzucać datki na Centrum Usług Medycznych. Wprawdzie Ty dołożył się już do programu na rzecz weteranów, doszedł jednak do wniosku, że nic to nie da, jeśli Mallory nie uda się utrzymać placówki.

Utkwił wzrok w skrzynce, bo w końcu zrozumiał, co może zrobić, by zrewanżować się kobiecie, która dała mu tak wiele.

W drodze do domu Mallory zatrzymała się w Zjedz Mnie. Grace przysłała jej niepokojącą wiadomość.

Gdy wbiegła do środka, przyjaciółki już czekały.

Z pudełkiem na buty.

– Buty niegrzecznej dziewczynki – oświadczyła Amy, popychając pakunek w jej stronę. – Wszystkiego najlepszego.

– Urodziny miałam w zeszłym miesiącu.

– W takim razie: Wesołych Świąt.

– O, nie! Nasze spotkania koncentrują się wyłącznie na mnie. Teraz wasza kolej.

– Nie – zaproponowała Grace. – Na jednym spotkaniu jedna z nas.

– W takim razie wybieram Amy.

– Aha... – mruknęła Jan, siedząca przed telewizorem na drugim końcu lady. – Całkiem zawałała. Ten wielki, seksowny strażnik leśny ciągle koło niej węszy, a ona tylko łypie gniewnie.

– Hej! – zawołała do niej Amy. – To nie twoja sprawa!

Jan zachichotała.

– Nie będziemy o tym rozmawiać – oświadczyła Amy stanowczo i popchnęła pudełko z butami ku Mallory.

Obie przyjaciółki miały tak podekscytowane miny, że Mallory w końcu się poddała i otworzyła. W środku znalazła parę pięknych czarnych sandałów na dziesięciocentymetrowych obcasach. Filigranowych, kuszących i bardzo, bardzo seksownych.

– Och! – pisnęła. Zdjęła sportowe buty, w których przechodziła cały dzień, i zamieniła je na szpilki.

Siedzący dwa stołki dalej pan Wykowski przyłożył dłoń do piersi.

– Ojej – mruknął.

– To serce? – zapytała Mallory z troską, podbiegając do niego w fartuchu i na szpilkach.

– Nie – odparł. – To nie serce.

– A gdzie pana boli?

Utkwił wzrok w jej stopach.

– Zdecydowanie niżej.

Amy prychnęła śmiechem. Mallory wróciła na miejsce.

– Widzisz? – Uśmiechnęła się Grace. – Używaj ich rozsądnie. Te buty mają moc.

– Moc?

– Moc niegrzecznej dziewczynki – potwierdziła Amy. – A teraz idź już i czyń zło.

Następnego dnia Ty przyprowadził do kafejki Ryana. Mężczyzna mieszkał teraz w ośrodku poza miastem. Mallory załatwiła mu tam miejsce dzięki CUM.

Było to o wiele lepsze i zdecydowanie bezpieczniejsze rozwiązanie niż mieszkanie na ulicy.

Po posiłku Ryan poprosił Tya o podwiezienie do centrum.

– Po co?

– Na spotkanie.

Kartka na drzwiach wyjaśniała wszystko: NA

– ANONIMOWI NARKOMANI. Pod spodem ktoś przykleił żółtą karteczkę z dopiskiem: „Akcent na a n o n i m o w i, ludzie!”.

Ty nie wiedział, czy ma się śmiać, ponieważ taka karteczka mogła okazać się potrzebna tylko w Lucky Harbor, czy czuć przerażenie na myśl, że w tym mieście ktoś postanowił zwołać anonimowy meeting.

Częścią procesu było jednak zaufanie.

Z tym miał kłopot od zawsze. Odwrócił się do Ryana, który nagle zamarł na schodach.

– Jestem na to za stary...

– A ile masz lat? – zapytał Ty.

– Dwieście pięćdziesiąt.

– Masz szczęście. Granica wynosi trzysta.

Ryan uśmiechnął się blado.

– Mam czterdzieści trzy lata.

Tylko dziesięć więcej niż ja.

Ryan drżał jak osika. Odwyk. Niedobrze. Ty zapłaciłby mnóstwo pieniędzy, by znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, doszedł jednak do wniosku, że jeśli mężczyzna postanowił wykorzystać go jako podpórę, musi być w bardzo złym stanie.

– Ile czasu minęło od ostatniej działki?

Ryan otarł usta drżącą dłonią.

– Oxycontin skończył mi się cztery dni temu. Lekarz powiedział, że już go nie potrzebuję. Cholerne konowały!

Ty wsunął dłoń do kieszeni i dotknął znajomej buteleczki. Dwa miesiące i dwa tygodnie, a odliczanie wciąż trwa. Już miał powiedzieć, że zaczeka na zewnątrz, ale byłoby to tchórzostwem. Wszedł do środka.

Jakoś przetrwał spotkanie, podobnie jak Ryan. Godzinę później wyszli na zewnątrz. Milczeli. Ty nie wiedział, co czuje jego towarzysz, nim jednak wstrząsnęły usłyszane historie. Historie ludzi, którzy zrujnowali sobie życie, a teraz próbowali zacząć od nowa i wszystko naprawić. Powinien być wdzięczny losowi za to, że aż tak nie spieprzył swojego. A przynajmniej nie do końca.

Byli w już połowie drogi do domu Ryana.

– Spotykasz się z Mallory?

Wiele osób pytało o to Tya w ostatnich tygodniach. Sprzedawca w sklepie spożywczym. Facet na stacji benzynowej. Każdy, kogo spotkał w ostatnich dniach. Ci sami ludzie, którzy – aż do historii z Mallory – zadawali się gapieniem się na niego.

Mallory. Serce i dusza tego miasta. Być może Ty traktował ją jak



kogoś, od kogo może z łatwością odejść, czuł jednak, że jest inaczej. Bo ona jest inna. Nie miał jednak wątpliwości, że jej miejsce, jej korzenie są tutaj, w tym miasteczku, z którego on pragnął uciec.

– Nie – odparł w końcu. – Nie spotykamy się.

Ryan potarł dłonią zarośniętą szczękę.

– A ona o tym wie?

Przecież to Mallory zaproponowała jednorazową przygodę, a późniejszą wizytę Tya zaakceptowała jako aneks do umowy. I nie gniewała się, że on zachowywał się jak dupek.

A potem poprosiła go, by nie żegnał się z nią przed wyjazdem.

– Tak, wie.

A co na to on?

– To bardzo fajna babka. Gdy mieszkałem na ławce w parku, codziennie przynosiła mi jedzenie. Mówiła ci o tym?

Ty pokręcił głową i poczuł ucisk w piersi na myśl o Mallory, która po długim dniu w izbie przyjęć szukała w parku bezdomnego, by się upewnić, że ten nie głoduje.

– Zupełnie nie potrafi gotować – kontynuował Ryan z uśmiechem – ale i tak zjadałem wszystko, co mi przynosiła. Nie chciałem jej zranić.

Ty wybuchnął śmiechem.

Ryan skinął głową.

– Gdybym był... – Wskazał na siebie palcem i zamilkł. – No, wiesz, inny – dodał w końcu. – Sam bym się z nią umówił. Ona jest wyjątkowa. Zbyt wyjątkowa dla kogoś takiego jak ja, wiesz?

Ucisk w piersi Tya jeszcze się zwiększył. Owszem, wiedział. Wiedział doskonale.

– Wkurzyłaby się, gdyby usłyszała, że tak mówisz.

– Jest bardzo ładna, kiedy się wkurza – mruknął Ryan tęsknie. – Raz, gdy przysłała do parku, jakieś dzieciaki obrzucały mnie kamieniami. Odpędzała je, krzyczała. Byłem wtedy w fatalnym stanie, a i tak wyglądałem lepiej niż ona. W fartuchu, z rozczochranymi włosami. Wyglądała zupełnie jak pacjentka z tego miejsca, gdzie mnie trzymano po powrocie z trzeciej tury.

Szpital psychiatryczny. Ty wyobraził sobie Mallory w napadzie furii: fartuch pomięty po długim dniu pracy, te śmieszne, puchate buty, włosy wijące się dziko wokół twarzy.

Chryste! Była tak cholernie piękna!

– Widziałeś te rzeczy na Facebooku, prawda? – zapytał Ryan.

Ty zerknął na niego z ukosa.

– Gdzie korzystasz z Facebooka?

– W ośrodku mamy komputer. – Ryan wzruszył ramionami. – Facebook jest ustawiony jako strona startowa. Jest tam wasze zdjęcie. Wyglądacie na nim zbyt... hm, przytulnie. Jak na ludzi, którzy się nie spotykają.

Tak. Przytulnie.

To, co ich łączy, jest absolutnym przeciwieństwem przytulności. Jest gorące. Dzikie.

Oszłamiające.

Skąd, do diabła, wzięło się ich zdjęcie na Facebooku?

Ty podrzucił Ryana do ośrodka, wrócił do domu i do późna pracował przy jimmym Matta. Wziął do ręki telefon i przejrzał nieodebrane połączenia, czując przyjemny dreszcz na myśl, że być może dzwoniła Mallory. Poprzednio utknęła na parkingu, ale może tym razem po prostu zechce usłyszeć jego głos? Bo on chciałby go usłyszeć.

Jednak wiadomość pochodziła nie od Mallory, a od Josha. Ty ma się stawić na oddziale radiologii: na zdjęcia o siódmej i wizytę u lekarza, o ósmej.

Próbował wyczytać z tonu doktora, czy wieści będą pomyślne czy nie, Josh był jednak równie biegły w nie – okazywaniu emocji.

Następnego ranka pielęgniarka zaprowadziła Tya do gabinetu i kazała mu tam zaczekać. Ty udoskonalił sztukę czekania jeszcze w wojsku, więc gdy Josh z grubą teczką w ręku wkroczył do pokoju kilka minut później, nawet nie zareagował.

Jego lekarz był tego dnia w bojowym nastroju. Ciemnoniebieskie spodnie i bluza, biały lekarski kitel, stetoskop na szyi, szpitalny identyfikator w kieszonce na biodrze. Rozczochrane włosy i zmęczone oczy. Rzucił kartę Tya na biurko, rozparł się w fotelu i oparł stopy o blat.

– Chryste...

– Ciężki dzień?

– To jeszcze mamy dzień? – Potarł twarz rękami.

– Rozmawiałem dziś z Frances. Albo wczoraj. Uparta kobieta, prawda?

– Między innymi. Co jej powiedziałaś?

– Że twoje rokowania to nie jej cholerny interes i że ma przestać do mnie wydzwaniać.

Ty uśmiechnął się szczerze.

– A ona podziękowała ci grzecznie i pokornie się rozłączyła?

– Jasne – potwierdził Josh ociekającym ironią głosem. – Powiedziała mi, co robi z moimi jajami, jeśli będzie musiała tutaj przyjechać i sama się wszystkiego dowiedzieć.

– To do niej podobne. – Ty zerknął na zamkniętą teczkę. – Jaki

werdykt?

– Zdjęcia pokazują znaczący postęp. Jeszcze miesiąc fizykoterapii i powrócisz do tej samej świetnej, bojowej formy, w której byłeś przed wypadkiem. A na razie jesteś mniej więcej tam, gdzie my, normalni śmiertelnicy.

Kolejny miesiąc urlopu mnie wykończy, pomyślał Ty.

– Czyli mogę wracać do służby?

Josh posłał mu znaczące spojrzenie.

– To zależy, jaka jest definicja służby. Na pewno nie możesz jeszcze skakać z okien na drugim piętrze.

– Tak, ale to się naprawdę rzadko zdarza.

Josh opuścił nogi, pochylił się do przodu i przez chwilę przyglądał się Tyowi w milczeniu.

– Ty naprawdę zamierzasz do tego wrócić...

– Przecież powtarzam to od początku.

– Ale zamierzasz wrócić teraz.

– Jasne, że tak. Chciałem wrócić od dnia, w którym tu przyjechałem. Myślę o tym od kilku tygodni. Odkąd znów zacząłem biegać i pływać. Chcę pracować. – Wskazał palcem na teczkę. – Potrzebuję twojej zgody.

– Wkrótce ją dostaniesz. Chodzi mi o to, że do tej pory też nikt nie trzymał cię siłą w Lucky Harbor. Już dawno mogłeś stąd wyjechać.

W myślach mignęła Tyowi twarz Mallory. Zapatrzonej w niego, przytulonej, w łóżku, ze słodkim uśmiechem zaspokojenia i promieniem księżycy na twarzy.

Ty nie robił tajemnicy z tego, co go tutaj trzyma.

– Czy Mal wie, że wkrótce wyjeżdżasz? – zapytał Josh cicho.

– To nie ma z nią nic wspólnego – odparł Ty bezbarwnym głosem. –

Podpisz papiery.

– Będziesz musiał uważać.

– Dobrze. Będę przekładał cholerne papierki, jeśli będę musiał. Tylko podpisz tę zgodę.

Josh pokręcił głową, wyraźnie zdumiony.

– Zostawisz ją dla pracy za biurkiem? Człowieku, ty się do tego nie nadajesz. I obaj o tym wiemy.

Da sobie radę. Chce tylko znów znaleźć się w centrum wydarzeń, powrócić do swojego świata. Potrzebuje adrenaliny. Marnuje się w Lucky Harbor.

– Wiesz... – powiedział Josh irytująco spokojnym głosem, pochylając się nad biurkiem i opierając łokcie na papierach. – Może powinniśmy porozmawiać o prawdziwym powodzie, dla którego wciąż tu jesteś.

– Podpisz te świstki, Josh.

Doktor spojrzał na niego.

Ty odpowiedział mu równie poważnym spojrzeniem.

Po chwili Josh pokręcił głową i podpisał zgodę.

Kolejne dwa dni Ty poświęcił na nieplanowanie powrotu do swojego życia. Najpierw, powiedział sobie, muszę skończyć z jimmym, potem postanowił naprawić jeszcze chargera sąsiada Lucille i dwa inne samochody, które ktoś mu podrzucił w międzyczasie. Ludzie zresztą dzwoniли cały czas. Nie mógł ich tak po prostu zignorować. Poza tym musiał jeszcze dokończyć shelby'ego dla siebie, choć prawda była taka, że autko i tak chodziło jak marzenie.

Gdy skończyły się wymówki, Ty postanowił sobie zrobić dzień wolnego od myślenia.

A potem jeszcze jeden...

Gdy obudził się czwartego czy piątego dnia, czekała na niego wiadomość od Josha. Ty miał się stawić w jego gabinecie o dziesiątej, wstał więc i poszedł popływać. I pobiegać. Trwało to bardzo długo. Później przez godzinę siłował się z Mattem, aż obaj padli na deski bez tchu, złani potem. Ty wziął prysznic i w końcu pojechał do Josha.

Tego ranka doktor Josh miał na sobie zwykłe ubranie, biały fartuch lekarski i nieodłączny stetoskop na szyi, który służył mu chyba jako krawat. Podniósł głowę znad góry papierów, którymi zasypane było jego biurko, i spojrzał gniewnie na pacjenta.

– Dzwoniłeś do Królowej i uprzedziłeś ją, że wracasz?

– Nie.

Josh przyglądał się jeszcze przez chwilę, po czym wstał i zamknął drzwi. Usiadł, splótł palce i przez chwilę wpatrywał się w Tya jak w robaka pod mikroskopem.

– Jakiś problem?

– Nie. Tylko znów trochę boli. – Ty skrzywił się i wyprostował nogę.

– Nie wątpię – odparł Josh sucho. – Byłem dziś rano w siłowni, ale nawet mnie nie zauważyłeś. Byłeś zbyt zajęty wycieraniem podłogi Mattem. Który, na marginesie, jest najlepszym bokserem, jakiego w życiu spotkałem. A ty skopałeś mu tyłek. Jak bardzo cię boli?

– Chyba coś naciągnąłem.

Uśmiech Josha zbladł.

– Tak?

– Tak.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Może w takim razie powinieneś jeszcze tydzień poczekać?

Ty skinął głową na zgodę i wyszedł. Skorzystał z tylnego wyjścia i

stanął w pełnym słońcu na szpitalnym parkingu, ze wzrokiem utkwionym w kupę złomu, którą jeździła Mallory. Zaczął się zastanawiać, co jest z nim nie tak, jednak – jako że rozwiązanie problemu za tej dekady go przerastało – po prostu wrócił do domu. Bawił się shelbym, aż zorientował się, że zapadł zmrok. Właśnie wychodził spod drugiego tego dnia prysznic, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

Przebywał na urlopie od ponad sześciu miesięcy, a nadal instynktownie chwycił za broń, zanim komuś otworzył. Ale przecież to Lucky Harbor. Tu może go zabić jedynie uprzejmość.

I wścibska plotka.

Kręcąc głową, podniósł z podłogi levisy, włożył. Otworzył drzwi. Mallory.

Uśmiechnęła się słodko. Najwyraźniej szpitalna poczta pantoflowa jeszcze jej nie doniosła, że w pojedynkę zrujnował jej życie.

– Cześć – powiedział. Permanentny idiota. Cały on.

– Cześć. – Zerknęła na jego nagi tors. Jej oczy zapłonęły, gdy uświadomiła sobie, że Ty ma na sobie tylko nie do końca dopięte džinsy. Zrobił to teraz, gdy patrzyła. Temperatura wokół wzrosła gwałtownie.

Dziewczyna przekroczyła próg, ale że Ty ani drgnął, odbiła się od jego piersi. Pomyślał, że to przypadek, jej dłonie rozpoczęły jednak wędrówkę wzdłuż jego torsu. Nie przez przypadek.

Tak jak nie przypadkiem miała na sobie bluzkę bez pleców, džinsy – biodrówki i naprawdę seksowne szpilki, które dodawały jej przynajmniej dziesięciu centymetrów, wyrównując ich wzrost. Jej krew pulsowała gwałtownie, Ty widział to w zagłębieniu u podstawy szyi. Uniósł dłoń i dotknął. Puls jeszcze przyśpieszył.

Położyła dłoń na jego dłoni.

– W ramach pełnego dostępu – wymruczała. – Musisz wiedzieć, że rozmawiałam dziś po południu z Ryanem.

Ty podniósł wzrok.

– Trafił na izbę przyjęć.

– Co się stało? Wszystko z nim w porządku?

– Ktoś jechał autostradą i zauważył, że Ryan spaceruje po poboczu, więc go przywiózł. Miał ze sobą butelkę szkockiej i trochę heroiny, którą kupił od jakichś dzieciaków.

– Niech to szlag!

– Właśnie. – Mallory nie zdejmowała dłoni; ucisnęła palce Tya, by dodać mu otuchy. – Nic mu nie jest. Teraz to odsypia, przedtem jednak... hm, dużo mówił.

– Czyżby?

– Zabrałeś go na spotkanie NA.

Było to stwierdzenie, nie pytanie. Ty postanowił powstrzymać się od komentarza.

– Poszedłeś z nim na spotkanie. I zostałeś tam.

Kolejne stwierdzenie faktu.

– Czy był... niespokojny? Potrzebował twojej pomocy?

Ach, nareszcie zrozumiał. Próbowала go wypytać.

– Nie było aż tak źle. Nie.

Skinęła głową. Ty czekał na jakąś zmianę w jej twarzy, jednak nie nastąpiło nic podobnego. Żadnych pochopnych wniosków, żadnego oskarżania, litości. Nic.

Do diaska, Ty nie miał pojęcia, dlaczego go to zaskoczyło. Mallory nigdy nie robi tego, czego się po niej spodziewa. I jest najcieplejszą, najbardziej współczującą i wyrozumiałą kobietą, jaką spotkał w życiu.



– Szukałeś tam czegoś? – zapytała.

A także najbardziej ciekawską.

– Może po prostu zapytasz o to, co chcesz wiedzieć, Mallory?

– Dobrze. – Wzięła głęboki oddech. – Czy ty też jesteś uzależniony?

Nie potrafiąc się oprzeć, znów musnął kciukiem to miejsce u podstawy jej szyi, a potem włożył dłoń do kieszeni, w której spoczywała buteleczka po vicodinie. Lekka jak piórko. Pusta. To dodawało mu otuchy. Nawalił na wielu frontach, lecz na szczęście nie na tym.

– Byłem blisko.

– Och... – szepnęła i skinęła głową. – Rozumiem.

Na pewno nie rozumiała. To była jednak jego wina.

– Po katastrofie nie byłem najlepszym pacjentem. Brałem silne leki.

W zasadzie byłem totalnym wrakiem.

– Przecież straciłeś cały oddział.

Poczuł, że zalewa go fala ciepła. Ona go broni! Przed nim samym.

– Gdy wróciłem do pracy, zrezygnowałem z leków... – Urwał.

Powróciły wspomnienia. – Było do bani. Chryste, było naprawdę źle. Podobał mi się ten stan zapomnienia, i to za bardzo.

Nie spuszczała z niego wzroku. Chłoneła słowa, słuchała, nie osądzając.

– Sześć miesięcy temu znów zostałem ranny. – Postanowił wyznać prawdę. – Na pogotowiu nafaszerowali mnie lekami, zanim zdołałem zaprotestować.

Nagły błysk w oczach Mallory. Na pewno na wspomnienie tamtej burzowej nocy i jego odmowy przyjęcia leków.

– Potem mnie zwolnili. I wypisali receptę. „Przyjmować według potrzeb”. Tak właśnie zrobiłem i wkrótce żyłem od pigułki do pigułki.

Wtedy przestałem realizować recepty. – Odetchnął głęboko. – Choć wciąż tęsknię...

Milczała przez chwilę.

– Myślę, że tęsknota jest normalna. Wszyscy jakieś mamy. Ja kiedyś zrezygnowałam z czekolady i tęsknota mnie dobijała.

Roześmiał się cicho. Chryste, lubił ją. Bardzo. I co z tym począć?

– To chyba jednak nie to samo.

– Fakt. Przecież nie można mnie aresztować za zapas czekoladowych ciastek. To mi jednak rujnuje życie. Wydaję masę pieniędzy, a mój fartuch znów jest za ciasny. Wiesz, jakie to uczucie, gdy przestajesz się mieścić w spodnie ze sznurkiem w pasie? Bardzo złe, Ty.

Znów się uśmiechnął. Zakołysał się na piętach i zlustrował ją od stóp do głów.

– Moim zdaniem wyglądasz cholernie dobrze.

– Tylko dlatego że na czekoladę pozwalałam sobie teraz raz w tygodniu. I gdy zadzwoni Amy. Ona ma na mnie bardzo zły wpływ.

– Wciąż tęsknisz, co? – zapytał ze szczerym współczuciem.

– Oddałabym ostatni oddech za kawałek ciasta – oświadczyła żarliwie. Westchnęła, jak na wspomnienie czegoś miłego. – Pomaga mi, gdy mam zajęcie. Gdy myślę o czymś innym. Tyle wiem.

– Ja ostatnio często myślę o innych rzeczach – powiedział.

Na policzki Mallory wypłynął rumieniec. Tyowi podobało się, że oto ktoś, kto potrafi zainicjować seks w składziku znajdującym się nad głowami pięciu setek osób, pośród których są jej przyjaciele i rodzina, wciąż się rumieni.

– Pracowałeś w warsztacie? – zapytała. – Słyszałam, że jesteś nowym miejscowym mechanikiem.

– Pracowałem, zanim wziąłem prysznic.

– Pokażesz mi?

– Prysznic? Jasne. Ale chyba zużyłem całą gorącą wodę.

Roześmiała się miękko i odepchnęła go nieco. Mógł jej ustąpić miejsca, lubił jednak, gdy jej dłonie muskały jego tors. Wziął ją za rękę i poprowadził przez kuchnię i tylne drzwi, do garażu.

Rozglądała się przez chwilę, patrząc na samochody i porozrzucane na stole narzędzia.

– Co robiłeś?

– Wymieniałem hamulce w shelbym.

– Pokaż mi.

– Chcesz się nauczyć, jak zainstalować nowe linki hamulcowe z nierdzewnej stali? – zapytał z niedowierzaniem. – Mallory, nie masz odpowiednich butów do tej roboty.

– A do czego nadają się moje?

– Do mieszania facetom w głowach.

Uśmiechnęła się.

– Działają?

– Nawet sobie nie wyobrażasz. Posłuchaj, to strasznie brudna robota.

– I? – zapytała rozbawiona.

Cóż, ma rację. Przecież na co dzień widuje krew, wnętrzności i inne, równie okropne rzeczy. Odrobina brudu to drobiazg. Ty pokręcił głowę i uniósł maskę. Wziął z ławki porzuconą tam bluzę.

– Nie jest mi zimno – powiedziała.

Wzrok Tya ześliznął się na jej piersi; sutki odznaczały się pod materiałem. Utrzymawała, że nie z chłodu, więc zapewne z podniecenia. Trudno było w to uwierzyć, biorąc pod uwagę, że nawet jej nie dotknął, z

drugiej strony jednak... Ilekroć ona podchodziła bliżej, jego penis stawał na baczność. Kim jestem, żeby ją osądzać?, pomyślał Ty.

– Dzięki niej nie pobrudzisz ubrania. – Włożył jej bluzę przez głowę, dotykając przy tym jej ciała tak często, jak to tylko możliwe. Wstrzymała oddech.

Tak. Zdecydowanie czuli to samo.

Bluza sięgała jej do połowy uda. Mallory zsunęła kaptur.

– Pachnie tobą.

Ty znów poczuł w klatce piersiowej to osobliwe ukłucie. Ból, który na pewno nie miał nic wspólnego z pragnieniem, by zobaczyć ją nago.

– A teraz będzie pachnieć tobą – powiedział.

– Nie przeszkadza ci to?

Nie przeszkadzało mu to do tego stopnia, że nie był w stanie opisać tego słowami. Cholerny mięczak! Przysunął sobie leżankę monterską i drugą, zapasową, którą wskazał gestem Mallory. Gdy oboje już się ułożyli, uśmiechnęła się.

– I co teraz?

– Wjedź pod samochód.

Wsunęła się pod podwozie, a on podążył za nią. Ramię w ramię.

– Co najpierw? – zapytała.

Spojrzał na jej słodki profil. Co najpierw? Przypomnieć sobie, że właśnie dostał zgodę na opuszczenie Lucky Harbor.

Podał jej zwój linki hamulcowej.

– Musisz ją wygiąć i dopasować do konturów ramy.

– Pokazał. Wzięła się do pracy.

– Tak tu spokojnie... – szepnęła.

Zerknął na nią z ukosa, a ona się roześmiała. Nikt nigdy dotąd nie

śmiał się z Tya. Nie licząc Matta, ale Matt nie wyglądał tak ślicznie.

– Mówię poważnie – zapewniła, nie przestając się uśmiechać. – Ty tak nie uważasz?

Pod samochodem było brudno, ponuro, ciasno... i spokojnie.

– Jestem po prostu zdumiony, że i ty tak sądzisz.

– Mogę chyba pobrudzić się od czasu do czasu i dobrze się przy tym bawić? – Przygryzła wargę i znów się roześmiała. – Wiesz, co mam na myśli.

– Tak. Tutaj... – Pomógł, bo nie miała siły, by naciągnąć linkę. – Rozwiń jeszcze mniej więcej pół metra.

– Dobrze. – Zmarszczyła brwi. – Czyli ile dokładnie?

– Około dwudziestu centymetrów. Nie, potrzebuję trzydziestu... – Urwał. – Tak, trzydzieści wystarczy.

Poczuł na sobie jej wzrok. Zrobił minę niewiniątka, ale Mallory nie dała się zwieść.

– A co byś zrobił z trzydziestoma centymetrami, do diaska?

Sugestywnie poruszył brwiami.

– Naprawdę sporo.

Pokręciła głową.

– Tak jakby to, co już masz, nie wystarczało – prychnęła, prowokując go do śmiechu.

Pracowali przez chwilę w zgodnym milczeniu, Mal – lory jednak nie najlepiej znosiła ciszę.

– O czym myślisz, gdy tak tutaj leżysz? Poza swoimi... centymetrami?

Uśmiechnął się. Prawda była taka, że robił, co mógł, by nie myśleć o niczym.

– Czasami o tacie.

– Był mechanikiem w marynarce, tak? To on cię nauczył wszystkiego?

Jego ojciec był mechanikiem, ale nie Ty. Nie zamierzał jednak wyprowadzać dziewczyny z błędu, bo musiałby wyjaśnić również, że kiedyś był sanitariuszem SEAL, a tego nie chciał. O wiele łatwiej było mu zapomnieć, gdy do tego nie wracał.

– W zasadzie mój tata nie chciał, bym parał się mechaniką. Chciał dla mnie czegoś więcej. Chyba miał nadzieję, że jeśli będzie trzymał mnie od tego z daleka, zostanę prawnikiem albo coś w tym guście.

– I?

– Gdy miałem czternaście lat, kupił pontiaca GTO.

– Ty uśmiechnął się do wspomnień. – Rocznik sześćdziesiąty siódmy. Boże, była śliczna...

– Ona? – zapytała Mallory, odwracając ku niemu twarz. Była tak blisko, że wyciągnął dłoń i założył jej za ucho zabłąkane na skroni pasmo włosów.

– Tak, ona. O kochanych autach często mówię jak o kobietach. Chcesz usłyszeć historię do końca czy nie?

– Bardzo chcę. – Szturchnęła go ramieniem. – W najdrobniejszych szczegółach.

– Rozłożyłem silnik na części.

– O mój Boże! – Wybuchnęła śmiechem. – Rozgniewał się?

– To był klasyczny model w doskonałym stanie. Gniew to zbyt słabe słowo, by to opisać.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Wzruszył ramionami.

– Nie mogłem się powstrzymać. Lubiłem rozkładać wszystko na części, a potem składać. Tyle że nie potrafiłem tego robić. Nie miałem pojęcia. – Ty wciąż pamiętał wyraz twarzy ojca: całkowity, bezgraniczny szok na widok pustej komory silnika, przerażenie na myśl o tym, że jego skarb został naruszony i pogwałcony. A potem furie w czystej postaci. – Wciąż pamiętam to uczucie, ten spływający po kręgosłupie pot – dodał, kręcąc głową. – Nie zamierzałem posuwać się aż tak daleko. Po prostu rozkładałem i rozkładałem...

– I co było dalej?

– Byłem pewien, że skopie mi tyłek.

Mallory aż się zachłysnęła.

– Bił cię?

– Nie. Nigdy nie tknął mnie nawet palcem. – Uśmiechnął się lekko. – Nie musiał. Był przerażający. Mówił tym swoim niskim, władczym tonem, który wręcz prowokował do sprzeciwu. Nie znam jednak nikogo, kto by się odważył.

– A ty?

– W życiu.

Uśmiechnęła się szeroko, a on pokręcił głową.

– Co cię tak bawi?

– Ty. Jesteś taki wielki i zły. Trudno mi sobie wyobrazić, że czegoś się boisz. – Dotknęła jego szczęki, objęła ją dłonią i musnęła lekko kciukiem skórę.

Nie ogolił się tego ranka, usłyszał więc tarcie zarostu odelikatny opuszek. Gdy go dotykała, obserwował plamki w jej oczach. Jarzyły się złotem.

– Lubię leżeć z tobą pod samochodem – powiedziała. Auta były jego

ucieczką. Pod maską i podwoziem czekało znajome terytorium, niezależnie od tego, w jakiej części świata się znajdował i gdzie danej nocy kładł się do snu. To była jedyna stała rzecz w jego życiu. Bufor chroniący przed złem.

A Mallory działała jak jednoosobowa ekipa rozbiórkowa. Przechytrzyła go, pokonała barierę i wkroczyła prosto w jego strefę bezpieczeństwa. I do jego przekłętego serca. Niezależnie od tego, jakimi bzdurami karmił się na własny użytek, Ty musiał przyznać, że i on lubi z nią tu być.

– Zdradzisz mi kiedyś, czego się boisz? – zapytała.

Roześmiał się krótko.

– Wielu rzeczy – odparł.

Jej oczy złagodniały. Wplotła palce we włosy na jego karku i zacisnęła je lekko, wywołując w męskim ciele dreszcz rozkoszy.

– Na przykład?

Ciebie, miał na końcu języka.

I byłaby to szczerza prawda.

– Powiedz mi.

– Boję się tego, że nie będę żył. – Wytoczył się spod shelby'ego.

Przykucnął obok leżanki Mallory, chwycił dziewczynę za kostki i wyciągnął.

Usiadła. Odrzuciła włosy do tyłu i spojrzała mu w oczy.

– Nie martw się, Ty. Ja wiem.

– Co wiesz?

– Wiem, że to nie jest twoje prawdziwe życie. Że tylko zabijasz czas, dopóki...

Położył palec na jej ustach.

– Mal...



– Nie, nie szkodzi – powiedziała pomimo blokady. Ścisnęła go za nadgarstek. – Nie jesteś fanem małych miasteczek. Wiem.

Ty jednak wciąż tu był. Mógł odejść, ale tego nie zrobił.

– Skończyliśmy już naprawę? – zapytała.

– Tak. – Jej nogi po prostu nie miały końca w tych dżinsach i butach.

– Skończyliśmy już naprawiać samochód.

– Może więc teraz ja nauczę cię czegoś o mojej pracy?

Na widok seksownego uśmiechu stwardniał natychmiast.

– Co masz na myśli?

– Bawiłeś się kiedyś w doktora?

TWLR

## **ROZDZIAŁ 15**

*Nie ma nic lepszego niż dobry przyjaciel.*

*Chyba że dobry przyjaciel z czekoladą.*

Następnego ranka Mallory obudziło niezadowolone miauknięcie. Groszek oznajmiał głośno światu, że pora śniadania minęła już dawno.

Mallory zignorowała go, więc pacnął ją łapką w czoło.

– Sio.

– Miau.

Przeciągnęła się, czując ból w całym ciele. A ponieważ na siłowni nie bywała już od roku, odkąd wygasło jej członkostwo, dolegliwości mogła przypisać tylko jednemu źródłu.

Specjalnemu treningowi, któremu oddawali się z Tyem.

Westchnęła z błogością i przewróciła się na brzuch. Do domu wróciła bardzo późno. Albo bardzo wcześnie, zależy jak na to spojrzeć. Chciała zostać u Tya na noc, wiedziała jednak, że żądałaby zbyt wiele.

Od niego.

Obiecała mu przecież przelotny romans, choć nie było sensu udawać, że już dawno złamała obietnicę. Poza tym była pewna, że on również czuje do niej coś więcej niż tylko fizyczny pociąg. Tyle że nie wiedziała jednak, czy Ty zdaje sobie z tego sprawę.

Uwielbiała z nim być. To było najważniejsze. On nie zakładał z góry, jak powinna się zachowywać. To było wyzwalające, orzeźwiające uczucie.

Wspaniale.

I niepokojące zarazem. Mallory wiedziała, że zostanie zraniona, nie mogąc jednak nic na to poradzić, postanowiła wziąć prysznic. Podeszła do szafy, wyciągnęła białe sportowe buty, wciągnęła powietrze i zmarszczyła

nos.

– O, nie, nie zrobiłeś tego... – powiedziała do Groszka.

Kocisko leżało pośrodku łóżka i leniwie myło pyszczek. Nie komentowało.

– Narobiłeś mi do buta?

Groszek posłał jej spojrzenie mówiące „to właśnie cię czeka, jeśli znów się spóźnisz”, nie przerywając porannej toalety.

– Dwa słowa – mruknęła Mallory. – Fabryka. Kleju.

Kot nie przejął się zbytnio pustą obietnicą, a Mallory posprzątała, wdzięczna losowi, że Groszek nie wziął na celownik jej sandałków niegrzecznej dziewczynki.

Przypomniała sobie, jak Ty rzucił ją na łóżko w tych butach i w niczym więcej... Tak. Chyba ozłoci te szpilki.

Chwyła telefon z nocnej szafki i otworzyła frontowe drzwi.

Na jej podjeździe stał Joe, pochylając się nad otwartą klapą silnika.

– Cześć – przywitał się. – Kto ci wymienił alternator?

– Nikt. Co ty tu robisz? Mówiłeś, że jesteś zajęty.

– Już nie jestem. Przywiozłem nowy, ale ktoś mnie uprzedził.

– Słucham? – Zeszła z werandy i zerknęła pod maskę. Część, na którą wskazywał je brat, wyróżniała się zdecydowanie lśniąca nowością.

– Widzisz? Zupełnie świeżutki. Może to Garrison?

– Skąd ten pomysł?

– Pomógł temu facetowi, Ryanowi, chyba, znaleźć pracę w spawalni.

Ryan powiedział mi, że spotykasz się z Garrisonem.

Pomógł Ryanowi znaleźć pracę... Wszystko w Mallory złagodniało na myśl, że Ty aż tak się przejął sytuacją weterana. Zastanowiła się, czy nie jest za wcześnie, by do niego pójść. Założyłaby te swoje szpilki. I może jeszcze

trencz, i nic pod spód...

– Halo! – mruknął zirytowany Joe.

– Słucham?

– Spotykasz się z Garrisonem czy nie? On to dla ciebie zrobił?

Przypomniała sobie noc, kiedy natknęła się na Tya na podjeździe. Nigdy go nie zapytała, po co wtedy przyjechał, założyła, że chodzi o seks. Nie miała nic przeciwko, ona również go pragnęła, ogarnęło ją jednak ciepło na myśl, że nie chodziło wyłącznie o łóżko.

Nic za to nie tłumaczyło poprzedniej nocy; Mallory sama sprowokowała wydarzenia. Amy miała rację – buty niegrzecznej dziewczynki miały moc. Będzie musiała jej o tym powiedzieć. Amy uwielbiała mieć rację.

Jechała do pracy z uśmiechem na twarzy. Zaparkowała i już miała wysiadać, gdy zawibrowała komórka. Dziwne; Mallory gotowa była przysiąc, że nie przyciszała aparatu. Wyjęła go z kieszeni i odebrała, nawet nie próbując niczego dojrzeć na wyświetlaczu w jaskrawym świetle poranka.

– Halo?

Po drugiej stronie trwała długa cisza.

– Kim ty, do diabła jesteś i gdzie, do diabła, jest Ty? – powiedział wreszcie seksowny, nadęty i bardzo zaborczy kobiecy głos.

Mallory zamruwała.

– Kto mówi?

– Ja zapytałam pierwsza. Och, na miłość boską, daj go do telefonu!

Natychmiast.

O nie, pomyślała Mallory, czując ogarniającą ją zazdrość, choć wiedziała, że w życiu Tya musiały być inne kobiety. To miało sens, nie oznaczało jednak, że musi się jej podobać.

– Dobra, niech ci będzie – warknęła kobieta. – Powiedz mu, że dzwoniła Frances. To bardzo ważne, rozumiesz?

– Skąd pani ma ten numer?

– Skarbie, nie chcesz wiedzieć. Słuchaj uważnie. Nie interesuje mnie, jak dobrze mu obciążasz, ale ja znam go dłużej i lepiej, i to ja będę go nadal znała pod koniec przyszłego tygodnia. Przekaż mu cholerną wiadomość.

Klik.

Mallory utkwiała wzrok w telefonie i dopiero po chwili zorientowała się, że to nie jej komórka. Był to iPhone, zupełnie taki sam jak jej, na ekranie miał jednak tylko datę i zegar, a nie zdjęcie plaży, które zrobiła w zeszłym tygodniu.

Telefon Tya.

Próbowała dodzwonić się do siebie, została jednak przekierowana na pocztę głosową, co oznaczało, że Ty albo wyłączył aparat, albo padła bateria. Zastanawiała się przez chwilę, po czym wybrała numer Amy.

– To ja. Korzystam z czyjegoś telefonu. Moje życie robi się coraz bardziej szalone.

– Szaleństwo jest relatywne na skali niegrzecznej dziewczynki.

– Czyżby? A gdzie na tej skali umieścisz ochrzan od byłej faceta, z którym sypiam?

Martwa cisza.

– Czyli buty zadziałały?

Mallory gwałtownie wypuściła powietrze.

– Tak. A teraz skup się. – Zrelacjonowała Amy rozmowę. – I naprawdę mogę za to winić tylko siebie. To ja chciałam jednorazowej sprawy. To znaczy chciałam też drugiego razu i trzeciego w sumie też, ale teraz...

– Teraz się zaangażowałaś i boisz się, żeby nie zostać z tym sama.

Skąd ten ucisk w gardle?

– Tak. No, wiesz, trzy razy. Dla mnie to jest...

– Wiem. – W głosie Amy nie było już rozbawienia.

– Związek.

– Jestem niemal pewna, że Ty ma alergię na wszelkie związki.

Amy zamilkła na dłużej.

– Mallory, jesteś pewna, że nie wzięłaś na siebie więcej, niż zdołasz unieść?

Mallory zdusiła śmiech.

– Teraz? Teraz mnie o to pytasz? To ty to zaczęłaś. To ty stworzyłaś listę Panów Nieodpowiednich. Do diaska, jasne, że wzięłam!

– Okej. Wszystko da się naprawić. Po prostu następnym razem wybierz Pana Mniej Nieodpowiedniego. Kogoś, kogo łatwiej ci będzie wodzić za jagódki. Rozumiesz?

Tak. Tyle że Mallory nie chciała już nikogo innego.

– Słuchaj, jestem w pracy. Będziemy musiały odłożyć tę rozmowę. Przygotuj ciasto. Będę go potrzebować.

– Zrobi się, kochana.

Rozłączyła się i weszła do szpitala.

Pięć minut później Jane wezwała ją do swojego gabinetu.

– Dwie sprawy – powiedziała zagadkowo. – Po pierwsze... – Położyła na biurku jakiś papier. Czek z pokaźnym datkiem.

– Anonimowy – wyjaśniła Jane. – Na CUM.

– Mój Boże! – Mallory z wrażenia usiadła na krześle.

– Czy dobrze policzyłam zera?

– Tak. Wszystkie są bardzo okrągłe.

Zerknęła na szefową.

– Czy ty właśnie zażartowałaś?

– Powiedz o tym komuś, to cię obedrę ze skóry.

– Jane uśmiechnęła się pod nosem. – Dobra robota.

– Skąd pomysł, że mam z tym coś wspólnego?

Jane wywróciła oczami.

– Mallory, bez ciebie nie byłoby centrum. Mimo twojego zaangażowania ledwie zipie. Ktoś, kogo znasz, lub z kim rozmawiałaś, przekazał te pieniądze.

Mallory zastanawiała się przez chwilę.

– Ktoś, kogo znam? Nie znam nikogo, kto miałby do rozdania dziesięć tysięcy dolarów.

– Czyżby?

– Chyba nie mówisz o Tyu? – Oczy Jane powiedziały jej, że jednak tak. – Przecież podarował fundusze na program dla weteranów – zaprotestowała. – Poza tym, on nie ma tylu pieniędzy. – Szczerze mówiąc, nie miała pojęcia o zamożności Tya. Dziesięć tysięcy dolarów. – Czemu miałby...

– Mnie nie pytaj – powiedziała Jane cicho. – Mogę mówić szczerze, Mallory? Nie chcę wiedzieć, dlaczego przekazał aż tyle na rzecz Centrum Usług Medycznych w mieście, z którym nie jest w żaden sposób związany i z którego wkrótce wyjedzie.

– Nie dał przecież tych pieniędzy mnie. Przeznaczył je na CUM. Jeśli to w ogóle on.

– Hm. – Jane milczała przez chwilę. – Naprawdę nie lubię angażować się w życie prywatne moich pracowników, ale...

Ojej.

– Ale...

– Cóż, biorąc pod uwagę, że twoje jest szeroko omawiane przy automacie z napojami, chyba nie da się tego uniknąć. Spotykasz się z mężczyzną, o którym nikt nic nie wie.

Spotykają się dosyć rzadko. I tylko uprawiają seks.

– Nie obraż się, Jane, ale nie rozumiem, jaki to ma związek z moją pracą.

– Niezależnie od tego, czy to on jest tym anonimowym dobroczyńcą, czy nie, wszyscy wiedzą, że zadaje się z narkomanami. I naskoczył na dwie pielęgniarki w kafeterii.

Mallory zazwyczaj trzymała nerwy na wodzy, ale słysząc tak pogardliwy opis Ryana, poczuła gniew.

– Nie do końca tak to wyglądało – zaproponowała, siląc się na spokój. – Ty zaangażowałeś się w program dla weteranów. Zaprzyjaźnili się z Ryanem ze względu na łączącą ich służbę wojskową. Ty mu pomagasz, podwozi go w różne miejsca, kupuje mu jedzenie. – Na samą myśl o tym oblewało ją ciepło. Wiedziała o tym od Lucille, podobnie zresztą jak o incydencie w kafeterii.

– Natomiast jeśli chodzi o pracownice techniczne z radiologii... One były po prostu niegrzeczne, więc...

– Chodzi mi o to – przerwała Jane – że już nie jesteś zwykłym pracownikiem. Teraz prowadzisz CUM. Twój status zobowiązuje cię do określonych zachowań i tylko siebie możesz winić za plotki. Dokonałaś wyboru, Mallory, musisz więc zrozumieć, że teraz pewnym aspektem twojego życia ludzie będą się przyglądać dokładniej. Podjęłaś określone moralne i finansowe zobowiązania.

Naprawdę słuchało się tego z trudem.



– Sugerujesz, że nie wolno mi mieć prywatnego życia?

– Sugeruję, że twoje życie prywatne nie może wchodzić w konflikt z publicznym. Nie możesz spotykać się z mężczyzną, który wymaga pomocy CUM, nieważne czy się z tym zgadzasz. Po prostu nie możesz.

Te słowa rozbrzmiewały w głowie Mallory przez kilka kolejnych godzin, gdy przyjmowała pacjentów. Trafił jej się wymiotujący – co za radość! – nastolatek z infekcją niedawno wykonanego tatuażu i kobieta w ósmym miesiącu ciąży, która zjadła słoik pikli, a wzdęcie przyśpieszyło akcję porodową.

Alyssa jak zwykle do niczego się nie przydała, zbyt zajęta flirtowaniem z przystojnym nowym rezydentem, w nadziei, że załatwi sobie randkę na wolny wieczór. Wszyscy jej pacjenci wzywali do siebie Mallory, która w końcu siłą odciągnęła koleżankę od mężczyzny i w kilku słowach przypomniała, na czym polega jej praca.

Zanim w końcu nastąpiła upragniona chwila ciszy, Mallory niemal padała ze zmęczenia. Zazwyczaj takie momenty wykorzystywała na uzupełnianie kart, usiadła więc w pokoju pielęgniarek nad stosem dokumentów.

– Mallory!

Podniosła głowę i zobaczyła jedną ze swoich pacjentek, Jodi Larson, uśmiechniętą od ucha do ucha. Jodi miała dziesięć lat i białaczkę; Mallory ją uwielbiała. Dziewczynka musiała co pół roku zgłaszać się do szpitala na kontrolę. Radość na twarzy jej mamy, która stała tuż za małą, oznaczała, że tym razem wieści są pomyślne.

– Oficjalnie mam remisję – oświadczyła Jodi z dumą.

Mama przytaknęła, a jej oczy zaśniły jak brylanty.

Zachwycona Mallory objęła je obie. Jodi podała jej talerz z ciastkami.

– Kawalki czekolady i orzechy. Upiekłam je specjalnie dla ciebie.

Uścisnęły się ponownie i wtedy właśnie odezwał się pager Mallory. Okazało się, że wzywa ją jej własna matka.

– Mallory – wyszeptała Ella, ciągnąc córkę w ciemny kąt. – Ludzie mówią, że widziano cię, jak wracałaś do domu o trzeciej dwadzieścia nad ranem. Dlaczego moja córka wraca do domu tak późno? Nic dobrego nie może cię spotkać o takiej godzinie. Nic.

Och, na miłość boską!

– Była druga trzydzieści, twoje źródło najwyraźniej nie zna się na zegarku. – I jest doprawdy wkurzające, pomyślała, ale nie dodała tego na głos.

Matka dopiero się rozkręcała.

– Byłaś z tym mężczyzną.

Oho, zaczyna się. Lewa powieka Mallory wpadła w drzenie.

– Ten mężczyzna się jakoś nazywa.

– Przystojniak.

– Ma prawdziwe nazwisko.

Ella zacisnęła wargi.

– Tak. Podobno na Facebooku nazywa się Tajemniczy Przystojniak.

Mallory przycisnęła drgającą powiekę palcem.

– Kochanie, proszę. Czas, abyś odzyskała rozum. Skończysz tak jak Joe i Tammy, a przecież nie jesteś taka.

– Mamo, Joe ma dopiero dwadzieścia cztery lata. Nie jest jeszcze gotowy, by się ustatkować, i może trochę poszaleć. A Tammy na swój szalony sposób już dawno się ustatkowała. Może nie tego dla niej chciałaś, jest jednak szczęśliwa i samodzielna. Co w tym złego, że mogłabym się stać taka jak oni?

Matka zacisnęła wargi jeszcze mocniej.

– Nie to miałam na myśli i dobrze o tym wiesz.

– Nie – powiedziała Mallory cicho. Czowała ucisk w piersi. – Nie to miałam na myśli, wiem. Mówiłaś o Karen.

– Wcale nie.

– Cóż, może w takim razie powinnaś?

Ella zamknęła oczy i odwróciła się plecami.

– Muszę już iść.

– Zaczęła spotykać się z chłopakiem, którego nikt nie znał.

– Nie chcę o tym rozmawiać, Mallory!

– Przekonał ją, by spróbowała nowych rzeczy...

– Przestań. Nie waż się...

– A ona się zmieniła. Przestała być kimś, za kogo ją uważałaś i...

Matka okręciła się na pięcie i wymierzyła drżący palec w twarz Mallory. Jej oczy pałały.

– Nie waż się tego powiedzieć...!

– Mamo. – Mallory ogarnęło nagle ogromne zmęczenie. – Tym razem jest inaczej. Wiesz, że ze mną jest inaczej. Karen brała narkotyki.

– Twój młody człowiek był na spotkaniu NA.

Mallory pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Przecież to poufne.

– Jesteśmy w Lucky Harbor – odparła matka. Wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że prywatność Tya jest niczym w porównaniu z jej pragnieniem upewnienia się, że nic nie grozi córce. – Pamiętasz tę noc, kiedy wylądował na pogotowiu? Odmówił leków przeciwbólowych. Bardzo stanowczo.

– I?

– Nie udawaj głupiej, Mallory. Wiesz, o czym mówię. Nic o nim nie wiadomo i choć wiem, że zabrzmiało to niegrzecznie, musisz przyznać, że ludzie mają całkowicie nieodpowiedni obraz tego, co was łączy.

Cóż, biorąc pod uwagę naszą działalność po nocach – a czasami w środku dnia – ludzie mają na pewno bardzo właściwy obraz tego, co nas połączyło...

Ella spojrzała na córkę i wyraźnie się skrzywiła.

– Widzisz? To się już dzieje. Znów. Jak z Karen i Tonym.

– Nie – zaproponowała Mallory stanowczo. Boże, nie!

– Tony przespał się z Karen, ona zaszła z nim w ciążę i to pociągnęło ją w dół. Nie mogę uwierzyć, że po tych wszystkich latach porównujesz życie moje i jej. Dlaczego nie wtedy, kiedy również mnie groziło takie niebezpieczeństwo?

Matka spojrzała, jakby Mallory uderzyła ją w twarz.

– Wcale... Wcale nie. Ty byłaś jak skała.

Mallory powoli wypuściła powietrze i pokręciła głową. Była wyczerpana. I smutna.

– Zapomnij o tym, mamó.

– Nie mogę. O mój Boże... – Ella zakryła twarz dłońmi. – Myślałam... Byłaś wtedy taka słodka. Nigdy bym nie pomyślała... Och, Mallory. Przepraszam. Czy coś... znów ciągnie cię w dół?

Mallory odetchnęła głęboko i położyła dłonie na ramionach matki.

– Nie. Nic mnie nie ciągnie w dół. Nie zabiję się, mamó. – Temat tabu od lat. – Nie jestem Karen.

Ella skinęła głową. Przytuliła mocno córkę, ze łzami w oczach.

– Wiem – szepnęła. A potem wzięła się w garść, pociągnęła nosem i poszukała w kieszeni chusteczki do otarcia oczu. – Naprawdę wszystko w

porządku?

– Naprawdę.

– Mogę więc odzyskać moją słodką córeczkę?

Mallory roześmiała się cicho.

– Wciąż jestem słodka, mamó. Nie mogę jednak ciągle ci ulegać. Nie będę żyła tak, jak ty sobie życzysz.

– I wciąż zamierzasz spotykać się z tym mężczyzną?

Obok przeszła Lucille w uniformie w różowe prążki.

– Cóż, mam nadzieję – oświadczyła w przelocie.

– To najseksowniejszy facet, z jakim się spotykała od... Cóż, od zawsze.

– Nie zachęcaj jej – zbeształa koleżankę Ella. – To nie jest jakaś tam błahostka. To ma realny wpływ na jej pracę.

– Bzdury.

– Jane obawia się nawet, że może wpłynąć na CUM.

– Bzdury – powtórzyła Lucille. – Powinnaś się wstydzić, Ello, że powtarzasz te bzdury. Chyba już najwyższy czas, by nasza dziewczynka przestała płacić za błędy i pomyłki innych, nie sądzisz?

Ella odwróciła się i przez długą chwilę wpatrywała się w Mallory, oszołomiona. Ktoś śmie uważać, że ona nie wspiera własnego dziecka!

– Nigdy nie chciałam, abyś płaciła za moje błędy i pomyłki.

– Ale płaci – wtrąciła się Lucille z brutalną szczerością, choć miłym głosem. Weszła do dyżurki pielęgniarek, nalała Elli kawy, wyjęła z kieszeni piersiówkę i dołała do kubka coś, co pachniało stuprocentowym alkoholem.

– Lucille! – oburzyła się Ella. – Jestem w pracy!

– Zaraz kończysz. A poza tym już czas.

– Na co?

– Na to, by nie tylko Mallory rozprostowała skrzydła. A skoro już o nich mowa... – zwróciła się do Mallory.

– Będziesz ich potrzebować przy kolejnej pacjentce, która już na ciebie czeka.

Nową pacjentką okazała się pani Burland.

– Ty – mruknęła, gdy Mallory weszła do pokoju.

– Ja – potwierdziła Mallory, sięgając po zestaw do mierzenia ciśnienia. – W pani karcie wyczytałam, że znów zemdląła pani po kąpieli. Czy przyjmuje pani leki o właściwych porach?

– Oczywiście, że tak. Nie jestem kompletną idiotką. Te leki nie działają.

– Czy przyjmuje je pani przy posiłkach, zgodnie z instrukcją na opakowaniu?

Pani B. zmierzyła ją złym wzrokiem.

– Rozumiem, że nie. – Staruszka była blada, a jej ciśnienie zbyt niskie. – Kiedy ostatnio pani jadła?

– Phi.

– Pani Burland. – Mallory przyłożyła palce do wąskiego, kruchego, cienkiego jak papier nadgarstka, by zmierzyć jej puls. – Czy jadła pani dzisiaj lunch?

Pani Burland wyprostowała się dumnie i zatrzęsła się z oburzenia.

– Dobrze wiem, co mam robić.

Mallory spojrzała w wilgotne, zdenerwowane oczy i poczuła ucisk w sercu. Do diaska. Chyba zdiagnozowała problem: pani B. nic nie jadła. Zapewne nie czuła się na tyle dobrze, by samodzielnie zadbać o siebie, a rodzinę i przyjaciół odstraszyła swoim wrednym charakterem tak dawno, że nie było przy niej nikogo życzliwego.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer kafeterii.

– Stello, tu Mallory. Potrzebna mi taca z obiadem do pokoju numer trzy.

– Nie ma sprawy, cukiereczku. Czy twój milutki chłopak złoży mi jeszcze wizytę?

Mallory potarła wciąż drgającą powiekę.

– Niestety, nie dzisiaj.

Gdy przyniesiono tacę, stanęła nad marudną pacjentką.

– Proszę jeść.

Pani Burland popchnęła tacę gniewnie, Mallory uprzedziła jednak ten ruch i przytrzymała ją stanowczo.

– O nie. Na pewno nie. Nie rozleje pani wszystkiego w napadzie furii. Nie tym razem.

Oczy pani Burland zapłonęły gniewnie, co ucieszyło Mallory. Jej pacjentka najwyraźniej poczuła się lepiej. Pochyliła się nad chorą.

– Jestem silniejsza, bardziej wredna i już dzisiaj jadłam – powiedziała.

– Cóż, to widać. – Pani Burland powąchała sok. – Fe.

– Jabłkowy.

– Przecież mam oczy, prawda? – Staruszka upiła łyk. Wystarczyła minuta, by powróciły jej kolory. – Kiedyś nie byłaś taka wredna.

– To nowo nabyta umiejętność.

– Mogę już wrócić do domu.

– Nie wróci pani do domu, dopóki pani wszystkiego nie zje.

– Psa bym tym nie nakarmiła.

Cóż, pani Burland miała trochę racji. Nawet Mallory, która nigdy nie wybrzydzała, nie smakowało jedzenie z kafeterii, czego oczywiście nigdy nie powiedziałaby kucharce.

– Dobrze. – Udała się do kuchni dla personelu, wyjęła z lodówki swój lunch i przyniosła go pani Burland. – Proszę spróbować mojej kanapki. Indyk i ser ze szpinakiem. – Szpinak tylko dlatego, że Ella wciąż się dopytywała, czy Mallory jada warzywa. – Jest też odrobina musztardy i zdecydowanie za dużo majonezu, cholesterol to jednak najmniejszy pani problem. – Mallory położyła na tacy również torebkę małych marchewek i jabłko.

Pani Burland ugryzła kęs.

– Okropna – powiedziała, jednak ugryzła ponownie. A potem jeszcze raz. Aż w końcu zostały okruszki.

– Jeszcze marchewki i jabłko – zarządziła Mallory.

– Czy są równie okropne, jak ta kanapka?

– Są równie okropne jak pani charakter. Ostrzegam panią. Zje pani to wszystko, choćbym musiała wepchnąć to pani do gardła siłą.

– Mallory! – Na korytarzu rozległ się okrzyk niedowierzania.

Jane. Świetnie. Mallory odwróciła się do szefowej. Oczy pani Burland rozbłysły triumfalnie.

– Mogę cię prosić na moment? – zapytała Jane.

– Oczywiście. – Mallory dźgnęła palcem marchewki i jabłko. Pani Burland z ociąganiem wzięła do ręki owoc.

Na korytarzu znalazły się – na szczęście – poza zasięgiem słuchu pacjentki.

– Nowa taktyka?

– Owszem – odparła Mallory, nie zamierzając się bronić. – Zjadła wszystko?

Jane zerknęła ponad ramieniem dziewczyny na panią B.

– Do ostatniego kęsa. Jak ty to zrobiłaś?



– Postanowiłam zostać większą jędzą niż ona.

– Niezła robota.

Gdy w końcu dyżur dobiegł końca, Mallory wsiadła do samochodu głodna i wyczerpana. Rozwiązała pierwszy problem, zjadając garść ciasteczek od Jodi. Wyjęła telefon z kieszeni, by sprawdzić wiadomości i dopiero po chwili przypomniała sobie, że to iPod Tya. Przez chwilę zagapiła się na resztę ciastek z czekoladą i orzechami.

Piętnaście minut później była już na jego podjeździe.

Drzwi do garażu były otwarte, a Ty leżał na plecach pod samochodem w dżinsowych spodniach. Jedną nogę wyciągał przed siebie, drugą ugiął w kolanie. Jego czarny T – shirt zadarł się – a może to levisy zatrzymały się nieprzyzwoicie nisko na jego biodrach? – tak czy inaczej Mallory zobaczyła fragment jego nagiej skóry i twarde jak deska mięśnie brzucha. I poczuła napływającą do ust ślinę. Mogłaby tak stać i gapić się przez cały dzień, ale wtedy i on patrzyłby na nią. Nie, po tym okropnym dyżurze nie było na co spojrzeć.

Nie żeby jemu czyniło to różnicę; pociąg Tya był oparty na nieuchwytnych przesłankach, których Mallory nie potrafiła zrozumieć. Mogłaby się nad tym zastanawiać przez tysiąc lat, a i tak nie przywykłaby, że niezależnie od tego, co robi i jak wygląda, on jej pragnie.

Odwzajemniała to uczucie w pełni.

## ROZDZIAŁ 16

### *Bez czekolady nie wygrasz.*

Ty usiadł na leżance monTERSkiej i spojrział na stojącą przed nim Mallory. Trzymała w dłoniach talerz z ciastkami; miał nadzieję, że to dla niego. Podejrzewał, że odkryła już zamieszanie z telefonami, jednak poza tym nie wiedział, czego się po niej spodziewać.

Gdy ją widział po raz ostatni, leżała na brzuchu na jego łóżku odprężona i rozkosznie zaspokojona. Odgarnął pasmo wilgotnych włosów z jej twarzy, a ona uśmiechnęła się do niego przez sen. Widok, na który czuje się ucisk w sercu... Pomyślał: „O Chryste, no to wpadłem”. Był rozdarty pomiędzy pragnieniem przytulenia się do niej a uczuciem klaustrofobii, które chwyciło go za gardło. Już miał się podnieść i uciec, gdy się obudziła i zaczęła ubierać.

Zapewne wtedy wzięta ze sobą nie swój telefon, a on się nie zorientował. Pojechał za nią, by się upewnić, że bezpiecznie dotrze do domu, wrócił do siebie i próbował zasnąć. Zamiast tego zateęsknił.

Najwyraźniej tracił rozum.

Ty nie miał pojęcia, o czym myśli Mallory, ale nie spodziewał się uśmiechu ulgi.

Ulga, uświadomił sobie. I zaskoczenie, że on wciąż jest w mieście.

Tak, witamy w klubie. On też był tym zaskoczony.

Miała na sobie jasnofioletowy fartuch i białe buty nike. Z kieszonki na jej biodrze wystawały dwa długopisy, czerwony i czarny, które plamiły materiał. Dziewczyna podążyła za jego wzrokiem i zaczęła wycierać zabrudzenia.

– Wyglądam strasznie. Nawet nie pytaj.

– Nie wyglądasz strasznie. Czy to ciasteczka?

– Tak. Musiałam od nich miotłą odpędzać pielęgniarzy, żeby uratować coś dla ciebie.

– Biłyście się? – zapytał z nadzieją. – Nagrałaś to?

– Ależ z ciebie facet! – Podeszła do niego, przykucnęła i podała talerz.

Ugryzł ciastko i jęknął z podziwem.

– Przekazałeś na CUM dziesięć tysięcy dolarów?

Ach, więc o to chodzi, pomyślał, przełykając. Miał nadzieję, że ona się nie dowie; marzenie kompletnie nierealne w miasteczku takim jak Lucky Harbor. Nie śpiesząc się, zjadł ciasteczko numer dwa i sięgnął po trzecie.

Odsunęła talerz poza zasięg jego rąk.

– Przekazałeś?

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę.

– Która odpowiedź zapewni mi resztę ciasteczek?

– Och, Ty... – wyszeptała zmartwiona.

To o niego się martwi, uświadomił sobie.

– Dlaczego? – zapytała. – Przecież już wsparłeś centrum.

– Potrzebowaliście więcej.

– Ale to bardzo dużo pieniędzy.

– Jeśli pytasz, czy mnie na to stać, odpowiem, że tak.

Utkwiła w nim wzrok. Wzruszył ramionami.

– Dobrze mi płacą... – Urwał. – Naprawdę dobrze.

Odetchnęła głęboko, pochyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek,

– Dziękuję – szepnęła i chciała pocałować go w drugi, Ty jednak odwrócił głowę i trafiła w usta. Zanim wreszcie odsunęli się od siebie, oboje

niemal przestali oddychać.

– Proszę bardzo – odparł.

Podniosła się i usiadła na krześle, przy stole, który służył mu za warsztat.

– Nie przeszkadzaj sobie – oświadczyła. – Chętnie popatrzę.

Rozbawiony uniósł brew.

– Chcesz, żebym znów wjechał pod samochód?

– Nie chcę, żebyś marnował przeze mnie czas.

– Czyżby?

– Absolutnie.

Aby poprawić humor im obojgu, Ty położył się na leżance, uniósł ręce nad głowę i chwycił za błotnik.

Mallory skubała dolną wargę. Podniecał ją jego widok przy pracy. Ta wiedza nie powinna dziwić Tya – ona podniecała go samym swym oddechem – więc roześmiał się cicho.

Zaczerwieniła się.

– Skąd wiedziałeś?

– Stwardniały ci sutki.

Pisnęła cicho i zasłoniła piersi, ponownie pobudzając go do śmiechu.

– To przez te twoje dzinsy. Są wytarte w... hm... – wskazała palcem w kierunku jego krocza – ... w newralgicznych punktach. A podkoszulek obciska ci bicepsy i ramiona. Gdy tak leżysz płasko na plecach pod samochodem, wyglądasz, jakbyś wiedział, co robisz.

– Bo wiem, co robię.

– Chodzi mi o cały pakiet – wyznała ponuro. Uśmiechnął się.

– Jeśli ci to pomoże, mój pakiet lubi twój pakiet.

I to bardzo.

– Pracuj! – zażądała, zamykając oczy.

Posłusznie wjechał pod auto. Usłyszał, że Mallory wstaje, podchodzi bliżej i zerka pod otwartą klapę silnika.

– Jak często posługujesz się w pracy kluczem francuskim?

Czytał w niej jak w otwartej książce. Wiedział, że kazała mu wjechać pod podwozie, bo już raz w takiej sytuacji nakłoniła go do mówienia. Wyglądała uroczo, gdy próbowała go przechytrzyć i wymóc na nim, by dał jej to, czego chciała.

To czyniło ją jeszcze bardziej niebezpieczną.

– Kiedyś zwarliśmy kable na krótko w czołgu. Z moimi chłopakami. Ukradliśmy go, aby rozbroić rebeliantów.

Przykucnęła obok.

– Prowadziłeś życie bardzo odmienne od mojego.

– Położyła dłoń na jego chorym udzie. Choć odzyskiwał w nim czucie bardzo powoli, teraz nie miał z tym problemu. Zupełnie jakby palce Mallory miały bezpośrednie połączenie z jego pachwiną, którą pobudzały do życia.

– Zamieniliśmy się telefonami.

W jej głosie pojawiła się nowa nuta; Ty odłożył klucz i wy dostał się spod auta.

Wciąż kuciała, więc nawet leżąc, widział doskonale jej twarz. Nie była w stanie niczego przed nim ukryć, a on po raz pierwszy w życiu pożałował, że potrafi odgadnąć każdą jej myśl. Telefony powróciły do właścicieli, lecz twarz Mallory pozostawała niewesoła.

– Jakiś problem?

– Dzwoniła do ciebie kobieta. Jakaś Frances. Chce, żebyś oddzwonił.

– Ciągłe do mnie wydzwania.

Mallory skinęła głową. Utkwiła wzrok w ziemi, a później znów

spojrzała mu w oczy.

– Chodzisz z nią?

– Z nikim nie chodzę.

– Wiesz, co mam na myśli.

Owszem, wiedział. I nie chciał się w to zagłębiać.

– Tak, wiem – dodała szybko. – Uzgodniliśmy, że to pomiędzy nami to taki... luźny układ.

Nie podobał mu się kierunek, w którym zdążała ta rozmowa.

– Układ – kontynuowała. – Prawda? Nie związek.

– Podniosła się i odwróciła. – Myślałam jednak, że być może to nie do końca prawda. Przecież w zasadzie nigdy nie stwierdziliśmy wprost, że to nie jest związek.

– W takim razie powiem. To nie jest związek.

Mallory zamarła, ale po chwili odwróciła się i spojrzała wzrokiem, któremu nie potrafił się oprzeć.

– Dlaczego nie? Dlaczego nie możemy być razem, jeśli nie jesteś z kimś innym?

Ty poczuł ukłucie bólu. Przetrwiał szkolenie SEAL. Przeżył katastrofę lotniczą. Wciąż oddychał, w przeciwieństwie do swego oddziału, przyjaciół, braci. Nie miał jednak pojęcia, co teraz zrobić.

– Są pewne rzeczy, o których ci nie mówię. A nawet gdybym chciał, nie mógłbym.

– Powód, dla którego nie możemy być razem jest ściśle tajny? – zapytała z niedowierzaniem. – Poważnie, Ty?

Cóż, faktycznie piekielnie marna wymówka. Ty opanował panikę, która ścisnęła mu żołądek. Niezależnie od tego, co robi, co wymyśli, musi sprawić, by ona zechciała zachować dystans. Tyle że Mallory Quinn nie

była zdolna do rezerwy, ona angażowała się sercem. Było to zarówno pociągające, jak i przerażające.

– Nie zakochuj się we mnie, Mallory. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Za bardzo się różnimy. Sama tak powiedziałaś.

Wciągnęła gwałtownie powietrze, jakby właśnie wymierzył jej policzek.

– A do Frances jesteś podobny? Pasujecie do siebie?

– Niestety, tak.

Oparła ręce na biodrach i zmrużyła powieki.

– Jeśli z nią sypiasz, to dlaczego po prostu tu nie przyjedzie i nie porozmawia z tobą? Dlaczego wrzeszczy, że nie odbierasz telefonów?

– Frances nie wrzeszczy.

– W takim razie stanowczo sugeruje – poprawiła się z prześmiewczą uprzejmością Mallory. Zmieniła wątek. – Nie sypiasz z nią.

Do rzeczy.

– Nie sypiam. Jest wkurzona z wielu różnych powodów. Po pierwsze, nie widzieliśmy się od sześciu miesięcy.

Spojrzała na niego, a potem odwróciła głowę.

Podniósł się i stanął tak, by widzieć jej twarz.

– Wyrzuc z siebie resztę. I skończmy z tym.

Uśmiechnęła się kpiąco.

– Najwyraźniej nikt ci jeszcze nie mówił, że Quinnowie są znani z tego, iż duszą złość w sobie.

– Duszenie złości tylko szkodzi. Jeśli jesteś na mnie zła, powiedz.

– Dlaczego musisz być tak logiczny? – Westchnęła i pokręciła głową.

– Nieważne. Nie odpowiadaj.

– Przyłożyła palec do oka. – Cholerny tik! – mruknęła do siebie i

dumnie uniosła głowę. – Grzebałam w twoim telefonie.

– Można się było spodziewać tego po Mallory, która przeszła na ciemną stronę mocy.

– Miałam ci nie mówić. Jednak intrygi nie są moją mocną stroną.

– Masz wiele innych talentów – oświadczył, czym znów ją rozbawił.

– Do diaska! Nie chcę się teraz z tobą śmiać.

Podniósł rękę do jej karku i przyciągnął do siebie.

– Chcesz się jeszcze na mnie pogniewać?

– Tak.

– Daj znać, kiedy ci przejdzie. – Wiedział, że nie ma prawa jej dotykać, pragnąć jej jak powietrza, nic jednak nie mógł na tę chęć poradzić. Gdy musnął wargami jej wargi i rozpoznał jej smak, pojął znienacka, że to kobieta stworzona dla niego. A to oznaczało, że jest jeszcze bardziej niestabilny, niż podejrzewał.

Mallory uwolniła się od niego i pokręciła głową.

– Ty... Nie mogę.

– Nie możesz się całować i wściekać na mnie jednocześnie?

– Och, tyle mogę. Nie mogę robić tego. Nie mogę tego robić i zgadzać się, by... nie było prawdziwe.

– To jest prawdziwe.

– Tak, tyle że dla ciebie oznacza to erekcję. A dla mnie... – Potarła mostek, jakby coś ją rozboleło i zamknęła oczy. – Nieważne. – Cofnęła się o krok, potem drugi. – Przepraszam, to naprawdę moja wina. Nie powinnam była...

– Mallory...

– Nie, w porządku. Naprawdę. Ale muszę już iść.

Obserwował ją, jak wsiada do samochodu i odjeżdża.



Tak, pomyślał, czas wracać do pracy. I to najwyższy.

Mallory zaparkowała za półciężarówką Joego na pod – jeździe przed domem matki.

Obiad z Quinnami.

Minął cały dzień, odkąd zostawiła Tya w jego garażu, podnieconego, brudnego i nieco oszołomionego nagłym zrozumieniem, że oto chyba zgubił swoją kopię książeczki z zasadami małej gry.

Ona tę grę rozpoczęła, nie chciała jednak kontynuować. Gdzieś po drodze zdradziło ją jej serce. Mogła udawać, że jest niegrzeczną dziewczynką, podsycać iluzję, lecz prawda była taka, że potrzebowała czegoś więcej niż tylko seksu. I bardzo ją to wkurzało.

A jeszcze bardziej wkurzała ją tęsknota.

Matka była w kuchni; wyciągała właśnie z piekarnika kurczaka. Wyglądał doskonale. Mallory, która nie wiedziała nawet, od czego zacząć przygotowywanie takiego dania, pociągnęła nosem z aprobatą.

– Przyniosłaś deser? – zapytała Ella. – Ten tort, który upiekłaś na urodziny Joego był wspaniały. Nie miałam pojęcia, że jesteś tak utalentowana. Powiedz, że zrobiłaś powtórkę.

Mallory podała jej tacę z babeczkami kupionymi tego ranka w hotelu. Tara zapewniła ją, że są po prostu zabójcze. Mallory nie musiała wierzyć na słowo – sama pochłonęła już dwie.

– Kobieta, która potrafi tak piec – dodała matka – powinna mieć dzieci. Chciałabym bawić wnuki.

– Mamo.

– Tak tylko mówię.

– To przestań.

Joe wszedł do kuchni i zmierzwił Mallory włosy.

– Hej, myślisz, że zdołasz przekonać tę śliczną młodą pielęgniarkę, by się ze mną umówiła?

– Nie, Camilla jest dla ciebie za dobra. Skąd ją znasz?

– Pracuję w spawalni z jej bratem. Przyniosła mu kiedyś lunch.

– Trzymaj się od niej z daleka.

Ella zagoniła wszystkich do stołu.

– Joe, odłóż telefon. Och, Mal, byłabym zapomniała. Tammy prosiła, żebym cię zapytała, czy weźmiesz za Alysę dyżur w ten weekend. Chciałyby umówić się na wieczór.

Mallory sięgnęła do koszyczka po dwie bułeczki.

– Nie mogę.

Ella odebrała jej jedną.

– Rano będziesz za to się nienawidzić. Dlaczego nie możesz wziąć tego dyżuru?

– W weekend pracuję w CUM.

– W oba dni?

– Nie, ale potrzebuję wolnego.

Ella zamrugnęła.

– Przecież ty nigdy nie odmawiasz. Zawsze jesteś taka dobra dla wszystkich.

Och, jakże ja nienawidzę tego przymiotnika!, pomyślała Mallory.

Joe uśmiechnął się i wziął z koszyka dwie bułeczki, czego Ella nawet nie skomentowała. Kościsty łajdak.

– Mallory chyba nie lubi, gdy ktoś nazywa ją dobrą, mamó.

– Oczywiście, że lubi. Dlaczego miałyby nie lubić?

No, właśnie. Dlaczego?

Uciekła od razu po obiedzie. Jej rodzina była... Cóż, była jej rodziną.

Kochała ich, wiedziała jednak, że nie mają pojęcia, jak bardzo męczy ją ich opinia o niej, jak bardzo Mallory tęskni za czymś więcej, jak bardzo chciałyby, by dostrzegli, jaka jest naprawdę.

Ty widział.

Szkoda, że nie chce znaleźć dla niej miejsca w swoim życiu.

Była już w połowie drogi do domu, gdy zadzwonił telefon. Zjechała na pobocze i odebrała.

– Wchodziłaś ostatnio na Facebooka? – zapytała Amy.

Mallory stanęło serce.

– Co znowu?

– Ktoś zrobił zdjęcie tobie i Tyowi, chyba na szpitalnym parkingu.

Ty... zagląda ci na nim pod maskę.

O Boże!

– Powiedz mi, że nie posłużyłaś się eufemizmem, tylko przedstawiłaś realną sytuację.

– Zdjęcie jest gorące jak diabli, Mal. Dobrze razem wyglądacie.

– Nie jesteśmy razem. I co, do diaska, robimy na tym zdjęciu?

– Całujecie się. A on trzyma ręce na twojej pupie. Zmienił mu nawet przydomek. Teraz już nie jest Tajemniczym Przystojniakiem, tylko Zręcznym Przystojniakiem.

– O Boże!

– Mal?

– Tak.

– Chyba możesz już zacząć udzielać lekcji bycia niegrzeczną dziewczynką... – Mallory uderzyła głową w kierownicę. – Aha, jutro spotkanie czokoliczek. Przyniosę tort czekoladowy od Tary. Będzie ozdobiony naszymi imionami. Masz dużo do opowiadania.

- Ty również. Chcę usłyszeć, co cię łączy z Mattem...
- Nic mnie z nim nie łączy.
- Amy...
- Wybacz, jakieś zakłócenia. Chyba wjeżdżam do tunelu.
- Przecież jesteś w Zjedz Mnie.
- W takim razie zapewne nie chcę o tym z tobą rozmawiać.

Rozłączyła się.

Mallory pokręciła głową i wyjechała z powrotem na drogę, wciskając gaz do dechy. Bardzo chciała zobaczyć to zdjęcie, a tymczasem dwie przecznice od domu ujrzała w tylnym lusterku migające czerwono – – niebieskie światła.

Niech to szlag!

Ponownie zjechała na pobocze, opuściła szybę i utkwiała rozgniewany wzrok w szeryfie Sawyerze Thompsonie, który podszedł do niej powoli. Chodzili razem do liceum, choć on był od niej dwa lata starszy. Ona pisała za niego prace z angielskiego, on odrabiał za nią matematykę i fizykę. Później kilka razy był jej pacjentem, gdy burzliwa młodość przywiodła go do izby przyjęć.

W końcu Sawyer się ustatkował i został szeryfem surowo egzekwującym przepisy prawa. Był taki czas, kiedy zatrzymanie przez wielkiego, złego, seksownego szeryfa naprawdę poprawiłoby Mallory humor, minął jednak bezpowrotnie.

– Czego? – zapytała zrzędliwie. – Nie ma w okolicy bandytów do łapania? Musisz zatrzymywać ludzi, którzy po prostu chcą dojechać do domu?

– Daj spokój, Mal. Jechałaś dziewięćdziesiąt, choć tutaj obowiązuje ograniczenie do pięćdziesięciu. Dwa razy włączyłem syrenę, a ty nawet tego

nie zauważyłaś. Co się z tobą dzieje, do diabła?

Niech to szlag! Wcisnęła się w fotel.

– Nic.

Pokręcił głową i oparł się o samochód, ewidentnie zadowolony z krótkiej przerwy. Westchnął.

– Długi dzień? – zapytała ze współczuciem.

– Tak. – Zerknął. – Chyba jednak nie tak długi, jak twój.

– Nic mi nie jest.

– Czyżby? – Wyciągnął z kieszeni telefon, wcisnął kilka przycisków i pokazał jej wyświetlacz.

Facebook.

Faktycznie, ktoś zamieścił na stronie ich zdjęcie. Amy mówiła prawdę. Małe i bardzo ziarniste, a jednak wyraźne. Ona w ramionach Tya.

Trzymającego dłonie na jej pośladkach.

Ona oszołomiona, z rozmarzonym uśmiechem, Ty nie. Wpatrywał się w nią zaborczo, wygłodniałe. Po plecach Mallory przebiegł dreszcz, a zaraz po nim nadeszła fala gniewu.

– Chyba sobie żartujesz!

Sawyer schował telefon do kieszeni.

– To naruszenie prywatności! Aresztuj kogoś!

– Byliście w miejscu publicznym.

– Nie wiedziałam, że ktoś robi nam zdjęcia!

– Najwyraźniej – mruknął Sawyer, wciąż oparty o jej samochód.

Jakby miał przed sobą cały dzień.

– Skopię komuś tyłek.

Uniósł brew.

– Ty nie kopiesz niczyich tyłków, Mal. Ty je ratujesz.

– Koniec z tym! Wypisz mi w końcu ten cholerny mandat i zejdz mi z drogi, zanim przejadę ci po stopie.

Uśmiechnął się szeroko.

– Grozisz oficerowi na służbie?

– Mój mandat, Sawyer.

– Nie dam ci mandatu, Mallory.

– Nie?

– Jasne, że nie. Gdybym wlepił ci mandat, ludzie żywcem obdarliby mnie ze skóry.

Cóż, prawda.

– Nigdy dotąd ci to nie przeszkadzało. – Gdyby nie była tak wściekła, sytuacja zapewne by ją rozbawiła.

– To Chloe. Złagodniałeś, odkąd masz dziewczynę.

Skrzywił się.

– Uważaj, bo dostaniesz mandat za te słowa.

W końcu się uśmiechnęła.

Sawyer odwrócił się, pochylił ku niej i założył jej pasmo włosów za ucho.

– Chcesz dobrej rady?

– Chcę przejechać po twojej stopie.

– Nie przejedziesz mi po stopie, bo potem musiałabyś udzielić mi pierwszej pomocy, a nie jesteś w nastroju. – Cofnął się jednak na wszelki wypadek, dowodząc, że oprócz niezłego ciała ma też rozum. – Zwolnij – ostrzegł ją i znów pociągnął ją za włosy. – Wszędzie.

– A to co znaczy?

– To znaczy, że nie chcę, abyś cierpiała.

Cóż, na to już chyba za późno. Już cierpiała. Wielkie dzięki.

Mallory odetchnęła głęboko i powoli wyjechała na jezdnię. Uważała, by nie przekraczać prędkości, choć jej telefon dzwonił co dwie minuty. Zignorowała wszystkie dzwonki, zaparkowała na podjeździe, podlała kwiaty pani Tyler, kwiaty babci i nakarmiła Groszka.

Przyzwyczajenie jest drugą naturą.

Podrapała kota za uchem i w nagrodę za swe wysiłki została pogryziona. Tak, przyzwyczajenie to druga natura. Mallory przeszła przez dom i wyszła tylnymi drzwiami na podwórko, gdzie usiadła na pojedynczym leżaku. Rozłożyła oparcie, włączyła głośnik w telefonie i w końcu odebrała wiadomości z poczty głosowej, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

– Mallory – oświadczyła Jane niezadowolonym tonem – zadzwoń do mnie.

Nie, dziękuję. Najwyraźniej jej szefowa już widziała zdjęcia. I najwyraźniej domyśliła się, że Mallory zignorowała jej ostrzeżenie. Może jednak zadzwonić i powiadomić Jane, że zdjęcie zostało wykonane przed ich „pogawędką”? I że ona już nie spotyka się z Tyem. Tyle że Mallory dopadło zmęczenie wywołane zażegnaniem konfliktów. Po prostu nacisnęła „Usuń”.

– Ojej, Mal – głosiła wiadomość od Tammy. – Naprawdę ostatnio bywasz niegrzeczna. Na wypadek, gdybyś już była w drodze do Vegas, podpowiem ci: weź pakiet ślubny bez zdjęć. Nie potrzebujesz żadnych, to jest idealne.

Usuń.

Trzecia wiadomość.

– Mallory, tu Deena. Ze sklepu spożywczego. Słuchaj, gram z przyjaciółkami w Bunko w każdą środę. W tym tygodniu stawką była

randka z Tajemniczym Przystojniakiem i wygrałam. Musisz się od niego od-  
cześcić. Jest mój.

Bierz go, Deena.

Usuń.

Groszek musnął łebkiem jej łydkę. Nie był to objaw miłości, lecz  
żądanie większej ilości jedzenia.

– Nie masz pojęcia, jakie masz dobre życie, kocie – powiedziała  
Mallory z westchnieniem. – Musisz tylko sypiać przez – ile? – osiemnaście  
godzin na dobę? Żadnej presji, żadnych oczekiwań. Żaden Tajemniczy  
Przystojniak nie miesza ci w głowie, wysyłając sprzeczne sygnały.

Tyle że te sprzeczne sygnały wysyłała ona. On był z nią szczery od  
samego początku. Cóż, może nie tyle szczery, ile uczciwy.

„Nie zakochuj się we mnie, Mallory. Nic dobrego z tego nie  
wyniknie”.

Tak. Odzyskam zdrowy rozsądek, nie zakocham się. Chociaż...

Przecież już się zakochała.



## ROZDZIAŁ 17

*Co jest sensem życia? Najnowsze dowody wskazują, że czekolada.*

Po bezsennej nocy Mallory przepracowała kolejny długi dyżur, a po drodze do domu pojechała jeszcze odwiedzić panią Burland. Poprzedniego wieczoru Cece Martin, miejscowa dietetyczka, wygłaszała wykład na temat zdrowego żywienia. Pani B. obiecała, że przyjdzie, lecz nie było jej na liście uczestników.

Mallory wjechała na podjazd. Podwórko było zaniedbane, podobnie jak dom. Ogarnięta złymi przeczuciami wysiadła z samochodu, wzięła torbę z zakupami, które zrobiła dla staruszki i zapukała do frontowych drzwi.

Nikt nie odpowiedział.

Zapukała raz jeszcze, świadoma, że pani B. i tak nie otworzy. Mimo to niepokój nie mijał. Mallory nacisnęła klamkę, drzwi ustąpiły.

– Pani Burland? – zawołała. – To ja, Mallory Quinn.

– Idź sobie.

Głos staruszki brzmiał słabo, a jednocześnie arogancko. Ignorując polecenie, Mallory weszła do pogrążonego w mroku domu i włączyła światło.

Pani Burland leżała na podrapanej drewnianej podłodze, tuż pod schodami.

Mallory wypuściła z rąk torby i podbiegła do kobiety. Natychmiast przycisnęła dwa palce do arterii szyjnej, by zbadać puls.

Silny.

Opadła na kolana i odetchnęła z ulgą.

– Zakręciło się pani w głowie i spadła pani ze schodów?

– Nie. Mam zwyczaj ucinać sobie drzemkę w tym miejscu – warknęła pani B. – Przecież ci powiedziałam, żebyś sobie poszła. Nie masz prawa tu być.

Okej. Lokalna Miss Uśmiechu nie miała problemów ze spójnymi wypowiedziami, nie wykazywała też żadnych objawów dezorientacji. Winę za upadek ponosił zapewne jej syndrom wazowagalny. Mallory przesunęła jeszcze dłonią po kończynach staruszki, by sprawdzić złamania.

– Może pani wstać?

– Jasne. Po prostu wolę leżeć cały dzień na dywanie. Co ty tu robisz, do diabła? Nie męczysz cię to ciągle ratowanie ludzi? Po co ci to?

– Cóż, w pani przypadku ze względu na pani urocze poczucie humoru i słodką naturę. Może pani usiąść?

Pani Burland odepchnęła wprawdzie od siebie jej dłonie, lecz się nie poruszyła.

Tym samym Mallory otrzymała odpowiedź. Usiadła na podłodze obok i zaczęła szperać w reklamówce z produktami spożywczymi.

– Na co ma pani dzisiaj ochotę? Mam zupę, kanapkę i...

– Idź sobie! Jestem stara. Jestem samotna. I tak lada chwila umrę. Pozwól mi umrzeć.

– Nie jest pani stara, tylko wredna. I właśnie dlatego jest pani sama. Mogłaby pani znaleźć przyjaciół, gdyby tylko przestała pani na wszystkich warczeć. Lucille przyjęłaby panią do swojej paczki, gdyby była pani choć odrobinę mniej złośliwa. Uwielbia pani przytyki.

– Jestem sama.

– Halo! Przecież tu siedzę! Nie jest pani sama. Ma pani mnie. – Mallory wyjęła z torby karton soku jabłkowego. – Pani ulubiony.

– Nie jestem spragniona.

– A może ma pani ochotę na rosół?

Oczy pani Burland rozbłysły.

– Z puszki?

– Nie. Cały dzień sama. go gotowałam. Z kurczaków, które wyhodowałam osobiście oraz marchewek i selerów z mojego ogródka.

Pani Burland prychnęła.

– Nie jadam zup z puszki.

– Dobrze. – Mallory wyjęła z reklamówki paczkę suszonych śliwek.

Pani B. wyrwała ją pożądliwie i rozerwała opakowanie drżącymi palcami.

Mallory się uśmiechnęła.

– Bawi cię moje nieszczęście?

– Wiedziałam, że te śliwki panią przekonają.

Po minucie czy dwóch, gdy poziom cukru wzrósł w jej krwi, pani Burland znów zmierzyła Mallory gniewnym spojrzeniem.

– Poradziłabym sobie bez ciebie.

– Oczywiście. Ale na pewno lepiej by to pani wyszło, gdyby zaczęła pani o siebie dbać.

– A co ty wiesz? Sama o siebie nie dbasz.

– Co to ma znaczyć?

– Na strychu? – zapytała drwiąco pani Burland. Prychnęła na widok zszokowanej miny Mallory. – Tak, słyszałam o waszym małym interludium. Ktoś widział pana Garrisona, jak schodził na dół podczas aukcji. Ty zeszłaś podobno kilka minut po nim, całkiem rozczochrana. Nie myśl, że skoro jestem stara, nie dostrzegam pewnych rzeczy. Pamiętam, co to są hormony.

Dobry Boże!

– Co z ciebie za kobieta, że umawiasz się z mężczyzną, który zabiera

cię na strych?

Taka, w której żyłach płynie prawdziwa krew. Ty Garrison był niezwykle sprawnym seksualnie mężczyzną; Mallory dałaby sobie głowę uciąć, że nawet wzór cnót nie odmówiłby sobie wywołanego przez niego orgazmu. I na samą myśl o tym poczuła ból – za bardzo za nim tęskniła. Miała nadzieję, że on również. I że nie planuje zapełnić tej pustki... Frances.

– W zasadzie to nie był strych, a raczej magazyn. A poza tym nie spotykamy się ze sobą.

– Rozdajesz więc swoje mleko za darmo?

– Po pierwsze nie jestem krową, a po drugie nie będziemy o tym rozmawiać.

– Jego też próbujesz uratować, tak? Jak nas wszystkich? Przecież nawet ty musisz sobie zdawać sprawę, że taki mężczyzna nie zainteresuje się pielęgniarzką z małego miasteczka. Nie na dłuższą metę.

Zabolało, głównie dlatego, że było tak bliskie prawdy. Mallory nie chciała jednak ratować Tya.

Choć nie miałyby nic przeciwko temu, żeby go zatrzymać...

– Proszę uważać – powiedziała łagodnie. – Inaczej zabiorę pani śliwki.

– Phi.

Przez kolejnych kilka minut siedziały obok siebie na podłodze. W końcu Mallory po raz drugi pobieżnie zbadła panią Burland. Stan kobiety znacznie się poprawił.

Mallory podniosła głowę i krzyk uwiązał jej w gardle.

W drzwiach stał Jack Nicholson z *Lśnienia*.

Innymi słowy: pan Wykowski.

Wszedł do środka.

– Louiso – powiedział cicho, wpatrując się w panią B. – Czy dobrze się czujesz?

I wtedy wydarzyła się rzecz przedziwna: na oczach Mallory nastąpiła przemiana. Pani Burland złagodniała. Uśmiechnęła się. To znaczy, tak się Mallory wydawało, bo odsłoniła zęby.

– Oczywiście – oświadczyła. – Czuję się bardzo dobrze.

– Kłamczucha. – Pan Wykowski przykucnął obok.

– Znów zakreśliło ci się w głowie?

– Oczywiście, że nie.

– Louiso.

Pani Burland odwróciła głowę.

– Może troszeczkę. Ale tylko przez minutę.

Pan Wykowski pokiwał głową do Mallory.

– Dobrze, że do niej zajrzałaś. Nie ułatwia nam niczego. Wciąż nie rozumie, że tutaj, w Lucky Harbor, wszyscy troszczymy się o siebie.

Mallory uśmiechnęła się do niego, nagle przekonana, że mężczyzna już nigdy jej nie przestraszy.

– Dobrze wiedzieć, że nie jest sama. – Spojrzała na panią Burland znacząco.

Pani B. wywróciła oczami, z jej ust nie padł jednak żaden złośliwy komentarz.

Na ganku znów rozległy się kroki, a w drzwiach pojawiła się Lucille w czarno – żółtych tenisówkach. Miała na sobie odblaskowo zielony dres, który podkreślał w niezbyt pochlebny sposób wieloletni wpływ grawitacji na jej ciało. Pomarszczone wargi pomalowała na różowo.

Trudno było na nią patrzeć bez okularów przeciwsłonecznych.

– Tu jesteś, Teddy – powiedziała, uśmiechając się do pana

Wykowskiego. – Gotowy na spacer?

Pani Burland zmrużyła powieki.

– Chyba widać, że składa mi wizytę.

Lucille położyła dłonie na biodrach.

– Przecież nie lubisz przyjmować gości.

– Wynocha z mojego domu.

Lucille się uśmiechnęła.

– Zmuś mnie. – Podała rękę gospodyni. – Pomóc ci najpierw wstać?

Pani Burland podniosła się sama, mierząc przeciwniczkę triumfalnym wzrokiem.

– Na pewno bym cię wyprzedziła na tym spacerze.

– Tak? – Spojrzała Lucille. – Udowodnij.

– Tak zrobię. – Pani B. podeszła do drzwi. Pan Wykowski delikatnie ujął ją pod ramię. Lucille stanęła z drugiej strony.

Poszli na spacer we trójkę.

Mallory pojechała do domu. Zaparkowała, podlała kwiaty pani Tyler, ogródek babci i otworzyła frontowe drzwi. Zerknęła na małą toaletkę w korytarzu – za każdym razem przypominała jej tamtą noc, kiedy Ty pokazał jej zupełnie inne przeznaczenie mebla – i westchnęła. Na szczęście ktoś obiecał jej czekoladowy tort. A skoro nie będzie już uprawiać dzikiego, spalającego mnóstwo kalorii seksu, powinna pomyśleć o innym rodzaju ćwiczeń.

– Miau.

– Słyszę cię.

Mallory nakarmiła Groszka, przebrała się i poszła nad zatokę pobiegać.

Czteryście metrów do końca nabrzeża niemal ją zabiło, wróciła więc

spacerem, przyciskając rękę do boku. Gdy dochodziła do budki z lodami, zwolniła jeszcze bardziej. Tego dnia pracował nie Lance, lecz jego starszy brat Tucker.

– Cześć, Ślicznotko! – zawołał. – Nazwaliśmy na twoją cześć podwójne czekoladowe. Serio. Właśnie spisaliśmy nową listę naszych specjalności. Numer jeden to Grzeczna Dziewczynka Zabłądziła.

Wybuchnął śmiechem, gdy posłała mu długie, mroczne spojrzenie.

– Daj spokój, to całkiem śmieszne.

Może dla kogoś, kto nie nazywa się Mallory Quinn.

– Chcesz spróbować?

Bardziej niż nadal oddychać.

– Nie.

Wychylił się z okienka, szczupły i pełen gracji, i zmierzył wzrokiem jej spoconą sylwetkę.

– Hm, rezygnujesz z lodów. I biegasz. – Uśmiechnął się szeroko. – Jesteś na diecie, prawda?

Wypuściła wstrzymywane powietrze.

– Po prostu trochę ćwiczę, bo chcę być zdrowsza.

– Moim zdaniem, wyglądasz świetnie.

Och. To było miłe. Może Tucker stanowiłby miłe uzupełnienie listy Panów Nieodpowiednich?

– Ten dupek powinien ci to powtarzać na każdym strychu, na jaki cię zwabi.

– Okej, po pierwsze, to był magazyn!

Do diaska! Musi się ruszać. Wrócić do biegania. Bez lodów.

Najtrudniejsza decyzja, jaką podjęła w życiu.

W domu Mallory zmierzyła toaletkę złym wzrokiem.

– Z jakiegoś względu to wszystko twoja wina.

Toaletka nie miała nic na swoją obronę.

– No, dobrze. Nie twoja. To wina Tya.

Ciało Mallory tęskniło za nim, było jednak coś jeszcze. Chora z tęsknoty dusza.

Kręcąc głową nad samą sobą, weszła pod prysznic, pozwoliła się wciągnąć w maraton szóstego sezonu *Czarodziejek*, a potem pojechała do Zjedz Mnie na umówione spotkanie z czokoholiczkami.

Gdy tylko weszła do kafejki, otoczył ją znajomy szum rozmów i śmiechów. Zapachy przypomniały jej, jaka jest głodna.

Nie jadła obiadu. Ten wieczór zasadniczo różnił się od tamtego, zwołanego naprędce spotkania. Po pierwsze, nie szalała burza. Na zewnątrz było dziesięć stopni, na niebie ani śladu chmur, a w powietrzu pachniało wiosną.

Po drugie, nie była to północ, a w kafejce znajdowało się mnóstwo ludzi. Mallory usiadła na stołku obok Grace i zerknęła na pusty blat przed przyjaciółką.

– Dzisiaj pościsz?

– Czekaliśmy na ciebie.

Pojawiła się Amy z tortem i trzema widelcami.

Mallory wzięła jeden i wbiła go w ciasto, nie czując wyrzutów sumienia. Przecież dziś biegała.

– Co najmniej pięć osób próbowało już dzisiaj kupić ten tort – oświadczyła Amy. – Proszę bardzo. – Musiała często odchodzić od kontuaru, wkrótce jednak kafejka opustoszała. Wtedy stanęła przed barem i zjadła trzeci kawałek małego tortu. – Boże! – mruknęła. – Niebo w gębie.

– Wspaniały – przyznała Grace.



Mallory nie była w stanie mówić. Była zbyt zajęta opychaniem się słodkością.

Amy przełknęła i oblizwała wargi z czekolady.

– Oficjalnie otwieram zebranie. Mallory, ty pierwsza.

– Nie. Dziś nie jest moja kolej.

– Przecież ci powiedziałyśmy, że jesteś pierwsza, dopóki cię nie naprawimy. – Uśmiechnęła się Grace.

– Gadaj. Opowiedz nam wszystko.

Mallory westchnęła.

– Wolalabym porozmawiać o Amy i Seksownym Strażniku Matcie.

Grace uniosła brwi.

– Gasisz pożary z tym seksownym strażnikiem, który przychodzi tu na placek?

– Mamy dobry placek.

– Są różne rodzaje placków.

Mallory niemal prychnęła ciastem przez nos, a Amy posłała Grace mroczne spojrzenie.

– Tu nie chodzi o mnie – dodała wyniośle i wymierzyła widelcem w Mallory.

Mallory włożyła do ust jeszcze więcej ciasta.

– Oho! – mruknęła Grace. – Wyczuwam jakieś przeszkody w Misji Niegrzeczna Dziewczynka.

– Włożyłam buty. I było bardzo fajnie.

– Hm, skarbie. Ludzie mówią, że było więcej niż fajnie – stwierdziła Grace, oblizując widelec.

– Ludzie?

– Facebook. – Grace odwróciła się do Amy. – A właśnie, dzięki za

sugestię w sprawie Facebooka. To uzależniające.

– Nie wiercie we wszystko, co tam wyczytacie.

– Mallory skuliła się na stołku. – Tylko niewielki procent jest prawdą.

– Czyżby? – zapytała Grace. – A ile procent prawdy jest w zdjęciu, na którym ty i Ty wyglądacie tak przytulnie?

Mallory wypuściła powietrze i ponownie zaatakowała torcik.

– Nie byliśmy... przytulni. Wtedy.

Grace się uśmiechnęła.

– Ma to spojrzenie. Poważne, seksowne spojrzenie. Mówiące: wiem, jak zadowolić kobietę.

Mallory podparła głowę na dłoni. Drugą sięgnęła po dokładkę tortu.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Tak, tylko widzisz, my chcemy – wtrąciła Amy.

– Zakończyłam to – oświadczyła Mallory i westchnęła, gdy obie przyjaciółki otworzyły usta ze zdumienia. – Mówiłam wam, nie jestem aż tak ortodoksyjną Niegrzeczną Dziewczynką. Za każdym razem gdy byliśmy razem, coraz bardziej... – Zamknęła oczy.

– Czuję.

Grace chwyciła ją za rękę i uściśnęła ją.

Amy popchnęła tort w jej kierunku.

– Dzięki. – Mallory pokręciła głową. – Nie mogłam już dłużej traktować tego tak lekko. On jest... – westchnęła – zbyt rozkoszny.

– Parę dni temu widziałam, jak pływa – przyznała Grace. – W oceanie. Siedziałam na plaży i dąsałam się z powodu pieniędzy, które musiałam wydać na benzynę, by dojechać do Seattle na rozmowy w sprawie pracy, z których i tak nic nie wyszło. Tak czy inaczej, on pływał chyba ze dwie godziny. Nie sądzę, by ktoś poza żołnierzami SEAL był zdolny do

czegoś takiego. Wiecie, że oni potrafią znaleźć i namierzyć wszystkich i wszystko?

– I co z tego? – zapytała Amy. Obie z Mallory spojrzały wyczekująco.

– To, że jestem gotowa się założyć, iż taki facet bez problemu namierzy i łechtaczkę.

Mallory zadławiła się ciastem. Nie przestawała się krztusić nawet wtedy, gdy ktoś znieuważa stanął za nią i poklepał po plecach.

Rozpoznała ten dotyk. Intymnie. Okręciła się na stołku i zobaczyła Tya. Poczowała ucisk w piersi. Zdradzieckie serce.

Nie mogła przestać się zastanawiać, czy należał do SEAL. To nawet miałyby sens. Nie miał żadnych problemów z namierzeniem jej łechtaczki...

Wpatrywał się w nią uparcie. Mallory, jak zawsze na jego widok, przeszył dreszcz. Wyglądał poważnie, tego wieczoru dostrzegła w nim jednak jeszcze coś innego. Był zmęczony, jakby przeżywał trudne chwile. Poczowała w sercu znajomy ból.

Boże, tak bardzo za nim tęskniła...

Nie rozumiała dlaczego, ale nigdy wcześniej nie wydawał jej się tak pociągający. I tak prawdziwy. Zaprażyła wziąć go za rękę i scałować z niego problemy. Przytulić.

Zaprażyła przytulić uwięzionego w klatce lwa.

Nie miało to żadnego sensu, lecz taka była prawda. Mallory wiedziała, że Ty wkrótce wyjedzie, a wtedy zabierze ze sobą ogromną część jej serca. Nie mogła jednak nic na to poradzić. Wiedziała coś jeszcze – że pragnie wszystkiego, co on może jej dać w międzyczasie. Przy nim nie była opiekunką. Nie była siostrą. Nie myślała, nie planowała, nie przewidywała.

Przy nim była po prostu Mallory. Przy nim... żyła.

Uśmiechnął się do niej oczami. Dotknął kącika jej ust i oblizał palec.

– Mmm, czekolada.

Amy aż otworzyła usta ze zdziwienia, Grace zaczęła się wachlować. A gdy Ty zmierzył ją wzrokiem, dostały ataku gorliwości. Amy posłała Mallory spojrzenie mówiące: „Widzisz, znowu nam przerwał”, po czym poszła obsługiwać klientów, a Grace nagle przypomniała sobie, że ma jeszcze coś do zrobienia.

To jednak nie zmieniało faktu, że gapili się na nich pozostali jeszcze goście.

– Och, dobry Boże. Chodź. – Mallory wzięła swojego lwa za łapę i wyprowadziła go na zewnątrz.

Gwiazdy świeciły na niebie niczym rozsypane na aksamicie diamenty. Fale rozbijały się o brzeg. Poszli na spacer do zatoki, minęli ciemny pasaż i zamkniętą lodziarnię. W końcu stanęli na molo, twarzami do mrocznego oceanu. Mallory zatrzymała się i oparła o poręcz.

– Przepraszam za tamten dzień – powiedziała cicho.

– To ja zaczęłam tę sprawę pomiędzy nami. Ustaliłam reguły. I nie miałam prawa ich zmieniać, a potem się o to gniewać na ciebie.

Nie odpowiedział, więc odwróciła się do niego, szukając na nieprzeniknionej twarzy zrozumienia. Wybaczania. Czegokolwiek.

Nie dostrzegła jednak niczego i jej serce ścisnęło się z żalu.

Po minucie on także oparł się o poręcz i utkwiał wzrok w oceanie.

– Dorastałem z rodzicami, którzy byli wojskowymi. Sam wstąpiłem do wojska. A gdy odszedłem z armii, zacząłem pracować dla prywatnego rządowego dostawcy i w zasadzie wciąż robiłem to, co poprzednio. To mój zawód, moje życie. Taki właśnie jestem.

Skinęła głową.

– Wiem.

– Wymaga to ode mnie pewnych rzeczy. Muszę być sam. Muszę być obrońcą i muszę się bronić. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, jak to jest być kimś innym.

– Nie chcę, żebyś był inny, Ty. Nigdy. Lubię cię za to, kim jesteś.

Milczał przez chwilę.

– Frances jest moją szefową. Zaborczą.

Ogłędnie mówiąc. Ty nie miał jednak zamiaru zdradzać wszystkiego.

– Byłeś z nią. W sensie fizycznym.

– Tak – wyznał z obcesową szczerością. – Zanim zacząłem z nią pracować, bardzo dawno temu. To już skończone.

– Dla ciebie.

Zareagował wzruszeniem ramion. Nie jego problem. A skoro tak, ona też nie będzie się tym przejmować.

Odwrócił się, musnął palcem złoty wisiorek Mallory i utkwiał w nim wzrok.

– Gdy straciłem mój oddział w katastrofie samolotu, pierwszych sześć miesięcy rehabilitacji spędziłem samotnie. Z wyboru. – Odetchnął głęboko i opuścił rękę. – Nie mogłem... Nie chciałem się do nikogo zbliżyć. Nadal tego nie chcę.

Stracił rodziców, przyjaciół. Wszystkich. Mallory nie była w stanie nawet sobie wyobrazić jego osamotnienia.

A może jednak? Czy ona, nawet otoczona najbliższymi, nie czuła się sama? Wzięła wisiorek w rękę i zacisnęła na nim palce.

– Karen mi go dała. Tuż przed tym, zanim... – Zamknęła oczy i wyobraziła sobie roześmiane oczy siostry. – To symbol nieskończoności, oznacza „połączone na zawsze”. Nosila go przez cały czas, a ja ciągle prosiłam, by mi go pożyczyła. Chciałam być jak ona. Doprowadzało ją to do

szau. Ale pewnego dnia zdjęła wisiołek i po prostu zawiesiła mi go na szyi. Pocałowała mnie w policzek i powiedziała, żebym była grzeczna, że bycie grzeczną uchroni mnie od kłopotów, w które ona pakowała się nieustannie. Kazała mi to obiecać. A potem dodała, że będzie nade mną czuwać, prowadzić mnie, pilnować, aby dobrze mi się wiodło. Pomyślałam... Pomyślałam, że to słodkie, a potem...

– Mallory poczuła nieznośny ucisk w gardle. – Wtedy widziałam ją po raz ostatni. Następnego ranka...

– Zadrzała, odetchnęła głęboko i pokręciła głową. Nie mogła mówić.

Ty położył dłoń na jej karku i przyciągnął do siebie. Zaciśnęła palce na jego koszuli. Z jej oczu popłynęły łzy.

– Wiem, że twoje straty boją, ale nie jesteś sam, Ty. – Niemal dławiała się słowami. – Nie jesteś. Ból nie minie, nigdy nie odejdzie, ale z czasem łatwiej jest wspominać. A pewnego dnia wspomnisz ich z uśmiechem. Mogę ci to obiecać.

Przytulił ją mocniej i skinął głową. Stali tak przez chwilę, objęci. Włosy Mallory rozwiewała lekka bryza. Jedno z pasem zaczepiło się o zarost na szczęce Tya, a on je tam pozostawił, związany z nią...

– Myślałam, że już wyjechałeś.

– Jeszcze nie.

Wkrótce. Pomiędzy nimi zawisło niewypowiedziane. Gdy dostanie zgodę lekarza, opuści miasteczko.

– Pewnie trudno ci się ze mną rozstać – powiedziała kpiąco, by nieco rozładować atmosferę.

– Zawsze mogę. To kwestia dyscypliny.

Okej, nie pojął żartu. Poruszona Mallory cofnęła się i oparła o poręcz, on jednak ponownie wziął ją w ramiona.

– Muszę powrócić do tego, co robiłem.

– Przecież to twoja praca, nie ty.

– Ja. – Nie spuszczać z niej wzroku, przytulił ją mocniej. – Ale nie jestem jeszcze gotowy.

– To tylko seks.

– To coś więcej niż seks.

– Nie, jeśli wciąż utrzymujesz, że potrafisz odejść.

Patrzył na nią spokojnie, pewnie.

– Tak po prostu musi być, Mallory.

Przecież wiedziała. Pytanie brzmiało, czy będzie potrafiła z tym żyć.

Tak.

Nie.

Na razie... Alternatywą była utrata. Teraz, w tym właśnie momencie. Raz już próbowała i nie zadziałało. Nie była jeszcze gotowa, by pozwolić mu odejść.

Przycisnął czoło do jej czoła.

– Decyzja należy do ciebie – szepnął. – Powiedz mi, żebym się od ciebie odczepił. Odejdź ode mnie teraz i uniknij złamania serca, bo nie jestem tego wart. Albo...

– Albo – oświadczyła stanowczo. – Wybieram albo.

– Mallory... Zaslugujesz na więcej.

Pociągnęła go za sobą za róg budynku, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć, popchnęła na ścianę i pocałowała. Wykorzystała jego zdumienie, zmusiła do otwarcia ust i sprawiła, że żar rozplynał się w jej ciele i roztopił kości.

Był żołnierzem. Wiedział, jak każdą sytuację obrócić na swoją korzyść, a ta zapewne nie była specjalnie wyjątkowa. W mgnieniu oka

przejął całkowitą kontrolę nad pocałunkiem, skradł jej oddech i serce. Jednym ruchem palca.

– Jeśli decyzja należy do mnie – powiedziała, oddychając ciężko – zamierzam cię zatrzymać tak długo, jak mogę cię mieć.

TTLR



## ROZDZIAŁ 18

*Zakochiwanie się jest jak zjedzenie naraz pudełka czekoladek – na początku wydaje się, że to dobry pomysł...*

Następnego ranka Ty obudził się w łóżku obok rozkosznie nagiej kobiety. Nie miał nic przeciwko takiemu zjawisku, tyle że ta rozkosznie naga kobieta naruszała jego osobistą przestrzeń, którą bardzo sobie cenił. Był dużym facetem i nie lubił tłoku. Mallory była od niego o połowę mniejsza, a zaanektowała łóżko, pled i poduszkę.

To nic, powiedział sobie. To nic, że spali razem. Oboje przecież wiedzą, co to oznacza, a czego nie. Zasnęli razem, to wszystko. To nic nie znaczy. Natomiast gdyby się powtórzyło... Cóż, wtedy będzie czas na panikę.

– Mallory.

Chrapnęła cicho, a on poczuł ucisk w sercu. Cholerne serce.

– Mallory. Pracujesz dzisiaj? – Jedną rękę trzymał na jej pośladkach, łatwo więc było dołożyć drugą. Gdy je ścisnął, a potem zaczął eksplorować, z jej gardła wyrwał się niski jęk; posłusznie rozłożyła nogi, dając mu więcej miejsca, i mruknęła coś w stylu: „Nie przerywaj”.

Nagle znieruchomiała i poderwała głowę.

– Która godzina?

– Siódma – powiedział, zanurzając twarz w jej nieposkromionych włosach.

– Siódma? Siódma? Muszę iść! – Wyskoczyła z łóżka i zaczęła nerwowo szukać ubrania.

Ułożył się wygodniej, założył ręce za głowę i postanowił rozkoszować się występem.

– Gdzie moje majtki?

– Pod krzesłem.

Zanurkowała pod krzesło, udostępniając mu widoki, które przyprawiły o szybsze bicie serca. I o chrapliwy jęk.

– Nie ma ich tutaj! – zawołała.

– Nie? W takim razie sprawdź pod moimi dżinsami.

Wyprostowała się. Wszystkie włosy opadły jej na twarz – do diabła, te włosy były wszędzie! – i spojrzała na niego, mrużąc oczy.

Uśmiechnął się.

Schyliła się po jego dżinsy – kolejny rozkoszny widok – i podniosła swoje figi. Zniknęła w łazience z naręczem ubrań. Dwie minuty później pojawiła się znowu, ubrana i promieniejąca po całej nocy uprawiania seksu.

– Chodź tutaj – poprosił z uśmiechem.

– Mowy nie ma. Jeśli do ciebie podejść, zaczniesz mnie całować.

– Owszem.

– A potem zaczniesz... No, wiesz.

Wybuchnął śmiechem. Czuł się taki beztroski i...

Szczeniwy?

– Wiem. Dobrze wiem, co chcę z tobą zrobić. Chcę wziąć do ust twoją...

– O Boże! – Pokręciła głową i złapała za kluczyki.

– Muszę iść!

– Pięć minut – powiedział. Zawahała się i przygryzła wargę, ogarnięta pokusą. – To będzie najlepsze pięć minut twojego dnia – zadeklarował.

– Zazwyczaj potrzebuję około kwadransa...

– Nie ostatniej nocy. Wczoraj potrzebowałam zaledwie czterech, zanim...

– Cześć! – przerwała mu ze śmiechem i zamknęła za sobą drzwi.

Leżał na materacu, uśmiechając się jak idiota przez parę minut. Potem zadzwonił jego telefon. Ty przetoczył się po łóżku i wykręcił numer poczty głosowej. Jeszcze nie tak dawno wiadomości zostawiała mu wyłącznie Frances. Teraz było inaczej. Pierwsza pochodziła od Ryana.

– Cześć, stary.

I tyle. Typowa dla Ryana małowówność mogła oznaczać wszystko, od: „Zjedźmy razem obiad” do: „Mam kryzys i muszę z kimś pogadać”.

Dzwonił również Matt, szukając sparringpartnera. Josh chciał poznać stan jego zdrowia. Ty wiedział, że chodzi o zdrowie psychiczne, nie o nogę.

Przez chwilę patrzył na swój telefon ze zdumieniem. W pewnym momencie, gdy on był zajęty żywieniem niechęci do tego leniwego, sennego miasteczka i jego mieszkańców, coś się wydarzyło.

Nawiązał relacje, otworzył przed ludźmi serce, choć nawet nie był pewien, czy je ma.

Uśmiech Tya zbladł jednak, gdy wysłuchał ostatniej wiadomości, niezawierającej żadnych słów, tylko nienawistne milczenie.

Frances.

Powinien do niej zadzwonić. Przecież dostał zgodę na powrót. Nie zrobił tego jednak. Najpierw zadzwonił do Ryana, a potem zakończył pracę nad ostatnim samochodem, który miał jeszcze na warsztacie – jimmym Matta.

Teraz mógł wracać.

Prawie.

Wziął prysznic i pojechał do Centrum Usług Medycznych tuż przed zamknięciem placówki. Był czwartek, wiedział, że tego wieczoru nie ma tu zaplanowanych żadnych warsztatów ani spotkań.

Sprawdził.

Recepcja była pusta, usłyszał jednak głosy, więc podążył za nimi i odnalazł Mallory w jednym z pomieszczeń. Drzwi były otwarte. Siedziała naprzeciwko starszej kobiety. Twarz tamtej była ściągnięta, jakby właśnie zjadła kwaśne jabłko.

Mallory miała na sobie tego dnia fioletowy fartuch, w uroczo odpowiednim do jej urody odcieniu. Włosy związała, zapewne wiele godzin wcześniej, bo fryzura zdążyła się już rozsypać, a kosmyki wiły się teraz wokół jej twarzy.

Nie potrafiła ukrywać uczuć, Ty od razu więc zobaczył zmęczenie i frustrację.

Miała za sobą bez wątpienia długi dzień, tym dłuższy, że większość nocy spędzili na mięciu jego prześcieradeł. Dobrze wiedział, co zrobić, by się zrelaksowała, w porę jednak przypomniał sobie, że nie ma prawa się nią opiekować.

Dokonał takiego wyboru.

Postanowił wyjechać. Być może kiedyś spędzi bezsenną noc dzięki komuś innemu. Komuś, kto się nią zaopiekuje, kto pomoże się odprężyć po długim dniu. Może kogoś z listy.

Jeśli będzie to Anderson, Ty wróci i skopie mu tyłek. Dla zasady. A jeśli będzie to Josh... Jezu! Mallory miała prawo dokonać wyboru, a on nie miał prawa się w to wtrącać. Nawet jeśli nowy Pan Nieodpowiedni, pod pozorem pokazania jej, jak radzić sobie z narzędziami, skradnie jej pocałunek. Nawet jeśli oprze ją o jakiś mebel, weźmie ją przed lustrem i zmusi, by patrzyła, jak jest cudowna i wspaniała. To nie jego sprawa.

Taka świadomość była jednak do bani.

– Proszę mi zaufać – powiedziała Mallory do pacjentki, podchodząc

do szafki z lekami. Wyjęła klucze z kieszonki, przyjrzała się próbkom leków, a potem wyjęła pudełko. – Proszę to zażywać. Raz dziennie.

– Czym mnie teraz będziesz truć? – zapytała kobieta.

– Witaminami.

Staruszka odłożyła próbki.

– Witaminy to oszustwo. To wybieg stosowany przez koncerny farmaceutyczne, by dobrać się do pieniędzy łatwowiernych idiotów.

Mallory wcisnęła jej tabletki w dłoń.

– Badania krwi wykazały, że ma pani anemię. To pomoże. W przeciwnym razie znów pani zemdleje w łazience i będzie musiała czekać, aż przyjedzie karetka i znajdzie panią z bielizną wokół kostek. Wybór należy do pani, pani Burland.

Zapadła długa cisza, podczas której kobieta mierzyła Mallory złym wzrokiem.

– Kiedyś się mnie bałaś. Truchlałaś i drżałaś przede mną, gdy byłaś mała.

– Świat się zmienia – oświadczyła Mallory łagodnie. Bez osądzania, bez oskarżeń. – Proszę zażywać witaminy. I proszę mnie nie zmuszać, bym odwiedzała panią każdego wieczoru, zatykała pani nos i wpychała je pani do gardła.

– Cóż, dobrze. Skoro zamierzasz być jeszcze bardziej wredna ode mnie.

– Zamierzam.

– Widzisz, zmieniłaś się. Skóra ci stwardniała. Nauczyłaś się trzymać emocje na wodzy, zamiast pokazywać je całemu światu. Cała przyjemność po mojej stronie.

– Och, to nie wyłącznie pani zasługa – powiedziała Mallory, a Ty

poczuł dziwne ukłucie w piersi. Doskonale wiedział, kto tak naprawdę odmienił tę dziewczynę.

On.

Dupek.

Mallory odwróciła głowę i zobaczyła go w progu. Gdy uśmiechnęła się ze zdumieniem, serce rozboleło Tya jeszcze bardziej, skinął jednak głową i wyszedł na korytarz, gdzie oparł się o ścianę, by zaczekać.

Mallory spojrzała na pacjentkę.

– Mam dla pani coś jeszcze. Proszę chwileczkę poczekać. – Wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Uśmiechnęła się do Tya i zniknęła w drugim pomieszczeniu. Wróciła i wręczyła pacjentce kilka ulotek, a następnie odprowadziła ją do drzwi.

Po chwili podeszła do niego.

– Cześć.

– Cześć. Potrzebujesz porządnego zamka w drzwiach, gdy zostajesz tu sama.

– Nie byłam sama aż do teraz. A poza tym to Lucky Harbor. Jestem tu bezpieczna.

– Nie z tymi wszystkimi lekami.

– Leki są zamknięte w szafce.

– Marny zamek. Zwłaszcza dla kogoś, kto jest w desperacji.

– To tymczasowe rozwiązanie. Od przyszłego tygodnia będziemy mieć lepsze zabezpieczenie. – Uśmiechnęła się, wciąż nieprzejęta własnym bezpieczeństwem w dostatecznym stopniu. – Co się stało? Co cię sprowadza?

– Jesteś mi coś winna. Przyszedłem odebrać dług.

Prychnęła, a potem wybuchnęła śmiechem.

– Ja? Tobie? Coś winna? Od kiedy?

– Od tamtego wieczoru, gdy podczas aukcji udawałem, że jesteśmy na randce.

– Udawałeś? Przecież byliśmy umówieni – przypomniała.

– Miałem wstrząs mózgu i nie zapamiętałem umowy. A to oznacza, że jesteś mi coś winna. Wykorzystałaś rannego. – Syknął. – Wstydź się, Mallory Quinn. Co by ludzie powiedzieli, gdyby się dowiedzieli o twoim wyczynie?

Zmrużyła powieki, rozbawiona jego lekkim nastrojem, lecz nieufna.

Mądra dziewczynka. Nie powinna mu ufać. Nie na dłuższą metę.

– Jak mogę spłacić ten dług? – *zapytała*. – Tylko *nie* mów, że w składziku... – Urwała. – Okej, oboje wiemy, że wskoczyłabym za tobą do każdej szafy tak szybko, że zakręciłoby ci się w głowie.

Roześmiał się, odepchnął od ściany i podszedł do niej.

– Nie o to chodzi. Potrzebuję tego samego, czego ty potrzebowałaś tamtej nocy.

– Orgazmu? – zapytała bezczelnie.

– Tylko jeśli bardzo ładnie poprosisz. Chodzi mi o randkę.

Spojrzała z powątpiewaniem.

– Randkę? Teraz?

– Tak.

Nagle jej twarz zastygła w maskę.

– Ostatnią randkę?

Do diabła. Co miał powiedzieć? Przecież taka właśnie jest prawda.

– W zasadzie nie byliśmy chyba jeszcze na pierwszej randce... – Wziął Mallory za rękę, podniósł dłoń do ust i musnął wargami jej palce. – Zgódź się, proszę.

Spojrzała, odwróciła dłoń i dotknęła jego twarzy.

– Zawsze.

Jego serce wykonało piruet, odsłaniając miękkie podbrzusze. Nic nie mógł na to poradzić. Był wyszkolony, by eliminować zagrożenia, chronić i służyć. Nie kochać.

Więc nie pokocha nigdy.

Mallory nie wiedziała, czego się spodziewać. Ty nie powiedział jej, dokąd jada, podążali jednak autostradą w kierunku Seattle. Po pewnym czasie zaparkowali przy ulicy pełnej drogich sklepów.

Wyciągnął ją z samochodu i zaprowadził do jednego z nich.

– Coś odpowiedniego do filharmonii – powiedział do ślicznej ekspedientki, która wyszła im na spotkanie. Odwrócił się do Mallory. – Weź, co ci się spodoba.

Zrobiła zdezorientowaną minę.

– Słucham?

– Aukcja. Pakiet z nocą w mieście.

Utkwiła w nim nierozumiejący wzrok.

– To miało być wyjaśnienie?

– To dzisiaj. Dziś mija termin skorzystania z pakietu.

– Postanowiłeś więc porwać mnie i zabrać na koncert?

– Pomyślałem, że przyda ci się wolny wieczór. Sama mówiłaś, że rzadko chadzasz na randki. – Był rozkosznie skonsternowany. – Przecież kobiety lubią te wszystkie romantyczne niespodzianki i inne bzdury, prawda?

Och, do diaska!

– Jakież to romantyczne bzdury masz na myśli?

Jęknął. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, wyglądał tak, jakby nie



czuł się dobrze we własnej skórze.

– Masz rację. To był głupi pomysł. Jeszcze nie jest za późno, by to wszystko odwołać i kupić pizzę i piwo. Jak chcesz.

Facet wychowany w bazie wojskowej kontynuował właśnie jedyny znany mu styl życia. Mallory wiedziała, że o wiele swobodniej czuje się w roli wielkiego, złego twardziela niż romantyka. Na pewno wolałby pojechać na pizzę i piwo niż pójść na koncert muzyki poważnej.

A jednak pomyślał o niej. Chciał jej podarować wolny wieczór. Chciał go z nią dzielić, więc przywiózł ją w to miejsce, pełne pięknych, drogich ubrań, by się nie martwiła, że nie ma co na siebie włożyć. To miało być ich ostatnie spotkanie, finał, pożegnanie, wiedziała o tym. I, do diaska, chciała tego! Z nim. Podeszła więc, stanęła na palcach i pocałowała gładką szczękę. Ogolił się dla niej.

– Dziękuję – szepnęła.

Odwrócił głowę. Pocałował ją szybko, namiętnie.

– Nie śpiesz się. Zaczekam.

Gdyby to była prawda!

Gdy przed sklepem zaparkowała limuzyna, Mallory sobie przypomniała: część pakietu.

– O mój Boże...

Nachylił się do jej ucha.

– Mam nadzieję, że przed końcem wieczoru będziesz mówiła: „Och, Ty”...

Po tych słowach wyszedł na zewnątrz i wsiadł do limuzyny.

Mallory odprowadziła go wzrokiem.

– Ten facet jest szalony.

– Szalony we właściwy sposób – mruknęła ekspedientka. –

Powiedział, że może pani kupić wszystko, co się pani spodoba. – Objęła wnętrze sklepu gestem.

– Więc co się pani podoba?

Pół godziny później Mallory miała na sobie jedwabną sukienkę na ramiączkach, w kolorze ognistej czerwieni, w której czuła się jak seksowny kociak. Próbowwała dojrzeć metkę z ceną, ekspedientka była jednak dyskretna i stanowcza.

– Powiedział, że nie wolno pani patrzeć na ceny.

Dobry Boże!

Wychodząc ze sklepu, Mallory Quinn czuła się jak Kopciuszek. Jej księżę wysiadł z limuzyny w doskonale dopasowanym, kosztownym garniturze, na widok którego niemal się potknęła w swoich sandałkach na wysokim obcasie. Widywała go już w garniturze, widywała w dżinsach, bojówkach i nago. Za każdym razem wyglądał seksownie, tego wieczoru jednak było inaczej.

– Ojej.

Zignorował jej zachwyty i przyciągnął ją do siebie.

– Zapierasz mi dech w piersi – powiedział cicho.

I wtedy zrozumiała. Jego oczy. Patrzył na nią inaczej. Aż bolało serce.

Kolację zjedli we francuskiej restauracji. Posiłek był tak wspaniały, że Mallory pożałowała, iż nie kupiła sukienki o rozmiar większej. Jednak wino szybko ukoilo jej niepokój. Problem polegał na tym, że alkohol, długi dzień i niemal bezsenna noc sprawiły, iż zanim dotarli do filharmonii, dziewczynie zamykały się oczy.

Mimo to, gdy zajęli miejsca, zamówiła jeszcze kieliszek białego wina.

Podniesiono kurtynę.

Gdy Mallory się obudziła, sala była niemal pusta. Ty pochylał się nad

nią, rozbawiony.

– Co jest? – zapytała, mrugając z konsternacją.

– Gdzie...?

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Chrapiesz.

– Wcale nie! – Wyprostowała się, spojrzała na opuszczoną kurtynę i tłoczących się przy wyjściu ludzi. – To już koniec? Przespałam wszystko?

Pomógł jej wstać.

– To nic. Na szczęście najlepszej części wieczoru nie przegapisz.

– A jaka jest najlepsza część?

– Cierpliwości. – Odprowadził ją do limuzyny. Zasunął szybę pomiędzy nimi a kierowcą i posadził ją sobie na kolanach.

– To jest najlepsza część? – zapytała bez tchu, gdy wsunął dłonie pod jej sukienkę i objął jej pośladki, osłonięte przez koronkowe figi.

– Cierpliwości – szepnął, po czym całą drogę do swojego auta poświęcił na rozpalanie w niej leniwego płomienia za pomocą ust i dłoni.

– Więcej! – zażądała.

– Cierpliwości...

– Mam już dość tego słowa.

Później odwiózł ją do domu i wszedł za nią do środka, pozbawiając nieśpiesznie pięknej, nowej sukienki, stanika i majtek. Jęknął, gdy zobaczył ją w samych szpilkach.

– Zamorduję cię, jeśli jeszcze choć raz poprosisz mnie o cierpliwość – ostrzegła, kładąc dłonie na biodrach.

– Chryste, jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu... – Popchnął ją lekko na łóżko. – Wiem, że jesteś bardzo zmęczona, możesz więc po prostu leżeć i odpoczywać.

– Nie jestem zmęczona. Ucięłam sobie bardzo miłą drzemkę w filharmonii.

Roześmiał się cicho i wczuł na nią, kłusując jej skórę.

– Chętnie odwalę całą robotę...

– Jestem zwolenniczką równouprawnienia.

Uśmiechnął się tuż nad jej ustami.

– Czyżby? Cóż, mnie to odpowiada. Musisz jednak wiedzieć, że jestem już gotowy na najlepszą część.

– Ja też. Co to będzie?

Delikatnie przygryzł jej dolną wargę, pociągnął, a potem puścił, i ukoił pieczenie językiem, sprawiając, że każdy nerw w ciele Mallory napiął się, błagając o podobne potraktowanie.

– Ty. Ty jesteś najlepszą częścią.

Poczuła ucisk w sercu.

– Ja?

– Zdecydowanie ty – szepnął, a potem postanowił to udowodnić.

## ROZDZIAŁ 19

### *Chcę mieć wszystko. W bitej śmietanie i z czekoladą!*

Następnego popołudnia Mallory krzątała się po izbie przyjęć, robiąc wszystko, byle tylko nie myśleć o tym, że Ty w każdej chwili może opuścić miasto. Właśnie opatrywała pacjenta, którego przywiózł szeryf Thompson po przerwanej bójce w barze, gdy zadzwoniła do niej Camilla.

– Jestem w CUM, zamykam po spotkaniu dla młodzieży – oświadczyła praktykantka. – Mamy problem.

Mallory pobiegła do centrum. Na miejscu dziewczyna wskazała na zamykaną szafkę z lekami.

– Chyba brakuje czterech opakowań oxycontin.

Serce Mallory zamarło.

– Słucham?

– To miesięczny zapas.

Mallory utkwiała w szafce zszokowany wzrok.

– Słucham?

– Tak. Dzwoniłam do Jane. Nie chciałam, żeby wyszło to na jaw później, bo wszyscy by pomyśleli, że doszło do kradzieży na moim dyżurze. Ja dziś w ogóle nie otwierałam tej szafki.

Mallory skinęła głową. To oznaczało, że do włamania doszło wczoraj, podczas jej dyżuru. Podchodziła do szafki kilkakrotnie: wydała próbki pigułek antykoncepcyjnych Deenie i plastry antynikotynowe Ryanowi. I witaminy pani Burland. Przypomniła sobie, bo był przy tym Ty. A potem przypomniała sobie wyznanie Tya o uzależnieniu od leków przeciwbólowych.

Poczuła ucisk w piersi. Ktokolwiek wziął te próbki, wiedział, co

bierze. Były tylko dwa powody, by ukraść oxycontin: by go sprzedać lub użyć.

Użyć, zdecydowała, myśląc o Tyu. Kradzież była aktem desperacji, a uzależnieni są desperatami.

Karen była zdesperowana, a Mallory ją zawiodła. Na całej linii.

Kogo jeszcze zawiodła?

Wróciła na izbę przyjęć niemal chora ze zmartwienia. Była właśnie w trakcie pokazywania nowemu sanitariuszowi strażaków, jak założyć kroplówkę, gdy wezwano ją do biura Billa. Poszła tam, przekonana, że prezes urwie jej za to głowę.

Nie spodziewała się natomiast widoku kilkorga członków zarządu, w tym Jane i swojej matki.

– Jak to się mogło stać? – zapytał Bill surowo.

Mallory wzięła głęboki oddech.

– Dopiero wczoraj przyszły próbki, z których klinika miała korzystać podczas weekendów. Włożyłam je do szafki i zamknęłam na klucz.

– Ile brakuje?

Już wiedział. Wiedział wszystko. Chciał tylko, żeby Mallory powiedziała to na głos.

– Czterech opakowań. Każde miało wystarczyć na tydzień.

– A więc miesiąc. Straciłaś miesięczny zapas oxycontin.

Skinęła głową. Była wkurzona, przerażona, sfrustrowana. Setki razy przeglądała w głowie spis magazynowy, w nadziei, że coś źle policzyła.

Nie pomyliła się.

A leki zniknęły. Ukradziono je sprzed jej nosa. Pełen cierpienia i rozpacz, szalony akt, którego dokonał ktoś, kogo dobrze znała.

– Sporządzisz listę wszystkich osób, które wczoraj odwiedziły

centrum – oświadczył Bill.

Tego Mallory obawiała się najbardziej; Już sama nie wiedziała, co jest lepsze – wczorajsza wizyta Tya czy jej brak.

– Bill, mieliśmy zapewniać anonimowość...

– A twoje zadanie polega na pilnowaniu, by takie rzeczy się nie zdarzały. Lista, Mallory. Chcę mieć ją na biurku jutro rano.

– Mogę to naprawić. Pozwól mi...

– Możesz to naprawić, wyłącznie ufając mi, że wykonam swoją pracę – przerwał jej Bill. – A moja praca polega na zapewnianiu wyników. Czy to jasne?

– Oczywiście, ale...

– Żadnych „ale”, Mallory. Nie zmuszaj mnie, bym położył na szali twoją pracę i losy CUM.

Zamarło jej serce. Zacisnęła zęby tak mocno, że aż dziw, że się nie połamaly.

– Nie muszę chyba mówić – dodał Bill – że dopóki nie rozwiążemy tej sprawy, centrum pozostanie zamknięte.

Cios prosto w żołądek.

– Rozumiem.

Mallory zdołała jakoś wyjść z sali i dotrzeć do końca dyżuru. Chciała samotności, ale na parkingu dogoniła ją matka.

– Czego nam nie mówisz, córeczko.

Potrafiła ukryć, jak jest zdruzgotana. Miała wieloletnią praktykę.

– Co masz na myśli?

– Skarbie, to ja. Kobieta, która przeżyła trzydziestosześciodzinny poród, by wydać cię na świat. Wiem, że coś ukrywasz.

– Muszę już iść, mamó.

Ella spojrzała jej głęboko w oczy i pokręciła głową.

– O, nie. Och, Mallory. – Przytuliła dłoń do jej policzka. – Kogo tym razem próbujesz chronić?

– Mamo, proszę. Wracaj do pracy.

– Za chwilę. – Matka pocałowała ją w policzek i w czoło. – Nie zdołasz ocalić wszystkich. Wiesz o tym, prawda?

– Tak. – Mallory zamknęła oczy. – Nie wiem, co się wczoraj wydarzyło, ktokolwiek jednak to zrobił, zawiniłam ja. Ktoś, kogo znam, ma kłopoty. Znow jest jak z Karen... – Z gardła Mallory wyrwał się szloch. Przycisnęła dłoń do ust, by go powstrzymać.

Oczy Elli napęłniły się łzami.

– Och, skarbie, nie mów tak. To, co przydarzyło się Karen, nie było twoją winą.

Mallory zamknęła oczy.

– Przyszła do mnie tamtej nocy.

Z piersi Elli wyrwał się cichy okrzyk.

– Słucham?

– Karen. Przyszła do mojej sypialni. Powiedziała, że mnie potrzebuje. – Mallory z trudem przełknęła ślinę. – A ja byłam... Ja też jej potrzebowałam, wiele razy, a jej nigdy przy mnie nie było. Wyżyłam się wtedy na niej, powiedziałam jej okropne rzeczy. A wiesz, co ona zrobiła? Dała mi swój wisiołek. Powiedziała, że mnie kocha. Praktycznie się ze mną pożegnała, mammo. A ja tego nie zauważyłam.

– Kochanie, posłuchaj uważnie – oświadczyła matka żarliwie, lekko potrząsając Mallory. – Miałaś szesnaście lat.

– Karen czuła, że pozostała sama, że nie ma innej opcji. A przecież nie była samotna. A rozwiązań było wiele. – Mallory wypuściła powietrze. –



Zawiodłam ją. I muszę z tym żyć. A tym razem muszę mieć pewność, że nie zawiodę nikogo. Że nie przydarzy się to nikomu innemu.

– Jakim kosztem, Mallory? Sama powiedziałaś, że pewne rzeczy ludzie muszą zrobić dla siebie sami. Odnaleźć własne szczęście, własną drogę...

– Tak. To jest właśnie moja droga.

Ella westchnęła i uściskała córkę.

– Kochanie, jesteś pewna? To cię będzie dużo kosztowało. Być może utratę pracy i reputacji.

– To już się stało. Tak, jestem pewna, mam. Muszę sama rozwiązać tę sprawę. I wszystko naprawić.

Ella skinęła głową, a Mallory wsiadła do samochodu i pojechała prosto do domu Tya. Nie, nie do domu. Załedwie do przystanku na jego drodze. Postoju, nie celu.

Podziwiała w nim tę determinację.

I bała się jej.

Bała się wielu rzeczy. Gdy jakiś czas temu zapytała, czego boi się on, usłyszała, że tego, iż nie będzie żył.

Wcale się nie różnili tak bardzo. Tyle że ona potrzebowała potwierdzenia tego faktu. Natychmiast.

Nie otworzył, mimo pukania. Dom był cichy. Pusty. Mallory przycisnęła rękę do serca, dobrze wiedząc, że ich ostatnia noc była pożegnaniem; mógł już wyjechać. Ogarnęła ją panika. Dlaczego go poprosiła, by się z nią nie żegnał? Głupia, lekkomyślna decyzja.

Mallory zajrzała do garażu i zobaczyła shelby'ego. Odetchnęła z ulgą.

Uczucie było krótkotrwałe. Gdzie on się podziewa w taką noc?, pomyślała. I źle się z tym poczuła.

Zakochała się w facecie, który jest kompletną niewiadomą.

Podróż na ciemną stronę.

Sfrustrowana i poirytowana, Mallory pojechała do domu. Tym razem zignorowała rutynowe obowiązki. Chrzanić kwiaty. Chrzanić wszystko, nawet kota. Poszła prosto do sypialni, zamierzając położyć się do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i udawać, że ten dzień się nie wydarzył.

Była Królową Zaprzeczenia.

Zostawiła torebkę w salonie, buty zdjęła w korytarzu. W sypialni zaczęła się siłować z zapięciem swetra. Poddała się, zdjęła go przez głowę. Wtedy włosy zaplątały się w guziki.

– Niech to szlag!

Z rękami w górze, z twarzą ukrytą w swetrze, poczuła, że otaczają ją czyjeś ramiona.

Krzyknęła przerażona, lecz zaraz poczuła ciepło umięśnionego torsu, który знаła lepiej niż własne ciało.

– Ty... – sapnęła.

Przycisnął jej plecy do drzwi sypialni.

– Spodziewałaś się kogoś innego?

– Nikogo się nie spodziewałam. Pomóż mi, utknęłam.

Zamiast posłuchać, wsunął udo pomiędzy jej nogi.

– Ty. – Znów zaczęła siłować się ze swetrem, lecz osiągnęła tylko tyle, że jej włosy splątały się jeszcze bardziej. – Au! Nie mogę się uwolnić.

– Hm. – Jego dłonie rozpoczęły wędrówkę po jej ciele. – Podobasz mi się taka bezradna...

Znów podjęła walkę.

– To seksistowskie.

– Seksowne – poprawił. Uwolnił ją i zdjął sweter przez głowę, wciąż

przyciskając Mallory do drzwi.

– Co próbowałaś zrobić?

– Rozebrać się. – Załamać. Zapomnieć. – Szukałam cię.

– I znalazłaś. – Pociągnął za sznurek i rozwiązał jej spodnie.

Aż się zachłysnęła.

– Co robisz?

– Pomagam ci się rozebrać. – Wsunął dłonie za jej figi. Jego oczy były mroczne z pożądania. – Dlaczego mnie szukałaś?

Usłyszała w jego głosie zaborczą, ponurą nutę.

– Chciałam się z tobą zobaczyć. – Taka była prawda. W głębi serca Mallory wiedziała, że nie on wziął leki. Nie zrobiłby niczego, co mogłoby ją skrzywdzić. Nigdy. Wiedziała to, tak jak wiedziała, że ich czas jest ograniczony. Zbyt ograniczony.

Zamierzała pomyśleć o tym później.

– Pragnę cię – szepnęła.

W mroku korytarza oczy Tya błysnęły żarem i pragnieniem. Zaczął ją całować. Wessała jego język do ust, wchłonęła szorstki jęk, rozkoszując się jego smakiem.

– Łóżko – powiedziała. – Chcę cię mieć w moim łóżku.

Zataczając się, podeszli do łóżka i opadli na materac.

– Pośpiesz się, Ty.

– Rozbierz się – zażądał cicho.

Zdjęła podkoszulek i rozpięła stanik. Zaczęła ściągać majtki, nie spuszczając oczu z Tya. On zdjął koszulę przez głowę, dotknął rozporoka. Obnażał ciało cudownie szybkimi i oszczędnymi ruchami. Stał nagi już po dwóch sekundach, absolutnie skupiony na Mallory. Najwyraźniej, jego zdaniem, ruszała się zbyt wolno, bo podszedł, otoczył palcami jej kostki,

pociągnął i przewrócił ją na plecy.

Znalazł się na niej w mgnieniu oka.

– Naprawiałem samochód, mogłem jednak myśleć tylko o tobie... O tym, jak dotykałaś linki hamulcowej, jak trzymałaś mój klucz. Zapraǳiałem cię.

Musnęła dłońmi jego umięśniony tors, planując zbadać go językiem przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Podnieca cię fakt, że dotykałam twoich narzędzi?

– Tak – odparł miękko. – Twoje dłonie na moim narzędziu sprawiają, że twardnieję.

Roześmiała się. Ugryzł ją w ramię.

– Unosił się tam twój zapach – dodał niemal oskarżycielsko. – W garażu. Jakbyś tam była i znów męczyła mnie tymi swoimi pytaniami.

– Cóż... – Zmarszczyła brwi. – Hej!

Jego wargi zawładnęły nią w wygłodniałym, pełnym pasji pocałunku.

– Ciągle słyszałem twój głos. Niby taki słodki i ciepły, a przyciskał mnie do ściany i penetrował.

– Możesz się teraz odwdzięczyć – wyszeptała bez tchu. – Przyciśnij mnie do ściany i penetruj, Ty.

Nie wiedział, czy ma się roześmiać, czy spełnić jej żądanie.

– Przez cały dzień byłem przez ciebie w takim stanie, Mallory Quinn.

– Jakim?

– Złym – mruknął, poruszając biodrami, by jej to udowodnić. – Tak złym, że nie mogłem normalnie funkcjonować.

– Mmm – jęknęła, czując na sobie jego twardą męskość. – I co zrobiłeś?

– Musiałem sam to załatwić.

Zdusiła śmiech.

– Nie zrobiłeś tego.

– Zrobiłem.

Pocałował ją ponownie, a powietrze zaiskrzyło. Jego dłonie były równie wymagające, jak jego usta. Odnalazły jej piersi, pieściły sutki, wsuwały się pomiędzy uda. Mallory była już tak gorąca i wilgotna... Jęknął.

– Proszę, Ty. Potrzebuję cię. Tak bardzo cię potrzebuję...

– Pokaż mi.

– Mam ci pokazać?

– Pokaż.

Mallory przygryzła wargę. Ty oczekiwał, że ona zrobi to, do czego właśnie się przyznał, że dotykał się, myśląc o niej, i pragnął rewanzu. W końcu jej pomógł: splótł ich palce i przesunął złączone dłonie po jej ciele, aż do piersi, by mogła popieścić własne sutki. Wtedy uwolnił jej palce i zapatrzył się w nią, mrucząc z aprobatą. Pewny, że będzie kontynuować, zsunął się po jej ciele w dół, pocałunkami torując sobie drogę pomiędzy uda. Powoli, z determinacją wessał ją, wprawiając w drżenie tak mocne, że musiał ją przytrzymać. Palce Mallory oderwały się od piersi i wsunęły w jego włosy. Zamknęła oczy. Boże, jeszcze jedno muśnięcie języka...

Przerwał. Odsunął się i zmusił, by na niego spojrziała.

– Nie zamykaj oczu – powiedział, a potem znów pochylił głowę.

Mallory zrobiła dokładnie tak, jak kazał: patrzyła, jak prowadzi ją prosto na skraj przepaści. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką wykonywała w jego obecności. Ty wielokrotnie sprawiał, że musiała opuścić swoją strefę komfortu, przez jego życiowe doświadczenia, to, jak się przy nim czuła, to, jak przez niego zachowywała się w sypialni. A czuła się rozkosznie grzeszna, gdy nie przestawała na niego patrzeć, gdy podglądała we własnym

łóżku...

Choć próbowała dotrzymać słowa, oczy zaszyły jej mgłą. Spadła w otchłań.

Gdy mogła już otworzyć oczy, zobaczyła go tuż nad sobą. Mościł sobie miejsce pomiędzy jej udami i wpatrywał się w jej twarz, walcząc o zachowanie kontroli.

Wiedziała, że nie planował, by sprawy zaszyły tak daleko. Ona także nie. Gdy jednak przytuliła się do niego i pocałowała, poczuła, że ich najlepsze intencje nic tu nie pomogą.

Ty przejął kontrolę. Wsunął swoje wielkie dłonie pod jej pośladki i wszedł w nią jednym, stanowczym pchnięciem.

– Do diabła! Jesteś taka cudowna...

Mallory wmawiała sobie, że ulega magii chwili, czuła go jednak aż w głębi duszy. A w sercu wiedziała, że on czuje do niej znacznie więcej niż to, na co może sobie pozwolić. Wyczytała to z jego zachowania, gdy otoczyła ramionami jego szerokie barki i stopiła się z nim w jedność. Emocje rosły.

– Mallory.

Powstrzymała niepotrzebne słowa, otworzyła oczy i spojrzała na niego, czując ucisk w sercu. Ty położył ręce na jej biodrach, ułożył ją tak, jak chciał, i wszedł w nią ponownie. Wszechogarniająca rozkosz wprawiała ją w drżenie. Otoczyła jego talię nogami i wyszeptała jego imię, ponagłając go do akcji.

On jednak tylko pochylił głowę i musnął językiem jej sutek, sprawiając, że Mallory wygięła się w łuk i bezwstydnie zakręciła biodrami.

– Ty.

Jego palce przesunęły się po jej kręgosłupie, pozostawiając gorący ślad, który poczuła aż w czubkach palców. Chwyił ją za ręce i uniósł je do

góry.

– Jestem tutaj – zapewnił i w ciszy zabrał dokładnie tam, gdzie pragnęła się znaleźć. Dla Mallory nie było już odwrotu. Ty był dokładnie tym, czego pragnęła, a po co zawsze bała się sięgnąć. Cóż za ironia! Nie chciał, by na nim polegała, a mimo to sprawił, że poczuła się bezpiecznie. Stała się kimś, kim chciała być. Gdyby tylko mógł spojrzeć na nią w ten sposób...

Już zawsze.

Zawsze się nie wydarzy, wiedziała o tym. Mallory musiała się godzić na to, na teraz. Powtarzając sobie, że jest silniejsza, niż się jej wydaje, że może to zrobić, objęła dłońmi jego twarz i zapomniała się w odwiecznym rytmie kochanków. Spełnienie, które nadeszło, rozerwało ją na strzępy, a jednocześnie scaliło w nową pełnię.

W środku nocy Ty obudził się wtulony w ciepłą kobietę. Nie, to nie ona przywierała do niego, a on. Z jedną dłonią wplecioną w jej splątane włosy, drugą na nagim pośladku. Zaborczo.

Jezu!

Tamten wieczór w filharmonii był błędem, ale chyba każdy może sobie pozwolić na błąd? Gdyby jednak teraz u niej został, popełniłby drugi.

On nie popełniał błędów, a na pewno nie dwa razy z rzędu. Zajęło mu to wprawdzie trochę czasu, ale w końcu zdołał wstać, nie budząc Mallory. Zebrał swoje rzeczy, wyszedł z sypialni i cicho zamknął za sobą drzwi. Rzucił wszystko na podłogę i się zawahał; w jego świecie wahanie oznaczało proszenie się o śmierć. A jednak to zrobił: odwrócił się do drzwi i oparł dłonie na futrynie nad głową. Chciał do niej wrócić.

Błąd.

Nie rób tego, człowieku! Ty spojrział na porozrzucane rzeczy.

Brakowało koszuli, tylko jedna skarpetka. Z kieszeni spodni wystawał mrugający telefon. Frances. W końcu dodzwoniła się do Josha. Koniec zabawy. Wiedziała już, że otrzymał zgodę na powrót do służby. W ostatniej wiadomości, jaką mu zostawiła, żądała, by „przywłókł swój żaloszny tyłek do roboty”. Zaraz potem otrzymał esemesem potwierdzenie rezerwacji biletu lotniczego pierwszej klasy w jedną stronę. Do Waszyngtonu.

Potknął się o własny but, zaklął cicho pod nosem i kopnięciem posłał go na drugi koniec korytarza. Zamarł, gdy w szparze pod drzwiami sypialni zobaczył światło.

Na progu stanęła Mallory, mrugając ciężkimi powiekami. Senna, rozczochrana, w jego pomiętej koszuli.

– Hej – szepnęła. – Dobrze się czujesz?

– Tak. Przepraszam. Nie chciałem cię obudzić.

– Wyjeżdżasz?

– Tak, ja... Tak, wyjeżdżam. – Musiał. Natychmiast. Bez zastanawiania się, czy w ogóle opuścić Lucky Harbor.

Z gardła Mallory wyrwał się stłumiony okrzyk. Spojrzała na dzinsy na podłodze, na rozsypaną zawartość kieszeni.

Na kluczyki.

I pustą buteleczkę po vicodinie.

Schyliła się, podniosła ją i przez długą chwilę wpatrywała się w etykietę. Adnotacja o dwóch niezrealizowanych receptach świadczyła, że Ty mógł dokupić lek, ale tego nie zrobił. W końcu oddała opakowanie z łagodnym uśmiechem.

– Zostań, Ty. Zostań ze mną tylko na tę noc...

Nie mógł. To byłby błąd.

– Mallory...



Przycisnęła palec do jego ust, wzięła go za rękę i zaciągnęła z powrotem do sypialni, do łóżka i ciepłego, miękkiego serca.

TTLR

## ROZDZIAŁ 20

*„Ćwiczenia” to takie brzydkie słowo. Ilekroć je słyszę, mam ochotę wyszorować sobie usta czekoladą.*

Następny ranek Ty spędził z Mattem na siłowni, a później zabrał go do domu po jimmy’ego. Gdy weszli do garażu, Matt rozejrzał się po pustym wnętrzu.

– Wyjeżdżasz.

– Taki był plan. – Ty podałeś mu kluczyki, tamten ich jednak nie przyjął. – Czynnosc jest opłacony do lata. Możesz tu mieszkać, jeśli chcesz. I przejąć moje narzędzia.

– Przechowam je dla ciebie. Wrócisz.

Ty spojrzawsz, a Matt pokręcił głową.

– Chryste! – mruknął zde gustowany. – Powiedz mi, że nie zamierzasz tak po prostu zniknąć i nie pojawić się już nigdy więcej. Nie jesteś aż takim fiutem, prawda?

– Chcesz przetestować to maleństwo czy nie?

– Czyli jednak jesteś.

– Słuchaj, sama prosiła, bym się z nią nie żegnał.

– A ty jej uwierzyłeś? Do diabła, a myślałem, że to ja jestem idiotą, jeśli chodzi o kobiety.

– Jesteś. – Ty rzucił mu kluczyki. Matt nie miał wyboru, musiał je złapać.

Postanowili odbyć jazdę próbną. Matt prowadził jak człowiek, który doskonale zna okoliczne drogi: redukował biegi przed ostrymi zakrętami i przyśpieszał przy wyjściu. Wyjechali na dwupasmową, krętą drogę szybkiego ruchu, która wiodła niemal cały czas pod górę. Po obu jej

stronach pięły się strome, bezlitosne, samotne szczyty, porośnięte tak bujnie – dzięki mokrej wiośnie – że przypominały południowoamerykański las deszczowy.

Gdy droga się skończyła, Matt przełączył w jimmym napęd na cztery koła i jechał dalej, wyznaczając własny szlak.

– Wiesz, dokąd zmierzasz, chłopaku z miasta? – zapytał Ty.

Matt zerknął na niego znacząco.

– A co, myślisz, że odnajdziesz drogę pośród tych gór?

– Potrafię znaleźć drogę nawet na Marsie – zapewnił go Ty. – Jeśli nas tu zabijesz, dorwę cię w piekle i zabiję raz jeszcze.

– Mówiłem ci już: nie wszyscy ludzie w twoim życiu muszą umrzeć. Ja nie zamierzam.

– Dopilnuję tego.

W końcu dojechali na płaskowyż. Panorama oszałamiała urodą. Ostre szczyty gór wciąż były pokryte bielą, niższe partie porastała bujna zieleń. A na wschodzie, w promieniach słońca, migotał Pacyfik.

– Beaut Point – oznajmił Matt.

Płaskowyż miał rozmiar boiska piłkarskiego. Rozpościerał się z niego wspaniały widok na ocean atakujący skały doliny setki metrów poniżej.

– Przyjemne miejsce – mruknął Ty.

– Z tamtej półki skalnej regularnie ściągam nastolatków. Przyjeżdżają tutaj w ciężarówkach ojców z napędem na cztery koła, by się trochę pomigdalić. A potem geniusze się gubią i w końcu muszę ratować ich żałosne tyłki.

– Ciężka robota.

– Lepsza niż zgarnianie z ulic Chicago członków gangu przez siedem dni w tygodniu. I podejrzewam, że dużo zabawniejsza niż uganianie się po

Iraku czy Afganistanie o tej porze roku.

Ty zerknął spode łba.

– Nie zapomnij o Ameryce Południowej. To moja faworytka.

Matt się uśmiechnął.

– Nie ma porównania z Chicago w środku gorącego lata w pełnym wyposażeniu taktycznym.

– Frajer.

– W porządku. Jeśli to oznacza pozostanie w rajku, zamiast poszukiwać głupich przyływów adrenaliny w jakimś zapomnianym przez Boga kraju Trzeciego Świata.

Ty pokręcił głową i rozejrzał się po „raju”.

– Wspinasz się? – zapytał Matt.

– Tylko kiedy muszę.

Matt skinął głową w kierunku stromego wzniesienia oddalonego od nich o prawie pięć kilometrów.

– Widow’s Peak. Wspinałem się tam w zeszły weekend. To takie miejsce, które zaprowadza porządek w głowie.

– A miałeś w niej bałagan? – zapytał Ty.

– W sumie tak. A dziś pomyślałem o tobie.

– Ja mam poukładane, nie martw się.

– Tak?

– Tak.

– Hm.

Ty zerknął na przyjaciela.

– Okej, oszczędzimy trochę czasu, jeśli po prostu powiesz mi, o co ci chodzi.

– Dobrze. Ktoś ukradł próbki leków sprzed nosa Mallory. Gdy miała

dyżur w centrum.

Ty poczuł ucisk w gardle.

– Dzisiaj? Jest ranna?

Matt przyglądał mu się uważnie.

– Wczoraj. I nie jest.

– Co ukradziono?

– Leki przeciwbólowe. Mallory nie wie, kiedy to się stało. Mówi, że mogło do tego dojść o różnych porach.

Ty zamarł. Przypomniłeś sobie ostatnią noc i wyraz twarzy dziewczyny, gdy z jego dzinsów wypadła pusta buteleczka.

Wiedziała już, a nie powiedziała ani słowa. Czy myśli, że to on ukraść leki? Ty próbowałeś wymyślić powód, dla którego nie wspomniałaby o tym, gdyby nie myślała, że to jego wina, nic jednak nie przychodziło mu do głowy.

– Oberwie za to?

– Można tak powiedzieć. Na razie centrum zamknięte. A jeśli wyda się dlaczego, pewnie tak pozostanie.

– Mallory nie zasłużyła, by ją za to winić.

– Wzięła na siebie winę na własną prośbę.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Zasiadam w zarządzie szpitala. Słuchaj... – dodał Matt, widząc ponurą minę przyjaciela. – Na tym etapie wie tylko zarząd. Zażądano od niej listy osób, które odwiedziły centrum podczas jej dyżuru, a ona się sprzeciwiła, bo w założeniu centrum ma gwarantować anonimowość. W jednej chwili zaryzykowała swoją pracę i byt CUM.

Ty odetchnął głęboko i zamknął oczy.

– O Chryste...!

– Co?

– Byłem tam wczoraj po południu. – Otworzył oczy i zerknął na Matta. – W centrum.

– Zrobiłeś to? – zapytał Matt łagodnie. – Ukradłeś te leki?

– Jasne, że nie.

– Wiedziałem, że nie jesteś głupi. – Ty wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer. – Tu nie ma zasięgu. Słuchaj, jest coś jeszcze. Jane, jej szefowa, nieźle się po niej za to przejechała i...

– I?

– Mallory rzuciła pracę. Odeszła.

Ty wyciągnął rękę.

– Kluczyki.

– Słucham?

– Ja prowadzę. – Musi zobaczyć się z Mallory. Teraz. Wczoraj.

– A dlaczego niby ty?

– Bo się śpieszymy, a ty jeździsz jak baba.

W połowie drogi do miasta komórka złapała zasięg. Ty, nie zwlekając, wybrał numer Mallory. Matt syknął z dezaprobatą.

– Potrzebujesz zestawu głośnomówiącego. W przeciwnym razie dostaniesz mandat.

Ty go zignorował. Odbierz, odbierz, powtarzał w duchu... Nie odebrała.

– Pewnie jest w domu i ma nienaładowaną komórkę. Nie znał jej domowego numeru.

Matt pokręcił głową.

– Nie ma jej w domu. – Ty zerknął na przyjaciela.

– Och, chcesz wiedzieć, gdzie jest? – Matt tylko się uśmiechnął. –

Tak, chcesz wiedzieć. Jest w kafejce.

Byłem tam rano, słyszałem jej rozmowę z Amy. Planowały spotkanie jakichś czekoladiczek.

Gdy wymienił imię Amy, w głosie Matta pojawiła się dziwna nuta. Ty posłał mu znaczące spojrzenie.

– Co się dzieje pomiędzy tobą a tą śliczną kelnerką?

– Nic.

– Za dużo między wami napięcia, żeby to było nic.

Matt powołał się na piątą poprawkę.

– Popsuleś coś?

Ciemne okulary Matta całkowicie zakrywały jego oczy. Brak odpowiedzi w zasadzie równał się potwierdzeniu.

– Co zrobiłeś? – zapytał Ty.

– Nic.

Tak, jasne. Właśnie wjeżdżali do miasta, mijając skręt do domu Matta.

– Hej!

– Trzymaj się, będzie gorąco. – Ty wjechał na parking przed kafejką z piskiem opon.

Matt oderwał się od deski rozdzielczej.

Ty wzruszył ramionami.

– Może nieszczęście kocha towarzystwo?

– A może nieszczęście kocha patrzeć, jak inni ludzie wszystko pieprzą?

– Niczego nie spieprzę.

– Aha.

Ty pokręcił głową i wszedł do wiosennie udekorowanej kafejki. Z sufitu zwisały kolorowe kwiaty

i zwierzaki z papier– mache. Nie pasowały do wystroju z lat pięćdziesiątych, lecz przykuwały wzrok.

Była pora lunchu, więc w środku tłoczyli się klienci, rozmawiając głośno. Ty rozpoznał niemal wszystkich

– kolejny dowód na to, że zbyt długo tu przebywa. Jan, idąca do jednego ze stolików z dużą tacą. W kącie Ryan w towarzystwie dwóch mężczyzn z NA. I błękitnowłosa Lucille w grupie równie błękitnowłosych, wścibskich, starych nietoperzyc. Ty ominął mały tłumek czekających na wolny stół, bo przy barze dostrzegł Mallory. Obok niej siedziała Grace, po drugiej stronie Amy.

Ty stanął za dziewczyną, zagapioną w tort z napisem: „Wszystkiego najlepszego, Anderson”. Amy zapaliła świece.

Wokół panował hałas i tłok. Pobrzękiwały naczynia, toczyły się głośne rozmowy, rozlegały się wybuchy śmiechu; każdy stół, każda grupa tworzyła swój własny świat. Mały świat tych trzech dziewczyn był jednak zamknięty. Żadna nie zwracała uwagi na otoczenie.

Mallory, która podobno zrezygnowała z czekolady, oblizwała wargi.

– Mogłyśmy pominąć te świece – powiedziała do Amy. – Lokal jest pełen ludzi. Masz przecież zajęcie.

– O, nie! – odparła Amy. – Umówiliśmy się. Gdy dzieje się coś złego, zwołujemy spotkanie. I jemy. – Zapaliła ostatnią świeczkę i rozdała widelce.

– Dzwoniłam już do Tary i uprzedziłam ją, że tort Andersona miał tragiczny wypadek.

– Uwierzyła? – zapytała Grace.

– Jest na to zbyt mądra. – Amy zerknęła na Mallory.

– Zrozumiała jednak, że to nagły wypadek, i upiecze jeszcze jeden.

Najważniejsze to pomóc Mallory przetrwać.



Mallory westchnęła i położyła czoło na blacie.

Amy szybko przesunęła tort, by włosy przyjaciółki nie zajęły się ogniem.

– Naprawdę powiedziałaś Jane, żeby się wypchała?

– Tak. – Głos Mallory był stłumiony. Grace mruknęła coś współczująco i pogłaskała ją po głowie.

– Jednak nie dlatego straciłam pracę – dodała Mallory.

– Straciłam ją, bo to wykrzyczałam i usłyszeli mnie wszyscy. Bill powiedział nawet, że on też czasami ma ochotę powiedzieć Jane, żeby się wypchała, nie wolno jednak popełniać takich błędów i musi mnie zwolnić. W zasadzie nie ma wyboru. I wtedy nie wytrzymałam. Jemu też powiedziałam, żeby się wypchał. A potem wyszłam.

– Ojej... – mruknęła Grace. – Gdy już decydujesz się przejść na ciemną stronę, robisz to na całego...

Mallory ni to wybuchnęła śmiechem, ni to zaszlochała.

– Jakie masz plany? – zapytała ją Amy. – Będziesz błagać, by cię przyjęto z powrotem?

– Myślę, żeby poszukać pracy w małym gabinecie lekarskim na prowincji i powrócić do bycia sobą. – Mallory zatopiła widelec w cieście i podniosła kawałek do ust. – Nie chcę o tym rozmawiać.

– Szkoda – wtrącił Ty.

Dziewczyna wzdrygnęła się i okręciła na stołku. Buzię miała pobrudzoną czekoladą. Wymierzyła w niego widelec gestem królowej.

– Musisz przestać to robić.

– Przecież w małym gabinecie lekarskim na prowincji oszalejesz i umrzesz z nudów – powiedział.

Mallory spojrzała lśniąco jak diamenty oczami. Gapili się na nich

wszyscy obecni w kafejce. No, może poza Amy, która patrzyła na Matta. Mężczyzna siedział na końcu baru i obserwował cały ten cyrk z bezpośredniej bliskości.

Ty zerknął na tłum, mrużąc groźnie powieki.

Nikt nie pojął aluzji. Ludzie nie zamierzali podarować jemu i Mallory ani odrobiny prywatności. Oczywiście. Dawniej Ty potrafił terroryzować otoczenie wzrokiem, w Lucky Harbor nie działało to jednak na nikogo. Poddał się i wskazał gestem na świece, które płonęły coraz jaśniejszym płomieniem.

– Powinnaś je zdmuchnąć.

Amy wyreczyła przyjaciółkę. Grace z nagłym zainteresowaniem zaczęła studiować menu. Obie nadstawiły uszu.

Godząc się na publiczność, Ty spojrział na Mallory.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– O czym?

Jezu! To jest coś jeszcze? Niedogaszona świeczki zapłonęły ponownie, Ty postanowił jednak je zignorować.

– Zaczniemy od skradzionych leków.

– Przecież wiem, że to nie ty. – Mallory zerknęła na tort. – To magiczne świece? – zapytała Amy.

– Tak. Zostały jeszcze po przyjęciu urodzinowym Lance'a. Pomysł jego brata. Tucker ma skrzywione poczucie humoru. Nie miałam innych.

– Przepraszam – wtrąciła Lucille, zeskakując ze stołka i podchodząc bliżej. – Przypadkiem podsłuchałam waszą konwersację. Skradzione leki?

– To prywatna rozmowa, Lucille – mruknęła Mallory.

– Kto mógłby ukraść leki z centrum? Nastolatek? Narkotykowy diler? Twoje szalone rodzeństwo?

Mallory ścisnęła palcami grzbiet nosa.

– Jesteś równie szalona, jak Tammy i Joe. I dobrze o tym wiesz.

Lucille zamrugwała.

– Czy ty mi właśnie odpysknęłaś?

– Tak. Najwyraźniej mam nowe hobby. Prowokuj mnie nadal, a może nawet na ciebie nawrzeszczę. Jeszcze jedna nowa umiejętność. I przestań się wtrącać. Próbuję odbyć prywatną rozmowę. – Skrzywiła wargi. – Proszę – dodała uprzejmie.

Lucille zamrugwała, a potem na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– No proszę. Długo na to czekałam...

– Zawsze mówię „proszę”.

– Nie na to. Na twój kręgosłup. Nareszcie go sobie wyhodowałaś. I świetnie do ciebie pasuje, moja droga.

Mallory zerknęła na Lucille, a potem na Tya.

Był zbyt oszołomiony jej wcześniejszymi słowami, by to zauważyć.

„Przecież wiem, że to nie ty je zabrałaś”.

Próbował się kamuflować, lecz pomimo wysiłków Mallory zdołała go poznać! Wiedziała, jaki jest i akceptowała go w całości.

Wierzyła w niego. Nie musiała nawet pytać.

Ta wiara jej nie pomoże, bo ktoś jednak ukradł leki na jej dyżurze. To mógł być każdy. Tylko Mallory знаła prawdę – po wyrazie jej twarzy poznał, że wie. Wiedziała, kto to zrobił, postanowiła jednak jej nie ujawniać.

Nawet teraz próbowała ratować czyjaś duszę.

To go rzuciło na kolana. Ona rzuciła go na kolana.

– Jeśli wiesz, że to nie moja sprawka, dlaczego nie przekażesz zarządowi listy odwiedzających?

Z jakiegoś powodu jego pytanie rozzłościło Mallory. Ty widział, jak w

jej oczach rozparała się płomień wściekłości. Wstała i dźgnęła go palcem w mostek. Tak mocno, że aż się skrzywił.

– Myślisz, że zależy mi wyłącznie na tobie?

– Och...

– Nie – dokończyła. – Nie tylko.

Ty jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie. Miała na sobie błękitny fartuch, a pod nim podkoszulek z długim rękawem – jego podkoszulek, jeśli się nie mylił. Kieszenie były wypchane tajemniczymi zawiniątkami, białe adidasy ozdobione namalowanym czerwonym serduszkami. I wciąż miała czekoladę w kącikach ust. Jej włosy całkowicie wymknęły się spod kontroli. Mallory była gotowa zniszczyć każdego, kto stanąłby na jej drodze.

Nigdy nie wyglądała tak pięknie.

– Mallory. – Wiedział, ile znaczy dla niej ta praca. Ile znaczy centrum. I całe Lucky Harbor.

Wyjeżdżał, lecz ona tu zostawała. Tu było jej całe życie. I wtedy podjął decyzję. Wiedział, że zdoła z tym żyć.

– Wykorzystałem cię – oświadczył na tyle głośno, by usłyszeli go zgromadzeni. – Bezczelnie wykorzystałem.

Siedzący dwa stołki dalej Matt jęknął.

– Nie, człowieku. Nie rób tego.

Mallory nie odrywała wzroku od Tya. Wciąż była wkurzona.

– Co ty robisz?

– Próbuję ci opowiedzieć, co się stało – powiedział ostrożnie.

– Chwileczkę. – Znienacka znalazła się przy nich pani Burland.

Podsunęła swoją laskę niemal pod sam nos Tya. – Tak, ty mały chuliganie, do ciebie mówię.

Mały chuliganie? Był od niej o pół metra wyższy i niemal pięćdziesiąt kilogramów cięższy. Patrzył zaszokowany.

Obecni w kafejce zamarli.

Poza Mattem, który uśmiechnął się szeroko.

– Mały chuligan – powtórzył powoli, rozkoszując się tymi słowami. – Podoba mi się.

Ty posłał mu swoje słynne spojrzenie, które jednak nie zrobiło na przyjacielu wrażenia. Od wielu lat nikt nie ośmielił się mu przerywać, a jeszcze dłużej nikt nie nazwał go „małym chuliganem”.

Pani Burland jeszcze z nim nie skończyła.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? – zapytała gniewnie.

– Próbuję coś wyznać. Prywatnie.

Nachyliła się ku niemu Lucille.

– Nie ma prywatności w Lucky Harbor – odpowiedziała usłużnie.

Ewidentnie zmęczona ciągłym przerywaniem, pani B. trzykrotnie uderzyła laską w podłogę, skupiając na sobie wzrok publiczności. Zmierzyła Tya nienawistnym spojrzeniem.

– Nie masz prawa przyznawać się do przestępstwa, którego nie popełniłeś.

Zrzedliwa i gburowata pani Burland wciąż miała umysł ostry jak brzytwa.

– Proszę się w to nie mieszać.

– Próbujesz odegrać wielkiego bohatera – wytknęła.

– Myślisz, że ona kogoś chroni i nie chcesz, żeby przez to cierpiała.

Mallory odwróciła się do Tya.

– To właśnie próbujesz zrobić?

Ty otworzył usta, lecz uprzedziła go pani Burland.

– To byłam ja – oświadczyła głośno, prostując plecy.

– To ja ukradłam te leki. – Zmierzyła wzrokiem zebranych. – Nie żaden nastolatek. Nie diler. I żadne z szalonych Quinnów. A już na pewno nie ten...

– Machnęła ręką w kierunku Tya. Jej usta zacisnęły się w niechętnym grymasie. – ... mężczyzna. Zapewne wiele ma na sumieniu, między innymi zniszczenie twojej reputacji, Mallory Quinn, choć ciebie najwyraźniej w ogóle to nie obchodzi. Ale nie wziął tych leków. To ja je zabrałam.

– Nie. – Na drugim końcu sali od stolika wstała kobieta. Ty rozpoznał Deenę, ekspedientkę ze sklepu spożywczego. – Byłam wczoraj w CUM. Po pigułki antykoncepcyjne. To ja zabrałam oxycontin.

– To kłamstwo. – Wstał siedzący dotąd w kącie Ryan.

– Wszyscy wiemy, że to ja mam problem. I ja ukradłem leki.

Mallory aż otworzyła usta ze zdumienia.

Tya niewiele rzeczy było w stanie zdziwić, ale nawet on musiał jednak przyznać, że jest w szoku. Miasto wspierało Mallory, jak potrafiło. Nigdy dotąd nie spotkał się z czymś podobnym.

Amy uderzyła drewnianą łyżką w bar.

– Hej, ja też tam byłam. To moja sprawka. – Utkwiła wzrok w Matcie, który zacisnął zęby.

Mallory spojrzała zdumiona.

– Przecież cię tam nie widziałam...

– O, nie! Nawet się nie ważcie! – krzyknęła pani Burland. – Słuchajcie, wy... Wy egoistyczni, samolubni, narcystyczni szaleńcy! Nie zmuszajcie mnie, bym was wszystkich wytlukła laską po głowach! – Wyjęła z kieszeni małe pudełko.

Próbki oxycontin.

– Widzicie? – oświadczyła triumfalnie. – To ja je mam. Mam wszystkie. Wzięłam je, bo myślałam, że to probiotyki na moje zaparcia. Opakowanie ma ten sam kolor. Mam gówniane ubezpieczenie, a poza *tym* nienawidzę stać w kolejce do apteki. Całą ostatnią dekadę spędziłam w głupich kolejkach: do lekarza, po recepty. Do diaska, przed chwilą musiałam stanąć w kolejce do toalety! Mam tego dość! Mam dość was wszystkich!

– Nie potrzebujesz probiotyków – wtrąciła Lucille. – Wystarczą suszone śliwki i blender.

– To przez panią zwolnili Mallory? – zapytała Amy.

– Nie. Ona została zwolniona z powodu swojej niewyparzonej buzi – mruknęła pani B.

– Nie zostałam zwolniona. Odeszłam!

Lucille znów się ku niej nachyliła.

– Wybacz, skarbie, ale...

– Nie teraz, Lucille. Proszę.

– Dobrze, tyle że to naprawdę ważne.

– Co może być ważniejsze?

– Ogień.

Świecek znów ożyły, tym razem na dobre. Ktoś popchnął tort na stos kart; kilka z nich się przewróciło. Stały w płomieniach, w tej samej chwili gdy Ty skoczył ku nim ze szklanką wody w dłoni, by ugasić mały pożar.

Świecek zamigotały i zgasły.

Wszystkie, poza środkową, największą, która okazała się nie tyle magiczną świeczką, ile czymś w rodzaju fajerwerku, który nagle wystrzelił pod sufit. I wybuchł. Cóż, jak to fajerwerki...

Zawył alarm przeciwpożarowy, a zaraz potem uaktywniły się zamontowane w suficie spryskiwacze. Zalewając całą kafejkę i wszystkich

w środku.

## ***ROZDZIAŁ 21***

***Sila to umiejętność przełamania na pół tabliczki czekolady – a potem zjedzenia tylko jednej połówki.***

Mallory zdumiał niemal natychmiastowy chaos. Gdy poleciała lodowata woda, ludzie zaczęli krzyczeć i przepychać się do drzwi, tratując się wzajemnie, byle tylko wydostać się na zewnątrz.

Sytuację pogarszały jeszcze zwisające z sufitu dekoracje, które nasiąkły błyskawicznie i odpadały teraz, pociągając za sobą kawałki tynku. Mallory oberwała w głowę słońcem z kawałkiem gipsu, zobaczyła pod powiekami gwiazdy i też wpadła w panikę. W każdej chwili ktoś może zostać poważnie ranny! Zamrugowała gwałtownie, by poprzez strugi wody dojrzeć osoby potrzebujące pomocy. Nie widziała niczego, czuła jednak, że potrzebują jej wszyscy. Ludzie albo biegali w kółko, albo tłoczyli się przy ladzie i w drzwiach. Kompletny chaos.

Mallory zaczerpnęła powietrza i odgarnęła włosy z twarzy. Na dłoni zobaczyła krew; miała rozcięty policzek. Zanim jednak zdołała coś z tym zrobić, ktoś chwycił ją za rękę, przytulił do swego boku i zaczął torować sobie drogę do wyjścia.

Ty.

– Puść mnie! – zażądała, uderzając pięścią w jego tors. Cios okazał się całkowicie nieskuteczny.

– Nie. Muszę cię stąd wyprowadzić. I to natychmiast.

– Zapomnij o mnie. Zajmij się panią Burland i Lucille!



– Ty pierwsza, do diabła! – Wciąż tuląc do siebie Mallory, zgarnął jeszcze po drodze złośliwą staruszkę; Lucille nigdzie nie było widać. W strugach wody Mallory dojrzała jeszcze Matta, który pomógł wydostać się Amy i Grace, a później zawrócił do środka po innych. Ty zostawił dziewczynę z przyjaciółkami i zrobił to samo.

Rzuciła się za nimi, lecz ją powstrzymał.

– Wchodzę do środka – oświadczyła. – Tam mogą być ranni, ja potrafię im pomóc.

Ty zacisnął szczęki, ale ustąpił. Alarm przeciwpożarowy nie przestawał wyc, z sufitu nadal lała się woda. Mallory pomogła opuścić kafejkę jeszcze kilku osobom, zanim znów wpadła na Tya; prowadził za rękę dwie przyjaciółki Lucille. Na jej widok puścił jednak jedną z nich i odgarnął mokre włosy z twarzy dziewczyny. Wzdrygnął się nieco, bo na jej policzku zauważył krew, i spojrzał jej w oczy. Upewnił się, że wszystko u niej w porządku.

A przecież musiał to wiedzieć. U Mallory Quinn zawsze wszystko było w porządku, choć fakt ten nie powstrzymał fali ciepła, która zalała ją na myśl, że Tyowi na niej zależy. Okazywał to każdym gestem. Każdym spojrzeniem.

A mimo to miał zamiar wyjechać.

Ciągnęła go praca, Mallory wiedziała o tym doskonale. I nie chciała zabraniać mu tego, co go napędzało, cokolwiek to jest. Miała jednak nadzieję, że to ona będzie tym impulsem.

Gdy w końcu zjawiała się straż pożarna, wszyscy czekali już na zewnątrz. Do kilku poważnie poszkodowanych trzeba było wezwać karetki, które przyjechały tuż za strażakami. Mallory pomagała osobom siedzącym na krawężniku, Matt sanitariuszom. Ty również odnalazł się w roli

medycznego autorytetu – opatrywał paskudne skaleczenie na ramieniu Ryana. Klęczał u jego boku i uciskał ranę, sprawiając wrażenie człowieka, który wie, co robi.

Nadjechał Josh i wyskoczył z samochodu. Podeszedł do Ryana, który siedział najbliżej.

– Jest w szoku – poinformował go Ty cicho.

Ranny dygotał, miał rozbiegane, szkliste spojrzenie. Zdecydowanie szok. Josh zawrócił do auta i pojawił się ponownie z zestawem do pierwszej pomocy w rękę.

Razem z Tyem otulili Ryana kocem, by nie tracił ciepła, upewnili się, że oddycha równo, i sprawdzili mu puls. Potem pacjenta przejęła Mallory; usiadła u jego boku, wzięła go za rękę i z tego miejsca obserwowała, jak Josh i Ty w idealnej harmonii udzielają pomocy kolejnym poszkodowanym.

W końcu przekazała Ryana sanitariuszom, a sama podeszła do mężczyzny.

– Skoro dostałeś już zgodę na powrót do służby, a i tak tu siedzisz, powinieneś wiedzieć, że w Seat – tle General zwolnił się etat w pogotowiu lotniczym. Jednostka jest urobiona po łokcie, oferuje mnóstwo adrenaliny. Do diaska, przecież widzisz, jakie ekscytujące potrafi być Lucky Harbor! – powiedział Josh.

Ty zignorował te słowa i przykucnął przed Lucille.

– Dobrze się pani czuje?

– Och, jasne, skarbie. – Poklepała go po ramieniu.

– Dobry z ciebie chłopak.

Ty się uśmiechnął. Ciekawe, czy rozbawiło go określenie „dobry”, czy też „chłopak”. Wyprostował się i odwrócił do Mallory.

Nie była zaskoczona. Zawsze wiedział, gdzie ona jest.

– Chryste – powiedziała, siląc się na spokój. – Tylko spójrz na siebie! Utkwił wzrok w jej policzku, dotknął rany. Skrzywiła się i odepchnęła jego dłoń.

Odciągnął ją od ciekawskich oczu i uszu.

– Trzeba to opatrzyć. Pozwól, że pomogę...

– Nie. – Potrzebowała większej pomocy, niż był sobie w stanie wyobrazić. – To może poczekać. – Nie wiedziała, od czego zacząć, odwołała się więc do klasyki i zaczęła od początku. – Skąd u mechanika znajomość opatrywania poszkodowanych w wypadkach?

Nie spuszczał z niej wzroku.

– W SEAL byłem sanitariuszem.

– Sanitariuszem. W SEAL. – Pokręciła głową. – To zabawne. Mogłabym przysiąc, że mówiłeś, iż jesteś mechanikiem. Mechanikiem w marynarce, który teraz wykonuje podobną pracę.

– Nie... – Urwał. – Cóż, tak. Naprawiam samochody. Czasami. Ale dla siebie, dla zabawy.

– Dla zabawy. – Umilkła, lecz nie na długo. – Wyobrażałam sobie, że naprawiasz statki, może helikoptery i czołgi. Nie ludzi. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Odpowiedział pytaniem.

– Czy to, kim kiedyś byłem, ma jakiegokolwiek znaczenie?

– Nie chodzi o to, kim byłeś, Ty, lecz o to, kim jesteś.

– Jak mógł tego nie widzieć? Jak mógł nie słyszeć jej pękającego serca? – Wracasz. Czekasz tylko na zgodę na wyjazd... – Przypomniała sobie słowa Josha. – Tyle że przecież już dostałeś zgodę. – O Boże. Ty może wyjechać w każdej chwili! Choćby zaraz. – Od jak dawna o tym wiesz? Czemu ukrywałeś przede mną tyle rzeczy?

Znała odpowiedź. Przecież tylko ze sobą sypiali.

Nic więcej.

A za tę sytuację mogła winić wyłącznie siebie. Przerażona perspektywą nadchodzącego załamania, Mallory cofnęła się o krok i wpadła prosto na szeryfa Sawyera Thompsona, który podszedł do przemoczonej grupki i wsparł dłonie na biodrach.

– Co tu się stało, do cholery?

Publiczność wciąż pozostawała na miejscu, nie chcąc niczego przegapić. Ludzie natychmiast zebrali się wokół pani Burland, złośliwej, starej jędzy, która nigdy nie zrobiła dla nich nic miłego; w zasadzie lubiła robić im piekło na sto różnych sposobów. A jednak nagle zaczęli mówić. Każdy po swojemu relacjonował opowieść o kradzieży leków i zalaniu kafejki przez system spryskiwaczy.

Po raz kolejny chronili jedną ze swoich.

Pani Burland nie zamierzała im jednak na to pozwolić. Wstała i wspierając się na lasce, podeszła do szeryfa. Wyciągnęła przed siebie drżące nadgarstki.

– Aresztuj mnie, glino. Tylko nie myśl, że pozwolę się przeszkukać. Znam swoje prawa.

Sawyer zapewnił ją, że nie zamierza jej aresztować, ponieważ wtedy musiałby zamknąć i innych, którzy się przyznali. Zdegustowany i sfrustrowany, zaczął od początku, tym razem rozmawiając ze wszystkimi pojedynczo.

Ludzie zaczęli rozchodzić się po domach.

Mallory usiadła na krawężniku i oparła głowę na kolanach, wyczerpana, na krawędzi łez. Ty tyle przed nią ukrywał... Jak to w ogóle możliwe? Ona oddała mu wszystko, co miała.

Przecież on się nie zmieni, a ona – Boże dopomóż! – zamierza się z tym pogodzić, nawet gdyby miało ją to zabić.

Już niemal zabiło.

Tuż przed jej stopami pojawiły się dwa znoszone buty. Ktoś przykucnął obok.

Ty, rzecz jasna. Jej serce przyśpieszało tylko wówczas, gdy on znajdował się w pobliżu. Pogłaskał ją po plecach wielką, ciepłą dłoń, prychnął z irytacją, gdy poczuł, że wciąż jest przemoczona i drży. Po chwili poczuła na ramionach jeden ze strażackich koców.

– Nic mi nie jest.

– Tak. – Usiadł i przytulił ją, by się ogrzała. – Przecież widzę. Ale nie o to chodzi.

– To o co?

– Ty mi powiedz.

– Dobrze. – Podniosła głowę. – Nie rozumiem, dlaczego robiłeś taką wielką tajemnicę z tego, że jesteś sanitariuszem.

– To nie była tajemnica.

– Chyba jednak była. Przyszedłeś do szpitala na wyjęcie szwów, choć mogłeś zrobić to samodzielnie.

– Chciałem się z tobą zobaczyć.

Ojej.

O nie, do diaska!

– Okej, więc co wydarzyło się potem? Gdy u tamtego mężczyzny doszło do zatrzymania akcji serca? Zbladłeś, zacząłeś się trząść, jakbyś był w szoku. Jakbyś wcześniej nie widział niczego podobnego.

Ty zakołysał się na piętach. Pochylił głowę i przez chwilę wpatrywał się w swoje buty. A potem spojrzał Mallory prosto w oczy.

– Chcesz wiedzieć, co się stało podczas mojej ostatniej misji w SEAL? – zapytał niebezpiecznie niskim głosem.

Nie tylko Mallory była wkurzona i sfrustrowana.

– Wyciągnąłem moich kolegów z płonącego samolotu. Tommy już nie żył, ale reszta... Brad, Kelly i Trevor...

– Zamknął oczy. – Robiłem, co mogłem, a i tak umarli. Potem nie mogłem już tego robić. Próbowałem, nie byłem jednak w stanie wrócić do zawodu.

Poczuła ucisk w żołądku.

– Och, Ty.

– Zostałem z honorami zwolniony ze służby i znalazłem sobie inną pracę. I przez te cztery lata odrzucałem wszystkie oferty związane z ratownictwem. Przez cztery lata, Mallory, nie nakleiłem nawet plastra.

Aż przyjechał do Lucky Harbor.

– Skaleczenie Amy... – szepnęła.

Przytaknął ponuro.

– Wtedy po raz pierwszy otworzyłem apteczkę.

A dziś znów znalazł się w kryzysowej sytuacji i postąpił tak, jakby urodził się sanitariuszem. Ciekawe, czy zdaje sobie z tego sprawę.

– Moja kolej – oświadczył. – Twoja praca? Straciłaś ją?

– Nie straciłam. Odeszłam. – Mallory przez chwilę wpatrywała się we własne buty. Ty owinał sobie jej kucyk wokół palców i pociągnął.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Mallory – powiedział z bolesną łagodnością. – Dlaczego?

Dlaczego? Z miliona powodów, których nie potrafiła podać, bo nagle wszystko ją przerosło. Praca, CUM, kafejka, świadomość, co czuje do Tya, i fakt, że on odejdzie mimo wszystko. Bolała ją głowa, bolał policzek. Serce

też.

Jej oczy wypełniły się łzami, a Ty jęknął przeciągle. Mallory nie wiedziała, czy to męskie przerażenie, czy współczucie. Otoczył ją ramionami, a ona ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi.

Powinna była się domyślić, że Ty nie czuje się komfortowo na widok jej łez. W sumie niewiele rzeczy sprawiało przecież, że odczuwał dyskomfort.

Nie licząc jego własnych emocji.

Jak to możliwe, że wszystko aż tak wymknęło się spod kontroli? Przecież Mallory chciała tylko rozwinąć skrzydła. Życ dla siebie, zamiast dla innych. Spróbować nowych rzeczy. Dokonała tego i pokochała to.

Pokochała jego.

Na tym właśnie polegał jej błąd.

– Całe to zamieszanie z lekami w CUM to moja wina... – wyznała, chowając twarz w koszuli Tya. – Niczyja więcej. To ja nawaliłam. – Wzięła głęboki oddech, jej oczy znów napelniły się łzami. – A co do reszty... Chciałam trochę poszaleć, a okazało się, że wcale nie jestem w tym dobra – dodała szeptem.

Z namysłem zerknął w kierunku kafejki, w której wciąż panował chaos.

– Sam nie wiem. Myślę, że jesteś w tym lepsza, niż myślisz.

Zdusiła śmiech, nagle uświadamiając sobie, że niezależnie od tego, co się wydarzy, Ty zawsze stanie po jej stronie. Wesprze ją w stu procentach. Każdym spojrzeniem, każdym gestem, każdym pocałunkiem.

– Chciałam tylko zrobić coś dla siebie...

– Zaslługujesz na to – oświadczył z przekonaniem w głosie. Od początku traktował ją jak kogoś wyjątkowego, nawet zanim poznali swoje

imiona. Dzielił się z nią swoją odwagą, zamiłowaniem do przygody, wewnętrzną siłą.

Kiedyś szalenie bała się siebie, swoich nadziei i marzeń. Teraz się zmieniła.

Dzięki niemu.

Przestała się bać, lecz to nie wystarczyło. Miłość nie dostarczyła jej tego, czego pragnęła. Nic nie było w stanie zatrzymać przy niej Tya. Naprawdę powinna się odciąć, zanim będzie jeszcze gorzej, ale... Boże! Jak można to zrobić?

– Ty?

Odchylił się i spojrzał jej w oczy. Spoważniał.

Ujęła w dłonie jego twarz.

– Nawaliłam. Zakochałam się w tobie. – Delikatnie pocałowała go w usta, nie pozwalając mu dojść do głosu. – Nie martw się, wiem, że nie możesz sobie na to pozwolić. – Pocałowała go ponownie, gdy dostrzegła smutek w jego oczach. – Tyle że ja nie mogę tak dłużej – szepnęła. Jej gardło było obolałe, jakby połykała rozbite szkło. – Przepraszam.

– Zostawiasz mnie, Mallory?

Czy go zostawia? Przecież to on odchodzi, choć nadal tu jest. Zastanowię się nad tym później, postanowiła. To, co ich łączyło, nagle przestało jej wystarczać.

– Nigdy nie byłeś mój.

Przez jego zazwyczaj opanowaną twarz przemknął jakiś cień. Ty skinął głową i uniósł dłoń do jej twarzy. Musnął kciukiem wargi z taką delikatnością, że Mallory aż zabolowało serce. Zaczęła coś mówić, sama nie wiedziała, co, gdy nagle ktoś poklepał ją po ramieniu.

– Mallory Michelle Quinn.



Tylko jedna osoba na świecie nazywała ją drugim imieniem. Mama. Jeszcze jej tutaj brakowało! Mallory otarła oczy i odwróciła się do Elli. Miała szczęście: była tak mokra, że nie można było odróżnić wody od łez.

– Mamo, co ty tu robisz?

– Usłyszałam o wypadku w kafejce. Jesteś ranna?

– To nie jest najlepsza pora... – Mallory odepchnęła jej dłoń. – Mamo.

– Tylko mi tu nie mamuj! Masz skaleczony policzek. Pozwoliłaś, by Jane cię zwolniła?

– Niech ktoś da mi mikrofon! – powiedziała Mallory, tak głośno, jak tylko mogła. – Nie zostałam zwolniona! Odeszłam! To zasadnicza różnica.

Matka wpatrywała się w nią przez długą chwilę, a Mallory robiła wszystko, by tylko nie pokazać po sobie, że ma złamane serce. W końcu Ella skinęła głową.

– Cóż, mam nadzieję, że powiedziałaś przy tym Jane parę rzeczy do słuchu.

Szok sprawił, że Mallory otworzyła usta.

– Nie jesteś zła?

– Zarzucała cię obowiązkami i wykorzystywała twoje umiejętności. Bill już kombinuje, jak cię odzyskać. Sugeruję, byś odrzuciła pierwszą ofertę. Z tego, co słyszałam, wynika, że druga będzie znacznie lepsza.

Mallory aż sapnęła ze zdumienia.

– Słyszałaś?

– No dobrze. Podśluchiwałam ze szklanką pod drzwiami Billa. Nie jestem z tego dumna... – Zawahała się. – Dumna jestem z ciebie. Sawyer przysłał mnie tutaj, żebym cię do niego zaprowadziła. Zbiera szczegóły do raportu.

Po chwili podszedł do nich szeryf we własnej osobie.

Zerknął na Mallory z frustracją.

– Dobrze się czujesz?

Nie.

– Tak.

– Świetnie, bo słyszałem dotychczas dwadzieścia różnych wersji tego, co się wydarzyło. Mam nadzieję, że ty podasz tę prawdziwą.

Opowiedziała mu całą historię najlepiej, jak potrafiła, a potem zaczęła się rozglądać za Tyem. Rozmawiał z jej mamą. Ella była wyraźnie zaaferowana, machała rękami, ruszała ustami. Mallory poczuła ucisk w żołądku. Wyglądało na to, że matka przywołuje go do porządku albo... Do diaska! Nie miała pojęcia.

– Muszę iść – powiedziała do Sawyera.

Na jej widok Ella urwała w pół słowa i zbliżyła się do córki.

– On tak na ciebie patrzy, kochanie. Jakbyś coś dla niego znaczyła.

Mallory pokręciła głową.

– O czym rozmawialiście?

– Pytasz, czy oskarżałam go o zrujnowanie twojej reputacji? – Ella zerknęła przez ramię Mallory. Ty się przyglądał. Pomachała do niego małym palcem.

Nie odmachnął, lecz się uśmiechnął.

– Wyraźnie dałaś mi do zrozumienia, co sądzisz na ten temat – kontynuowała. – I miałaś rację. Za bardzo cię kontrolowałam, zakładałam, że będziesz oazą spokoju w tej zwariowanej rodzinie. Było to niesprawiedliwe, być może okrutne. Myliłam się. Nie powinnam była tego robić. Tak jak nie powinnam była dopuścić, żebyś obwiniała się za śmierć Karen. Za mój rozwód. I naszą rodzinną paranoję.

– Mamo...

– Cicho, skarbie. Powiedziałam mu, że ugotuję dla niego obiad – dodała Ella swobodnie, odgarniając mokre włosy z twarzy córki.

– Słucham?

– Był dla ciebie taki dobry... Chcę mu podziękować. To prosty gest, z dobrej woli.

– Chyba z ciekawości.

– Owszem. Z ciekawości również.

– Mamo, my jesteśmy tylko. – Boże, serce mnie boli! – przyjaciółmi.

– Och, proszę cię! – roześmiała się Ella. – Nie dałam się na to nabrać, gdy Tammy przywiozła do domu Zacha, więc nie dam się na to nabrać i teraz. Zgodził się.

– Nie, naprawdę. Nie jest tak, jak myślisz. Zgodził się?

– Kochanie, jesteś przemoczona i cała się trzęsiesz. Przeziębisz się tutaj na śmierć. Jedź do domu, weź gorący prysznic i zrób coś z tym policzkiem. – Ella uściskała córkę i popchnęła ją w kierunku samochodu.

Mallory po raz ostatni rozejrzała się po okolicy. Ty pomagał Mattowi wynosić wyposażenie ze zrujnowanej kafejki. Dwa doskonale przykłady wykorzystania siły wspaniałych, męskich mięśni.

– Mallory. – Josh wskazał jej gestem panią Burland, która siedziała na krawężniku. – Odmawia wizyty w szpitalu, ale zasadniczo jest tylko roztrzęsiona. Jeśli już jedziesz, może odwiozłabyś ją do domu?

Ostatecznie Mallory rozwiozła po domach wszystkich starszych obywateli miasteczka, bo przyjechali tutaj z Lucille, która musiała udać się do szpitala na prześwietlenie. Zajęło jej to niemal godzinę, bo do granic możliwości przeciągali moment pożegnania i wysiadania z samochodu. Gdy nareszcie pozbyła się wszystkich, powiedziała sobie, że czas wracać do domu. I nie posłuchała sama siebie. Ruszyła do Tya.

Garaż był otwarty. Ty leżał pod swoim cennym shelbym.

Mallory była gotowa pójść o zakład, że auta by nie opuścił...

Wciąż pełna adrenaliny, frustracji i bólu, tak prawdziwego, że czuła, jak jej serce pęka na pół, podeszła do leżanki i szturchnęła w odsłoniętą łydkę.

Okej, raczej kopnęła.

– Wprosiłeś się do mojej mamy na obiad?

Wytoczył się spod samochodu i spojrzał, na szczęście nie komentując wyglądu jej fryzury. Najpierw zmoczyły ją spryskiwacze, potem obsypał pył z odpadających z sufitu płytek, a cały bałagan wysechł na wietrze bez środków przeciwko puszeniu, których Mallory używała zazwyczaj. Zresztą i tak nigdy nie działały.

– To problem? – zapytał w końcu.

– O mój Boże! – Wyrzuciła ręce w górę. – Zrobiłeś to. Zgodziłeś się. Dlaczego?

– Powiedziała, że zrobi klops. Chyba nigdy nie jadłem domowego klopsa. Myślałem, że to taka legenda przedmieść.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnęła objąć go i udusić jednocześnie.

– Ja ci zrobię klops!

– Rzuciłaś mnie. A poza tym nie gotujesz.

Do diaska. Do diaska, dobijał ją! Mallory przycisnęła dłonie do oczu, gest jednak nie umniejszył bólu. Odwróciła się na pięcie i wyszła z garażu.

Dogonił ją dopiero przy samochodzie i przyciągnął do siebie. Wyczuła drżenie jego piersi i uświadomiła sobie, że Ty się z niej śmieje.

Przeszło mu, gdy spojrzał jej w twarz.

Mallory warknęła, odepchnęła go i wsiadła do auta. Zanim jednak zdołała zamknąć drzwiczki, kucnął przy niej. Mięśnie jego ud napięły się

pod wyblakłym dżinsem. Zablokował dziewczynie drogę ucieczki, kładąc jedną rękę na drzwiach, a drugą na oparciu jej siedzenia. Minę miał nieodgadnioną.

– Tu nie chodzi o klops. Nie chodzi nawet o mnie. Powiedz, na czym polega problem.

Kocham cię...

– Problem polega na tym, że blokujesz moje drzwiczki.

– Odgradzasz się ode mnie.

– Zabawne, że mówi to ktoś, kto jest mistrzem odgradzania mnie od siebie – wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

– Nie robiłem tego specjalnie.

– Robiłeś.

Wpatrywał się w nią przez chwilę.

– Opowiedz mi o tej nocy, kiedy umarła Karen. Mallory miała wrażenie, że Ty sięgnął przez żebra do jej płuc i zacisnął na nich palce. Nie mogła oddychać.

– Karen do tego nie mieszaj. Ona nie ma tu nic do rzeczy.

– Myślę, że jednak ma. Ona też spróbowała czegoś nowego i nie najlepiej na tym wyszła. Kazała ci obiecać, że będziesz grzeczna, a ty dotrzymywałaś słowa. Dopóki się nie zjawiłem.

– Ktoś tu nie umie trzymać języka za zębami.

– Jest wielu takich ktosiów – zgodził się. – Ale tobie się to podoba.

Kochasz tych wszystkich ktosiów. A oni kochają ciebie.

Oparła czoło o kierownicę.

– Posłuchaj, jestem na ciebie wściekła, rozumiesz? Tu nie chodzi o mnie. Wiem, że moje bolesne wspomnienia są względne. Mam dobre życie. Jestem szczęściarą. Nie chodzi o to, jak bardzo pod górkę miała biedna,

mała Mallory. Nie załamuję się ani nic takiego.

Pogłaskał ją po plecach.

– Oczywiście, że nie. Po prostu postanowiłaś potrzymać głowę na kierownicy, to wszystko.

Mallory powstrzymała śmiech i zamknęła oczy.

– Nic mi nie jest.

– Tak, wiem. Jest nawet lepiej niż kiedykolwiek. Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam, Mallory. Wiesz o tym?

– Właśnie o to chodzi. Wcale nie jestem silna. Zawsze myślałam, że zdołam ocalić każdego. Że jeśli będę grzeczna, osiągnę sukces. Jeśli będę grzeczna, moja rodzina się nie rozpadnie. Jeśli będę grzeczna, nie wydarzy się nic złego.

Jego dotyk uspokajał. Podobnie jak jego głos, niski i spokojny, bez oskarżycielskiej nuty. Odrobina uczucia również by nie zabolą.

– I co. ci to dało? To bycie grzeczną.

Z jej gardła znów wyrwał się ponury śmiech.

– Nic. Cała ta praca, cały czas poświęcony na to, by zadowolić każdego... A i tak wszystko się rozpadło. Zawiodłam.

– Wiesz, że to nieprawda.

– Czyżby? – Zacisnęła palce na kierownicy. To była jej kotwica w szaleństwie. Nic jej się nie udało. Straciła pracę. Ludzie postrzegali ją teraz inaczej. Nawet jej pseudozwiązek z Tyem się rozpadł.

– Nie chcę już rozmawiać o przeszłości. Moja siostra dokonała wyboru. Każdy członek mojej rodziny dokonał wyboru. Moi rodzice radzili sobie z tym, jak mogli, lecz wyjściem okazał się rozwód.

– Być może. Ty jednak nadal się tym gryziesz.

– Wszystko w porządku.

– Nie zawsze musi być w porządku.

– Wiem o tym.

– W takim razie to powiedz. Uwolnij tamtą szesnastolatkę, Mallory.

Powiedz, że to nie była twoja wina. Ani rozwód rodziców, ani Karen. To nie twoja wina.

– Ty...

– Powiedz to.

Gwałtownie wciągnęła powietrze i wypuściła je po chwili.

– To nie była moja wina.

Zacisnął palce na jej włosach i pociągnął lekko, aż podniosła głowę i spojrzała.

– Właśnie – potwierdził z przerażającą łagodnością.

– To nie była twoja wina. Zrobiłaś, co mogłaś. Podjęłaś decyzję, by stać się kimś więcej niż małą dziewczynką, która żyje ku zadowoleniu innych. Zrobiłaś krok naprzód i sięgnęłaś po to, czego pragnęłaś.

Poczuła wyjący na policzki żar. Oboje wiedzieli, po co sięgnęła Mallory.

Po niego.

Nago.

I dostała go.

– Przestań brać na siebie odpowiedzialność za wszystkich – kontynuował cicho. – Opuść sobie, daj sobie spokój. I bądź tym, kim chcesz być.

Uśmiechnęła się blado.

– A ty zamierzasz skorzystać z własnej rady?

– Pracuję nad tym.

– Jesteś wspaniałą, wiesz?

– No tak. – Uśmiechnął się do niej. – Szkoda, że rzuciłaś mój żaloszny tyłek...

Wpatrywała się w niego przez chwilę.

– Może podjęłam zbyt pochopną decyzję... – szepnęła. – Już po raz drugi.

– Czyżby?

– Tak. Twój tyłek nie jest żaloszny.

Uśmiechnął się.

– Chodź tutaj – powiedział i nie czekając na jej ruch, wstał i wyciągnął ją z samochodu.

Wtuliła się w niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Dokąd idziemy?

– Pokażę ci, że może być jeszcze wspanialszy w pozycji horyzontalnej.



## ROZDZIAŁ 22

*Życie bez czekolady to nie życie.*

Ty wniósł Mallory do łazienki i postawił ją na podłodze. Skonsternowana, rozejrzała się dokoła.

– Nie jestem w pozycji horyzontalnej...

Ty pochylił się pod prysznicem i odkręcił gorącą wodę. A potem się rozebrał.

Dobry Boże! Bez ubrania wyglądał tak piekielnie fantastycznie, że Mallory niemal zapomniała o swoich problemach. Tymczasem największy z nich stał tuż, tuż.

– Co...

– Jesteś przemoczona i zmarznięta na kość. Ściągaj buty.

Posłuchała polecenia, a wtedy on zdjął z niej resztę mokrych ubrań i rzucił je na podłogę. A gdy pozostawała zajęta podziwianiem przyprawiającego ją o ślinotok męskiego ciała, sprawdził temperaturę wody i wepchnął ją do kabiny.

Gdy uderzył w nią gorący strumień, Mallory gwałtownie wciągnęła powietrze. Ty sięgnął po mydło. Umył ją szybko i sprawnie, podczas gdy ona nie odrywała oczu od ocierającego się o jej brzuch sztywnego penisa.

– Zignoruj to – poprosił.

Nie odwróciła wzroku, a on stał się jeszcze większy.

Ty pokręcił głową i umył jej włosy. Masował delikatnie palcami czaszkę, aż Mallory zajęczała z rozkoszy. Potem odsunął ją, namydlił się szybko i spłukał. Czynności niby nie podniecające, a jednak...

Chyba odczytał jej uczucia, bo jego oczy stały się nagle ciemne i pełne żaru. Zakręcił wodę, owinął Mallory ręcznikiem i posadził na blacie.

Zawiązał drugi ręcznik nisko na swoich biodrach, nachylił się i z szuflady wyjął zestaw pierwszej pomocy i paczkę prezerwatyw. Oba pudełka były zamknięte. W milczeniu położył kondomy obok jej biodra.

Wystarczyło, by Mallory poczuła żar.

Ty wziął do ręki apteczkę, wyprostował się i odsunął mokre włosy z jej twarzy. Ugiął lekko kolana i przyjrzał się jej policzkowi.

– Wystarczy plaster. – Zdezynfekował ranę, a gdy Mallory syknęła z bólu, pochylił się i ucałował jej skroń.

– Co za kindersztuba! – prychnęła. – Często opatrujesz mokre, nagie kobiety?

– Prawie nigdy. – Ostrożnie rozerwał opakowanie sterylnego opatrunku i przyłożył go do rany.

– Co się stało, że nagle nie masz nic przeciwko takiemu zajęciu? – zapytała.

– Ty.

– Daj spokój.

Zerknął.

– Myślisz, że tylko w twoim życiu dokonują się zmiany? Urabiasz się po łokcie, nieważne, ile nieszczęścia widzisz, a widzisz dużo. Chcesz po prostu pomagać ludziom, leczyć ich. Też taki byłem. Nie wiedziałem tylko, że za tym tęsknię.

– Ta praca, do której wracasz... Na pewno jest bardzo niebezpieczna.

– Nie tak niebezpieczna, jak SEAL. Tam działo się najgorsze.

– Na przykład katastrofa samolotu.

– Właśnie. Na przykład katastrofa samolotu.

– Cierpisz na zespół stresu pourazowego, Ty?

– Może. – Wzruszył ramionami. – Pewnie trochę tak. Nie na tyle

jednak, by mnie to niszczyło. Już nie.

Jego skóra po prysznicu wciąż była wilgotna, włosy zaczesał do tyłu. Koncentrował się na zadaniu, Mallory mogła więc przyglądać się mu swobodnie. Usta zarazem surowe i hojne, szczeka kwadratowa i szorstka przez jednodniowy zarost, który tak zmysłowo drażnił kiedyś jej skórę. Blizna na brodzie i druga na skroni. Szerokie ramiona, umięśniony brzuch.

Był piękny.

– Naprawdę za tym tęsknisz... – szepnęła. – Za akcją.

– Jak raz uzależnisz się od adrenaliny, zostaje ci to na całe życie. Tak sędzę. – Skończył opatrywać policzek i uniósł jej dłoń, żeby zbadać delikatnie opuchnięty i posiniaczony nadgarstek. Mallory nie miała pojęcia, że zauważył tę kontuzję.

– Nie jest złamany.

Skinął głową na zgodę, a potem podniósł jej dłoń do ust i delikatnie pocałował.

Rozbroił ją całkowicie. Profesjonalnie owinął nadgarstek Mallory elastycznym bandażem i zerknął na jej piszczel.

Krwawiła.

Tego nie zauważyła ona.

Ty uklęknął i opatrzył jej nogę z takim samym skupieniem i tak fachowo, jak wcześniej. Jego oczy znajdowały się na poziomie blatu, na którym siedziała, dłonie obejmowały jej łydkę. Mallory myślała tylko o tym, że gdyby przesunęła nogę o centymetr w lewo, uniosłaby ręcznik, a on patrzyłby prosto na jej nagie krocze.

Ten sugestywny, zmysłowy obraz pociągnął za sobą i inne wizje. W końcu Mallory zaczęła się kręcić, próbując sprawić, by ręcznik opadł. Niby przypadkiem.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Ty.

– Dlaczego nie wyjechałeś, jak tylko otrzymałeś zgodę lekarza?

Spojrzał jej w oczy.

– Przecież wiesz.

– Przeze mnie.

– Przez ciebie.

Odmiana w życiu, decyzja, by żyć dla siebie, zamiast starać się sprostać oczekiwaniom innych, ma swoje plusy, pomyślała Mallory. Na przykład dodaje pewności siebie...

Sięgnęła do świeżo zgromadzonych zasobów, rozwiązała ręcznik i pozwoliła mu spłynąć na blat.

Ty zamarł. Powietrze wokół zaiskrzyło zmysłowo.

On odetchnął głęboko i przesunął dłonie na uda Mallory, rozchylając je lekko. Popatrzył, jęknął i pocałował: najpierw wewnątrz jednego, a potem drugiego.

Wreszcie skoncentrował się na miejscu pomiędzy nimi.

Zaciskał dłonie na biodrach Mallory, szorstkie i silne, lecz czułe zarazem, a jej ciało drżało, rozkoszując się maestrią dotyku. Wymruczał coś w jej skórę, coś, czego nie usłyszała, lecz ponagliła go mimo wszystko, zaciskając uda na jego ramionach. W końcu wykrzyczała jego imię, a wszystkie myśli uleciały jej z głowy.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Ty wstaje, z mokrymi ustami, mierząc ją rozpalonym wzrokiem. Pomógł Mallory zeskoczyć z blatu, odwrócił się i wyszedł z łazienki.

– Co ty...

Zniknął. Mallory poszła za nim. Upuścił ręcznik na podłogę, lecz zamiast dokończyć lekcję w obiecanej horyzontalnej pozycji, włożył czarne

bokserki, które z trudem pomieściły imponującą erekcję.

– Co ty robisz?

– Ktoś stoi przy drzwiach. – Włożył dzinsy. Skrzywił się, zapinając rozporek.

Wciąż ogarnięta ekstazą, Mallory zaczęła się zastanawiać, czy uda się jej dotknąć wszystkich wiązadeł jego mięśni, poczynając od torsu i kierując się w dół. Zajmie to chwilę, nie będzie to jednak czas stracony...

Ledwie dotarło do niej, co powiedział.

– Ktoś stoi przy drzwiach? Nic nie słyszałam.

Uśmiechnął się lekko.

– Pewnie dlatego, że robiłaś więcej hałasu niż dzwonek.

– Wcale nie... – Boże! Mallory przycisnęła dłonie do gorących policzków. – Kto to?

– Twoja matka.

Pisnęła.

– Co?

– Przez okno łazienki widziałem, jak podchodzi do drzwi. – Zerknął w dół. – Musisz się powstrzymać

– powiedział. A potem zmierzył spojrzeniem ciało Mallory od stóp do głów i jęknął. – A ty chyba powinnaś się ubrać...

– Dlaczego moja matka tu przyszła?

– Klops.

Chryste, całkiem zapomniała o klopsie! Spanikowana dziewczyna okręciła się na pięcie.

– Moje ubranie jest mokre i pomięte.

– Wodór, hel, lit...

Utkwiła w Tyu zdumiony wzrok.

– Co ty gadasz?

– Przypominam sobie tablicę Mendelejewa, bo zamierzam otworzyć drzwi bez widocznej erekcji.

– A nie załatwi tego świadomość, że na werandzie stoi moja matka?

– Słuszna uwaga. – Ty rzucił jej dres, który leżał na krześle i wyszedł z pokoju.

Mallory w końcu zrezygnowała z godności i włożyła męskie ciuchy, gdy jednak dotarła do salonu, nie było tam nikogo.

Tya znalazła w kuchni. Kładł właśnie na blacie dużą torbę.

– Nie została – poinformował. – Wyraziła przekonanie, iż jestem bardzo zajęty upewnianiem się, że wszystko u ciebie w porządku. Podlała twoje kwiatki i nakarmiła kota. Powiedziała, że masz posadzić w końcu swoją zmęczoną pupcię i odpocząć, a ja mam dopilnować, że właśnie tak zrobisz.

– Moja matka. Mistrzynie manipulacji.

– Czy twoja pupcia jest zmęczona? – zapytał rozbawiony Ty, choć oczy miał poważne.

– Nie. Masz na coś chęć? – Zajrzała do torby.

Utkwił w niej wygłodniały wzrok.

– Owszem, ale nie na jedzenie. A ty?

– Zadowolę się tym samym, co ty.

Pragnął wziąć ją w ramiona od chwili, w której dowiedział się od Matta o skradzionych lekach. Do diaska, pragnął wziąć ją w ramiona od... od zawsze. Zawsze chciał trzymać ją w ramionach. Dotykać jej dłońmi, ustami. Wszędzie.

Postawił ją przy łóżku i szybko pozbawił dresu. Opadł na kolana i z radością stwierdził, że wciąż jest ciepła i wilgotna. I że od nowa wydaje z

siebie odgłosy, które tak lubił. A gdy wsunął w nią palec, zachłysnęła się oddechem i rozłożyła nogi.

Kobieta, która wie, czego chce.

A on to w niej uwielbia.

Mallory wplotła mu palce we włosy i uchwyciła się, jakby w obawie, że pieszczoty skończą się zbyt wcześnie.

Nie ma mowy.

Ty znów zapragnął usłyszeć, jak ona wykrzykuje jego imię, chciał czuć, jak odlatuje. Pieścił ją więc powoli i spokojnie, prowadził na sam skraj przepaści, lecz tam przystanął. Mallory zacisnęła palce na jego włosach, jakby próbowała go oskalpować. Uśmiechnął się i dał jej spełnienie.

Wciąż dygotała, gdy podniósł się i rzucił ją na łóżko. Leżała na plecach, z rozłożonymi ramionami. Uśmiechała się.

Słodka.

Gorąca.

– Dlaczego wciąż jesteś ubrany?

Dobre pytanie. Ty rozebrał się, wyjął z opakowania prezerwatywę i ją założył. A później wszedł w nią jednym długim pchnięciem. Oboje gwałtownie wciągnęli powietrze. Czysta, nieskażona rozkosz.

Nigdy nie czuł się tak dobrze, jak wtedy gdy się w niej zagłębiał...

Nigdy.

– Ty?

Zatonął w jej oczach.

– Tak?

– To znacznie więcej niż zakładałam.

Wiedział to. Czuł w głębi duszy. Zacisnął dłoń na jej włosach i pocałował mocno, głęboko. Drugą dłonią objął jej słodką pupę i zaczął się

poruszać, wypełniając ją, spokojnie i miarowo. Po raz pierwszy tego dnia – do diabła, po raz pierwszy od tygodnia! – jego świat zaczął nabierać sensu.

Był dzieckiem żołnierzy, które nigdy nie zagrzało dłużej miejsca, a potem również żołnierzem. W jego życiu nie było miejsca na delikatność. Miewał przelotne związki, lecz żaden z nich nie był poważny. W żadnym nie wytrwał tak długo, by wywarł na niego wpływ. Żaden z nich nie pasował do jego obrazu miłości.

Z Mallory było inaczej.

Wiedział to w głębi serca. Do diaska, już tamtej pierwszej, burzowej nocy poczuł do niej niezaprzeczalny pociąg. To się wydarzyło w mgnieniu oka, a z czasem tylko się umacniało; pragnął być z nią. Chciał rozmawiać, dotykać, całować, kochać – gotów zgodzić się na wszystko, co mogła mu dać. Bo rozpraszała jego mrok. Choć bycie z nią było jak marsz po linie

– każda spędzona z nią minuta sprawiała, że musiał przedefiniować wszystko.

Przez nią zapragnął rzeczy, o których nigdy nie myślał: domu, rodziny, miłości. Chryste, to go zbijało z tropu! Co on o tym wie?

Wiedział tylko jedno: to wszystko – jej ustana jego ustach, jej ciepłe, miękkie i zapraszające ciało, jej dłonie na jego torsie, obejmujące jego szyję – jest właściwe. Prawdziwe.

– Ostrożnie – mruknął, całując opuchnięty policzek i zabandażowany nadgarstek. – Nie pozwól, bym cię skrzywdził.

– Uleczyłeś mnie – odparła. – Teraz pozwól, bym ja uleczyła ciebie.

Jej dłonie sunęły po jego plecach. Pieszczota była tak cudowna, że niemal zamruczał. Rozpływała się pod nimi choć on powtarzał sobie, że przeszła ciężkie chwile, że musi być ostrożny, gdy owinęła jego talię nogami, zatopił się w niej jeszcze głębiej. Z jękiem wygięła się pod nim,



odchyliła głowę, zamknęła oczy. Na jej twarzy malowały się głód i pożądanie.

– Och, Ty...

Musnął nosem jej szyję, a potem wessał skórę, sprawiając, że gwałtownie wciągnęła powietrze i zacisnęła się na nim jeszcze mocniej.

Stanął w płomieniach.

Zrobiła to znowu. Jej żar zacisnął się na nim jak imadło, zapach ich obojga, odgłos jej urywanego oddechu połączony z niemą prośbą... Tak. Tego właśnie potrzebował – jej rozpalonego i drżącego ciała pod sobą. Tej więzi. Mallory kołysała się pod nim przy każdym pchnięciu, jej krzyki rozbrzmiewały w jego ustach, gdy wchodził w nią coraz głębiej i głębiej. Powtarzała jego imię, napierała, aż w końcu doszła, dygocząc w jego ramionach, i pomknęła w przepaść, pociągając go za sobą.

To takie dobre.

To była jedyna myśl Tya, gdy opadły wszystkie bariery.

Takie dobre, takie cholernie dobre...

Miał na twarzy jej włosy, próbował nie oddychać, by jej nie przeszkadzać. Jej ciało, wciąż rozgrzane i wilgotne, kleiło się do niego. Przerzuciła nad nim nogę, wtuliła policzek w tors. Jej dłoń spoczywała na nim, jakby stanowił jej własność.

Bo w zasadzie tak było. Podobnie jak jego serce i dusza.

Jezu. A wszystko zaczęło się tak niewinnie...

Okej, może nie niewinnie. W końcu już pierwszej nocy uprawiali seks na strychu. Naprawdę fantastyczny seks.

Wtedy nie czuł się dobrze. Nie czuł się dobrze chyba nigdy w życiu, nie na tyle, by mogło to wystarczyć takiej kobiecie jak Mallory, która potrafiła oddać ostatnią koszulę obcemu.

Czuł się jednak dobrze, obserwując ją, będąc. Z nią.

Poczuł, że jest coś wart.

Nie mógł uwierzyć, że to zasługa tej jednej małej kobietki. A jednak.

I co miał teraz zrobić? Nigdy nie zamierzał być dla niej czymś więcej niż chwilą dobrej zabawy. Jednak plany...

Może należało uciec od niej jak najdalej tej pierwszej nocy? Co go do niej przyciągało?

Nawet gdy naraził na szwank jej reputację, pracę, relacje z rodziną, nie zawahała się. Dała mu wszystko, co miała. A w zamian poprosiła tylko o jedno.

„Nie żegnaj się. Po prostu wyjedź”.

Odruchowo przytulił ją mocniej. Westchnęła cicho i odpowiedziała tym samym, nie obudziła się jednak. Nawet się nie drgnęła, gdy w końcu zmusił się, by ją uwolnić i wstać.

Mallory przytomniała powoli, myśląc o wszystkim, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Centrum zamknięto, ona rzuciła pracę, kafejka została zrujnowana... A Ty to wszystko naprawił. Subtelnie, był bowiem subtelny, dał jej tej nocy dokładnie to, czego potrzebowała. Był czuły, lecz nieprzytłaczający, zachęcał ją do mówienia, gdy tego potrzebowała, lecz w odpowiednich momentach pozwalał jej milczeć.

Przeciągnęła się i poczuła rozkoszny ból mięśni. Kochał jej ciało niemal do świtu.

To nie był wyłącznie seks.

Dla niej nie był tylko seks nawet za pierwszym razem, nie była jednak pewna, co czuje Ty.

Aż do ostatniej nocy.

Tej nocy, gdy jej dotykał, gdy na nią patrzył, ogarnięty pasją, gdy drżał

razem z nią, biorąc w posiadanie jej ciało i oddając jej własne... To była miłość. Mallory uśmiechnęła się do wspomnienia i przetoczyła na bok, by się do niego przytulić.

Tya nie było już w łóżku.

Jego poduszka była zimna.

Mallory poczuła chłód.

Sięgnęła do szafki nocnej po wibrujący telefon; odruchowo położyła go tam przed snem. Pomyślała, że to *może Ty, wiadomość jednak* pochodziła od *Jane*.

*Bill nie przyjął Twojej rezygnacji. W związku z kolejną darowizną, przekazaną specjalnie dla CUM, ośrodek otrzymał pozwolenie na kolejnych sześć miesięcy funkcjonowania. Poza tym już nie pracujesz tam pro bono. Twój dyżur zaczyna się jutro o ósmej. Masz się zjawić, Mallory.*

Kolejna darowizna... Co ten Ty znów narobił? Mallory owinęła się prześcieradłem i zaczęła go szukać po całym domu. Blask w jej wnętrzu powoli gasł. Trzymał tu niewiele rzeczy, lecz one także zniknęły. Ubrania, worek podróżny, iPhone...

Pobiegła do garażu i włączyła światło. Shelby wciąż tam był, śliczny i lśniący.

Skończony.

Zdezorientowana, zawróciła do sypialni. Tam znalazła kartkę, która musiała leżeć na poduszce, spadła jednak na podłogę, obciążona kluczem. Kluczykiem do samochodu.

*Mallory, dla mnie także stało się to czymś znacznie więcej, niż zakładałem. Zostawiam Ci samochód. Sprzedaj go, jest wart tyle, że kwota pozwoli Ci spokojnie się zastanowić, co chcesz dalej robić. Matt da Ci za niego dobrą cenę. Jeśli go zatrzymasz, nie parkuj na ulicy.*

*Bez żalu.*

*Całuję,*

*Ty*

Wpatrywała się w liścik przez dobrych dziesięć minut. Ty zostawił jej swoje dziecko? Pozwolił jej sprzedać shelby'ego, żeby nie musiała martwić się o pieniądze?

A potem podpisał liścik? „Całuję, Ty”.

Wybuchnęła śmiechem i przyłożyła dłoń do ust, by powstrzymać szloch.

Kochał ją.

Głupiec.

A może to ona była głupia, bo również go pokochała? Kochała go tak bardzo.

– Bez żalu – szepnęła, zaciskając dłonie na kluczyku.

## ROZDZIAŁ 23

*Życie jest jak pudełko czekoladek – pełne niespodzianek.*

Siedziała w gabinecie Billa i wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Chwileczkę – powiedziała, kręcąc głową. – Powtórz tę ostatnią część. Ty chciałeś przekazać kolejną darowiznę, a ty ją odrzuciłeś?

– Tak. Zrobił już dostatecznie dużo dla CUM. W najlepszy sposób z możliwych.

Mallory przełknęła ślinę. Cóż, taka była prawda. Dla niej również zrobił wiele. I choć wrócił do swojego życia, próbował się upewnić, że ktoś o nią zadba. Pożałowała, że nie może go zdzielić po głowie.

A potem przytulić.

– Odmówiłeś przyjęcia pieniędzy? – zapytała. – Przecież ty nigdy nie odmawiasz.

– Nie zawsze chodzi o wyniki. – Bill uśmiechnął się przelotnie, lecz ciepło. – Widzisz, nawet starego psa można nauczyć nowych sztuczek...

– Przecież Jane napisała mi, że wpłynęła darowizna.

– Tak. Inna. Sto tysięcy dolarów od pani Burland i...

Mallory aż pisnęła z wrażenia. Bill uniósł dłoń.

– ... i chce tylko, żeby wszyscy dowiedzieli się, że to ona jest darczyńcą. Powiedziała, cytując: „Chcę, żebyście krzyczeli z dachów, że to ja uratowałam CUM”.

Mallory popatrzyła na szefa z konsternacją.

– Pani Burland... – powtórzyła. – Kobieta, która nienawidzi nas wszystkich. A najbardziej mnie.

– Owszem. Chociaż ciebie akurat nie darzy równie wielką nienawiścią

jak resztę. Jane przekazała ci, że jej darowizna jest obwarowana pewnym warunkiem?

– Mną?

– Tak. Możesz uważać swoją nową pensję w centrum za podwyżkę, bo i tak nie mam pieniędzy w budżecie na to, by zaproponować ci awans na izbie przyjąć.

– Przecież odeszłam.

– To wróć. Ze świadomością, że centrum jest bezpieczne, podobnie jak twój etat. A teraz wynoś się z mojego biura i wracaj do roboty.

Zastanawiała się najwyżej dwie sekundy.

– Dobrze, proszę pana. – Wstała i podeszła do drzwi.

– Mallory?

Odwróciła się w progu.

– I nigdy więcej nie odchodź. Moja poczta głosowa i skrzynka są pełne wiadomości od mieszkańców miasta, którzy grzecznie mi radzą, bym cię nie stracił. Odkąd odeszłaś, nęka mnie twoja matka. Do diaska, własna matka mnie nęka! Zrozumiałaś?

Po raz pierwszy od wstania z łóżka Mallory zdołała się uśmiechnąć.

– Zrozumiałam.

Tydzień później życie Mallory znów wyglądało dobrze – na papierze. Odzyskała pracę, przyszłość centrum była zabezpieczona, całe miasto stało za nią murem.

Nie miała tylko Tya.

Przywyknij do tego, powtarzała sobie nieustannie, w sobotę jednak stoczyła się z łóżka ze zdecydowanym brakiem entuzjazmu. Zrobiła, co chciała. Zmieniła się. Była samolubna i żyła po swojemu, co okazało się bardziej ekscytujące, niż sobie wyobrażała.

Jak ma więc teraz zawrócić?

Nie zawrócę, postanowiła. Po raz pierwszy w życiu położyła na szali swe serce. I to ona dokonała tego wyboru.

Bez żalu.

Tego samego dnia otrzymała przesyłkę w zwykłej bąbelkowej kopercie. Adres zwrotny był zamazany i nieczytelny. Otworzyła, a z wnętrza wypadł mały pakiecik. Po rozwinięciu bibułki oczom Mallory ukazała się piękna bransoletka z zawieszkami, ta sama, która tak się jej spodobała na aukcji.

Nie było liściku, nie był potrzebny. Mallory wiedziała. Przycisnęła dłoń do bolącego serca.

Oczywiście Ty. Rozumiał ją jak żaden inny mężczyzna. Wiedział, jak bardzo związana jest z Lucky Harbor, być może i on tęsknił za takimi więzami, wiedział, ile znaczy dla niej ta bransoletka. Dodał jeszcze jedną zawieszkę. Shelby z sześćdziesiątego ósmego. Mallory nie miała pojęcia, gdzie ją znalazł i ile mogła kosztować.

Co to oznacza?

Zależy mu na niej. I to bardzo. Wciąż o niej myśli. Może nawet tęskni?

Bo ona za nim tak.

Ze ściśniętym gardłem Mallory zapięła bransoletkę na nadgarstku, przełknęła łzy i postanowiła, że zdobędzie się na odwagę i nie przestanie rozpościerać skrzydeł.

Dwa tygodnie później Ty wracał samolotem do Stanów po eskortowaniu dyplomatów na podpisanie traktatu pokojowego w Somalii.

Jego oddział składał się z doskonale wyszkolonych, zahartowanych w boju żołnierzy, z jednym wyjątkiem – świeżaka prosto z armii.

W pierwszą noc doszło do próby porwania, którą chłopcy udaremnili

bez problemów.

Nikt nie odniósł obrażeń, nie licząc nowicjusza, który tak wymiotował z nerwów, że trzeba mu było podać kroplówkę z płynami. Ty czynił honory.

– Przepraszam – mruknął dzieciak, gdy zakładał kaniulę. – Pogubiłem się.

Ty pokręcił głową.

– Każdemu może się zdarzyć.

– Ale nie tobie, prawda?

Od pierwszej misji, podczas każdego zadania – aż do katastrofy samolotu – Ty rozkwitał, bo robił to, co kochał. Wierzył w sprawę całą duszą, rozumiał, że ratowanie życia jest jego przeznaczeniem.

W wypadku stracił nie tylko przyjaciół, lecz także część siebie. Umiejętność nawiązywania relacji. Angażowania się.

Aż trafił do Lucky Harbor i spotkał wścibskich i narzucających się mieszkańców miasteczka, którzy troszczyli się o wszystkich i wszystko. Nawet o niego.

I spotkał Mallory. Boże, Mallory! To dzięki niej ostatni fragment jego zdruzgotanej duszy trafił na swoje miejsce.

– Jasne, że mnie też się to zdarza.

Dzieciak podniósł głowę i spojrzał na Tya zaskoczony, nie dowierzając, że stary wyga przyznaje się do czegoś podobnego. Uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Już mogę to zrobić – powiedział. – Jestem gotowy na wszystko, co się nam przydarzy.

Nic się jednak nie przydarzyło.

Kolejne dwa tygodnie spędzili, wędrując po afrykańskim buszu, a najbardziej ekscytujące chwile przeżyli, gdy przez lunety celownicze



obserwowali słońcę podczas porodu.

Ty wrócił do pracy, bo myślał, że do szczęścia potrzeba mu dreszczu wywołanego adrenaliną.

Dlaczego więc nie był szczęśliwy, do diabła?

Znał już odpowiedź. Jego szczęście znajdowało się o tysiące kilometrów stąd, przy kobiecie, która zburzyła mur przez tyle lat z namaszczeniem wznoszony wokół jego serca. W końcu zrozumiał, że to nie praca go napędzała, że nie dzięki niej zachowywał zdrowie psychiczne.

To była zasługa Mallory.

To ona była teraz jego oddziałem. Ona i Lucky Harbor. Gdy był tam z nią, czuł się spełniony. Dzięki niej był całością.

Dzięki niej był wszystkim.

Chryste, ależ był mało pojętny! Powolny. I zapewne za późno już na takie objawienie. Głupiec, odszedł od najlepszego, co go spotkało w życiu. A Mallory nie cierpiała głupców.

Gdy w końcu znaleźli się nad Waszyngtonem, Ty wyjrzał przez okno samolotu. Zazwyczaj na tym etapie podróży obmyślał priorytety: spać przez dwa dni, najeść się i może znaleźć ciepłą, chętną kobietę.

Mógł się obyć bez jedzenia i snu. Ale była kobieta, której pragnął. Jedyna.

Wyjeżdżał z Lucky Harbor przekonany, że jego przyszłością będzie koczownicza, niebezpieczna praca, której poświęcił życie. Wmawiał sobie, że postępuje właściwie, że musi tak zrobić, by śmierć jego ludzi miała jakikolwiek sens. Poza tym nie był w stanie dać Mallory życia, jakiego pragnęła, święcie przekonany, że to nie dla niego.

Mylił się pod każdym względem. W końcu to zrozumiał. Śmierć Brada, Tommy'ego, Kelly'ego i Trevora zawsze będzie coś znaczyć.

Podobnie jak jego własne życie. Zapewne wiedział o tym od dawna, nie miał jednak czasu, by poukładać sobie w głowie. Lecz w końcu to zrobił.

Odprawa trwała zdecydowanie zbyt długo. Frances już na niego czekała. Wysoka blondynka z bujnym biustem i nogami do nieba, które świetnie wyglądały w eleganckich garniturach. Wykorzystywała tę wiedzę przy rekrutacji.

Dawno temu zrekrutowała Tya jak diabli.

Obecnie jednak nie łączyło ich nic, poza osobliwą mieszaniną wrogości i sympatii.

Obejrzała go sobie od stóp do głów.

– Wyglądasz jak gówno.

– Och, dzięki.

Nie uśmiechnęła się, spojrzała tylko z nieodgadnioną miną.

– Nie zostajesz – domyśliła się.

– Nie zostaję. – Rzucił jej swoją przepustkę i podszedł do drzwi.

– Naprawdę myślisz, że takie miejsce, jak Lucky Harbor, może ci coś zaoferować? – zawołała za nim.

Wiedział, że tak. Tam nawiązał przyjaźnie. Prawdziwe.

– Do diabła, Ty! – powiedziała do jego pleców, gdy się nie zatrzymał.

– W pewnym momencie będziesz musiał przestać uciekać.

– Właśnie to robię.

Złapał nocny lot do Seattle. Po wylądowaniu wszedł na facebookowy profil Lucky Harbor. Od wyjazdu opierał się tej chęci aż do teraz, gdy jednak strona się załadowała, uśmiechnął się na widok najnowszego postu.

*Zapewne wszyscy słyszeliście już, że pani Burland przekazała na CUM darowiznę w wysokości stu tysięcy dolarów, w pojedynkę uratowała klinikę, sprowadziła z powrotem Mallory Quinn i zapewniła pokój na*

*ziemi. Okej, może z tym pokojem to przesada, alei tak wszyscy wielbimy ziemię, po której stąpa (tak miało być, Louiso? ).*

*W każdym razie, dzięki zesłotygodniowej loterii zebraliśmy dodatkowe pięć tysięcy dolarów na szpital. Dziękujemy naszej Mallory Quinn za jej nieustrudzone wysiłki. Główna nagroda – randka z dyrektorem szpitala Billem Lawsonem – przypadła Jane Miller, przełożonej pielęgniarek. Plotka głosi, że był też pocałunek na dobranoc. Ciekawe, czy Bill dał ciała? Źródła twierdzą, że tak. Znosi się na ślub w lecie...*

O świcie Ty wypożyczył samochód i ruszył w drogę do miasteczka. Zastanawiał się, czy Mallory jeszcze śpi w swoim łóżku? Ciepła i miękka?

Sama?

Chryste, miał taką nadzieję. Odkąd wyjechał, minęły zaledwie dwa tygodnie. Choć wyjechał bez słowa. Nie miał prawa wracać, nie miał prawa prosić o wybaczenie.

A właśnie to zamierzał zrobić.

Gdy minął zatokę, ocean wciąż jeszcze był granatowo – purpurowy. Ty gwałtownie wcisnął hamulec.

Przed kafejką stał zaparkowany shelby.

Z bijącym sercem zaparkował obok i wszedł do środka. Wnętrze pachniało świeżą farbą. Podłogi były nowe, choć wykonane z tego samego ponadczasowego linoleum, jak przed aferą ze spryskiwaczami. Amy, Grace i Mal – lory siedziały przy barze i jadły naleśniki z czekoladą.

Jadły, dopóki nie wszedł.

Na jego widok trzy widelce zawisły w powietrzu.

Przyjaciółki gapily się na Mallory, ona jednak nie zwracała na nie uwagi. Wpatrywała się w Tya z widelcem przy ustach.

Przy gaszeniu pożarów denerwował się mniej. Dostrzegł jednak na jej

nadgarstku błysk bransoletki i ogarnęła go nadzieja.

– To prywatne spotkanie – oświadczyła Grace. – Tylko dla miejscowych.

– Grace... – upomniała ją Mallory, nie spuszczać oczu z Tya. Minę miała nieodgadnioną.

Nie miał pojęcia, co jej chodzi po głowie. Jej twarz była bez wyrazu.

To on ją tego nauczył.

TWLR

## ROZDZIAŁ 24

*W ciasteczkach życia przyjaciele i kochankowie to kawałki czekolady.*

Mallory na widok Tya zakręciło się w głowie, po chwili doszła jednak do wniosku, że to wskutek braku oddechu.

– Myślałem, że czokoholiczki spotykają się przy torcie... – powiedział.

Dwa tygodnie. Minęły dwa tygodnie, odkąd widziała go po raz ostatni, a on gada o tortach. Mallory utkwiała w nim wygłodniały wzrok. Miał na sobie poprzecierane levisy i białą koszulę, wyglądał świetnie, jak zwykle. Schudł jednak, a w oczach miał ostrożność.

– Zabronili nam jedzenia tortów – poinformowała go Grace. – Przez te świece.

Amy wskazała na niego widelcem.

– Planujesz znów wkroczyć w jej życie, a potem odejść?

– Tylko wkroczyć – odparł, nie odrywając wzroku od Mallory. – Musimy porozmawiać.

– Rozmawiajcie – mruknęła Grace.

Amy skinęła głową.

Mallory wstała z bijącym sercem.

– Wiecie, co miał na myśli – zwróciła się do przyjaciółek. – Dajcie nam chwilę.

– Dobrze, choć przerywa nam już nie pierwszy raz... – wytknęła Amy.

– I...

– Proszę – dodała Mallory.

Amy spojrzała na Tya i wycelowała dwoma palcami w swoje oczy, a

potem w jego, dając mu do zrozumienia, że jest obserwowany i żeby nie myślał o głupstwach.

Grace ją odciągnęła.

Mallory zaczekała, aż obie znajdą się poza zasięgiem głosu, spojrzała na Tya i ogarnęło ją ciepło. Nie miała pojęcia, dlaczego wrócił, miała jednak nadzieję, że jednym z powodów jest ona.

– Wciąż próbujesz mnie uratować, Mallory? – zapytał cicho.

Jej serce waliło tak głośno, że niemal nie słyszała własnych myśli.

– Chyba nie potrafię się powstrzymać.

– Nie potrzebuję ratunku.

Nie. Na pewno nie potrzebował. Był silny, mądry i potrafił o siebie zadbać.

– A czego?

– Ciebie. Tylko ciebie.

– Och... – westchnęła Grace cicho. – To naprawdę dobre.

Odwrócili i zobaczyli, że Amy i Grace przycupnęły w kącie na tyle blisko, by słyszeć każde słowo. Grace się skrzywiła ze skruchą, ale machnęła dłonią.

– Przepraszam. Kontynuujcie.

Mallory odwróciła się do Tya, który wziął ją za rękę, splótł palce z jej palcami i przytulił je do swojej piersi. Bicie jego serca było kojąco miarowe.

– Wiem, że szukałaś Pana Odpowiedniego. A potem Pana Nieodpowiedniego. Chciałem zapytać, czy byłabyś może zainteresowana Panem Na Stałe.

Poczowała ucisk w gardle.

– Byłoby świetnie – wykrztusiła. – Nie widzę jednak kandydatów...

Gdy kącik jego ust uniósł się lekko do góry, ogarnął ją żar. Twardo

postanowiła nie dać się seksapilowi Tya.

– Twoja praca – przypomniała.

– Tak. Myślałem, że jest moim napędem, że daje mi to, czego potrzebuję. Myliłem się, Mallory. To ty. Ty mnie dopełniasz, jak żadna praca ani żadna osoba dotychczas. Dzięki tobie jestem całością.

Tuż za nimi ktoś pociągnął nosem. Dwa pociągnięcia. Mallory je zignorowała, choć sama miała ogromną ochotę postąpić podobnie.

– Nie zwariujesz tutaj?

– W Seattle zwolnił się etat sanitariusza w pogotowiu lotniczym. Chcę też pracować z weteranami w CUM. Myślę, że mógłbym pomóc. A jeśli się znudzę i będę potrzebował prawdziwej akcji, pozostaje jeszcze pasaż.

Mallory słuchała go z kielkującą w sercu nadzieją.

– I ja – szepnęła. – Ja też mogę ci pokazać prawdziwą akcję. Wiesz, raz na jakiś czas.

– Mallory... – powiedział szorstkim, łamiącym się ze wzruszenia głosem. – Boże, ależ byłem głupi! Dojście do prawdy zajęło mi tyle czasu... Nie wiedziałem, co z tobą począć. Próbowałem zachować dystans, mój świat nie funkcjonuje bez ciebie.

Mallory rozkleiła się całkowicie. Nie tylko ona, jeśli wziąć pod uwagę dwa bliźniacze westchnięcia w tle.

– Czy praca sanitariusza ci wystarczy?

– Są ważniejsze rzeczy niż adrenalina. Ważniejsze niż jakakolwiek praca. Nie ma jednak nic ważniejszego od ciebie. Mallory, ko...

– Chwileczkę! – zawołała Amy, zerkając na przyjaciółkę. – Przepraszam, ale zanim dokończy zdanie, chyba jednak powinnaś powiedzieć mu o samochodzie?

– Nie – odparła Mallory, mierzając ją gniewnym spojrzeniem. Chciała

usłyszeć resztę tego zdania, do diabła!

Ty zmarszczył brwi.

– Co się stało z shelbym?

– Nic – mruknęła szybko Mallory.

– Nic – zgodziła się Amy. – Poza tym, że obija drzwi, bo zaparkowała za blisko skrzynki na listy.

– O, mój Boże! – warknęła Mallory. – A ty co, policja drogowa?

– Do spraw klasycznych samochodów – oświadczyła Amy z zadowoleniem.

– Zaparkowałaś shelby'ego na ulicy? – Z niedowierzaniem zapytał Ty.

Mallory uniosła brwi.

– W porządku – powiedział, podnosząc dłonie.

– W porządku. Samochód nie jest ważny.

– Ja się tym zajmę – wtrąciła się Grace. Otoczyła Amy ramieniem i zakryła jej usta. – Kontynuujcie.

Mallory odwróciła się do Tya, który ściągnął ją ze stołka. Dotknął małej blizny na policzku, a potem ją pocałował.

– Kocham cię, Mallory – szepnął poważnie. – Tak bardzo cię kocham...

Zalały ją ciepło, uczucie i pragnienie.

– Wiem.

– Wiesz?

– Tak.

– Do diaska! – Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Mogłaś mi to powiedzieć już dawno temu. Zaoszczędzilibyśmy mnóstwo czasu.



– Może powiem ci coś innego? Ja też cię kocham. Po tych słowach opuściły go resztki zmęczenia.

– Powiedz, co mam zrobić, byśmy byli razem. Nadzieja rozkwitła. Pełna i jasna.

– Chcesz, żebyśmy byli?

– Chcę. Powiedz mi, Mallory.

– Podobało mi się to, co mieliśmy. Wspólnie spędzane wieczory po długim dniu, może czasami kolacja na mieście. To było miłe. Filharmonię możemy pominąć.

Wybuchnął śmiechem.

– Mallory, powiedz, że chcesz więcej.

Przygryzła wargę i uśmiechnęła się figlarnie.

– Cóż, może odrobinę.

Roześmiał się cicho, jego oczy pociemniały. Przyciągnął ją do siebie i pocałował namiętnie, wplatając palce w jej włosy.

– A może przypieczętujemy umowę pierścieniem? – wymruczał.

Wszystkie trzy wstrzymały oddech.

– Słucham? – pisnęła Mallory. – Masz na myśli pierścioneł zaręczynowy? Chcesz się żenić?

– Tak. Dla mnie jesteś wszystkim, Mallory.

Mówił poważnie. Spoważniała i ona.

– Bardzo bym chciała – szepnęła.

– Świetnie. Musimy ustalić coś jeszcze?

Tylko około stu szczegółów. Gdzie będzie mieszkał? Ze mną, pomyślała zaborczo. Chcę go mieć przy sobie. Chwileczkę... Czy to znaczy, że będę musiała nauczyć się gotować? To ryzykowne. Nie miała miejsca w szafie na jego rzeczy. I jeszcze kot. A jeśli Groszek pobrudzi mu buty?

Ty ujął w dłonie jej twarz i zmusił, by na niego spojrzała. W jego oczach Mallory odnalazła prawdę.

Wszystkie jej troski nie miały znaczenia. Liczył się tylko on.

Przecież będzie miała czas, by zrobić mu miejsce w szafie. Kot się do niego przyzwyczai. Przed nimi mnóstwo czasu. Przecież powiedział, że należy do niej, a zawsze był konsekwentny.

– To chyba wszystko – zapewniła go.

Pochylił się i znów ją pocałował, a potem musnął palcem jej skroń i założył luźne pasmo włosów za ucho.

– Chcę, żebyś wiedziała, że jesteś najlepszym wyborem, jakiego dokonałem w życiu.

– Bez żalu?

– Bez żalu.

Z sercem przepelnionym uczuciami Mallory pociągnęła go w dół.

Pocałowała mężczyznę, z którym zamierzała spędzić resztę życia.

## **ABSOLUTNIE WSPANIAŁE CZEKOLADOWE CIASTO CZOKOHOLICZEK**

### **CIASTO**

250 g gorzkiej czekolady

100 g plus trzy łyżki masła

175 g mąki tortowej

65 g kakao

1 budyń czekoladowy

1/2 łyżeczki soli

1/2 łyżeczki proszku do pieczenia łyżeczki sody oczyszczonej

4 duże jaja

50 ml oleju roślinnego

100 g cukru

75 brązowego cukru

1 1/2 łyżeczki aromatu waniliowego

100 ml mleka

Połam czekoladę i rozpuść ją w kuchence mikrofalowej, mieszając kostki z trzema łyżkami masła

i nastawiając moc na poziom trzeci na dwie minuty. Wyjmij miskę, zamieszaj i włóż na kolejne dwie minuty. Wyjmij, zamieszaj i włóż na ostatnie dwie minuty. Mieszaj dokładnie, by roztopiona czekolada połączyła się z masłem.

W drugiej misce wymieszaj suche składniki: mąkę, kakao, budyń, sól, proszek do pieczenia i sodę,

W trzeciej misce ubij mikserem jaja z olejem i cukrami, by powstała gęsta masa (około pięciu minut). Zmniejsz moc miksera, dodaj aromat waniliowy i mleko. Stopniowo dodawaj suche składniki i czekoladę. Wymieszaj wszystko na jednolitą masę.

Przelej ciasto do natłuszczonej formy o boku dwudziestu centymetrów. Piecz w piekarniku rozgrzanym do 180 stopni od 35 do 45 minut. Ciasto jest upieczone, jeśli wykałaczka wbita w jego środek jest po wyjęciu sucha.

#### POLEWA

60 g cukru pudru

100 g kakao

2 łyżki miękkiego masła

225 serka śmietankowego

1 łyżeczka cukru waniliowego

60 ml mleka

Wymieszaj cukier z kakao.

W osobnej misce mikserem ubij masło z serkiem. Dodaj cukier waniliowy. Stopniowo, na zmianę, dodawaj cukier puder i kakao oraz mleko, do uzyskania konsystencji polewy.

Nałóż polewę na ostudzone ciasto. Smacznego!

## Z BIURKA JILL SHALVIS

Drogi Czytelniku!

Gdy tylko umieściłam Tajemniczego Przystojniaka na kartach powieści, zakochałam się. W wielkim, złym, seksownym facecie, o którym nikt nic nie wie, jest po prostu coś, co rozpala wyobraźnię. Muszę jednak być szczerą: gdy pojawił się w epizodycznej roli w *Do szaleństwa* (bardzo epizodycznej; w zasadzie były tam o nim chyba jedna czy dwie wzmianki), nic o nim nie wiedziałam. Nic. I nie zamierzałam go poznać. Miał pozostać jedną z małych (okej, wielkich, złych i seksownych) tajemnic życia.

A potem zadzwoniła do mnie moja redaktorka. Powiedziała, że pierwsze trzy powieści o Lucky Har – bor tak dobrze sobie poradziły, że wydawnictwo chce kolejne trzy. I może jednym z bohaterów mógłby być Tajemniczy Przystojniak?

Świetnie się bawiłam, tworząc historię z tak enigmatyczną postacią, nie mówiąc już o jego nazwisku: Ty Garrison. Cieszyłam się, obdarzając byłego komandosa SEAL trudną, bolesną przeszłością i słodką, hojną, dobrą

z natury bohaterką (Mallory Quinn, pielęgniarką). Oboje dali mi wiele radości: niegrzeczny chłopak, który próbuje się zmienić, i grzeczna dziewczynka, która chce spróbować czegoś innego. Mam nadzieję, że Wy również będziecie się dobrze bawić, czytając ich historię.

Przyjemnej lektury!

Jill Shalvis

<http://www.jillshalvis.com>

<http://www.facebook.com/jillshalvis>

TTLR